



**Steffen**  
**JACOBSEN**

Góra kłamstw

Steffen Jacobsen

# **Góra kłamstw**

Tłumaczenie Edyta Stępkowska

Saga

Góra kłamstw  
Tłumaczenie Edyta Stępkowska  
Tytuł oryginału *Et bjerg af løgne*  
Język oryginału duński  
Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright ©2015, 2023 Steffen Jacobsen i SAGA Egmont  
Wszystkie prawa zastrzeżone  
ISBN: 9788726916898

*Jeleń powiedział: „Człowiek ma teraz wszystko, czego mu potrzeba. Już nigdy mu niczego nie zabraknie”. Sowa jednak odparła: „Nie. Widziałam w człowieku dziurę, która jest głodem niemożliwym do zaspokojenia. Dlatego człowiekowi wciąż czegoś brak, dlatego człowiek wciąż pragnie więcej. Będzie brał i brał, aż któregoś dnia świat mu powie: «Mnie już nie ma i nie mam ci nic więcej do oddania»,».*

Mit majański

Peter Holm był najbardziej doświadczonym geologiem w Nobel Oil, ale nawet on nigdy wcześniej nie słyszał o tym zjawisku i szczerze wątpił, aby kiedykolwiek je opisano. Wiedział natomiast ponad wszelką wątpliwość, że ów proces zachodził dokładnie teraz dwa tysiące metrów pod stacją terenową u stóp topniejącego lądolodu grenlandzkiego.

Wiedział również, że nie da się go zatrzymać.

Góra, uwolniona po osiemnastu milionach lat od ciężaru lodu, zbudziła się ze snu zimowego. Podniosła się, wyzwoliła, przeciągnęła – i zmieniła.

W perspektywie geologicznej stało się to niewiarygodnie szybko. O wiele za szybko.

Choć nie był obdarzony szczególnie barwną wyobraźnią, Peter miał wrażenie, że potrafi te zmiany *usłyszeć* głęboko w podłożu skalnym, jeśli tylko siedząc w swoim laboratorium, zastygnie na moment i się w nie wsłucha.

Podrapał się po zarosniętej brodzie i przesunął wzrokiem po pustych niebieskich krzesłach stojących w rzędzie przed buczącymi, migoczącymi skrzyniami z aparaturą. Kierowany złym przeczuciem, poprosił swoich najbliższych pracowników, żeby zrobili sobie dziś wolne. Wolał, żeby nikogo przy tym nie było, kiedy uzyska wyniki analizy chemicznej i ostatnich, najgłębszych odwiertów badawczych. Nawet Bao Tseunga, chińskiego geofizyka, który był jego niezawodną prawą ręką, a przy tym pogodnym, gadatliwym kompanem, poprosił, żeby tego dnia został w baraku przy rafinerii. Tseung oczywiście posłuchał polecenia, chociaż widać było, że poczuł się urażony, i stał się milczący jak nigdy. Jego duński szef nigdy wcześniej nie zwracał się do niego w taki sposób.

Peter Holm wrzucił papieros do kubka z niedopitą kawą, zamknął laptop i zamyślony siedział chwilę, głaskając jego obudowę. Potem wykasował wyniki analiz z głównego komputera stacji, zapiął kurtkę pod szyję i podniósł z podłogi spakowane torby.

Zanim zgasił światło, przystanął w drzwiach pozbawionego okien kontenera. Ostatni raz rzucił okiem na milczące spektrografy, które tak okrutnie zawiodły jego i cały wyjątkowy projekt wydobywczy.

To koniec i to na nim, Peterze, spoczywał obowiązek poinformowania o tym fakcie despotycznego szefa koncernu Axela Nobla.

Nie cieszyła go ta perspektywa.

\*

Zamknął drzwi na klucz i założył ciemne okulary, kiedy wyszedł na ostre, padające pionowo światło słoneczne. Obóz geofizyków stanowiło kilka pomarańczowych kontenerów ustawionych na wysuniętym klifie zaledwie kilkaset metrów od brudnej, cofającej się ściany lodolodu. Anteny radiowe i satelitarne były przytwierdzone stalowymi linami do skalistego podłoża, a wiatr nieprzerwanie i smętnie świszcział między nimi. Słońce sypało iskry z zatoki Disko, a jeszcze dalej, za zatoką i pojedynczymi sunącymi bezszelstnie górami lodowymi rozciągał się bezkres Oceanu Arktycznego.

Szeroka równina dzieląca obóz od wybrzeża była usiana namiotami w różnych rozmiarach i kolorach. Wśród nich wyróżniały się długie białe namioty, gdzie wydawano posiłki, oraz platformy, przy których od kilku miesięcy gromadzili się demonstranci, aby podsycać w sobie nawzajem destrukcyjny gniew. Z terenu ogrodzonej stacji miasteczko namiotowe przypominało festiwal muzyczny, który nie chciał się skończyć. Peter Holm bez trudu mógł przeczytać napisy na odległych, szarpanych wiatrem banerach: „NOBEL OIL GWAŁCI NASZĄ ZIEMIĘ, NOBEL OIL KRADNIE PRZYSZŁOŚĆ GRENLANDII”. Na niektórych banerach i plakatach widniał czarny trójząb, symbol Wojowników Posejdona – grupy aktywistów, którzy za cel obrali sobie w szczególności instalacje Nobel Oil zarówno na lądzie, jak i na wodzie, i niestrudzenie je sabotowali, choć nikt nie wiedział, kim byli ani gdzie można ich było znaleźć.

Ich ostatni atak uniemożliwił stacji nawiązanie połączenia satelitarnego z kwaterą główną w Kopenhadze i nikt w firmie nie potrafił – albo nie chciał znaleźć usterki. Aktywistom udało się bowiem przekabacić na swoją stronę również część pracujących dla koncernu teletechników.

Na szutrowej drodze u stóp wzgórza Peter zobaczył land rovera z włączonym silnikiem. Kiedy siedzący w kabinie człowiek pomachał do niego ręką, zaczął ostrożnie schodzić w dół ścieżką śliską od wody z roztopów.

Położył swoje torby na tylnym siedzeniu, a sam usiadł obok kierowcy, który przywitał go uśmiechem. Był to młody chłopak, czarnowłosy i szczupły, wyglądał jak model. Wzrok Petera przesunął się po udach mężczyzny w opiętych dżinsach i zatrzymał na jego opalonych dłoniach. Samochód zaczął sunąć koleiną będącą raczej propozycją drogi niż drogą jako taką. Geolog spojrział w stronę biało-niebieskiego, połyskującego morza i namiotów aktywistów.

– Wyjadą, kiedy przyjdą śniegi – powiedział cicho, jakby do siebie. – Przecież wszyscy tego chcą. W każdym razie powinni chcieć, do diabła. Praca, pieniądze, największe złoża oleju łupkowego i gazu na ziemi. Pieniądze. Praca. Przyszłość.

– Najwyraźniej nie wszyscy myślą w ten sposób – zauważył kierowca. I wyciągnął rękę: – Rasmus Nordstrand.

– Peter Holm. To prawda, nie wszyscy. Ale wszyscy, którzy mają cokolwiek do powiedzenia. Ci, którzy żyją w dwudziestym pierwszym wieku.

W zatoce żółte bariery pływające wiły się aż po horyzont, a w ich obrębie kilka statków do usuwania zanieczyszczeń pracowało przy wycieku z zaatakowanego przez aktywistów rurociągu łączącego rafinerię z instalacją głębinową, z której supertankowce ssaly olej łupkowy dla spragnionego świata.

Trzy tygodnie temu Wojownicy Posejdony wysadzili w powietrze fragment rurociągu, używając dynamitu należącego do Nobel Oil. Wykradli go z chronionego i ponoć w pełni zabezpieczonego magazynu.

Na wieść o tym Axel Nobel, człowiek, którego zwykle cechował chłód i kamienny spokój, wpadł w amok. W kilka godzin przyleciał na miejsce prywatnym odrzutowcem, żeby osobiście zwolnić poważaną, choć niekompetentną brytyjską firmę ochroniarską, zaś w jej miejsce zatrudnił szemraną chińsko-amerykańską agencję znaną z zatrudniania w charakterze „konsultantów” byłych komandosów i weteranów wojny na Bałkanach.

Następnie dopilnował, aby uprzątnięto plamę oleju z dziewiczych wód Arktyki.

Wyciek wywołał oczywiście lawinę trudnych pytań ze strony światowej prasy, Rządu Lokalnego Grenlandii, amerykańskiego kongresu i duńskiego parlamentu, przywołał bowiem niemiłe wspomnienia katastrofy Deepwater Horizon w Zatoce Meksykańskiej.

– Dlaczego oni to robią? – mruknął Peter szczerze wzburzony. – Dlaczego ci obrońcy środowiska, rozumiesz: *środowiska!*, próbują zmienić Pół-

nocny Atlantyk w miskę dressingu do sałatki?

– Żeby pokazać, że to możliwe – odparł rezolutnie chłopak. – Żeby cały świat zobaczył, że te instalacje nie są dość bezpieczne, a tutejsza przyroda nadal jest ekstremalna, nawet jeśli lód się cofa. Poza tym chcą, żeby ludzie się przebudzili i zrozumieli, że stali się podwładnymi Chińskiej Republiki Ludowej. A oni tutaj chcieliby sami decydować o sobie. Mieli już do czynienia z Duńczykami, a z Chińczykami nie mają ochoty próbować.

Peter przyjrzał się uważniej swojemu towarzyszowi.

– Jesteś stąd? Nie przypominasz...

– Mój ojciec pochodzi z Nuuk, mama z Danii – wyjaśnił chłopak. – Jestem biologiem morskim, pracuję w kwaterze głównej w Ilulissat. Ci z góry chcieli mieć pewność, że uda ci się stąd bezpiecznie wydostać helikoptrem. A ja znam język i mam tu paru kumpli.

– Nie rozumiem: dlaczego miałyby być niebezpieczne?

– Ich zdaniem będzie gorzej.

Peter pomyślał, że owszem, będzie gorzej, niż są sobie w stanie wyobrazić.

A potem wszystko się zatrzyma.

Do brzegu zbliżała się jakaś jednostka. Na białej burcie statku wielkimi na metr zielonymi literami było napisane GREENPEACE. Statek ustawił się pod wiatr, na dziobie zakołysała się kotwica, a dźwig zaczął opuszczać na wodę gumowy ponton z aktywistami w żółtych kamizelkach.

– Cudownie. Godna podziwu solidarność – mruknął kierowca i zatrzymał się przy szlabanie. Po jego obu stronach ciągnął się płot wysoki na trzy metry i zwieńczony zwojami drutu kolczastego. Chiński wartownik o nieruchomej twarzy przyglądał im się zza kuloodpornej szyby. Na ścianie za nim wisiał stojak z puszkami gazu pieprzowego, granatami z gazem łzawiącym i pistoletami maszynowymi. To również była nowość, pomyślał Peter.

Szlaban się podniósł i przejechali między ustawionymi ciasno betonowymi blokami i stalowymi zaporami w stronę biegnącej wzdłuż wybrzeża drogi.

Za budką wartowniczą jeden ze strażników bawił się z dwoma groźnie wyglądającymi dobermanami.

Podeksytowane głosy z megafonów brzmiały teraz całkiem blisko. Peter wyraźnie widział twarze protestujących, ich otwarte w krzyku usta.

Koleina wiła się między blokami skalnymi wielkości domów, a w pewnym momencie ich oczom ukazała się czarna, sięgająca nieba góra, która



dominowała nad doliną. Stanowiła część łańcucha górskiego, dotychczas ukrytego pod lądolodem, mieszczącego w sobie niezliczone miliony metrów sześciennych oleju łupkowego i niemal niewyczerpane zasoby gazu.

– Czyli pańskim zdaniem ta góra to zbawienie? – spytał chłopak, wskazując na nią głową i przekrzykując silnik.

Peter wzruszył ramionami i złapał się uchwytu nad drzwiami pasażera.

– Nie wprost i nie dosłownie, ale tego przecież o niczym nie można powiedzieć. Tak naprawdę ta góra jest podstępna... zresztą nieważne. To może oznaczać wielki, wyzwalający kopniak w dupę Putina. I nie tylko. Europa Zachodnia może się stać samowystarczalna w kwestii paliw kopalnych, i to do końca świata. Norweski szelf kontynentalny to nic w porównaniu z tym, co tutaj mamy. Gdyby udało się to na dobre rozkręcić, wszyscy Duńczycy mogą iść na zasilek. To znaczy ta połowa, która jeszcze nie przeszła, oczywiście. Podobnie jak w Norwegii. Albo Emiratach.

– A w jakim sensie ta góra jest podstępna?

– W żadnym. Źle się wyraziłem... To... nic takiego.

Logo Nobel Oil z boku land rovera zadziało na demonstrantów jak płachta na byka. Z długich namiotów jadalnych wylały się ich nieprzebrane rzesze. Ludzie zaczęli biec w stronę ogrodzenia i cienkiego kordonu duńskiej policji, jak zawsze żałośnie nielicznej w porównaniu z napierającym tłumem.

Kierowca włączył napęd na cztery koła. Roztopy zalały drogę i samochód brnął z mozołem. Dokładnie na wprost nich ktoś zerwał ogrodzenie i powyrywał z ziemi słupki. Chińscy robotnicy w ciągu dnia naprawiali płot wzdłuż drogi, a nocą aktywiści znów go niszczyli. I tak w kółko. Trzy młode policjantki splecione ramionami blokowały powstałą dziurę. Opuściły osłony na twarze, a jedna nerwowo dotykała butelki z gazem pieprzowym przy swoim pasku.

Kierowca wskazał na hordy demonstrantów – kobiet i mężczyzn, starych i młodych, które nadciągały w stronę dziury w płocie.

– Więc może jednak *oni* mają rację?

– Oczywiście, że nie mają! – oburzył się Peter.

Jego knykcie na uchwycie nad drzwiami pobielwały. Z megafonów wylewał się nieopisany zgiełk. Surowy i przerażający do żywego. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżył, a przecież widział już wszystko.

Otworzył usta, żeby się wytłumaczyć, i w tej samej chwili nagle nadleciał wielki kamień i uderzył w szybę tuż przy jego twarzy. Szyba pękła, na-

tychmiast zrobiła się biała i zaczęła odchodzić od ramy.

– Cholera, zabierz nas stąd!

Peter obejrzał swoją rękę. Czubki palców były czerwone od krwi. Samochód przechylił się groźnie na mokrej drodze i został obrzucony kolejnymi kamieniami. Całym gradem kamieni. Wszystko zniknęło za chmurą odłamków szkła i land rover uderzył w blok skalny z takim impetem, że głowa Petera odbiła się od słupka drzwi samochodu. Tłum był teraz tak blisko, że gdyby Peter wyciągnął rękę, mógłby dotknąć ludzi, którzy ich osaczali.

Kierowca kłął i walczył z oporną kierownicą.

Nagle na skalnym uskoku blisko drogi Peter dostrzegł samotną postać. Kobieta wyglądała, jakby stała na ambonie samej matki natury. Była wysoka, młoda i ubrana na czarno. Przypominała posąg. Patrzyła na niego z góry lodowatym, potępiającym wzrokiem. U stóp wzgórza stała dziewczynka, mogła mieć osiem, góra dziewięć lat, i również była śmiertelnie poważna. Miała niebieskie oczy i spojrzenie bezpośrednie, świadome, zupełnie niepasujące do wieku.

Land rover przyśpieszył na stromej drodze. Tłum wypchnął policjanta wprost pod ich maskę i tylko niebывały refleks kierowcy ocalił mężczyznę od kalectwa albo śmierci. W karoserię cały czas uderzały kamienie. Stracili boczne lustro. Ostrzał ustał dopiero, kiedy skręcili w wąski niedostępny wąwóz.

Peter odwrócił się w fotelu i po raz ostatni spojrzał na stojącą na skale kobietę.

– Kto to, kurwa, był?

– Gdzie?

– Tam, na skale!

– Gdzie na skale?

– Jak to? Nie widziałeś jej?! Jak mogłeś jej nie widzieć? Jezu...

Z powrotem oparł plecy o fotel i jeszcze raz zerknął na swoje zakrwawione palce. Zza prawego ucha wyjął odłamek szkła, obejrzał go i wyrzucił.

Z głębokiego cienia wąwozu wyjechali na słońce. Peter odetchnął z ulgą na widok lądowiska dla helikopterów niecały kilometr przed nimi. Nie było tu żadnych demonstrantów. Lądowiska strzegł prywatny oddział ochroniarzy zatrudniony przez Axela Nobla. Byli to uzbrojeni zawodowcy, ludzie zupełnie innej kategorii niż duńscy policjanci chroniący stacje na wzgórzu.

Na zachodzie słońce połyskiwało w wysokich jak wieże zbiornikach i siłosach rafinerii, w przepompowniach i ciągnących się kilometrami białych i czerwonych rurociągach. Niegasnący płomień pochodni rafineryjnej był prawie niewidoczny w krystalicznie czystym powietrzu. Cała instalacja wyglądała jak nie z tego świata. Cud inżynierii w minimalistycznym krajobrazie nagiego, zapomnianego przez Boga wybrzeża. Spełnienie religijnej wizji jednego człowieka, realizacja marzenia Axela Nobla o odrodzeniu się Zachodu w świecie pogrążonym w przesądach, religijnym fanatyzmie i korupcji.

Kierowca zatrzymał się przed lądowiskiem. Uśmiechał się, ale Peter wiedział, że chłopak był roztrzęsiony.

– Powiedziałem, że cię stamtąd wydostanę – powiedział Rasmus Nordstrand z butą, która była nieco na wyrost. – Tylko kto teraz zapłaci za ten wrak, który dziś rano odebrałem jako nowy lśniący wózek?

– Zadbam, żebyś dostał nowy. Jaki wolisz kolor: zielony czy zielony? – Peter zaśmiał się z ulgą i wbił wzrok w duży pomarańczowy helikopter czekający na lądowisku. Śmigła zaczęły się obracać. W kabinie krzątali się technicy i pracownicy. Wszyscy chcieli jak najprędzej opuścić tę niewdzięczną ziemię.

Za to jemu nagle przestało się śpieszyć. Adrenalina przestała działać.

Podał rękę kierowcy i być może trzymał jego dłoń w swojej nieco dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Znowu popatrzył na uda młodego mężczyzny rozpychające materiał spodni, na umięśnioną, opaloną szyję wystającą zza kołnierzyka. Słyszał własny puls i czuł zapach tamtego.

Kiedy wypuścił jego rękę, dostrzegł tatuaż na nadgarstku chłopaka: pokryty łuskami wąż zapętlony dwukrotnie i pożerający własny ogon. Delikatnie przesunął opuszkami palców po rysunku. Kierowca najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu.

– To jakiś inuicki symbol? Co oznacza?

– Nic. Byłem w Hamburgu ze znajomymi. Zalałem się w trupa i obudziłem się z tym wężem. Nie ma w tym niestety żadnej głębi.

Pomachali do niego z helikoptera, a pilot wymownie wskazał na swój zegarek. Peter spokojnie mu odmachał.

– A ty? Może też się zabierzesz? – spytał chłopaka, długo patrząc mu w oczy. – Rasmus, nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Naprawdę. Oni by mnie zabili.

– Ja lecę następnym – odparł i wskazał na niebo oraz helikopter, który kołował leniwie, czekając, aż zwolni się plac. – Chcę odwiedzić mamę w Kopenhadze.

– To może się spotkamy, jeśli będziesz miał czas i ochotę? Mówię poważnie, jestem ci cholernie wdzięczny. Naprawdę.

Dłoń kierowcy spoczywała na dźwigni biegów między nimi. Chłopak się uśmiechał. Miał gęste czarne rzęsy. Rzadko się zdarzało, aby ktoś miał wysokie kości policzkowe, lśniące czarne włosy i do tego niebieskie oczy, pomysłał Peter. Wyobraził sobie te oczy zamknięte w ekstazie.

Wyjął z portfela wizytówkę. Chłopak schował ją do kieszeni na piersi koszuli i poklepał. Znów patrzył Peterowi prosto w twarz, a ten był już niemal pewien swego.

– No dobrze. To nie zapomnij do mnie zadzwonić. Pójdziemy na drinka... albo coś.

Kierowca się uśmiechnął.

– Jasne. Drink... albo coś. Tak zrobimy!

Helikopter się podniósł i Peter Holm popatrzył na zniszczony samochód. Rasmus jedną dłonią osłaniał oczy przed słońcem, a drugą machał mu na pożegnanie. Peter przyciskał twarz do szyby, aż zniknął zarówno chłopak, jak i samochód, i w dole widać było tylko wzgórze, demonstrantów i ich namioty. I, oczywiście, czarną, kruszejącą górę.

\*

Na przekór konserwatorowi zabytków i wrażliwym na piękno działaczom miejskim Axel Nobel przeforsował budowę wysokiej na czterdzieści i długiej na sto metrów stalowo-szklanej konstrukcji nad już i tak okazałym sześcioramiennym budynkiem z piaskowca, który od trzystu lat witał wpływające do kopenhaskiego portu statki i w którym obecnie mieściła się jego firma. Dostał nawet pozwolenie na utworzenie lądowiska dla helikopterów na końcu nowo powstałej konstrukcji. Było to jedyne takie lądowisko w Kopenhadze, poza tym na dachu urazówki w Rigshospitalet.

Wydłużona kopuła zaprojektowana przez jednego ze znanych amerykańskich architektów szybko została przez kopenhazan ochrzczone żółwiem. Podobieństwo do sympatycznego gada było uderzające również przez zielone szyby, które tworzyły jakby łuski na śliskim owalnym pancerzu. Konstrukcja miała upamiętniać ziemskie dokonania prezesa Nobla i gdyby cho-

dziło o kogokolwiek innego, pomysł z miejsca odrzucono by jako niezdrowy przejaw megalomanii. Ale nie w przypadku Axela Nobla, najbogatszego człowieka w kraju. On naprawdę był wyjątkowy. Jeden z najwybitniejszych synów ojczyzny.

Widok na morze i cieśninę też był niczego sobie, stwierdził Peter, ziewając i dopijając kawę. Prezes żegnał się właśnie z delegacją oszołomionych i podekscytowanych przedstawicieli Lokalnego Rządu Grenlandii, Chińskiego Banku Rozwoju i szeregowych posłów duńskiego parlamentu, których zaproszono na krótką odprawę w sprawie przyszłości zatoki Disko, która była również przyszłością całego królestwa. Przyszłością, warto dodać, niezwykle obiecującą.

Ładne, młode kelnerki z upiętymi włosami i w długich czarnych spódnicach roznosiły kawę, wodę i przekąski, a pracownicy sekretariatu zarządu dbali, aby wszyscy czuli się ważni, wysłuchani i zrozumiani.

Gejsze i stado owiec, pomyślał Peter znużony. Axel Nobel odprowadził ostatnich gości do drzwi. Jego najbliżsi doradcy byli małowówni i posepni. Może dotarły do nich ponure wieści, choć Peter nie wyobrażał sobie jakim sposobem. Z tego, co wiedział, tylko on miał pełny obraz sytuacji. I Nobel, naturalnie.

Peter podniósł wzrok i popatrzył obojętnie na lekką jak piórko aluminiową gondolę, która zwisała ze stalowych belek stropowych. Na dziwnym wehikule widniał duży, pomarańczowy i częściowo starty napis „NOBEL II”. To w nim Axel Nobel wraz z międzynarodową załogą pobili wszystkie rekordy odległości w historii lotów balonem. W przeciwległym końcu hali inżynierowie i rzemieślnicy zamontowali długi na trzydzieści metrów półmodel jachtu Axela z regat o puchar Ameryki o nazwie Holger Danske.

Na stole na środku pomieszczenia umieszczono dopracowany w najdrobniejszych szczegółach model projektu w zatoce Disko: rafinerii, supertankowców, instalacji głębinowych, miasteczka kontenerowego dla robotników oraz ogromnych platform wiertniczych i przepompowni.

Axel Nobel, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, zamknął drzwi za ostatnim ze swoich gości, przeciągnął się i poluzował krawat. Obszedł makietę dookoła, nie parząc na Petera. Tu poprawił żuraw, tam supertankowiec. W końcu rozłożył ręce w geście przypominającym błogosławieństwo. A może pożegnanie? Peter bawił się okruchami croissanta na swoim talerzyku i stłumił ziewnięcie. Pomyślał o młodym kierowcy, który go ocalił przed

żądny krwi tłumem aktywistów, i poczuł lekkie ssanie w brzuchu. Rasmus... jak?

Coś jakby Nordstrand... chyba.

Prezes powiesił marynarkę na oparciu krzesła i usiadł za biurkiem. Podwinął rękawy, odsłaniając wytatuowane przedramiona. Te ramiona opowiadały nieco inną historię niż ta, którą znała większość ludzi. Prezes służył bowiem w jednostkach specjalnych dwóch różnych krajów, w stopniu oficera.

Nadeszła chwila, której Peter się obawiał, odkąd opuścił stację terenową w zatoce Disko.

\*

Kiedy dziesięć minut później skończył zdawać relację, czuł na sobie intensywny wzrok Nobla.

– Czyli wszystko szlag trafił? – spytał jego szef głosem cichym i nazbyt spokojnym. – Spuściliśmy w kiblu pięć miliardów dolarów. A teraz zwijamy swoje namioty, zabieramy wielbłądy, kozy i kobiety i idziemy szukać szczęścia gdzie indziej. To chcesz mi powiedzieć? Z tą różnicą, że musimy te przeklęte wielbłądy sprzedać, jeśli chcemy dożyć jutra.

Peter wytrzymał zimny wzrok prezesa. Wiedział, że lękliwych ludzi Axel Nobel nienawidził bardziej niż czegokolwiek innego.

– Przykro mi – powiedział. – Naprawdę.

Prezes wsunął krzesło na swoje miejsce. Z portretu za jego plecami bladymi, wygłodniałymi oczami spoglądał na świat założyciel firmy.

– Mnie też. Tylko zastanawiam się, dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? Zrobiliśmy milion odwiertów w tej skamieniałej zaspie gówna!

Peter Holm rozłożył ręce.

– Kiedy robiliśmy pierwsze odwierty badawcze dwadzieścia lat temu, łańcuch górski był przykryty trzydziestometrową skorupą lodu. Wiedzieliśmy, że wewnątrz znajdują się ogromne złoża oleju łupkowego i gazu, ale mieliśmy świadomość, że są niedostępne. Nawet gdyby udało się wyprowadzić olej na powierzchnię i dociągnąć do wybrzeża, i tak nie było sposobu, żeby go przetransportować dalej, bo przez jakieś pół roku dryfujące kry odcinały Grenlandię Zachodnią od reszty świata. Potrzebny był cud i cud nastąpił: lądolód zaczął się cofać, i to szybciej, niż ktokolwiek mógł przewi-

dzieć. Nagle otworzyło się dla supertankowców Przejście Północno-Zachodnie do Pacyfiku i rynków azjatyckich. To idealna opcja.

– To *była* idealna opcja. Tylko dlatego Chiński Bank Rozwoju zainwestował w projekt trzy miliardy dolarów, a nasz rząd parł ku realizacji jak opętany. Peter, pozwól, że ci przypomnę, że słowo „nie” nagłe zniknęło z politycznego dyskursu, bo przecież w tym roku są wybory.

– Nie zapomniałem o wyborach, tylko nie bardzo wiem, co twoim zdaniem mam z tym zrobić? Nie mieliśmy modeli komputerowych, które by mogły przewidzieć...

– A mnie się wydawało, że wasze modele komputerowe mogą przewidzieć wszystko! Wydawało mi się, że to za to ci płacę półtora miliona rocznie. Żebyśmy się, kurwa, nie obudzili z ręką w nocniku! – Nobel wrzeszczał, nagłe przestał nad sobą panować.

– Łądolód po raz ostatni cofał się osiemnaście milionów lat temu. – Peter próbował przemówić mu do rozsądku. – Nie było wtedy laboratoriów ani superkomputerów. Nie było nawet liczydła. Nikt nie mógł przewidzieć, że stanie się coś takiego. Nikt. To, co się teraz dzieje, jest wyjątkowe w skali wszechświata. Absolutnie unikalne.

Axel odsunął swój oskarżycielski wzrok od twarzy geologa.

– Unikalne, mówisz... Tak, to przecież coś niesamowitego. Ty dostaniesz Nobla w dziedzinie geofizyki, a mnie Chińczycy zaciukają. Wszystkim się wydaje, że oni myślą o kolejnych stuleciach, ale to nieprawda. Chińczycy to dusigrosze, dokładnie tacy jak my wszyscy, i chcą, żeby ich inwestycje się zwracały. Najlepiej wczoraj. Nie pojmują na przykład, dlaczego już dawno nie deportowaliśmy wszystkich Grenlandczyków do Islandii. Albo dlaczego już dawno nie aresztowaliśmy przywódców protestów. A najbardziej nie mieści im się w głowach, że w ciągu wieków wypłaciliśmy miliardy koron zasiłku pięćdziesięciu sześciu tysiącom mieszkańców, bo mieliśmy wyrzuty sumienia, że przywlekliśmy im rzeźączkę, wódkę i Biblię i teraz jeszcze im ofiarujemy podziemne złoża, choć ich wyspa nie jest w stanie odplacić się w żaden inny sposób. W Pekinie pojęć takich jak niepodległość, demokracja i zrównoważony rozwój nikt nie rozumie. Byłeś tam kiedyś? Powietrze można kroić nożem, a w rzekach wywoływać zdjęcia, tyle tam jest metali ciężkich.

Axel ponownie zasiadł w giętym obitym skórą fotelu prezesa. Rozparł się w nim na chwilę, zanim znowu zerwał się na równe nogi i zaczął niespokojnie przemierzać swój gabinet.

Peter tak naprawdę darzył go sympatią. Nauczył się go lubić po dwudziestu latach pracy w koncernie. Nie zawsze było lekko, Nobel był człowiekiem chłodnym, bezkompromisowym i przesadnie strzegącym własnej prywatności. Doceniał jednak profesjonalizm i wiedzę. Był sprawiedliwy wobec ludzi, którzy się sprawdzali, i włożył miliardy w fundację dobroczynną, która wspierała najróżniejsze dobre i ważne cele. Peter tym bardziej więc ubolewał, że musiał być posłańcem złych wieści. I to w roku wyborów. To był rzeczywiście fatalny moment.

Axel Nobel zatrzymał się na środku gabinetu pogrążony we własnych myślach, a Peter rozejrzał się za dzbankiem z kawą.

– Kiedy opuszczałem zatokę Disko, pojawił się statek Greenpeace’u – powiedział cicho. – Dostaną szału, jeśli się o tym dowiedzą. Miejscowi zresztą też. W ich mitologii morze to świętość i źródło życia. – Popatrzył wymownie na prezesa. – Chyba że mógłbyś...

Axel popatrzył na swojego przodka, założyciela imperium, jakby miał ochotę rozplatać mu brzuch nożem do otwierania listów.

– Minęły już czasy, kiedy lokalny rząd można było przekupić miejscem w zarządzie firmy, dziwkami, wódką i kontem na Kajmanach – oznajmił. – Oni tam, u siebie zrobili wielkie porządki, Peter. Wszyscy uważają, że ich nowa administracja jest najbardziej niekompetentna zaraz po Zimbabwe, ale to ideowcy. Poza tym jest nasz własny rząd. I te wszystkie niezliczone komisje. Przegłosowali ten projekt bez mrugnięcia okiem. Dostrzegli w nim szansę, aby przejść do historii. Stać się nieśmiertelnymi. Albo przynajmniej na reelekcję. – Schował ręce do kieszeni. Tatuaze na jego ramionach wiły się i pęczniały. – Do tego, jak mówię, dochodzą Chińczycy – dodał cicho. – Nasi nieodzowni, imperialistyczni partnerzy. W tej chwili tylko Pekin stać na projekty o takiej skali. Właśnie przebudowują Afrykę. Postanowili sobie dokupić kolejny kontynent, jakby jeden im nie wystarczał. Owszem, wymaga gruntownego remontu, ale uwierz mi, za dziesięć lat nie będziesz widział różnicy między Szanghajem a Mombasą.

– Wierzę.

– Ale chyba nikomu o tym nie mówiłeś, prawda? – spytał nagle prezes. – Bo jeśli to wyjdzie, nasze akcje polecą na łeb na szyję... Giełdowe przecieki mogą zniszczyć firmę w jeden dzień. Nawet tak wielką jak Nobel Group. Nawet w mniej niż jeden dzień.

– Oczywiście, że nikomu nie mówiłem – zapewnił go Peter. – Dałem wszystkim wolne, kiedy odczytywałem wyniki najnowszych odwiertów, a



potem wykasowałem dane z głównego komputera. Przeczynałem, że mogą być problemy, choć nie sądziłem, że aż takie. Te liczby istnieją tylko tutaj – postukał się w skroń – oraz w moim laptopie, w którym mam najlepszy program szyfrujący na świecie.

– A gdzie masz ten laptop?

– W moim sejfie.

– W domu? To na pewno bezpieczne? Na kiedy możesz opracować te analizy?

Peter miał ochotę odpowiedzieć, że jest wykończony, a poza tym chciałby się najpierw zapoznać z dostępną literaturą na temat tego wyjątkowego geologicznego zjawiska, o ile taka istnieje. Wiedział jednak, że prezes oczekiwał od niego pracy w trybie całodobowym.

– Wszystko mogę zrobić w domu. Sporządzę grafy i prognozy, dokonam całościowej oceny, a potem możesz wyrzucić mój komputer za okno.

Axel uśmiechnął się słabo.

– Szczerze mówiąc, myślę, że tak właśnie zrobię.

– Okej, tylko to niczego nie zmienia.

– Czyli co: cztery, może pięć lat? Tyle nam zostało?

– Tak sądzę. Albo tylko trzy. Z grubsza trudno to ocenić. Jak mówię, nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem.

– Mamy w każdym razie trochę czasu. Coś wymyślimy. Jak zawsze – powiedział Axel bez przekonania. I ponownie usiadł. Odsunął się od biurka razem z krzesłem. Przeniósł wzrok z twarzy geologa i zawiesił go w powietrzu między nimi. – Wyrobisz się na jutro? – spytał z wyczekiwaniem w głosie.

– Powinienem. A w ogóle sytuacja tam na miejscu robi się nieciekawa. Przykro mi to mówić, ale policja jest bez szans. Demonstranci obrzucili kamieniami samochód, który mnie przywiózł na lądowisko. Gdyby nie kierowca, chybaby mnie zabili. – Uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie Rasmusa.

Axel uważnie mu się przyjrzał.

– A kto to był?

– Jakiś młody chłopak. Rasmus... Rasmus Nordstrand. Piekielnie zdolny. Biolog morski z Ilulissat. Pół-Grenlandczyk.

Prezes pokiwał głową.

– Doskonale. Należy mu się jakaś premia.

– Zdecydowanie. W sumie jest teraz w Kopenhadze. Przyleciał odwiedzić matkę. Umówiliśmy się na drinka. Albo coś.

– W takim razie pozdrów go ode mnie, jeśli go spotkasz – wymamrotał prezes i potarł oczy.

Wstał i Peter zrozumiał, że to koniec audyencji.

– A właściwie skąd ten pośpiech? – spytał nagle. – Szczerze mówiąc, chętnie bym się tym swoim danym przyjrzał trochę bliżej.

Axel położył dłoń na jego ramieniu. Zawahał się i Peter po raz pierwszy, odkąd się poznali, dostrzegł w oczach szefa smutną rezygnację.

– *Naszim* danym, Peter. Rozumiem, że to ci dało do myślenia, ale obawiam się, że nie ma na to czasu. – Ręka lekko zacisnęła się na jego ramieniu. – Wszystkim nam, najlepszym ludziom z zarządu firmy, grożono śmiercią. Listy z pogrózkami dostałem oczywiście ja i moja rodzina, nasi współpracownicy, pozostali członkowie zarządu i najważniejsi szefowie projektu.

Peter wskazał palcem własną pierś i Axel pokiwał głową.

– Tak, ty też. Tak naprawdę ty jesteś pierwszy na tej liście. Oczywiście traktujemy te groźby z najwyższą powagą, ponieważ są wyrażone wprost i bardzo szczegółowo. Zawierają informacje o numerach rejestracyjnych samochodów, o tym, gdzie czyje dzieci chodzą do szkoły, numery CPR, miejsca pracy współmałżonków i tak dalej. – Z kieszeni na piersi wyjął zalaminowaną karteczkę wielkości wizytówki i wręczył ją Peterowi. – Jeśli zauważysz coś niezwykłego, zadzwoń pod ten numer. O dowolnej porze dnia i nocy.

– Na przykład co?

– Cokolwiek. Jeśli poczujesz, że ktoś cię śledzi. Albo nagle znajdziesz się w centrum jakiegoś zamieszania. Ktoś będzie dzwonił i odkładał słuchawkę. Tego typu rzeczy. Jak mówię, traktujemy sprawę serio. To nie są po prostu miłośnicy wielorybów czy ekofanatycy. Ci ludzie są skrajnie zdeteterminowani i kompetentni. Przeniknęli do naszej organizacji i wiedzą wszystko o wszystkich.

Peter spojrzał na wizytówkę.

– Kolejna firma ochroniarska? Dlaczego nie policja?

– Policja wkracza do akcji, kiedy mają zwłoki podane na tacy, ani sekundy wcześniej – oznajmił cierpko Axel. – Takie mają rozkazy. Poza tym przeszkadzaliby tylko zawodowcom.

– Ale...

Ktoś zapukał do drzwi i prezes otworzył swojej osobistej asystentce. Kobieta uśmiechnęła się przepaszająco:

– Panie Nobel, minister właśnie do pana idzie. Ze swoim specjalnym doradcą. – Spojrzała na prezesa wymownie.

– Anderssonem?

– We własnej osobie.

Axel pokiwał głową. Ministrem zupełnie się nie przejmował. Był to człowiek młody i bez jakiegokolwiek istotnego doświadczenia. To jego spin doktor Tom Andersson, pracujący wcześniej dla Organizacji Krajów Eksportujących Ropę, nadawał ton jego polityce. Tenże Andersson nadzorował przyznawanie najważniejszych uprawnień i wspólnie z szefem departamentu pilnował ich wykonania, podczas gdy minister się uczył. To Anderssona należało się strzec. On pociągał za ministerialne sznurki i wiadomo było, że nie zawaha się swojej władzy użyć.

Peter tymczasem nadal stał, jakby przywarł do podłogi gabinetu.

– Nie, czekaj. Miałem zapytać, czy wiadomo, kto wystosował te groźby?

Prezes w odpowiedzi podniósł trzy palce. To wystarczyło. Trójząb. Wojownicy Posejdona.

\*

Axel Nobel odprowadził wzrokiem swojego głównego geologa, aż ten zniknął za drzwiami na marmurową klatkę schodową, bo nigdy nie korzystał z windy. Po chwili poczuł na sobie dociekliwy wzrok asystentki.

– Panie Nobel, kiepsko pan wygląda. Może zadzwonię po pańską żonę?

Pokręcił głową.

– W żadnym razie! Nic mi nie jest, Heidi. Wprowadź do mnie ministra i Toma Anderssona, kiedy tu dotrą. Nie sądzę, aby cokolwiek mogło jeszcze bardziej zepsuć ten dzień.

– Rozumiem.

Zmierzając do swojego biurka, potknął się o makietę projektu w zatoce Disko. Przewrócił jeden z żurawi, a kiedy go podnosił, pomyślał o ekoterrozystach, ministrach, ich nieprzekupnych specjalnych doradcach, dyrektorach chińskich banków i zakochanych geologach.

Nordstrand. A imię? Rasmus?

\*

Axel Nobel wynajął zwyczajną skodę z przyciemnianymi szybami i zaparkował ją przy wejściu do Ørstedsparken. Jak na sygnał z bramy wyłonił się szczupły mężczyzna średniego wzrostu, rzucił wypaloną do połowy cygarę, otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do samochodu. Brązową papierową torbę położył sobie między lśniącymi czarnymi butami i uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie do prezesa. Był ubrany jak odnoszący sukcesy biznesmen, którym w jakimś sensie był. Dirk Straat, specjalista do spraw bezpieczeństwa i rozwiązywania problemów bogaczy. Miał czterdzieści kilka lat, jasne włosy i był przystojny w pewien nierzucający się w oczy, niemal przeźroczysty sposób. Poruszał się jednak niczym atleta. I był skuteczny.

Skoda sunęła spokojnie w powolnym, popołudniowym szczycie na Nørre Farimagsgade.

Axel zerknął na leżącą na podłodze papierową torbę.

- Co masz w tej torbie, Dirk?
- Chleb dla kaczek, panie Nobel.
- Karmiłeś kaczki?

Straat splótł dłonie na kolanach. Były duże i bardzo spokojne.

- Zgadza się.

Prezes sprawdził boczne lusterko i wręczył Holendrowi wypchaną kopertę.

– Masz tu wszystkie dostępne informacje o Peterze Holmie. Dirk, to jeden z moich najbardziej zaufanych ludzi. Porządny człowiek. Powiedziałbym nawet, że to mój bliski przyjaciel. – Popatrzył z boku na Dirka. Chciał mieć pewność, że ten rozumie, że chodzi o człowieka będącego po ich stronie.

- Porządny człowiek – powtórzył Straat.

– Dokładnie. Musimy go tylko trochę przypilnować, kiedy będzie pracował. Mam wrażenie, że Peter ma obecnie pewne kłopoty natury osobistej. Jest gejem i kiedy jest w kraju, prowadzi bogate życie towarzyskie. Czemu oczywiście nie można się dziwić, skoro przez dziewięć miesięcy w roku przebywa na kompletnym pustkowiu, rozmawiając z próbkami minerałów i nerdami takimi jak on sam.

- Tak, oczywiście – zgodził się Straat.

– Podobają mu się zwłaszcza młodzi mężczyźni i w tej chwili powinien być monitorowany dla własnego bezpieczeństwa. Jego telefon, mieszkanie, wszystko. Chcę wiedzieć, o czym myśli, z kim rozmawia, z kim się spotyka

i czy przeciwnik również go obserwuje. Chcę wiedzieć wszystko. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Okej?

– Ma pan na myśli jakąś konkretną osobę, z którą pan Holm mógłby się spotkać? – Holender mówił po angielsku niemal bez akcentu, a głos miał cichy i opanowany, cały zresztą taki był.

Axel zaklął, kiedy kurier na rowerze zajechał mu drogę.

– Z entuzjazmem opowiadał o jakimś chłopaku, którego dopiero co poznał na Grenlandii. Nazywa się Rasmus Nordstrand, jest biologiem morskim i pracuje dla nas w Ilulissat. Obecnie przebywa w Kopenhadze. Peter wspomniał, że być może się spotkają. – Wcisnął klakson, żeby spłoszyć tego kuriera. – Co w sumie jest dość zaskakujące...

– Dlaczego?

– Rasmus Nordstrand trzy lata temu ożenił się z pewną dziennikarką, freelancerką, i ma z nią dziewięcioletnią córkę.

– Panie Nobel, obrączka na palcu to nie zdjęcie rentgenowskie ludzkiej duszy – zauważył jego pasażer. – Takie jest moje doświadczenie w każdym razie. Pewne... zachowania odbiegające od normy spotyka się absolutnie wszędzie.

A zwłaszcza tam, gdzie najmniej się ich można spodziewać.

Dirk jak zwykle wprawił Axela w ponury nastrój. Ten człowiek sprawiał wrażenie wypalonego, jakby byt wcześniej w życiu zobaczył i zaakceptował zbyt wiele, wyzbył się wszelkich złudzeń i teraz nic nie mogło go już zaskoczyć czy chociażby zdziwić. Był zimny i martwy jak kamień.

– Dirk, chodzi głównie o te groźby pod adresem naszych czołowych pracowników.

– Naturalnie, panie Nobel. Wojownicy Posejdona. Pracujemy nad tym. Staramy się ich zidentyfikować, ale nie są głupi. Wygląda na to, że potrafią myśleć. Jak długo ma trwać monitoring pana Holma?

– Tydzień. Dopóki nie wróci do Grenlandii.

Axel spojrzął na swojego starego, poobijanego rolexa i dodał:

– Niecały tydzień.

Przy Esplanaden znalazł wolne miejsce i zaparkował. Słońce odbijało się od zielonej szklanej kopuły po drugiej stronie portu.

Straat schował do wewnętrznej kieszeni kopertę z informacjami na temat Petera Holma i wysiadł. Axel opuścił boczną szybę.

– Dirk, nie zapomnij o kaczkach.

Holender popatrzył na niego pustym wzrokiem.

– Słucham?

Prezes Nobel pomachał papierową torbą.

– Kaczki. Chleb.

Straat wziął od niego torbę.

– Dziękuję, *mynheer*.

– Nie ma za co. A właściwie dlaczego mówią na ciebie Tiger Woods?

Błądą twarz mężczyzny po raz pierwszy rozjaśnił szczery, promienny uśmiech, a jego oczy niemal się ożywiły.

– Uwielbiam golfa, mister Nobel. Zwłaszcza długą grę driverem. A pan grywa?

– Niestety nie.

\*

Dirk patrzył, jak skoda skręca za rogiem w Amaliegade. Z papierowej torby wyjął niewielki cyfrowy dyktafon i przewinał kawałek, żeby sprawdzić, czy jakość dźwięku jest zadowalająca. Nie miał żadnych istotnych powodów, by zabezpieczać się w ten sposób, ale już dawno się przekonał, że nigdy nie zaszkodzi mieć na swoich mocodawców jakiś kompromitujący materiał. Taki na przykład jak odciski palców Nobla na tej kopercie. Zwłaszcza gdy zadanie wykraczało nieco poza przyjęte ramy – jak śledzenie jednego z własnych pracowników. W normalnych okolicznościach ktoś taki jak Axel Nobel na pewno nie fatygowałby się, żeby osobiście przekazywać dane na temat rutynowej obserwacji.

Dlatego Dirk wiedział, że monitoring bardzo towarzyskiego Petera Holma to nie było zadanie rutynowe.

## II

Przed godziną Michael Sander odebrał z lotniska w Kastrup małżeństwo Palmerów i ich córkę Daphne. Teraz siedzieli w jego mercedesie zaparkowanym w starym centrum miasta, w wąskiej uliczce, gdzie czynsze były najwyższe w stolicy i z boków spoglądały na nich pięknie odrestaurowane siedemnastowieczne fasady.

Wszyscy milczeli.

Pan Palmer, który siedział obok Michaela na miejscu pasażera, dobijał sześćdziesiątki. Siedząca z tyłu pani Palmer wyglądała na nieco młodszą. Była zadbana, wyróżniały ją ładne oczy i jeszcze ładniejszy dekolt. Córka Daphne dobijała trzydziestki, ale długie jasne włosy spięła sztykretową klamrą, co nadawało jej trochę zbyt dziewczęcy wygląd. Twarz miała wycofaną, na sobie płaszcz Burberry, a na kolanach torebkę Gucci, którą nerwowo ścisnęła. Wydawała się kompletnie zagubiona. Wyjęła z torebki szminkę i małe lusteczko. Musnęła szminką wargi, przy czym udało jej się ją upuścić na tapicerkę w kolorze koniaku. Widząc to, Michael, który śledził jej ruchy w lusterku wstecznym, wzdrygnął się. Ten samochód był jego dumą oraz jedynym cennym wartościowym przedmiotem, jaki jego była żona Sara oraz jej drapieżny adwokat pozwolili mu zatrzymać po mało eleganckim rozwodzie.

Daphne ostrożnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie chodzi o to, panie Sander, że nie doceniam pańskiej pracy. Absolutnie nie. Tylko co u licha może tutaj robić Julian? Sądzi pan, że przez cały czas był w Kopenhadze?

Michael nie czuł się najlepiej. Ta sprawa była rozczarowująco banalna. Klisza za kliszą, tak, niestety, czasem układa się życie. Palmerowie różnili się od jego normalnej, obrzydliwie bogatej klienteli. Przyjął ich zlecenie tylko dlatego, że poprosił go o to Jimmy, jego przyjaciel i kolega z osławionej agencji ochroniarskiej Shepherd & Wilkins, dla której Michael pracował

od lat. Palmer był wujkiem Jimmy'ego i profesorem językoznawstwa, niestety nie był przesadnie zamożny. Dlatego Jimmy oczekiwał, że Michael zgodzi się wykonać tę usługę po kosztach. Uznał, że skoro Michael jest Duńczykiem, to odnalezienie zbiegłego zięcia profesora będzie bułką z masłem.

Dłoń Daphne zostawiła ciepły ślad na jego skórze.

– Do Kopenhagi przyjechał z Berlina pół roku temu – wyjaśnił Michael obojętnym głosem. – Mieszka w Østerbro ze znajomym.

– Z jakim znajomym? Czy to...

– To tancerz.

– Ale dlaczego w takim razie siedzimy tutaj? – niecierpliwił się pan Palmer. – Moja córka nie widziała się z mężem od ponad roku. Julian z kolei nie zadał sobie trudu, aby zadzwonić, wysłać esemesa czy listu. Nie zrobił zupełnie nic. Nie kontaktował się nawet z Nicholasem, swoim czteroletnim synem. Czy on się dobrze czuje? Nic mu nie jest?

– Chodzi na siłownię trzy razy w tygodniu – oznajmił Michael.

W lusterku wymienił spojrzenie z panią Palmer. Od razu się zorientował, że to ona jest najtrzeźwiej myślącą osobą z tej trójki. I rzeczywiście, odwróciła się do swojej córki i skomentowała:

– Skarbie, to przecież żadna sensacja. Może nawet został weganinem. Tak jak ty.

– Mamo...

Palmer nie odpuszczał:

– Michael, nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Na co czekamy?

Fasadę po drugiej stronie ulicy rozświetlał trzymetrowy, na wpół słuźczony neon w kształcie banana. Przed wejściem do nocnego klubu kilkunastu młodych mężczyzn stało wokół żeliwnych popielniczek. Rozmawiali, palili, pili i parskali śmiechem. Wszyscy zadbani i w modnych strojach. Wyraziste fryzury. Scena przypominała reklamę Armaniego. Za każdym razem, gdy ktoś otwierał szklane drzwi klubu, na ulicę wylewała się muzyka, a od środka dostępu strzegł czarny, łysy olbrzym obsługujący kasę.

Michael opuścił boczną szybę, wziął do ręki stojącą między siedzeniami butelkę wody i wypił ją duszkiem do połowy.

– Julian pracuje tutaj, w Banana Clubie – oznajmił.

– Jak to pracuje?

– Tak to. Przychodzi tu, wykonuje powierzone mu zadania, po czym, zgodnie z zawartą umową pobiera za to zapłatę, nazywaną również wyn-



grodzieniem. Pracuje. Jest tu zatrudniony.

– Ale Julian jest chirurgiem plastycznym, do cholery!

Daphne zawtórowała ojcu:

– Ma świetnie prosperujący gabinet przy Brook Street i kontrakt w London Stanmor Hospital, panie Sander.

Michael tylko pokiwał głową.

– Zatem odnalazł nowe powołanie i został barmanem.

– Michael, jesteś pewien, że to nie jest jakaś koszmarna pomyłka? – zapytał zrozpaczony profesor Palmer. – Na pewno mówimy o tej samej osobie? Ja... To mi się nie mieści w głowie...

– Julian Trevanian. Trzydzieści pięć lat, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, osiemdziesiąt jeden kilo, blizna w kształcie półksiężyca nad prawą brwią, brązowe włosy. Aha, teraz je zapuścił i nosi kucyk.

– Jezu – jęknęła Daphne.

Pani Palmer objęła córkę ramieniem, jakby chciała ją ochronić, i przytuliła do siebie. Nie uciekła przed wzrokiem Michaela w lusterku wstecznym, ale wyraz jej twarzy był trudny do odczytania. Michael pomyślał, że chyba nigdy nie przepadała za swoim zięciem.

Wargi profesora Palmera poruszały się bezdźwięcznie. Wyglądał jak ktoś, kto rozpaczliwie próbuje zrozumieć niepojęte. W końcu wydusił z siebie:

– Czyli pracuje w barze, tu, w Kopenhadze. Ale ma się dobrze, tak?

– Tak.

– W porządku. Myślę, że mówię w imieniu wszystkich tu obecnych, że powinniśmy zakończyć to jak ludzie kulturalni i najszybciej jak się da.

W kieszeni Michaela zawibrował telefon. Przeczytał krótką wiadomość od byłej żony o tym, że dzieci jednak nie przyjadą do niego w przyszły weekend. Nie czują się najlepiej. Nie pożegnała się.

Była to kolejna odsłona jej wyrafinowanej, starannie wymierzonej zemsty, mimo że od rozvodu minął rok. Niszczyła jego więź z dziećmi, izolowała je od niego i tym obudziła w Michaelu nienawiść, o jaką siebie nawet nie podejrzewał.

Schował telefon do kieszeni i popatrzył na profesora, który nie przestawał do niego mówić.

– Słucham?

Palmer cofnął głowę, jakby Michael wymierzył mu policzek.

– Pytałem, czy możemy zobaczyć Juliana już teraz. Robi się późno, Daphne jest zmęczona, więc...

– On za pół godziny kończy pracę – wyjaśnił Michael. – Radziłbym, żebyśmy tu zaczekali aż wyjdzie.

Pani Palmer pochyliła się do przodu i wyczuł woń jej perfum. Trésor? Nie dotykała go, poczuł tylko jej ciepły oddech na karku. Była tak zmysłowa, że Michael zachodził w głowę, jak znosiła życie przy boku profesora uniwersytetu w środkowej Anglii. Profesorowa bez wątpienia występowała w wielu nocnych fantazjach wypełniających pokoje tamtejszego akademika.

– Ja w każdym razie chętnie bym się czegoś napiła – oznajmiła niskim, zachrypniętym głosem. – Bo to jest nocny klub, prawda? I doprawdy nie widzę powodu, żeby tu siedzieć i czekać dyskretnie jak służba. Mówimy o moim zięciu. Mężu Daphne i ojcu Nicholasa.

Zlekceważyła ostrzegawcze spojrzenie Michaela, który widząc jej nieprzejednany wyraz twarzy, zrozumiał, że ona wiedziała dokładnie, co robi. Jako jedyna z całej trójki zdawała sobie sprawę z tego, co tu się dzieje. I może miała rację. Może przyszedł czas, aby skonfrontować córkę z rzeczywistością, z którą oni wszyscy będą musieli się zderzyć prędzej czy później.

Otworzył jej drzwi.

– Zatem chodźmy. Znam bramkarza.

\*

Banana Club urządzono w dawnym kinie. Michael w czasach młodości spędził tu niejedną noc na podwójnych seansach. Na przykład *Blade Runner*, a po nim *Mad Max pod kopułą gromu*.

Balkon pozostał. Oraz projektornia, z której strażnik i kamery monitoringu obserwowały wnętrze klubu. Ciasne rzędy powyginanych czerwonych aksamitnych foteli zastąpiły okrągłe stoliki, ogromny mahoniowy bar w kształcie podkowy, podłoga wyłożona czarnymi płytkami, scena, parkiet, kryształowe żyrandole wyglądające, jakby je skradziono z pałacu Buckingham, i złote tapety od podłogi po sufit. Jeśli chodzi o kolorystykę, to dominowała czerń, w którą odziani byli kelnerzy krążący po sali w krótkich opiętych szortach – oraz żółć, jak banan w logo na ich obcisłych koszulkach. Przesuwali się między gośćmi na rolkach, wszyscy piękni, młodzi, brodaci i ekstrawagancko uczesani. Z kolei goście właściwie wszyscy byli

młodymi mężczyznami w typie japiszonów albo hipsterów. Na scenie półnagi mocno umięśniony i lśniący tancerz właśnie zbliżał się do punktu kulminacyjnego swojego show na rurze. Z głośników dudniły dźwięki *Closer* Nine Inch Nails.

Daphne i jej rodzice rzucali się w oczy niczym amisze na pokazie mody w Mediolanie.

Córka wobec tak zmasowanego ataku męskiej nagości spuściła skromnie oczy, ale jej matka bez skrępowania przyglądała się, jak przystojny tancerz – odwrócony plecami do publiczności – zerwał sceniczne spodenki, zsunął się po rurze na dół i odchylił plecy do tyłu, eksponując widowni grubego penisa i ogolone jądra, by po chwili zgiąć się w przód i zademonstrować wybielony laserowo odbyt oraz podeszwy wojskowych butów.

Muzyka ucichła. Pani Palmer, oczywiście nieświadomie, nadal kołysała biodrami. Zgasły światła na scenie i przestrzeń wypełniła ekstatyczna owa-cja. Daphne stała nieruchomo blada jak ściana.

Profesor Palmer jęknął cicho i z wściekłością odwrócił się do Michaela. Złapał go za ramię i, pryskając kropelkami śliny, warknął:

– Michael, czy to naprawdę konieczne?! Jestem na ciebie bardzo, bardzo zły. Daphne to wrażliwa dziewczyna, a to...

Michael bez złości, acz zdecydowanie uwolnił się z jego uścisku i spokojnie spojrzał mu w twarz.

– To ja zaproponowałem, żebyśmy poczekali w samochodzie. Ale skoro już tu jesteśmy, to chodźmy przywitać się z Julianem. W końcu po to tu przyszliśmy.

Ruszyli w kierunku, który wskazał im palcem, do najdalszego krańca baru, gdzie młody mężczyzna stał pogrążony w poważnej, jak się zdawało, rozmowie z gościem w średnim wieku ubranym w różową koszulę. Rozpromienił się, kiedy przez parkiet przybiegł do nich stripper, teraz w dżinsach, sportowych butach i białej koszuli. Tancerz objął barmana za szyję, przysunął do siebie i pocałował.

Różowe języki zatańczyły namiętnie.

– Pozwólcie, że wam przedstawię Juliana Treviana. Wygląda na to, że on sam się odnalazł.

Daphne wybuchła płaczem, jej ojciec zaklął siarczyście, a jego piękna żona skrzyżowała ręce na piersiach i miażdżyła zięcia czarnymi, nieprzejednanyimi oczami.

– JULIAN? JULIAN! Ty przeklęty, zboczony dupku! – Daphne nie wytrzymała.

Michael popatrzył zaskoczony na tę drobną kobietę, której głos mógłby wywołać lawinę.

Barman odskoczył od tancerza i odwrócił się do niej, unosząc ręce w obronnym geście. Gdy rozpoznał tę trójkę, jego twarz przybrała barwę popiołu.

– Tak, bardzo wrażliwa. – Michael nie krył ironii. – *Well*, myślę, że ja już się będę zwijał. Wygląda na to, że zadanie zostało wykonane ku satysfakcji wszystkich zainteresowanych.

Profesorowa popatrzyła na niego z odrazą.

– George, zapłać temu człowiekowi – zwróciła się do męża. – On to uważa za niesłychanie zabawne.

Palmer sięgnął do wewnętrznej kieszeni, ale Michael go powstrzymał. Julian powoli zbliżał się do swojej żony. Stripper wołał coś do niego, ale ten zbył go ruchem ręki.

– Nie trzeba. To było na koszt firmy.

Potem popatrzył na panią Palmer.

– Miło mi było państwa poznać. Do widzenia.

Odwrócił się na pięcie i zaczął się przepychać przez wyperfumowany tłum.

Za jego plecami Daphne obrzucała Juliana coraz bardziej wymyślnymi bluzgami.

Wychodząc, przy stoliku w ustronnym zakamarku Michael dostrzegł nietypową parę. Mężczyźni wyróżniali się zwyczajnym strojem, zwyczajnymi fryzurami i stonowaną mową ciała i głosami. Młodszy był po trzydziestce, miał czarne włosy i regularne rysy twarzy z wysokimi kośćmi policzkowymi. Michael pomyślał, że mógł mieć w sobie domieszkę krwi inuickiej, pewnie grenlandzkiej. Jego towarzysz miał szczupłą inteligentną twarz, siwe włosy i był co najmniej dziesięć lat starszy. Bawił się na wpół opróżnioną szklanką. Prowadzili ożywioną, ale przyjacielską dyskusję. Dłoń młodszego spoczywała na przedramieniu starszego.

Nagle młodszy podniósł wzrok i uśmiechnął się do Michaela. Ten odwzajemnił uśmiech, a zaraz potem został odepchnięty na bok przez wielkiego czarnego bramkarza, który zmierzał w stronę epicentrum awantury.

Daphne bowiem nie skończyła jeszcze wyrażać dezaprobaty dla zachowania małżonka.

\*

Kiedy Michael ponownie wsiadł do mercedesa, zapalił ostatniego papierosa, jaki mu został w paczce, i zgniótł kartonik, wyobrażając sobie, że to twarz Sary. Opuścił boczną szybę i wyrzucił go do rynsztoka. Gdy na ulicę wylała się dudniąca muzyka z Banana Club, obejrzał się w samą porę, żeby dostrzec, jak tamta nietypowa para wychodzi z klubu i przechodzi na drugą stronę. Dwadzieścia metrów dalej młodszy z mężczyzn pociągnął swojego towarzysza w stronę otwartej bramy, obejmując go namiętnie.

Michael przyglądał się temu bez szczególnego zaciekawienia. Wsunął do odtwarzacza bose płytę Eurythmics i już miał uruchomić silnik, kiedy mężczyźni ponownie wyłonili się z bramy i ruszyli chodnikiem przed siebie. Starszy wyglądał, jakby nie mógł się doczekać, aż przyproceedzi do domu młodą zdobycz.

Po chwili Michael dostrzegł trzecią postać, która starała się utrzymać stały odstęp od tamtej dwójki. Barczysty gość w długim szarym płaszczu. Wypucowane buty. Michael nie widział jego twarzy, ale sylwetka i sprężysty krok wydały mu się znajome. I sprawiły, że na czole i plecach poczuł zimny pot.

Jego niepokój tylko się wzmógł, kiedy dostrzegł granatowy samochód dostawczy, jadący nienaturalnie wolno i skręcający w tę samą ulicę co tamta trójka. Profesjonalny ogon wyposażony w służbowy samochód, na wypadek gdyby trzeba było dokądś podwieźć niczego niepodejrzewającą ofiarę.

Para i mężczyzna w płaszczu zniknęli za rogiem, a Michael pokręcił głową, strofując się w duchu. Wyrzucił peta przez okno i ze schowka wyjął nową paczkę papierosów.

To nic nie znaczyło. Kopenhaga to duże miasto. Pełne obcych ludzi, których więcej nie zobaczy.

\*

Ostrożnie wsunął klucz do zamka, otworzył drzwi i modlił się, żeby Ida spała. Dochodziła trzecia nad ranem, ale jego siostra utraciła zdolność spania dłużej niż parę godzin za jednym razem. Jedna z wielu rzeczy, które się u niej zmieniły, odkąd dwa lata temu zginął jej dwudziestodwuletni syn.

Pod drzwiami jej pokoju widać było wąski pasek światła. Pokój znajdował się na środku długiego korytarza, w którym było o wiele za dużo pokoi i pokoików. Mieszkanie znajdowało się na parterze willi w Gentofte. Michael wybrał je ze względu na dzieci, ale ich matka i tak nie pozwalała im tu przyjeżdżać. Biała willa otoczona urokliwym ogrodem należała kiedyś do nadwornej śpiewaczki, zaś obecnie była podzielona na trzy duże mieszkania. Michael z siostrą kupili to na parterze, a przynależąca do niego działka granoczyła z arboretum, do którego prawie nikt nie zaglądał. Miejsce byłoby idealne, aby dorastały w nim dzieci – w każdym razie przez połowę czasu.

Choć mieszkali tu od sześciu miesięcy, pod ścianami wciąż stały nierozpakowane pudła z przeprowadzki, Michael nadal nie powiesił zasłon, a wyposażenie jego sypialni składało się z materaca, na wpół opróżnionej butelki famous grouse, karabinu snajperskiego w skórzanym futerale i popielniczki.

Przeszedł przez skąpane w mroku, milczące wysokie pokoje o świeżo pomalowanych ścianach i odnowionych dębowych parkietach, gładkich jak jedwab i niezadeptanych. Mieszkanie na niego czekało. Wszystko na niego czekało. A on wiedział, że to nigdy nie stanie się jego domem.

Wszedł do kuchni, powiesił marynarkę na krześle i otworzył lodówkę. Nie wiedział, czy jest głodny. Z powrotem ją zamknął i zrobił sobie kubek rozpuszczalnej kawy. Za oknem szeptały liście bluszczu, a niebo na wschodzie robiło się szare i wyłaniało z mroku domu po drugiej stronie ulicy. Kosz z kasztana na środku trawnika zaczął pierwsze poranne trele.

Michael popijał kawę małymi łyчками i odwrócił się, kiedy usłyszał siostrę. Przeciągnęła się i ziewnęła. Miała ciemną karnację i była wychudzona. Koszulka z wesołym napisem „Hi from Sharm el-Sheikh” była o wiele za duża. Podobnie jak luźne spodnie do jogi. Jej wąskie stopy były białe, a twarz miała równie mroczną jak Michael, z oczami w kolorze morza, również tak jak on. Za to jej wzrok się całkowicie różnił. A pośród czarnych jak u Michaela włosów błyszczały srebrne nitki, choć była od niego trzy lata młodsza.

– Obudziłem cię? Przepraszam – powiedział.

– Nie obudziłeś mnie. Czytałam.

Ida, odkąd skończyła osiemnaście lat, mówiła niemal wyłącznie po hebrajsku, przez co jej duński nabrał surowego, szorstkiego tonu, a rytm wymowy stał się twardy.

Wzięła od niego kubek, wypła łyk i się skrzywiła.

– Cukier – jęknęła. – Jak poszło? Znalazła swojego męża? Daphne? Koszmarne imię. Kojarzy się z koniem, wystającymi zębami i polowaniem na lisy.

– Tylko nieco się zmienił, odkąd uciekł ze Stumilowego Lasu. Kiedy ich opuszczałem, nazwała go jebanym synem zasyfiałej kurwy i zastrzegła mu, że więcej nie zobaczy swojego syna. – Michael spuścił wzrok. – Skąd my to znamy.

Ida popatrzyła na niego ze współczuciem.

– Sara znów odwołała weekend? Ona w ogóle może tak robić? Dlaczego jej nie pozwiesz do sądu rodzinnego? Przecież to nie może być legalne. Michael, masz prawo widywać się z dziećmi.

– Facet w sądzie rodzinnym nie ma szans. Zapomnij. Ona zresztą i tak przeciągałaby sprawę, aż dzieci nie skończą osiemnastu lat. Ma adwokata z piekła rodem. – Zapalił papierosa, chociaż miał sucho w gardle. – Ta Daphne w jakimś sensie przypomina Sarę – zadumał się. – To pewien szczególny rodzaj kobiet. One nie miewają mężów, tylko seryjnych sponsorów, którzy je utrzymują, żeby mogły realizować swoje wydumane pasje artystyczne. I nigdy nie wypuszczają gałęzi, dopóki nie złapią się następnej. Jak małpy.

Ida się uśmiechnęła.

– Dobrze, że przynajmniej nie stałeś się od tego cyniczny albo zgorzkniała – stwierdziła. – A profesor Palmer chociaż ci zapłacił?

– Próbowałem, ale nie mogłem wziąć od niego pieniędzy. To wszystko było zbyt tragiczne.

– Jesteś zmęczony?

– Cholernie. Ale nie mogę zasnąć.

– Ja tak samo. Może zaparzę nam herbaty. I zagramy w szachy.

– Jeśli będziesz tak miła.

Poszli do jej pokoju umeblowanego tym, co przywiozła ze swojego domu w Hajfie. Półki ugięły się od książek, do tego gitara, zestaw floretów, piękne zasłony, globus i stary rosyjski samowar. Nad regałem wisiały dwie autentyczne szable o szpicach wciąż ostrych jak igły i ostrzach niczym brzytwy. Ida twierdziła, że należały do znanego oficera i szermierza z epoki wojen napoleońskich.

Na jednej z półek stało zdjęcie przystojnego młodego mężczyzny w mundurze izraelskiej armii. Stał na pustyni z odkrytą głową. Zmarły syn Idy Jo-

zjasz.

Popijali czarną rosyjską herbatę, a Michael wypalił zdecydowanie za dużo papierosów, kiedy Ida rozwaliła go w trzech rundach z rzędu. Na koniec uznał, że kolejnej porażki nie zniesie. Niebo na wschodzie stało się jaśniejsze, świat nabierał barw, zaś fasady po drugiej stronie ulicy połyskiwały czerwonym blaskiem.

– Idź spać – powiedział, ziewając.

Uśmiechnęła się z troską.

– A ty, braciszku? Nie masz nikogo, z kim mógłbyś porozmawiać?

– Przecież rozmawiamy.

– Chodzi mi o przyjaciół, Michael. Wiesz, ludzi, którzy cię znają, lubią i którzy chętnie ci pomogą.

Zastanowił się.

– Nie wiem. W Somalii czy na Kaukazie nie da się nawiązać głębokich, ciepłych relacji. Zadaję się tylko z zawodowcami takimi jak ja, a większość z nich to chorzy ludzie. Nawet bardzo chorzy. Płacą im za zabijanie. Dla nich to czynność jak mycie zębów.

– A ta policjantka? Komisarz Lene Jensen, prawda? Ta ruda, twarda babka... Wydawało mi się, że się zbliżyliście.

Popatrzył na nią osłupiały.

– Lene Jensen. Oszalałaś? Ona mnie nienawidzi!

– Mimo to bez przerwy o niej mówisz. Myślałam, że jesteście przyjaciółmi.

– Nie mówię o niej. Ja ją przeklinam. To nie to samo. Jeśli nawet istniało kiedyś między nami coś na kształt przyjaźni, to sprawa od początku była nieskończenie skomplikowana. Ona dwukrotnie próbowała mnie zabić, a ja, kiedy widziałem ją po raz ostatni, przestrzeliłem jej płuco. Prawie umarła.

Ponieważ Ida nic nie mówiła, dodał:

– Bo ją z kimś pomyliłem, jeśli to cokolwiek tłumaczy.

– Moim zdaniem tłumaczy wszystko. I jestem pewna, że ona myśli teraz podobnie. Spróbuj do niej zadzwonić. Z tego, co mówiłaś, wydaje się, że też sporo przeszła. Straciła dziecko i...

– Więc czemu ty do niej nie zadzwonisz?!

Zamrugła zaskoczona, a Michael miał ochotę odgryźć sobie język.

– Ida...

– W porządku, Michael. Naprawdę. Myślę po prostu, że ona teraz może być twoją przyjaciółką. Skoro nie masz nikogo lepszego...



– Możliwe. Zobaczymy. Dobranoc. Poza tym ona jest fanatyczną pracoholiczką. Co jeszcze się nasiliło po śmierci jej córki.

– A to źle?

Michael przyjrzał się jej badawczo. W sumie równie dobrze mogą pomóc i o tym.

– Nie wiem. A ty jak myślisz?

– O co ci chodzi?

Wskazał na zdjęcie Jozjasza.

– Ida, minęły dwa lata. A ty wciąż uprawiasz kult zmarłego. Kiedy to się skończy?

Wstała, jej oczy płonęły.

– Nigdy, Michael. To się nigdy nie skończy, rozumiesz? To był mój syn. Moje dziecko. Miał dwadzieścia dwa lata, kiedy zginął. Akurat kiedy miał... kiedy miał... tyle rzeczy. A mógłby być, kimkolwiek zechciał.

– Wiem. Był piekielnie zdolnym chłopakiem. Naprawdę go kochałem. Myślę, że sama wiesz, że nie kochałbym go bardziej, gdyby był moim własnym dzieckiem. Zawsze tak bardzo ci zazdrościłem.

– Naprawdę?

– Tak.

– Przysięgasz?

Pokiwał głową.

– Spędziłaś z nim tysiące dni – powiedział. – Nie tylko ten ostatni. Tamten dzień to nie tylko ściana z białymi kafelkami, za którą nic nie ma, rozumiesz?

– Tak.

– Dobranoc. Nie zapominaj o tym.

– Dobrze. Więc zadzwonisz do niej?

– Do Lene? Na pewno, siostrzyczko.

Wstał i już wiedział, że tego nie zrobi. Lene Jensen była zaciętrzewiona, kłótliwa, uparta, trudna i przejebane ruda.

\*

W dużej sali wczesnym rankiem panował półmrok, a chłód dodatkowo podkreślało słabe szare światło sączące się z matowych, wysoko osadzonych okien.

Dwaj walczący w ringu pięściarze zdawali się nie dostrzegać tego tła. Ich ciała parowały pod warstwą skórzanych ochraniaczy na głowę, rękawic i ochraniaczy na zęby i krocze.

Jak zwykle zaczęło się od normalnego sparingu, ale – również jak zwykle między tą konkretną dwójką – trening przerodził się w walkę na poważnie. Teraz uderzali tak, by zrobić sobie nawzajem krzywdę. Każdy cios zmierzał do czystego, pięknego nokautu. Nie przez pomyłkę, nie otwartą rękawicą w kark ani nie dzięki przypadkowemu szczęśliwemu ciosowi w splot słoneczny czy wątrobę. Chodziło o niespodziewany, błyskawiczny hak, cios podbródkowy albo prawy prosty, który trafi w czubek brody przeciwnika i zgasi światło nawet największemu i najdzielniejszemu zawodnikowi.

A to było trudniejsze, niż się wydawało większości ludzi.

Elektroniczny zegar na ścianie odliczał trzy minuty, ta runda była ostatnią z pięciu piekielnie ciężkich starć. W powietrzu widać było ich oddechy. Drobniejszy z pięściarzy miał na sobie niebieski dres, a wyższy i potężniej zbudowany – czerwony. Żaden z nich nie zdołał utrzymać przewagi dłużej niż kilka sekund. Ten niższy zasięg ciosów i wzrost rekompensował doświadczeniem, refleksem i prędkością. Czerwony bokser porykiwał z frustracją, gdy jego cios trafiał w gardę tego drugiego albo gdy był pewien, że zepchnął tamtego do narożnika i za moment przypuści ostateczny atak swoją ciężką serią, gdy nagle niebieski robił zwinny unik i wymykał mu się na środek ringu.

W pustej hali słyhać było tylko ich sapanie i ostre uderzenia, gdy rękawica trafiała w twarz, kask albo ciało rywala.

Na ścianie wisiał szyld głoszący, że hala należała do POLICY NEGÓ KLUBU ORTOWEGO. Wszystko w niej nadawało się do wymiany i było zaimpregnowane kilkudziesięcioletnim zapachem potu.

Zegar wskazywał dwie minuty czternaście sekund, kiedy większy z pięściarzy wreszcie zepchnął rywala do narożnika. I natychmiast zapomniał o technice. Okładał tamtego na oślep. Na nic więcej nie było go stać, teraz albo nigdy.

Niebieski wszedł w klincz i zwił całą swoją masą na ramionach czerwonego. Tamten się rozjuszył i próbował odepchnąć rywala na odległość ciosu.

– Odsuń się, no już! – warknął. – Bądź mężczyzną, do diabła!

Niebieski tymczasem zdołał zebrać siły i ponownie odskoczył w prawo, uchylił się przed potężnym zamachem czerwonego i znów wyskoczył na środek ringu.

Czerwony wrzasnął z frustracji, ale zaraz z dostrzegł z dziką satysfakcją, że przeciwnik stoi na drżących nogach, rękawice wspiera na udach, pot cieknie mu z twarzy, a z obu dziurek nosa leci krew.

Została minuta trzydzieści sześć, kiedy czerwony z triumfalnym rykiem rzucił się na środek ringu, aby zakończyć pojedynek.

W tej samej chwili w leżącej na ławce torbie zadzwonił telefon.

– Ktoś chce z tobą rozmawiać – wymamrotał i natarł na rywala. – Możesz odebrać, kiedy się ockniesz.

Wyprowadził niemal idealnie czysty cios, od którego niebieski prawie się przewrócił, jednak zdołał się utrzymać na nogach wspierany jakąś niewidzialną siłą natury.

Telefon zadzwonił ponownie.

Dźwięk był nieskończenie irytujący. Czerwony bokser rzucił okiem na torbę. Sekundę później zrozumiał swój błąd. Nagle w zielonych oczach rywala dostrzegł niezachwianą determinację. Jego nogi już się nie trzęsły, a płuca przestały gorączkowo chwytać powietrze.

– Kurwa! – zdążył powiedzieć, zanim mocny jak stal cios podbródkowy wyprowadzony z wysokości kolana trafił go prosto w szczękę.

Cofnął się dwa kroki, potknął o własne bezwładne stopy i padł na matę.

Kiedy się ocknął, rywal – a właściwie rywalka – opuściła już ring, zębami zdjęła rękawice i spokojnie rozmawiała przez telefon.

– Rozumiem. Trzecie piętro. Holm. Peter. Kula śnieżna? Tak, to dość dziwne, chyba nie słyszałam... Teraz? Tak, oczywiście. Nie rozumiem, jakie konsekwencje. To znaczy? Rząd... specjalny doradca... Tom Anderson? Naprawdę tak się nazywa? *Fuck*. Na razie.

Kobieta w niebieskim dresie zakończyła rozmowę i przez chwilę stała zamyślona. Potem wrzuciła telefon do torby i pomagając sobie zębami, rozwinęła taśmy z dłoni. Potem odwróciła się do stojącego w ringu pięściarza.

– Dzięki za trening, Basim. Było super. Masz czas w środe?

Basim wypluł ochraniacz na zęby.

– Nigdy więcej. I nigdy, przenigdy nie powiesz nikomu o tym, co tu się stało, jasne? Nikomu!

Kobieta zdjęła kask i z triumfalnym uśmiechem rozpuściła długie rude włosy.

Basim patrzył z góry na młodszą inspektor policji Lene Jensen i wspierał się na linach. Mówienie sprawiało mu ból. Coś mu się stało w szczękę. Nie trzymała się tak, jak powinna.

– Pokonany przez kobietę, która mogłaby być moją matką. Ja pierdołę!

Policjantka zerknęła na niego. Starła się nie cieszyć ze zwycięstwa zbyt ostentacyjnie – zapewne po to, aby nie ranić jego męskiej próżności jeszcze bardziej. W jakimś sensie był jej za to wdzięczny. Mimo to ostatecznie nie zdołała pohamować uśmiechu.

Basim westchnął zrezygnowany.

– Więc kto to był, panno Tyson?

– Charlotte Falster, z bożej łaski komendant główna policji. Nasza szefowa, Basim.

– Tak, na tyle jeszcze kontaktuję. Ale czego chciała? Zamordowali kogoś?

Lene wbiła wzrok przed siebie. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Wyjęła z torby dwie schłodzone puszki red bulla i rzuciła mu jedną. Złapał ją między rękawicami.

– Co mam z tym zrobić? Zjeść? A w ogóle może chcesz iść pierwsza pod prysznic?

– Przyłóż to do brody. I spoko, mnie to obojętne. Możemy iść razem. Wygląda na to, że nagle mi się śpieszy.

Basim był Duńczykiem, ale z trzeciego pokolenia imigrantów. Jego rodzina pochodziła z Syrii. Teraz zamknął oczy i uśmiechnął się, odwracając od niej twarz.

– Uuu, Lene, kuguarzyca z ciebie. Podoba mi się to.

Z torby wyjęła rolkę waty, oderwała kawałek, podzieliła go i wcisnęła sobie po jednym kawałku do każdej dziurki nosa. Potem na niego spojrzała.

– Basim, wiesz, że jestem twoją przełożoną, prawda? W sensie góruję nad tobą pod *wieloma* względami – dodała trochę niewyraźnie, ale stanowczo.

Basim poczuł, że się czerwieni, i jednocześnie zastanawiał się, czy naprawdę miała tak fantastyczne ciało, jak sugerowali jej inni sparing partnerzy. Czyli inni zmasakrowani w ringu przez legendę w niebieskim dresie.

– No tak, jasne. Przepraszam. Powiedziałem: przepraszam, okej?

Kiedy ponownie na nią spojrzął, spodziewał się kolejnej połajanki. Tymczasem młodszą inspektor uśmiechała się od ucha do ucha.

– Jeśli będziesz czegokolwiek próbował, to znów cię załatwię. Jasne?

Roześmiał się z ulgą.

– Postaram się nie próbować, chociaż nie będzie łatwo.

\*

Lene zaparkowała swojego starego jak świat citroena przy Strandvejen między granatowym bmw 760i a jednym z białych wozów dostawczych policyjnych kryminalistów. Przy bmw stał młody mężczyzna w garniturze przypominającym mundur i palił papierosa. Stopami opierał się o krawężnik, a resztą ciała o przednią szybę samochodu. Nie uraczył jej spojrzeniem.

Kolor nieba wskazywał na bliskość morza, zaś nad dachami przeleciało kilka mew.

Wysiadła i przy budce z lodami dostrzegła ładną, na oko dziewięcioletnią dziewczynkę. Siedziała na krześle, jadła rożka i przyglądała się Lene poważnymi niebieskimi oczami. Jej wzrok zdawał się należeć do kogoś znacznie starszego.

Z budki wyszła szczupła brunetka o rysach twarzy uderzająco podobnych do twarzy dziewczynki. Z troską popatrzyła na budynek, w którym mieszkał Peter Holm, a potem usiadła obok córki. I wbiła wzrok w chodnik. Lene stwierdziła, że kobieta jest wyjątkowo blada i wygląda na załamana.

Wcisnęła na domofonie guzik mieszkania na trzecim piętrze opisany „P. Holm”.

– Tak? – usłyszała po chwili.

– Arne, to ja.

– Wejdz. Scena arcyciekawa. I mamy gości. Eleganckich, mądrych gości. Szef działu kryminalistyki nie wydawał się ani trochę zachwycony.

Zabuczał zamek i Lene weszła do budynku.

Na schodach panowały chłód i półmrok. Ściany zdobiły ponure freski: żniwiarze z długimi kosami na ramionach i w czarnych kapeluszach o szerokich rondach. Pogańscy druidzi z innej czasoprzestrzeni, długie czarne łodzie w poprzek szerokich rzek. Grabarzowi spodobałoby się to miejsce.

Była na półpiętrze tuż przed trzecim piętrem, kiedy zobaczyła, że drewniane drzwi przy zamku zostały wyłamane. Stały otwarte na oścież, a z futryny zwisał łańcuch z zasuwką i wyrwane śrubki.

Przestronne mieszczańskie lokum było umeblowane antykami i współczesnymi ikonami jak Eames czy Corbusier. Na ścianach wisiały pejzaże pozbawione oznak bytności człowieka.

Kryminaliści w białych kombinezonach pracowali w skupieniu, krzątając się po pokojach. Fotografowali, szeptali między sobą, pędzelkami wydobywali odciski palców i odkurzali autentyczne perskie dywany specjalnymi maszynami. Skojarzyli się Lene z poczwarkami zmiennocieplnych zwierząt.

W rogu stał jakiś mężczyzna w dopasowanym ciemnym garniturze, z rękami założonymi z tyłu i lekko na przemian zginał i prostował kolana. Lene widziała go po raz pierwszy, ale aż czuć było od niego woń rządowych korytarzy ze Slothsholmen. Lśniące buty. Okulary w wąskich metalowych oprawkach, bezbarwne włosy i dziwnie odstające od reszty kanarkowożółte skarpetki. Uśmiechnął się do Lene wesoło małymi mięsistymi ustami, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

Komendant główna policji Charlotte Falster ostrzegła ją, że sprawa ma polityczne konotacje, ale nie wchodziła w szczegóły. Więc pewnie sama niewiele więcej wiedziała. Powiedziała tylko „Nobel Oil” tonem takim, jakby chodziło o tajną lożę w Watykanie.

Co już było dla niej nietypowe. Charlotte zwykle udzielała swoim podwładnym, których w dużym uogólnieniu uważała za ludzi pracowitych, ale nieco upośledzonych umysłowo, skrajnie szczegółowych instrukcji, wychodząc z założenia, że inaczej sobie nie poradzą. Teraz pewnie też działała na wszystkich frontach i próbowała nieformalnymi kanałami zdobyć jak najwięcej informacji. Jej mąż Otto Jarl Falster był szefem departamentu i zdawał jej relacje z zakulisowych rozgrywek toczących się w murach Christiansborga.

Lene nienawidziła „konotacji” i dyplomatycznego lawirowania. Nie była do tego stworzona. Zdawała sobie sprawę, że w korpusie uważają ją za nie-reformowalną samotną wilczycę, która nie toleruje ingerencji ani z góry, ani z dołu, a gdy wywęszy trop, będzie za nim gnała, nie oglądając się na opinie czy uczucia innych ludzi. Nie miała w związku z tym zbyt wielu przyjaciół w policji. Poza pracą w sumie też nie. Tolerowano ją bardziej, niż akceptowano, i to tylko dlatego, że była w swoim fachu niezrównana, a jej procent wyjaśnionych spraw był bliski setki.

Włożyła ręce do kieszeni skórzanej kurki i przyjrzała się leżącym na podłodze męskim zwłokom. Sylwetka szczupła, nieumięśniona. Ciało młodsze niż twarz. Brak widocznych znaków szczególnych czy tatuaży. Peter Holm leżał na brzuchu między biurkiem a stolikiem kawowym. Miał odwróconą głowę, więc Lene widziała połowę wąskiej twarzy, na wpół otwarte usta i

oko wpatrzone w punkt na ścianie. Włosy krótkie, stalowoszare, częściowo zasłonięte warstwą skrzepłej krwi. W czaszce za prawym uchem wyraźne półokrągłe wgłębienie. Z odbytu denata wystawał biały kabel i łączył się z leżącym na biurku miernikiem temperatury, wskazującym 27,5 stopnia Celsjusza.

Obok termometru leżał samotny kabel ładowarki do komputera Lenovo.

Lene uklękła obok ciała i uważnie obejrzała niebieski welurowy sznur, którym związano nadgarstki zamordowanego. Przeniosła wzrok na aksamitne zasłony, ciężkie i gołębioszare, wiszące z sufitu do podłogi wzdłuż rzędu wysokich okien. Zasłonę z lewej strony przywiązano do mosiężnego ringu welurowym sznurem, ale z prawej wisiała luźno. Lene wstała i odsunęła tkaninę. Ring po prawej był pusty.

Stojący w rogu mężczyzna obserwował ją z zaciekawieniem.

Lene podeszła do niego i wyciągnęła rękę.

– Lene Jensen, Komenda Główna Policji.

– Tom Andersson.

– Andersen?

Mężczyzna miał twarz różową jak niemowlę. Jego wiek był trudny do określenia, mógł mieć między czterdzieści pięć a sześćdziesiąt lat. Uśmiechnął się łagodnie.

– Andersson. Tom. Kazano mi tu stać i niczego nie dotykać.

– Słusznie. Powiedz, skąd jesteś, Tom?

– Z ministerstwa.

– Ministerstwa Magii?

Andersson nie dał się sprowokować.

– Z Ministerstwa Sprawiedliwości, pani młodsza inspektor Jensen. Gratuluję awansu. Od dawna ci się należał, choć trochę musieliśmy się namęczyć, żeby go przepchnąć.

Lene popatrzyła na niego podejrzliwie. Sugerował, że mógł ludzi awansować albo degradować wedle własnego widzimisię? Andersson ponownie przeniósł ciężar ciała na drugą stopę, żeby pobudzić krążenie.

– Kim właściwie jesteś? – spytała go.

– Specjalnym doradcą ministra sprawiedliwości.

– Spin doktorem?

– Tak naprawdę jego przeciwieństwem. Zajmuję się rzeczywistością taką, jaka jest. A nie taką, w jaką chciałbym, aby ludzie uwierzyli.

– To tak jak ja.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Więc co mogę dla ciebie zrobić? – Lene nie lubiła tracić czasu.

– Nic szczególnie uciążliwego czy wymagającego, pani inspektor. – Specjalny doradca wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel, otworzył go i dwoma palcami wyłuskał z niego wizytówkę.

– Mail i numer komórkowy. Chcę być informowany o postępach w śledztwie. Najlepiej codziennie. Rozumiem, że zwykle pracujesz w pojedynkę?

Lene poczuła, jak krew uderza jej do twarzy. Właśnie miała mu wyjaśnić, że nie ma czasu ani ochoty wysyłać raportów o śledztwie jakiegoś przypadkowego ministerialnemu doradcy. Nie śniło jej się nawet, żeby je wysyłać swojej szefowej. Azjatycki spokój tego człowieka sprawił jednak, że ugryzła się w język.

– Tom, wcale nie ma pewności, czy codziennie będziemy dokonywać, podkreślę: my będziemy dokonywać jakichś wielkich postępów. To byłoby dość niezwykle.

Andersson najwyraźniej doskonale to rozumiał:

– Chcę być informowany również o braku znaczących postępów w śledztwie. Ponadto chciałbym wiedzieć, jeśli czegokolwiek będzie ci brakowało lub napotkasz jakiegokolwiek przeszkody. Z tym niemal na pewno będę mógł ci pomóc. – Pomachał szarmancko dłonią i dodał. – Mówiąc krótko, ja i ministerstwo jesteśmy do twoich usług.

– To zdecydowanie coś nowego.

– Owszem. Ta sprawa ma dla nas najwyższy priorytet.

Lene ponownie spojrzała na denata.

– Dlaczego był taki ważny?

Andersson uśmiechnął się z powagą.

– Z bardzo wielu powodów.

Lene czekała, aż to sprecyzuje, ale nic więcej nie powiedział.

– Na przykład?

– Nie chcesz przecież, żebym już teraz wpływał na twoją ocenę sytuacji swoimi amatorskimi domysłami.

– Czyli sama mam się dowiedzieć, dlaczego jest dla was ważny?

– Jestem przekonany, że to elementarne, droga młodsza inspektor.

Lene znowu spojrzała na zwłoki Petera Holma.

– Możemy w każdym razie wykluczyć samobójstwo – stwierdziła.

– Też tak uważam.



Andersson ostrożnie przestąpił z nogi na nogę. Lene musiała przyznać, że był wyjątkowo opanowany. Słyszała z niezrównanej zdolności do wyprawiania ludzi z równowagi. Wszyscy tak mówili. Nawet jej własna matka.

Nagle mężczyzna uniósł brodę.

– Spodziewam się zatem, że wkrótce się odezwiesz. Dzwoni o dowolnej porze dnia i nocy. Możliwe, że odbierze ktoś inny, ale ten ktoś będzie miał nieograniczone pełnomocnictwo.

– Szczęściarz z tego kogoś – mruknęła.

– Słucham?

– Nic takiego. Do widzenia.

– Do widzenia, pani inspektor.

Tom Andersson lekkim krokiem przeszedł przez pokój i już go nie było.

W korytarzu mignęły tylko żółte skarpetki.

Lene popatrzyła na wizytówkę, westchnęła i schowała ją do kieszeni. Podeszła do okien. Dziewczynka i kobieta siedziały nadal po drugiej stronie Strandvejen, niczym woskowe figury. Kierowca bmw pstryknięciem odrzucił peta, kiedy z klatki schodowej wyłonił się Andersson. Otworzył doradcy tylne drzwi, a ten wsunął się na kanapę z telefonem przy uchu.

O jasna cholera...

Lene postanowiła na chwilę o nim zapomnieć i zamiast tego przyjrzała się obrazowi wiszącemu nad biurkiem. Zmrużyła oczy i podeszła bliżej. Tak naprawdę powinna zacząć nosić okulary do czytania, ale próżność jej na to nie pozwalała. Obraz przedstawiał rozległe jezioro, szare i nieruchome. W tle wznosiły się porośnięte wrzosem pagórki. Mglisty poranek. Ani śladu człowieka, żadnych domów w zasięgu wzroku. Krajobraz skojarzył jej się ze Szkocją. Albo Alpami. Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła wzdłuż lewej krawędzi obrazu nieco szerszy cień. Zaciekawiona wsunęła palec pod ramę, omijając czerwony pył daktyloskopijny, i pociągnęła do siebie. Obraz odchylił się od ściany i odsłonił niewielki sejf. Drzwiczki były uchylone. Otworzyła je i obejrzała skromną zawartość. Na górnej półce leżały dwie małe sztabki złota i niewielki plik amerykańskich dolarów. Do tego paszport ze zdjęciem nieco młodszego, uśmiechniętego Petera Holma. I to wszystko. Dolna półka była pusta.

Poprosiła jednego z kryminalistyków, żeby poszukali odcisków palców wewnątrz szafki, i już miała z powrotem przesunąć obraz na miejsce, kiedy na blejtramie zobaczyła szereg cyfr zapisanych ołówkiem. Zamknęła drzwi sejfu i wstukała w zamek cyfry z ramy. Drzwiczki posłusznie się otworzyły.

– Ekstra – powiedziała do siebie.

Przeszła do sypialni Petera Holma. Na podwójnym łóżku leżała spiętrzona pościel z szarej satyny, a na pomiętym prześcieradle widać było szereg ciemnych plam wyglądających jak sperma.

Arnego znalazła w łazience przylegającej do sypialni. Szef działu kryminalistyki leżał na plecach na podłodze i rozkręcał kolanko umywalki w poszukiwaniu komórek naskórka i włosów. Gdy weszła, uklęknął i popatrzył na nią. Podobnie jak jego koledzy miał na sobie biały nylonowy kombinezon, czepek i maseczkę chirurgiczną.

– Arne.

– Lene.

Z upływem lat zdarzało im się poróżnić, ale zawsze na koniec godzili się i wciąż byli przyjaciółmi. Lene wiedziała, że pomimo szorstkiego sposobu bycia Arne traktował ją jak córkę.

– Jak żona? – spytała.

– W tej chwili nieźle, dziękuję.

Żona Arnego od wielu lat cierpiała na stwardnienie rozsiane i poruszała się na wózku. Nie mieli dzieci. Arne hodował rybki słonowodne i regularnie grywał w brydża. Poza tym był wybitnym kryminalistyką i co roku w akademii FBI w Quantico w Virginii wygłaszał serię wykładów. Nazywali go tam „profesorem gościnnym”.

– To dobrze – pokiwała głową. – Naprawdę dobrze.

– Tak, dzięki. Zatem kogo tu mamy. Nazywa się Peter Holm. Przeżył pięćdziesiąt trzy lata i był głównym geologiem w Nobel Oil, co tłumaczy obecność na miejscu bladego sfinksa... bardzo VIP.

– Sfinks już poszedł – Lene pośpieszyła z zapewnieniem.

– Świetnie... znakomicie. A czego chciał? Powiedział, że czeka na ciebie.

– Mam mu codziennie raportować.

Arne odsunął maseczkę i parsknął śmiechem.

– Ty? Łatwiej byłoby nauczyć psa esperanto. Powiedziałbym mu to, gdyby nie był taki tajemniczy.

– W sumie to się zgodziłam – wymamrotała zmieszana.

– Przecież nawet Charlotte o niczym nie mówisz!

– Wiem. Ale on mi dał do zrozumienia... wiesz, tak między wierszami... że Charlotte może i jest moją szefową, tak oficjalnie. On jednak stoi nad

nią. Że jest o wiele bliżej Boga niż ktokolwiek z nas. Że jest jak papież. Albo minister sprawiedliwości.

– I powiedział ci to między wierszami?

– Nie miałam wyjścia.

– Okej, ale dlaczego? Dlaczego Holm jest taki ważny?

– Z bardzo wielu powodów – zacytowała człowieka w garniturze.

– Podaj mi jeden.

– Okej, ale jak go odnajdę, dobra? To mój problem, nie twój. Mów, czego się dowiedziałeś.

– W porządku – przytaknął lekko urażony. – Czas zgonu określony na podstawie pomiaru temperatury w odbycie, stopnia rozebrania zwłok oraz temperatury otoczenia to czwarta trzydzieści pięć dziś nad ranem. Krótco przed śmiercią miał wytrysk, prawdopodobnie podczas stosunku. Pod napletkiem znaleźliśmy żywe plemniki, a na pościeli są ślady spermy i kału. To miejsce zbrodni jest prawdziwym jarmarkiem próbek DNA i odcisków palców. Krąg obfitości, mamy tu tego po kokardę.

– To samo powiedział Andersson. Że to elementarne.

Arne wyjął z kieszeni sękatą czarną fajkę, szerokim kciukiem wepchnął do niej tytoń i zapalił. Pyknął raz, pomachał zapałką, żeby ją zgasić, i schował ją do kieszeni na piersi.

– Ma rację – przyznał i pokazał jej przejrzysty woreczek.

Była w nim szklana kula przedstawiająca zimową scenę z nowojorskiego Central Parku: tata, mama i córka jeżdżą na łyżwach na miniaturowym jeziorze pod ośnieżonymi świerkami. Kula była umazana krwią, a jeden z plastikowych elementów był odłamany.

– Narzędzie zbrodni – ogłosił Arne. – Jak się nią potrząśnie, to wygrywa *Silent Night* i mamy na niej całkiem sporo ładnie zachowanych odcisków palców. Wygląda na to, że Holm je kolekcjonował. Ma również na szyi ślady duszenia i niewielkie wybroczyny na gałkach ocznych wskazujące na podduszanie.

Lene zerknęła na parapet w salonie, na którym stało mnóstwo kul śnieżnych z różnych wielkich miast. Jedno miejsce w szeregu było puste.

– Super – powiedziała bez większego entuzjazmu. – Zatem chłopiec czy dziewczynka?

Arne odłożył torebkę, podniósł wieko rzeźbionej mahoniowej skrzyni pod jedynym oknem w sypialni i wskazał na jej wnętrze.

– Powiedziałbym, że chłopiec.

Lene zajrzała do środka. Leżały tam setki uporządkowanych alfabetycznie DVD. Wyjęła jedno. Wnosząc z okładki, było to ostre gejowskie porno. Wyjęła następne. W tym samym stylu.

Arne wypuścił chmurę dymu i popatrzył na łóżko.

– Przynajmniej zaznał trochę przyjemności...

– ...zanim ktoś związał go jego własnym sznurem do zasłon, próbował udusić, a na koniec rozłupał mu czaszkę – dokończyła Lene.

– Dokładnie.

– Kto wyważył drzwi kopniakiem? – spytała.

– Nie wiem.

– A gdzie ten komputer, który powinien być na końcu kabla?

– Ktoś go wyrzucił przez okno – odparł Arne. – Rozpadł się na atomy, a dysk twardy został zniszczony. Było tu paru informatyków z Nobel Oil, obejrzeni go i zabrali szczątki. Prawie płakali. Dorośli faceci.

Len zmarszczyła czoło.

– Z Nobel Oil? Skąd wiedzieli... Hej, to akurat jest ciekawe. Wylegitymowali się?

– Oczywiście. I powiedzieli, że komputer to własność firmy. Andersson nie widział przeszkód.

– Przecież to dowód w sprawie!

– O tym pogadaj z Charlotte, jeśli chcesz.

Jeden z asystentów Arnego zjawił się zniecka, jakby przeszedł przez ścianę. Wyszeptał coś na ucho swojemu szefowi.

– Znaleźli coś – oznajmił Arne. – Chodź.

Przeszli przez kuchnię połączoną z jadalnią. Była spełnieniem marzeń każdego gastronomo: z rustykalnych żelaznych haków zwisały francuskie miedziane garnki i patelnie wszelkich rozmiarów. Kuchnia w stylu angielskim z czterema różnymi piekarnikami i wysokie półki na wino pełne szlachetnie zakurzonych butelek. Na ścianie nad blatem wisiały zdjęcia Petera Holma, identycznego formatu i w jednakowych ramkach. Migawki z długiej kariery w terenie. Widniały na nich ośnieżone góry, jałowe pustynie, psie zaprzęgi, smagane sztormem platformy wiertnicze na Morzu Północnym, nieprzebyte dżungle, pompy oleju niczym kiwające głowami prehistoryczne zwierzęta na prerii w Ohio. I na wszystkich uśmiechnięty geolog w outdoorowych strojach. Oraz na koniu, w kowbojskim kapeluszu marki Stetson. Sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego z życia, które spędzał na różnych krańcach świata.

Asystent Arnego czekał na nich na klatce schodowej od kuchni. Laserym pisakiem obrysowywał plamy krwi na zdeptanym linoleum i górnym stopniu schodów. Lene i Arne przez wąskie brudne okno wyjrzeni na tylne podwórko, gdzie stał schowek na rowery, huśtawka równoważna, parę huśtawek z opon, piaskownica, ogrodowe meble z drewna tekowego i grill. W bramie po drugiej stronie kryminaliści właśnie ustawiali projektory.

– Ślady krwi prowadzą w dół schodów, ciągną się przez podwórko i znikają w tamtej bramie – wyjaśnił asystent.

Lene zmarszczyła czoło:

– Czyli ktoś wyważył kopniakiem drzwi, uprawia seks analny z właścicielem mieszkania w jego własnym łóżku, a łóżko to nie wygląda bynajmniej jak scena gwałtu. Następnie ten ktoś wiąże Holmowi ręce na plecach sznurem od zasłony, trochę go poddusza, po czym zabija go kulą śnieżną wygrywającą Silent Night. Potem zabójca otwiera sejf, wyjmuje z niego bóg wie co, wyrzuca komputer Holma przez okno, kaleczy się w trakcie tej niesłychanie skomplikowanej procedury i krwawiąc, wybiega tylnymi drzwiami na oświetlone podwórko widoczne z kilkuset okien?

– Racja. – Arne westchnął i pyknął z fajki. – To brzmi niedorzecznie.

– Kto go znalazł?

– Jego matka, biedaczka. Przemiała starsza pani. Co roku tego dnia wspólnie odwiedzali grób ojca Holma. Zaniepokoiła się, kiedy syn nie pojawił się na cmentarzu tak, jak się umówili.

Lene zrobiło się słabo. Może to tylko spóźniony efekt pojedynku z Basimem, ale raczej działanie tego, co tu zastała – wieloznaczności i niejasności tego miejsca zbrodni.

Zaczęła sobie wyjmować z nosa wacik, kiedy Arne złapał ją za nadgarstek żelaznym uściskiem.

– Bardzo cię proszę, zostaw ten wacik w spokoju. Krwi mamy tu aż nadto.

– Przepraszam.

– Dalej spuszczasz manto chłopakom młodszym od ciebie o połowę i nigdy nie przegrywasz?

– Jasne, że przegrywam. Czasem. A sąsiedzi?

– Część mieszkań to lokale komercyjne – wyjaśnił Arne. – Na dole jest gabinet dentystyczny, na górze firma o nazwie Eurasian and Black Sea Import-Export Company.

– O, to to, co ma na wizytówce James Bond.

– Nie. On ma Universal Export – skorygował ją Arne. – Ale tak czy inaczej między szesnastą a ósmą nie ma tu żywej duszy.

– Super.

Lene usiadła na skórzanym pufie na środku pokoju i oparła brodę na dłoniach. Potem odwróciła się o ćwierć obrotu, żeby nie widzieć zwłok.

– Telefon?

– Nie ma.

– Jak to nie ma? Arne, błagam. – Lene tupnęła mocno w podłogę. – Ten człowiek sprawdza komórkę, zanim się rano odleje. Jest globtroterem, żyje jednocześnie we wszystkich strefach czasowych. Jeździ psimi zaprzęgami. Powiedz mi, po co wy mi tu właściwie jesteście potrzebni? Równie dobrze mogłabym tu zaprosić ekipę ze Stowarzyszenia Niewidomych.

– Szukaliśmy wszędzie – powiedział prosto.

Znał ją dostatecznie długo, żeby nie dać się wciągnąć w kłótnię. Już dawno się przekonał, że ostatnie słowo i tak zawsze należy do niej.

Zerwała się gwałtownie i podeszła do okien. Patrzyła z góry na podniesioną, bladą twarz kobiety. Ona i dziecko nadal siedziały przed lodziarnią. Przez parę intensywnych sekund Lene i kobieta mierzyły się wzrokiem. Potem kobieta powiedziała coś do dziewczynki i pociągnęła ją z krzesła. Chwilę później obie zniknęły za rogiem.

– A te dwie to co za jedne? – wymamrotała Lene.

– Co?

– Nic. Ile szczoteczek?

– Jedna.

– Czyli nie miał nikogo na stałe?

– Skąd mam wiedzieć?

Kryminalistyczka, która właśnie zdejmowała żyrandol na suficie, stłumiła okrzyk. Pęsetą ostrożnie wyjęła z obudowy lampy przedmiot wielkości papierosa.

Arne przejął go od niej.

– Co to? – spytała Lene.

– Minikamera monitoringu. Aktywna. Ktoś nas nagrywa, w tej chwili. – Wskazał na ledwie widoczną, migoczącą na zielono żarówkę LED z boku urządzenia.

– To wyłącz ją! I przestań ją we mnie kierować!

– Wybacz.

Arne włożył kamerę do plastikowej torebki i schował ją do kieszeni.

Lene wbiła wzrok w martwego człowieka na podłodze.

– Arne, powiedz mi... Myślisz, że ta kamera nagrała... To znaczy, myślisz, że on trafi na YouTube'a? Albo my?

– Nie sędzę – stwierdził ze spokojem. – To zaawansowany sprzęt dla zawodowców. Raczej nie umieścił jej tu jakiś zaburzony dzieciak.

– Bezprzewodowa?

– Oczywiście. I pewnie ma zasięg do czterystu metrów. Ci, którzy ją zamontowali, siedzieli sobie nieopodal w jakimś samochodzie i obserwowali wszystko, popijając kawę.

Lene rozejrzała się niespokojnie.

– Ani słowa, dopóki nie sprawdzicie, czy jest ich więcej i czy nie ma mikrofonów, jasne? Arne, co tu się dzieje, do cholery?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Miał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

Lene rozglądała się bezradnie.

Czuła mrowienie w całym ciele.

\*

Ida pomogła Michaelowi zawiązać krawat, choć tak naprawdę nie potrzebował pomocy. Od szesnastego roku życia potrafił wiązać cztery różne węzły. Pachniała świeżo umyтыми włosami, ale pod oczami miała ciemne kręgi z niewyspania. Zacisnęła węzeł i strzepała z jego ramienia paproch.

Osobista sekretarka Axela Nobla zadzwoniła do Michaela o wpół do szóstej rano. Odebrał za trzecim razem, gotów posłać intruza do najczarniejszej otchłani piekła, ale przyjemny, ożywiony głos kobiety sprawił, że klątwa uwięzła mu w gardle.

Była to nie tyle prośba, ile wezwanie do stawienia się na pilne spotkanie z prezesem. W naftowym imperium najwyraźniej nie odróżniano dnia od nocy. Pieniądze skapywały przez całą dobę. Co poradzić.

– Jak wyglądam? – spytał i rozprostował palce.

Ida popatrzyła na jego dłonie w wysokim lustrze.

– Dobrze wyglądasz – zapewniła go.

– Przecież widzę, że coś jest nie tak.

Skrzyżowała ręce na piersi i wycofała się o krok, zostawiając go samego w intymnej bliskości z własnym odbiciem w lustrze.

– Nie, po prostu...Wiesz, bogaci i wpływowi. Michael, Axel Nobel to superliga.

– Wydawało mi się, że ja *gram* w superlidze.

Uśmiechnęła się lekko.

– Skarbie, raczej w drugiej lidze lokalnej. O ile mi wiadomo, sprawa Palmerów i ich zaginionego zięcia była twoim pierwszym zleceniem od dziewięciu miesięcy.

W dodatku nie miałeś śmiałości wziąć od nich pieniędzy.

– Naprawdę upadłem tak nisko?

Położyła mu dłoń na ramieniu. Ida miała ruchy zdecydowane i szybkie, jak przystało na chirurgkę-okulistkę, choć od śmierci syna nie pracowała.

– Michael... jesteś najzdolniejszym, najinteligentniejszym...

Parsknął śmiechem.

– Obiecuj, że nigdy nie spróbujesz zostać jakimś coachem albo kimś takim. Jesteś do niczego we wzmacnianiu w ludziach pewności siebie...

– W porządku. Ale tu chodzi o Axela Nobla. Numer siedemdziesiąty szósty w rankingu najbardziej wpływowych ludzi „Forbesa”. Były komandos i, zdaniem wszystkich, którzy go znają, bezwzględny cwaniak, który nie toleruje sprzeciwu.

– Na tym, niestety, polega prowadzenie firmy. Poza tym nie powinnaś wierzyć we wszystko, co ci mówi Google. Axel Nobel zarabia pieniądze tam, gdzie może. Nobel Oil jest największym pracodawcą w skali kraju, a sam Nobel jest największym filantropem w królestwie. Już dawno mógłby przenieść działalność do Singapuru albo Houston, gdzie byłoby mu znacznie łatwiej funkcjonować niż w naszym muzeum wolności obywatelskich, a jednak tego nie zrobił. Ale okej, wiem, o co ci chodzi. Do czego jestem mu potrzebny, skoro ma już kontrakty z największymi firmami ochroniarskimi na świecie zatrudniającymi ekspertów, dawnych żołnierzy elitarnych jednostek, specjalistów od nasłuchu, detektywów, hackerów i armię superkomputerów. Do tego pijesz, prawda?

– Tak.

– Otóż mnie można zastąpić. Bo nie zostawiam żadnych śladów na papierze.

Bo nikt nie zapłaci nad moim grobem. Bo on myśli, że ja nie zadaję pytań. I że jestem dziwką.

– Ja zapłacę nad twoim grobem. Gdziekolwiek cię pochowają. – Już miała łzy w oczach. Zaczęła szlochać, plecy jej drżały.



– W takim razie chodzi o coś pilnego i wyjątkowo paskudnego – powiedział cicho. – Z drugiej strony nie miałbym skrupułów, żeby go ukatrupić, gdybym dostał gigahonorarium i mógł... – urwał.

– ...zapłacić rachunki – dokończyła za niego. – Wiem, że brakuje ci pieniędzy. – Ukryła twarz w dłoniach i kucnęła. – Jestem dla ciebie ciężarem – wydusiła przez zaciśnięte gardło. – Do niczego się nie nadaję. W życiu bym nie pomyślała, że do tego dojdzie. Albo snuję się po tym mieszkaniu jak zombie, albo jestem na oddziale zamkniętym, a ty nigdy nie wiesz, jaka wersja zostanie wypisana. Bywa, że na całe tygodnie zapominam o wszystkim. O Jozjaszu. O tobie!

Michael podniósł ją, jakby była z waty, a ona posłusznie wsparła czoło na jego ramieniu.

– Ale zawsze do mnie wracasz. I to zawsze jesteś ty. Nie jestem przy tobie ze współczucia ani dlatego, że liczę na beatyfikację. Jestem przy tobie, bo jesteś najbardziej normalną osobą, jaką mam w swoim życiu... nawet kiedy ci kompletnie odwali.

– Dziękuję ci, Michael. Chyba masz rację.

Pocałował ją w czoło.

– Tylko musisz mi obiecać, że będziesz o siebie dbała. Nawet twoje bliźni dorobiły się blizn.

Otworzyła mu drzwi.

– Za to ty, braciszku, wyglądasz szałowo.

– *Fuck off.*

Znów się uśmiechnęła.

– I co, zrobiłeś to?

– Co takiego?

– Zadzwoiłeś do Lene?

– Kochana siostrzyczko, jedna obłąkana niewiasta mi wystarczy. Ale dzięki za troskę.

\*

Po drugiej stronie obrotowych drzwi głównej siedziby czekali na Michaela dwaj strażnicy w ciemnych garniturach. Ruszył za nimi w stronę odległego oświetlonego punktu, gdzie, jak się domyślał, mieściła się recepcja koncernu Nobel Group. Podłoga była wyłożona czarnymi kwadratami grafitu, które wyciszały wszystkie dźwięki, a w elegancko oświetlonych witrynach

wystawiono skarby zrabowane w ciągu wieków rozmaitym narodom i plemionom. Pod jego butami cienie ryb, mięczaków, ptaków i paproci odpływały niczym widma w wieczną, skamieniałą noc.

Dotarli do recepcji znajdującej się w oświetlonym okrągłym dziedzińcu liczącego sześć pięter budynku. Obsługiwali ją młodzi ludzie w słuchawkach z mikrofonami, mówiący do nich pośpiesznie w najróżniejszych językach i uzbrojeni w wyraziste fryzury i mechaniczne uśmiechy. Michael zdeponował w recepcji wszystkie monety, klucze, telefon i pasek od spodni i przeszedł przez wykrywacz metalu.

Jeden ze strażników otworzył kratę zabytkowej windy. Było w niej obite czerwonym pluszem siedzisko – i tylko jeden guzik.

– Pan Nobel czeka na drugim końcu.

– Z garnkiem złota?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Mam taką nadzieję, panie Sander.

\*

Stalowe pręty konstrukcji znikwały w odległych zielonkawych przestworzach wysokich jak kopała katedry. Jakieś pięćdziesiąt metrów od windy Michael dostrzegł samotną postać siedzącą za biurkiem. Mężczyzna, nie wstając, przywołał go do siebie ręką. Michael z zaciekawieniem przyglądał się ogromnej wiszącej aluminiowej gondoli. Wyglądała, jakby w swojej przełomowej, słynnej na cały świat gonitwie przez stratosferę wytarła się do surowego metalu. Przypominała artefakt z muzeum Juliusza Verne'a. Po niej mógł podziwiać idealnie przecięty jacht z Pucharu Ameryki na końcu sali, ale nagle przystanął w pół kroku, kiedy zobaczył, że za kolumną, na wprost biurka Axela Nobla siedzi Dirk Straat.

Michael zmrużył oczy, rozpoznał go niczym w blasku flesza. Oczywiście, że to on był pod Banana Club tamtej nocy. Szerokie plecy, sprężysty krok atlety. Wolno jadący samochód. Nietypowa zakochana para przed nim.

Dirk uśmiechnął się lekko i skinął głową. Duże suche dłonie trzymał nieruchomo na kolanach. W butonierce granatowej marynarki miał wykrochmaloną białą chusteczkę i nosił krawat z najlepszego włoskiego jedwabiu. Najwyraźniej nastały tłuste lata dla handlarzy śmiercią.

Michael odkłonił się ledwie zauważalnie. Ostatni raz widział Straata z bocznego okna wynajętego samochodu na leśnej drodze przy opuszczonym

gospodarstwie wiejskim w Nijmegen. Michael odnalazł tam porwaną dziewczętnastolatkę. Dwaj nieudolni porywacze, ojciec i syn, trzymali ją tam przez tydzień, cały czas negocjując z jej ojcem kwotę okupu i sposób jego doręczenia. Ojciec dziewczyny należał do największych potentatów przemysłowych w Holandii. Michael umieścił nadajnik w jednym z plików banknotów. Czekać na okup, porywacze torturowali dziewczynę i wielokrotnie ją zgwałcili. Kiedy serbski najemnik na rękach wynosił ją z tamtego domu, wyglądała jak oskórowane zwierzę.

Mężczyzna zaniósł ją do mercedesa, w którym czekali ojciec i lekarz. Samochód odjechał z podwórza na pełnym gazie, a z wnętrza domu dochodziły wrzaski porywaczy. Serb wrócił do środka, mijając w progu Dirka Straata, który zrobił sobie przerwę na papierosa. To Dirk wpadł na pomysł, żeby zamurować porywaczy żywcem.

Axel Nobel wskazał na krzesło między biurkiem a krzesłem Straata. Następnie wstał i podał Michaelowi rękę.

– Michael. Dziękuję, że zgodziłeś się przyjść w tak krótkim czasie. Doceniam to.

– Nie ma za co.

Wzrok prezesa był twardy i bezpośredni, chociaż jego twarz pod opalenizną była szara ze zmęczenia.

– Znasz Dirka? Jak rozumiem, pracowaliście już razem?

– Spotkaliśmy się przy okazji pewnej starej sprawy, ale każdy z nas miał wówczas inne zadania – sprecyzował Michael. – Powiedziałbym raczej, że głównie o sobie *słyszeliśmy*.

– Możemy przejść na angielski? Ze względu na Dirka?

– Oczywiście.

Nobel uśmiechnął się lekko i przyjrzał mu się w skupieniu znad czubków palców, które stykały się ze sobą jak dach pagody. Michael poruszył się niespokojnie na krześle. Czuł się, jakby się dostał we wrogi ostrzał krzyżowy. Poza dwiema parami oczu Nobla i Straata jakiś przodek przyglądał mu się podejrzliwie ze ściany.

– Michaelu Vedby Sanderze. Chcę, żebyśmy mieli jasność, kto jest kim. Byłeś kapitanem żandarmerii, następnie śledczym, a potem przez dwanaście lat pracowałeś w terenie dla firmy Shepherd & Wilkins, znanej agencji ochroniarskiej, z której usług w zatoce Disko, dodam na marginesie, właśnie zrezygnowałem, ponieważ nie spełniały moich oczekiwań.

– Już dla nich nie pracuję.

– Tak, oczywiście. Mimo wszystko. Jak rozumiem, nadal dostajesz od nich zlecenia.

– Sporadycznie. Zwykle chodzi o zadania, których ich stały zespół nie chce tykać kijem. Wyjątkowo niewygodne sprawy i wyjątkowo niewygodne lokalizacje. Praca w terenie nie jest dla każdego.

Nobel ciągnął dalej:

– Znajdowałeś ludzi, którzy w żadnym razie nie chcieli zostać odnalezieni, negocjowałeś okupy, ustalałeś tożsamość porwanych osób i uwalniałeś je, również przy użyciu przemocy, jeśli było trzeba. Jesteś ekspertem od nowych technologii, wykwalifikowanym snajperem i biegle opanowałeś system samoobrony wykorzystywany przez izraelską armię.

– Krav magę.

– Właśnie. Prowadzisz jednoosobową działalność gospodarczą i mieszkasz z siostrą w Gentofte, zgadza się?

– Tak.

Michael wiedział, że jego twarz jest w tej chwili całkowicie pozbawiona wyrazu. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich się człowiek uczył w Shepherd & Wilkins: nigdy, nigdy, nigdy – Michael nie pamiętał teraz, czy słowo „nigdy” powtórzono mu trzy- czy czterokrotnie – nie pozwól, aby ktokolwiek wiedział, co czujesz albo myślisz.

Nobel pochylił się do przodu, przedramiona opierając o biurko.

– A teraz co robisz?

– Niewiele.

Nie było powodu, by kłamać. Nobel zapewne znał obroty jego jednoosobowej firmy lepiej niż on sam.

– Jestem pewien, że to się wkrótce zmieni. Wszyscy mówią, że masz talent. Poleciał mi cię jeden z moich bardzo dobrych przyjaciół z Anglii.

Michael pokiwał głową. Zwykle tak to się odbywało: ludzie, którzy sobie ufali, polecali go sobie jako wybawcę, gdy któryś z nich wpadł w nadzwyczajne kłopoty natury prywatnej, z których, zdawałoby się, nie było wyjścia. W książce telefonicznej nie dało się go znaleźć.

– A w międzyczasie może byś rozważył pracę dla mnie? Zlecenie krótkie i proste? – dodał Nobel.

– Może bym rozważył – przytaknął Michael.

Prezes wstał i podszedł do makiety rafinerii i portu naftowego ustawionej na stole wielkości zaćmienia słońca.

– Wiesz, co to jest?

– Marzenie?

Nobel przyjrzał się twarzy Michaela, szukając w niej ironii, której tam nie było.

– Dokładnie. Marzenie o niezależności.

– Od Rosji, Wenezueli, Nigerii i Bliskiego Wschodu?

– Od przerośniętego ego neoimperialistów z Kremla, obłąkanych komunistów z Ameryki Południowej, czarnych wojowników z Nigerii i zdegenerowanych chowem wsobnym książąt z Arabii Saudyjskiej, tak. I to bez wątplenia byłoby możliwe, gdyby dało się w pełni wykorzystać potencjał tej instalacji.

Michael odwrócił się w fotelu i popatrzył na makietę. Natrętne szare oczy Straata wwiercały się w jego policzek.

– Czyli grenlandzka ropa może zbawić Europę Zachodnią. – Michael po kiwał głową. – To piękna idea. Piękne domknięcie cyklu. Tak, zdecydowanie to widzę.

Prezes bez przekonania patrzył na makietę.

– Naprawdę? – spytał skonsternowany.

– Zdecydowanie – potwierdził Michael. – Łądolód się topi przez globalne ocieplenie. To pozwala wydobywać olej łupkowy z okolic zatoki Disko i otwiera waszym supertankowcom dostęp do Pacyfiku przez Przejście Północno-Zachodnie. Wszyscy się cieszą, poza oczywiście niedźwiedziami polarnymi, ale one nie mogą protestować i nie dostają kart do głosowania. Kiedy cały ten olej spłonie w milionach domostw i pojazdów, globalne ocieplenie przyśpieszy jeszcze bardziej, lód jeszcze szybciej będzie się cofał i jeszcze więcej oleju będzie na wyciągnięcie ręki. A tę wodę z roztopów można wykorzystać w pompach do jego wydobywania. Wszystko pięknie się zazębia. Coś w rodzaju perpetuum mobile.

– Niestety, nie wszyscy tak to widzą.

– Nie wierzę.

– Myślę, że dobrze o tym wiesz.

Axel wrócił za biurko, rozsiadł się wygodnie i wbił wzrok w odległą gondolę zawieszoną w nieważkości pod stropem.

– Grożą nam śmiercią. Mnie, mojej rodzinie, zarządowi firmy i czołowym pracownikom. Nie jest to zwyczajny bełkot. Nasz projekt w zatoce Disko jest sabotowany bez ustanku i od samego początku. W zeszłym tygodniu zginęło czterech chińskich robotników, kiedy zawaliło się pod nimi rusztowanie.

A ostatnio mamy ten wyciek, o którym pewnie słyszałeś. Ci terroryści nazywają siebie Wojownikami Posejdona. Są wykształceni i przeniknęli do naszych struktur. Są, kurwa, wszędzie. To fanatycy, ale niestety skuteczni, bezwzględni i sprytni. Trudno ich zidentyfikować między innymi dlatego, że załoga w zatoce Disko liczy tysiąc osiemset osób ze wszystkich zakątków świata, w tym, naturalnie, z Grenlandii. Nie jesteśmy w stanie przeświecić każdego z nich.

– Oczywiście, że nie.

– Michael, jaki jest twój zawodowy etos?

– Powiedziałbym, że elastyczny.

– W pewnych granicach, jak się domyślam?

– Dla nikogo nie dam się zamknąć w więzieniu. Dla nikogo.

– Z powodu siostry?

Michael popatrzył na niego tak, że ten był zmuszony uciec wzrokiem.

– Wybacz... to oczywiście nie moja sprawa. Zasadniczo. Ale ta sprawa nie ma precedensu. Muszę mieć pewność, że mogę na tobie polegać i że nic z tego, co tu zostanie powiedziane, nigdy nie wyjdzie poza te ściany. Plotki giełdowe potrafią zniszczyć każdą firmę, nawet tak starą i potężną jak nasza.

– Nigdy nie ujawniłem tajemnic swoich klientów – odparł spokojnie Michael. – I nie widzę powodu, aby zacząć to robić. Chyba że za chwilę mi powiesz, kto był drugim i trzecim strzelcem podczas zamachu na Johna F. Kennedy’ego dwudziestego drugiego listopada sześćdziesiątego trzeciego w Dallas albo w którym z austriackich jezior zatopiono złoto nazistów w kwietniu czterdziestego piątego. I wiem, że sprawa jest bez precedensu. W przeciwnym razie by mnie tu nie było.

Straat i Nobel wymienili wymowne spojrzenia nad lewym ramieniem Michaela.

– Dobrze – postanowił Axel. – Zaraz zobaczysz nagrania z mieszkania jednego z naszych współpracowników. Jest nim, a raczej był, Peter Holm, nasz główny geolog. Został zamordowany w swoim domu przedwczoraj w nocy. Poza Dirkiem i mną nikt tych nagrań nie widział.

– Nawet policja?

– Nie ma powodu im tego pokazywać. Wyjaśnienie tej zbrodni nie powinno im nastęrczyć większych problemów. Z punktu widzenia śledztwa sprawa jest prosta. Sprawcę pewnie już zidentyfikowali. A jeśli nie, to przyślemy im mapę z zaznaczoną lokalizacją: kopcie tutaj.

– Jacy my?

– Wszyscy chcą jak najszybszego wyjaśnienia tej zbrodni, aby następnie móc czym prędzej o niej zapomnieć. Zwłaszcza rząd i nasi współpracownicy z Grenlandii i Chin. I wszyscy chcą, aby projekt w zatoce Disko był kontynuowany zgodnie z planem. Ma kluczowe znaczenie nie tylko dla nas, ale również dla Danii i reszty Europy. Nawet do lewicy już to dotarło.

– Rozumiem.

– Peter został uwiedziony. Był gejem i poderwał go niejaki Rasmus Nordstrand, którego poznał w Grenlandii. Spotkali się ponownie tu, w Kopenhadze i to bynajmniej nie przypadkowo. Zabójca był młody, przystojny i bardzo chętny, więc stanowił pokusę nie do odparcia dla kogoś takiego jak Peter, kto większość roku spędzał w miejscu odludnym i nieprzyjaznym.

– Kto tę pułapkę zastawił?

– Liczę, że właśnie na to pytanie pomożesz nam odpowiedzieć.

– Dlaczego w mieszkaniu były kamery? I czy on o tym wiedział?

– Z powodu tych gróźb. Peter znajdował się najwyżej na czarnej liście terrorystów. Kamery rozmieściliśmy w mieszkaniach wielu pracowników.

U Petera też, chociaż on nie został o tym formalnie powiadomiony.

Michael wzruszył ramionami.

– Skoro wiecie, kto to zrobił, i skoro policja też to wie, to do czego wam jestem potrzebny?

Znów wymieniono spojrzenia nad jego głową.

– Zabójca wykradł krytyczne informacje – wyjaśnił Nobel – a następnie zniszczył komputer Petera. Nawet Chrystus nie zdoła go wskrziesić. Nie możemy nigdzie znaleźć naszych danych ani Nordstranda. Ale mam nadzieję, że ty będziesz mógł.

– Nie macie kopii?

– Nie mamy – potwierdził prezes, lekko się czerwieniąc. – Ale nawet gdybyśmy mieli, to mówimy o danych, które w niepowołanych rękach mogą doprowadzić do upadku tę firmę i sto dwadzieścia tysięcy pracujących dla niej osób.

– A te niepowołane ręce to na przykład Wojownicy Posejdona?

Na twarzy Nobla pojawił się szeroki chłopięcy uśmiech.

– Gdyby oni dostali te informacje, mielibyśmy przesrane, bez dwóch zdań. Ale dałoby się to wyciszyć odrobiną zręcznego lobbingu. Trochę gadki o ekologii, hymnów na cześć kultury eskimoskiej i darowizn na ochronę wielorybów. Może udałoby się włączyć dwór królewski. Oni oczy-

wiecie kochają Grenlandię, ale są niestety kosztowni. I nigdy nie wiadomo, jakie aktualnie panują u nich nastroje. Ale nie, Michael. Myślę o konkurencji. Zawsze myślę o konkurencji.

– A co składa się na tę krytyczną informację?

– Tego nie musisz wiedzieć. Nasze dane zostały skopiowane na dysk USB Nordstranda. Są zaszyfrowane. Nasi eksperci twierdzą, że szyfr jest nie do złamania, ale ja im nie wierzę. Każdy kod da się złamać.

– To prawda, pod warunkiem że ma się dostatecznie dużo czasu, superkomputer i zdolnych kryptologów. Izraelczycy są w tym najlepsi. Wspólnie z CIA stworzyli STUXNET. Tylko po co ci ja, skoro masz tu Straata. Który jest... dostatecznie skuteczny.

– Zdecydowanie. Nie był zresztą zachwycony, kiedy postanowiłem włączyć do sprawy kogoś z zewnątrz. Mam jednak nadzieję, że będziecie mogli pracować nad nią równolegle. Że wasze kompetencje będą się uzupełniać, że tak powiem. Znowu. Mój przyjaciel z Anglii powiedział, że masz imponujący talent do sprawiania, że niemożliwe staje się możliwe. Po prostu.

Michael wbił w niego nieruchomy wzrok.

– To miło z jego strony. Czyli chcesz, abym znalazł dla ciebie Rasmusa Nordstranda, żeby następnie Dirk Straat i jego najemnicy odcinali mu piłą łańcuchową kolejne części ciała, aż wam nie powie tego, co chcecie wiedzieć. Wiesz, dlaczego on ma ksywę Tiger Woods, prawda?

Straat za plecami Michaela przesunął stopy po podłodze.

Axel Nobel częściowo wstał z krzesła. I zaraz z powrotem na nie opadł. Jego dłonie uniosły się i znów głucho uderzyły w blat. Twarz przeciął grymas bólu.

– Nie! Nie wiem. I szczerze mówiąc, jest mi to obojętne. Nie rozumiem tylko, skąd u ciebie taka wrażliwość. Jeśli dobrze mnie poinformowano, podczas pewnego polowania zginęło kilku członków zarządu znanej na całym świecie, poważanej duńskiej firmy rodzinnej. Wiem, że byłeś w to zamieszany, i raczej trudno powiedzieć, że ci ludzie otrzymali możliwość wybronięcia się przed sądem, prawda?

– Gdyby ci ludzie poprzestali na strzelaniu do łośi, to nigdy bym tej sprawy nie wziął – zaprotestował cicho Michael.

Odsunął krzesło i wstał.

– Dziękuję za spotkanie. Następnym razem, *panie prezesie*, radzę nie gwałcić człowieka, któremu chce się pan oświadczyć. To słaba technika ne-



gocjacyjna i przyznam, że jestem rozczarowany. Naprawdę. Miałem o prezesie lepsze zdanie.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w długą drogę do windy. Uszedł jednak ledwie cztery metry, kiedy Axel Nobel podniósł głos.

– Zaczekaj, kurwa. Stój!

Michael zatrzymał się i powoli odwrócił. Twarz Dirka Straata była nieruchoma jak maska pośmiertna, za to Nobel zerwał się na równe nogi.

– Milion franków szwajcarskich – oznajmił.

– Sto tysięcy zaliczki – dodał Michael.

– Oszalałeś? Skąd mam wiedzieć, że nie będziesz siedział na dupie przez miesiąc, aż będzie po wszystkim? – Prezes odświeżył swój oficerski ton.

– Stąd, że dbam o swoją reputację zawodową – odparł spokojnie Michael. – Poza tym ja nie pracuję w ten sposób. Zwykle osiągam to, co sobie założyłem. Resztę zapłacisz, kiedy znajdę twoje dane, a Straat będzie mógł zrobić z tym Nordstradem, co zechce, i na bank będzie mieć przy tym niezły ubaw. Skoro ten gość z zimną krwią zamordował człowieka, to oczywiście musi ponieść konsekwencje.

Prezes usiadł, wziął do ręki nóż do otwierania kopert i balansował nim na palcu.

– W porządku. Umowa stoi. Jesteś gotów obejrzeć krótki film dokumentalny?

– Oczywiście.

\*

Dirk Straat połączył laptop z projektorem, a Michael i Nobel zasiedli przed białym ekranem w dużej sali konferencyjnej. Straat usiadł jak najdalej od Michaela i wycelował pilotem w projektor.

Odtworzył nagrania z dwóch różnych kamer monitoringu: jedna była umieszczona w suficie sypialni i skierowana na podwójne łóżko, a druga znajdowała się na suficie w salonie, z widokiem na komplet wypoczynkowy, ławę i biurko pod obrazem przedstawiającym pejzaż.

Na pierwszych ujęciach widać było, jak starszy z dwóch mężczyzn, których Michael widział w Banana Club, leżał na brzuchu w poprzek łóżka. Kołdra spadła na podłogę, prześcieradło było zmięte i poplamione. Radio na stoliku nocnym pokazywało czwartą trzydzieści. Łóżko częściowo oświetlało światło z przylegającej do sypialni łazienki. Holm odwrócił się na plecy, nie otwierając oczu, podrapał się pod mosznę i powoli podniósł, opierając kark na wezgielciu. Obok radia Michael zauważył wypity do połowy kieliszek wina. Ruchy mężczyzny wydawały się powolne i niepewne. Ziewnął, wstał i zniknął z kadru, kierując się w stronę łazienki.

– A gdzie się podział dźwięk? – spytał Michael.

– Nie mieliśmy czasu zamontować mikrofonów. Po prostu poszedł się odlać – wyjaśnił Straat.

– Amatorzy – mruknął Michael.

Peter Holm wrócił, usiadł na krawędzi łóżka i przyjrzał mu się, marszcząc brwi. Kładł się z powrotem, kiedy coś go powstrzymało i z powrotem usiadł wyprostowany. Pewnie przypomniał sobie, że nie był sam. Jego wargi poruszyły się, kiedy coś wykrzyknął.

Potem na chwiejnych nogach opuścił sypialnię.

– On został odurzony – stwierdził Michael.

Nobel popatrzył na niego czujnie.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. Zupełnie nie ma koordynacji. Pewnie rohypnol. Na nocnej szafce przy radiu stoi napoczęty kieliszek wina. To, że się obudził w środku akcji, było błędem.

– To ma sens – przyznał prezes po chwili. – Jego zabójca chciał być wspaniałomyślny.

Straat przełączył na kamerę w salonie. Widać było biurko i pudełko chusteczek. Kubek z długopisami i ołówkami, zdjęcie czyjejś matki w srebrnej ramce oraz młodego nagiego mężczyznę siedzącego przed otwartym laptopem. Obraz na ścianie był odsunięty, a drzwiczki ukrytego za nim sejfu – uchylone.

– Rasmus Nordstrand, biolog morski pracujący dla Nobel Oil w Ilulissat – przedstawił chłopaka Axel. – Wychodzi na to, że my mu wypłacamy pensję, żeby mógł nas zniszczyć. Ma żonę i córkę. Cała rodzina na stałe mieszka w Kopenhadze, a on jest w połowie Grenlandczykiem.

– Ma jakąś przeszłość? W sensie kryminalnym? – spytał Michael, bo nagle wyraźnie sobie przypomniał, jak widział tego mężczyznę w klubie. Uśmiechnęli się do siebie, a Michael nie odniósł wrażenia, że chłopak był gejem. Z drugiej strony podobnie pomyślał o Holmie.

– Jebany w dupę skurwiel jest czysty jak łza – odparł cicho prezes.

– Zasadniczo to Holm był jebany w dupę – sprecyzował Straat rzeczowym tonem, na co Nobel zmroził go wzrokiem.

– Dalej, Dirk.

Nordstrand podniósł lewą, wolną rękę z kolana do twarzy i nerwowo ścisnął dwoma palcami górną wargę. Wilgotne pasma długich czarnych włosów opadały mu na twarz, odsunął je za uszy tym samym, nerwowym ruchem. Szary pasek na komputerze stopniowo zmieniał kolor na zielony, w miarę jak kopiowanie zbliżało się do końca. Teraz obie ręce trzymał na kolanach i kołysał się w przód i w tył, spięty jak pies gończy. Kopiowanie zostało ukończone i wyszarpnął z komputera dysk USB w obudowie z karbowanego aluminium.

Nagle podniósł głowę, krzyknął coś i otrzymał słaby, niepewny cios od Holma, który wtoczył się w pole kamery. Geolog wrzeszczał, miał łzy w oczach. Nordstrand był młody i wysportowany, błyskawicznie poderwał się na nogi. Krzesło upadło za nim na podłogę, a on bez trudu obezwładnił Holma. Założył mu od tyłu chwyt duszący, plecy starszego mężczyzny wygięły się w łuk. Na szyi pokazały się żyły, a oczy wyszły z orbit. Bezskutecznie próbował się uwolnić, ale jego ruchy były coraz słabsze. Klatka piersiowa przestała się poruszać. Wtedy został odciągnięty z pola widzenia kamery.

Axel Nobel stłumił coś pomiędzy westchnieniem a jękiem i Michael spojrzał na niego z troską. Prezes był blady, zaciskał pięści. Patrzył na ekran z autentycznym żalem.

Zgodnie z cyframi, które przeskakiwały w dole ekranu, zanim Nordstrand wrócił, minęły prawie dwie minuty. Podniósł krzesło i ponownie usiadł przy komputerze. Oddychał pośpiesznie, jego ciało lśniło od potu, a z prawej dłoni kapłała krew.

Wykonał przeproszający gest w stronę monitora, po czym podniósł dłoń z trzema wyprostowanymi palcami niczym trójząb. Po chwili gwałtownie odwrócił głowę. Zerwał się na nogi i rozejrzał. Miał wykrzywioną ze strachu twarz. Wypowiedział trzykrotnie to samo słowo, po czym płynnym ruchem poderwał komputer. Obejrzał się za siebie i zniknął.

– Co tam się stało? – spytał Michael.

– Wyważyłem drzwi kopniakiem – odparł Straat. – Niestety, spóźniliśmy się. Zdążył uciec kuchennymi drzwiami.

– Goły?

– A to ma jakieś znaczenie?

– No, nie wiem, Dirk. Sądziłbym, że świadkowie łatwiej zapamiętają nagiego, przerażonego mężczyznę, który biegnie ulicą, niż idącego spokojne chodnikiem ubranego faceta.

– Tak, myślę, że Michael ma rację – przytaknął Axel. – Tak czy inaczej, Nordstrandowi udało się uciec z zawartością laptopa Petera, który zresztą zdążył wyrzucić przez okno. Twardy dysk jest do niczego.

– A ta zawartość jest na USB widocznym pod koniec nagrania?

– Oczywiście.

– W takim razie ten dysk może być teraz gdziekolwiek.

– O ile Nordstrand nie ukrył go w mieszkaniu Petera, gdzie policja go nie znalazła. A przypadkiem wiem, że nie znalazła.

Michael popatrzył na niego. Ktoś najwyraźniej zapewnił prezesowi swobodny dostęp do Komendy Głównej i prowadzonego przez nią śledztwa.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Żeby nie zostać złapanym z materiałem dowodowym przy sobie – wtrącił Straat.

Michael nie drążył tego wątku, ale wydało mu się to nielogiczne. Nordstrand właśnie opuścił miejsce zbrodni, zostawiając w nim zwłoki i całe zastrzeżenie materiałów dowodowych. Domyślił się, że Straat i Nobel nie mówili mu wszystkiego, ale już przywykł. Jego klienci nigdy wszystkiego mu nie mówili.

– Policja znalazła kamery? – spytał zamiast tego.

– Tak.

– Mogę to zobaczyć?

– Pokaż mu, Dirk.

Straat przewinął nagranie, cyfry przeskakiwały szybciej, niż Michael nadszedł je czytać. Za oknami zrobiło się jasno, cienie przesuwają się po podłogach i dywanach. W końcu Holender puścił przycisk.

Widać było postacie ubrane na biało. Twarz w białym czepku pokazała się zniekształcona i z tak bliska, że Michael się wzdrygnął. Kobieta, zniekształcona twarz za pęsetą, która była tak blisko, że trudno było na nią patrzeć. Michael zamrugał oszołomiony, kiedy kamerę obracano w przód i w tył. Pokój obracał się wokół własnej osi, wszystko nagle stało się nierzeczywiste. Potem mignęła twarz starszego mężczyzny z brodą, a następnie Michael zobaczył rudą, długonogą kobietę w znoszonej skórzanej kurtce, białej bluzce, dżinsach i butach trekkingowych, która z rękami skrzyżowanymi na piersi stała na końcu pokoju. Miała ładne, regularne rysy twarzy, piękne zielone oczy, jasną, naturalną karnację i szerokie usta, skłonne do żartów. I watę w nosie?

Najpierw poczuł, jak z jednego miejsca w brzuchu po jego ciele rozlewają się ciepło i nerwowość. I po chwili zbijają w coś twardego, zimnego i kanciastego.

Zdał sobie sprawę, że Straat mu się przygląda, i zaklął w duchu. Holender nie utrzymałby się w tej branży tyle lat, gdyby nie miał zwierzęcej intuicji oraz szóstego, siódmego, a może i ósmego zmysłu.

– Zobaczyłeś kogoś znajomego? – zagadnął.

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście, że jestem pewien – warknął Michael z irytacją.

Zignorował Holendra, który nie przestał się na niego gapić, i zwrócił się do Nobla.

– Jeśli przyjmę to zlecenie, to będę musiał zbadać te nagrania na własnym komputerze i własnym oprogramowaniu. I tak, aby nikt mi nie patrzył przez ramię. To niestety nie podlega negocjacji. Taki mam sposób pracy.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co mam odpowiedzieć. – Nobel się wahał. Rzucił okiem na Straata, który energicznie potrząsnął głową.

– Czy mógłbyś wyjść na chwilę, żebym mógł się poradzić z Dirkiem za twoimi plecami?

Michael wstał. I tak skręcało go z głodu nikotyny oraz potrzeby zgłębienia gwałtownych emocji, jakie w nim wywołał widok młodszej inspektor

Lene Jensen, chociaż nie widział jej na żywo od niemal dwóch lat.

– Z chęcią – oznajmił. I wyszedł.

\*

Szedł długim korytarzem, aż znalazł się poza zasięgiem słuchu i znalazł biuro, które było w trakcie remontu. Podłogę zakryto folią, a przy ścianach stały drabiny i kubły z farbą. Usunięto przeszkloną ścianę z widokiem na port, ale otwór zabezpieczono deskami, żeby jakiś nieuważny robotnik nie spadł i się nie zabił. Górną połowę otworu domknięto wzmocnionym plastikiem. Michael odsunął jeden róg i spojrzał dziesięć metrów w dół, gdzie na platformie z drewna tekowego kilka sekretarek piło kawę. Potem zaczepił róg plandeki o gwóźdź i zapalił papierosa.

Chwilę później cały budynek zaczął drżeć, gdy pomarańczowy helikopter do lotów długodystansowych zbliżył się do helipadu na końcu budynku. Sekretarki przytrzymały kubki z kawą, a jedna złapała parasol, żeby nie odfrunął. Nie przerwały jednak rozmowy, po prostu mówiły głośniejszym głosem. Michael pomyślał, że pewnie są przyzwyczajone. Szkoda, bo już sobie wyobraził, jak jedna z nich odlatuje z parasolem. Niczym Mary Poppins.

Odwrócił się, gdy poczuł na sobie czyjś wzrok.

Nobel i Straat stali kilka metrów od niego.

– Obawiam się, że obowiązuje tu zakaz palenia – oznajmił prezes.

– Przepraszam. – Michael pstryknięciem posłał papieros do wody.

Nobel się uśmiechnął.

– Żartowałem. Pal sobie, co chcesz. Sam bym od ciebie wysepił, ale żona zaraz by wyczuła.

– Ech... żony.

– Z ust mi to wyjąłeś – potwierdził tamten ponuro.

Michael wskazał głową na zasłonięty otwór.

– Mieliście jakiś wypadek?

– Wiesz, jak to jest ze starymi domami. Kiedy skończysz w jednym miejscu, to musisz zaczynać w innym. Może wrócimy do świątyni?

Prezes zasiadł za biurkiem, a Straat wrócił na swoją pozycję za plecami Michaela. Najpierw jednak wręczył mu płytę DVD, ze wzrokiem zapowiadającym świeży grób w razie zdrady.

– Mam nadzieję, że się na tobie nie zawiodę, Michaelu – oznajmił Nobel.

– Chyba nie mógłbym się zdobyć na wielkoduszność.

- Mam tego świadomość. Ostatnia sprawa: komputer Holma...
- Już ci mówiłem. Roztrzaskał się w drobny mak. Jego telefon znaleźliśmy przed policją, ale nic szczególnego w nim nie było.
- Tak. Ale chodzi mi o to, że dziś komputer patrzy na ciebie tak samo, jak ty patrzysz na niego.

Nobel zmarszczył czoło.

– To znaczy? Mogę cię zapewnić, że Peter miał wszystkie możliwe antywirusy. Nikt nigdy nie zdołał się włamać do żadnego z naszych firmowych serwerów, choć nie zliczę, ilu próbowało.

– Nie mówię o wirusach ani programach szpiegowskich. Mówię o kuszących młodych chłopcach z Ameryki. Jeśli ponownie obejrzycie te nagrania, zobaczycie, że na jego komputerze świeci się mała lampka. Ona oznacza, że kamera jest włączona. Tak naprawdę to dziecinnie proste. Na całym świecie młodzi mężczyźni, którzy właśnie osiągnęli dojrzałość płciową, korzystają z tego programu, żeby podglądać, jak ich dziewczyny albo zmysłowe panie od matematyki kąpią się albo przebierają. Może zresztą dziewczyny też to robią, nie zdziwiłbym się. Możecie mnie też zapytać, dlaczego Nordstrand kilkakrotnie wypowiedział do komputera to samo słowo i w ogóle dlaczego wykonywał do komputera jakieś gesty. Otóż dlatego, że w jakimś zupełnie innym miejscu był ktoś, kto to wszystko oglądał i na bank zobaczył rzeczy, których nie powinien był widzieć i które być może wcale się nie zgadzają z wersją, jaką właśnie dostałem od ciebie i Straata.

Straat zmienił pozycję, a Nobel posłał Holendrowi wściekłe spojrzenie ponad barkiem Michaela.

– Dziękuję. Obejrzę te nagrania raz jeszcze. I Michael, jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości, czy jesteś właściwym człowiekiem, to niniejszym zostały one rozwiane.

– Dziękuję.

Michael wstał i krótko uścisnęli sobie dłonie.

Nobel ponownie zmroził wzrokiem Straata, a potem szczerze uśmiechnął się do Michaela.

– Co zrobisz ze swoim milionem franków szwajcarskich?

– Na pewno nie zamierzam sobie za nie kupować żadnej plaży.

\*

Pod niebosięzną kopułą na długo zapadła cisza. Dirk Straat studiował podłogę, a Nobel odwrócił swój fotel, żeby mieć widok na sunące po niebie chmury.

W końcu z powrotem odwrócił fotel do biurka, z szuflady wyjął kwadratową butelkę bez etykiety, nalał sobie do szklanki na trzy palce jasnobrązowego płynu i wypił duszkiem.

– Dirk, ten człowiek ma rację – oznajmił i zaraz zakaszał. – I dlaczego ty tego nie zauważyłeś? Tego, że Peter był praktycznie nieprzytomny, że na szafce stał kieliszek, że kamera w komputerze była włączona? Przynajmniej jedna osoba wszystko widziała. Sytuacja wymyka się spod kontroli. Mister Straat, to niewybaczalne!

Prezes wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Nie jestem Michaelem Sanderem – wyjaśnił Holender i zapalił czarne pękate cygaro z obciętym końcem. Zaciągnął się głęboko i z troską patrzył na dym. – Sam pan mówił, że nasze kompetencje mają się uzupełniać... sir.

– Tyle masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

– Mister Nobel, on zna tę rudą.

Nobel stanął w miejscu.

– Tę policjantkę?

– Lene Jensen. Młodsza inspektor policji z Komendy Głównej. Coś go z tą kobietą łączy albo łączyło.

– Dirk, Sander pracował w policji. Nawet jeśli się znają, to co z tego? Skup się raczej na odnalezieniu żony Nordstranda. To prawdopodobnie z nią komunikował się przez komputer Petera. I to ona ma w tej chwili dysk USB.

– Chyba że ukrył dysk w mieszkaniu, sir.

– Tak czy inaczej musisz ją znaleźć. A odnalezienie naszych danych zostaw Sanderowi. Właśnie nabrałem jasnego przekonania, że on poradzi sobie z tym lepiej od was.

– Oczywiście, mister Nobel.

– Dirk, Chińczycy nie dają mi żyć. Zainwestowali w zatoce Disko trzy miliardy dolarów i nie dociera do nich, że rafineria nie działa na pełnych obrotach. – Wrócił za biurko i usiadł. – To do nich nie dociera – powtórzył jakby do siebie.

– Znajdę ją i córkę, mister Nobel. A co potem?

– Czy nie za to pobierasz swoje oszałamiające honorarium? Za to, żeby sprawiać, by problemy zniknęły? One dwie są problemem. Zrób tak, żeby



znikły. Na razie.

\*

W Banana Clubie panował półmrok, przytłumione oświetlenie współgrało z atmosferą wiecznej imprezy. Na scenie striptizer wykonywał długą serię zmysłowych figur, mając za partnera lśniąca metalową rurę. Kelner na rolkach z wirtuozerią meandrował między stolikami, po drodze przecierając je szmatką. Barman wyjmował szkło ze zmywarki, a Lene siedziała z właścicielem klubu w dawnej projektorni, wysoko nad parkietem.

Właściciel był sympatycznym opalonym mężczyzną w średnim wieku. Miał na sobie pastelową koszulkę polo, chinosy i mokasyny. Nosił obrączkę na palcu, okulary corbusierki i długie siwe włosy zaczesane do tyłu.

W tej chwili oglądał właśnie nagrania z kamer monitoringu na ekranie komputera podzielonym na cztery pola.

– Myślę, że to może być ten moment. O jaką konkretnie godzinę nam chodzi?

– Zgodnie z wyciągiem karty zmarłego o dwudziestej trzeciej dwadzieścia jeden zapłacił dwieście czterdzieści koron.

– No tak.

Właściciel sprawdził wydruki z kas z tamtego wieczoru.

– Petera Holma obsługiwał Marcel przy stoliku dwunastym. Dwa razy gin z tonikiem. Czyli... zmarłego i jego towarzysza mamy tutaj. Proszę.

Odsunął się z krzesłem i Lene pochyliła się nad monitorem. Mulat na rolkach przywiózł tacę z dwiema szklankami lodu do stolika w zacienionej wnęce. Peter Holm rozmawiał swobodnie, ale z zaangażowaniem z młodym przystojnym mężczyzną o czarnych włosach. Co jakiś czas stykali się głowami, a ich słowotok często przerywały uśmiechy zrozumienia. Kelner przesunął kartę Holma w bezprzewodowym terminalu, zaś młody mężczyzna zaczął saczyć swojego drinka. Jedną dłoń położył na przedramieniu geologa. Kelner oddalił się w głąb parkietu, a Peter Holm uśmiechnął się jak zakochany nastolatek. Kolana mężczyzn stykały się pod stolikiem.

– Wydaje się, że atmosfera jest niezwykle przyjacielska – zauważyła Lene.

– Banana Club to przyjazne miejsce, pani młodsza inspektor.

– Naturalnie, ale zastanawiam się, czy widział pan już wcześniej tego mężczyznę, który płacił? Według informacji z banku był tu wielokrotnie,

odkąd się otworzyliście.

Właściciel wsparł brodę na dłoni.

– Nie wydaje mi się, chociaż osobiście rzadko tu bywam. Poza Bananem mam jeszcze trzy restauracje. Ale mogę zapytać menedżera i kelnerów.

– Dziękuję, będę wdzięczna. Mogę dostać kopię tego nagrania?

– Oczywiście. *No problemo.*

– A młodszy z mężczyzn? Zna go pan?

– Niestety nie.

Właściciel wsunął do komputera płytę CD i klikał w kolejne menu, tymczasem Lene patrzyła nieobecny wzrokiem na ekran, na którym wciąż odtwarzane były nagrania z czterech różnych kątów. Aż coś przykuło jej uwagę i kazało w pełnym skupieniu obserwować rozwój wypadków: czarny olbrzym w smokingu przedzierał się przez tłum na końcu baru, a młoda kobieta w trenczu Burberry wrzeszczała wściekle na potulnego jak owieczka młodego mężczyznę z kucykiem. Lecz to nie oni wzbudzili zainteresowanie Lene. Ani barman, ani para w średnim wieku, może rodzice tej dziewczyny. Jej uwaga skupiała się na ciemnowłosym, barczystym i ogorzałym mężczyźnie stojącym na uboczu całego zamieszania. Mężczyzna miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę i luźno zawiązany krawat, a na twarzy wyraz nieskończonego znużenia światem.

Michael Sander.

Lene z rezygnacją odchyliła się na krześle.

Jej życie przypominało komiczne yo-yo i z jakiegoś powodu Michaelowi Sanderowi przypadła rola tego, kto trzyma sznurek.

Właściciel klubu skończył kopiować nagranie i popatrzył na ekran nad pleców Lene. Zatrzymał obraz.

– O, a to rzeczywiście pechowa historia. Okazało się, że ten młody człowiek po prawej jakiś rok temu porzucił w Anglii żonę i dziecko i od tamtej pory się z nimi nie kontaktował. To znany chirurg plastyczny, wyobraża pani sobie? Rodzina odchodziła od zmysłów, nie mieli pojęcia, co się z nim stało. A on tymczasem pracował u nas w klubie i mieszkał z jednym ze striptizerów.

– W takim razie potrafię zrozumieć oburzenie żony – przytaknęła Lene. – Ale w końcu udało im się go znaleźć?

– Najwyraźniej. Oczywiście zwolniliśmy tego człowieka, razem ze striptizerem, mimo że ten drugi był dość lubiany. Nie możemy sobie tu pozwolić na takie burdy. Rodzinne dramaty. Tak nie można.

– Oczywiście.

\*

Lene ucięła sobie pogawędkę z sekretarką Charlotte Falster w recepcji biura komendantki głównej, patrząc jednocześnie na pozostałe brzydkie budynki stanowiące główną siedzibę najwyższej jednostki policji mieszczącej się nie wiadomo czemu w Glostrup.

Potem spojrzała na zegarek. To Charlotte nalegała na to spotkanie, a taki poślizg był zupełnie nie w jej stylu.

Za drzwiami szefowej wszystkich szefów dobiegały podniesione głosy.

– Pernille, kto ma w tej chwili audiencję?

Sekretarka miała słuchawki na uszach i pisała pod dyktando.

Lene powtórzyła pytanie, na co sekretarka uśmiechnęła się i wyjęła jedną słuchawkę.

– Nie widziałam go wcześniej, ale Charlotte osobiście zeszła po niego na dół do recepcji, co jest bardzo nietypowe. Żółte skarpetki. Garnitur. Okulary.

– Żółte, mówisz? Okej. Dzięki.

Sekretarka pisała dalej, a głosy za drzwiami unosiły się coraz bardziej.

Lene skrzyżowała ręce na piersi i wyjrzała za okno. Kawalek dalej, po lewej dostrzegła granatowe ministerialne bmw Anderssona. Kierowca siedział w środku z łokciem wystawionym przez okno i papierosem w dłoni.

W końcu Lene usłyszała, jak otwierają się drzwi, i na podłodze rozległy się pośpieszne kroki. Odwróciła się, dopiero kiedy kroki dotarły do korytarza i mignęły jej skarpetki, znak rozpoznawczy Toma Anderssona.

Policzki Charlotte płonęły i Lene stwierdziła z zazdrością, że jej szefowa jest wściekła. Normalnie komendant główna policji była uosobieniem opanowania i nawet Lene nigdy nie udało się skruszyć tej fasady, choć z upływem lat próbowała wielokrotnie, często z żelazną determinacją. Andersson najwyraźniej miał jeszcze większy od niej talent do wyprowadzania ludzi z równowagi.

– Wejść i usiąść – powiedziała Charlotte, nie patrząc na Lene. Sama usiadła za trzyczęściowym portretem przedstawiającym szefa departamentu i ich dwójkę udanych dzieci. Nagle zerwała się gwałtownie, podeszła do okna i patrzyła nieruchomym wzrokiem na kompletnie nieciekawym parking. Pobawiła się perłowym naszyjnikiem, znów usiadła i rozejrzała się po bla-

cie, szukając czegoś, czym mogłaby zająć ręce. Ale blat jej biurka był pusty, jak zawsze. Charlotte uważała, że ludzie z bałaganem na biurku mają bałagan w swoich priorytetach i mózgach. Ostatecznie splotła dłonie przed sobą.

Lene przyglądała jej się zafascynowana.

Andersson nie został poczęstowany kawą. Ani nawet szklanką wody.

– Co się dzieje? – spytała szefową wprost.

– Nic.

Wzrok zza okularów przesunął się po twarzy Lene i zatrzymał na żaluzjach. Sznur pereł. Niespokojne palce. Nerw drgający na chudej szyi.

– Charlotte, przecież nie jestem ślepa. Andersson, Ministerstwo Sprawiedliwości. Czego on chciał?

Przełożona wreszcie na nią popatrzyła.

– Co ci się stało?

– Słucham?

Wskazała na własny nos.

– Nie sądzisz, że pora dać sobie spokój ze sportem walki? Kickboxin-  
giem, czy jak to się teraz nazywa? Nie wydaje ci się, że jesteś już na to...

– Wiem, ile mam lat, dziękuję.

– W porządku, nie rozumiem po prostu, dlaczego się okaleczasz. Ja chodzę na pilates i bodyflow i to mi w zupełności wystarcza. Mogłybyśmy...

– Pilates.

– Właśnie.

Lene wolałaby zostać rzucona na pożarcie norkom, niż pójść na zajęcia pilatesu w Odrupie czy gdzie tam chodzi jej szefowa.

Na początku ich znajomości Lene i Charlotte szczerze się nie znosiły. Lene uważała szefową za pozbawioną wyobraźni formalistkę, doskonałą prawniczkę bez najmniejszego pojęcia o praktycznych aspektach pracy w policji. Charlotte z kolei traktowała Lene jak dinozaura, dla którego współczesne zarządzanie, praca w grupie, synergia, wizja i autonarracja to pojęcia abstrakcyjne.

Z czasem jednak udało im się nieco zbliżyć i obecnie, nawet jeśli nie łączyła ich przyjaźń, to na pewno darzyły się szacunkiem.

– Dzięki za troskę – odparła Lene. – Zastanowię się nad porzuceniem boksu, jeśli mi powiesz, co się dzieje i dlaczego potrzebujemy ochrony ministerialnych urzędników, którzy się zjawiają na świeżych miejscach

zbrodni, żądają codziennych raportów i dostają materiał dowodowy, zanim ja go dostanę.

– Nie ma powodu dramatyzować tylko dlatego, że...

– Charlotte, bawisz się naszyjnikami. Kiedy ostatni raz to robiłaś, ministrowie spraw zagranicznych mieli zostać wysadzeni w powietrze przez islamskich terrorystów.

– Tak robiłam? I teraz też?

Jej ręce ponownie spoczęły na blacie biurka.

– No dalej, mów wreszcie.

– W porządku. Niech ci będzie! W sumie nasza rozmowa dotyczyła głównie ciebie. Poza tym Andersson nie jest urzędnikiem. Gdyby był, przynajmniej byłoby wiadomo, że można się zwrócić do kogoś na górze, jeśli mamy z nim problem. Ale on jest specjalnym doradcą. Co oznacza, że emerytura urzędnicza jest mu kompletnie obojętna, bo jej nie dostanie. Wkrótce i tak zostanie przerzucony do innego punktu zapalnego. I z tego, co mówi mój mąż, ma spory wpływ na ministra. Poza tym Tom Andersson prowadzi spartański żywot i nie da się go przekupić ani do niczego zmusić. Chyba że ktoś próbowałby mu zabrać te skarpetki.

– Ale dlaczego cały czas tak mi patrzy na ręce?

– Bo to jego praca. Nie bierz tego do siebie.

– A Holm?

– Zabójstwo Petera Holma zyskało wielki rozgłos. Mowa o głównym technologi Nobel Oil, firmy, która wspólnie z Chińczykami uruchamia wydobycie z największego złoża oleju łupkowego i gazu, jakie kiedykolwiek zostało odkryte. Ten projekt będzie miał kolosalne znaczenie dla Danii przez wiele kolejnych pokoleń. Poza tym Andersson zasugerował, że zabójstwo nie było motywowane osobiście.

– Skąd on to wie? Nawet ja tego nie wiem!

– Z tego, co zrozumiałam, sprawca usunął z miejsca zdarzenia bezcenne informacje. Wiesz, kto to jest?

– Domyślam się, ale jeszcze nie mam pewności. Ten Andersson był przy tym? Bo skąd inaczej może wiedzieć...

– Oczywiście, że go przy tym nie było. Ale w tej chwili on działa trochę jak taki pośrednik między rządem a Nobel Group i...nie mam pojęcia, w jakim zakresie wymieniają się informacjami, ale wiem, że na pewno to robią, bo wyjaśnienie tej zbrodni i kontynuowanie wydobycia w Grenlandii jest wszystkim na rękę.

– Ktoś zamontował w mieszkaniu Holma monitoring – oznajmiła Lene. – Profesjonalne kamery.

Charlotte nie wydawała się zaskoczona, ale nie skomentowała tej informacji.

– Jeśli Andersson uważa, że motyw nie był osobisty, to muszę przyjąć, że on albo inni ludzie mają dostęp do nagrań z tych kamer. – Lene starała się mówić spokojnie, chociaż gotowało się w niej z bezsilnej złości. – Naturalnie bardzo by mi pomogło, gdybym również miała taką możliwość.

Komendant uciekła wzrokiem.

– To jasne. I myślę, że możesz spokojnie przyjąć, że Andersson ma pełen obraz sytuacji. Ale ja nie. Ja nie zasiadam w parlamentarnej komisji nadzoru.

Lene domyśliła się, że zagrozili zniszczeniem jej kariery.

– Oczywiście, że to jasne. Charlotte! Ja się pytam, co zamierzasz z tym zrobić? Zdobędziesz dla mnie dostęp do tych nagrań?

– Nie sądzę, abym miała taką możliwość. W każdym razie nie teraz. Przykro mi.

– Czyli mam worek na głowie, jest środek nocy i każecie mi przejść po linii między dwoma wieżowcami. Tak to ma wyglądać?

Lene nie czekała na odpowiedź.

– Więc o co pytał?

– Tak naprawdę chciał się tylko dowiedzieć, czy jesteś lojalna.

– Czy jestem lojalna?

Charlotte popatrzyła Lene w oczy. Próbowwała jej coś zakomunikować coś, czego nie da się sformułować wprost.

– W najszerszym możliwym znaczeniu. Lojalna wobec systemu.

– I co mu powiedziałaś?

– Że jesteś najbardziej lojalną osobą, jaką znam.

– I to go uspokoiło?

– Nie. Nie rozumiał, dlaczego pozwałam ci pracować w pojedynkę ani dlaczego nie przydzielono więcej środków na wyjaśnienie tak ważnej zbrodni. Powiedziałabym wręcz, że był bardzo niezadowolony. Oczywiście w imieniu innych.

– To nigdy nie była kwestia dostępnych środków – przypomniała szefowej Lene. – Pracuję sama, bo to się sprawdza. Poza tym mam Bjarnego od spraw technicznych. Jest genialny, choć specyficzny. I mam Arnego.

– To właśnie próbowałam mu wyjaśnić. Że jesteś najlepsza do tego typu spraw. Ale on pochodzi ze świata innego niż twój. Oczywiście ma pewną władzę i wpływ na to, co robi, ale również otrzymuje rozkazy z góry.

– Jakże zatem są twoje zalecenia? – Lene przybrała formalny ton.

– Jeśli i gdy zidentyfikujesz sprawcę, chcę się o tym dowiedzieć jako pierwsza i absolutnie jedyna osoba. Nie jestem w stanie wyrazić słowami, jakie to ważne.

Lene wzruszyła ramionami i wstała z krzesła.

– Gra pozorów. Nienawidzę tego! Ale dobra, dowiesz się w tej samej sekundzie, w której ja się dowiem.

– I nie będziesz potrzebować pomocy?

– To znaczy?

– Johannes Mark jest moim zdaniem całkiem zdolny.

Lene się skrzywiła.

– Johannesowi dopiero co sypnął się wąż. Nie wysiadłabym z płonącego samochodu, gdyby mnie o to poprosił.

Komendantka główna nie lubiła, kiedy kwestionowano jej oceny.

– Jest dobrze wychowany, pochodzi z dobrej rodziny, jest porucznikiem rezerwy Straży Królewskiej, studiował prawo i jest graczem zespołowym.

– Świetnie. W takim razie umieść go w reprezentacji piłki nożnej. Byle dalej ode mnie.

Szefowa Lene westchnęła ciężko.

– Co teraz zrobisz? – spytała.

– Pomyślałam, że napiję się kawy.

– Pytam o sprawę, Lene.

– Wrócę do mieszkania Holma, skoro już wiem, że nie będą mnie nagrywać wszelkie możliwe kamery i mikrofony i podglądać jacyś ludzie, o których nie wiem, kim są i których tożsamości nie chcesz mi ujawnić.

Charlotte się skrzywiła.

– Po co?

Lene spojrzała na nią osłupiała. Po co? Dziwne pytanie. I w ogóle poczuła się osaczona, kiedy ją przepytywano co zamierza i kiedy. Zwykle Charlotte nawet wołała, żeby Lene trzymała się jak najdalej od Glostrup

– Ponieważ technicy nie znaleźli rzeczy najistotniejszych. Na przykład telefonu albo kalendarza. Poza tym lubię sobie w samotności obejrzeć miejsce zbrodni. Próbuję zrekonstruować przebieg wydarzeń, postawić się na miejscu ofiary i sprawcy. To zwykła policyjna rob...

Charlotte powstrzymała ją uniesioną ręką.

– Tak, wiem. Jestem ignorantką. Mówiłaś mi to milion razy.

Lene się uśmiechnęła.

– Nie będę się kłócić.

\*

Po frustrującej rozmowie z szefową Lene wróciła do małego biura, które dzieliła ze swoim zwalinstym asystentem i informatykiem Bjarnem. Nikt tak naprawdę nie wiedział, skąd Bjarne się tam wziął, ale na pewno zasłużył na miano wirtuoza elektroniki. Do tego był chorobliwie nieśmiały i mieszkał z matką, chociaż stuknęła mu już jakiś czas temu czterdziestka. Lene położyła mu na biurku nagranie z Banana Club i usiadła za swoim biurkiem. Postukała palcami w blat i patrzyła, jak jej kompan tupta w cichobiegach po podłodze wyłożonej filcem igłowanym, żeby włączyć swój prywatny czajnik elektryczny.

– Dzwonił ktoś albo coś się stało? – spytała.

– Herbaty cytrynowej?

Lene się wzdrygnęła i przyjrzała uważniej jego czerwonej, pełnej twarzy.

– Nie, dzięki. Więc jak, Bjarne? Znam ten wyraz twarzy. Coś znalazłeś. Mów.

Jego kąciki warg uniosły się o milimetr: Bjarne się uśmiechał. Metodycznie pięć razy zanurzył torebkę herbaty w kubku, wyrzucił ją do kosza i dwukrotnie podmuchał parujący napój. Potem powoli wypił mały łyk, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. W ten sposób się z nią droczył.

– Z bilingu wynika, że po południu w dniu, w którym został zamordowany, Peter Holm wykonał trzy telefony – wymamrotał wreszcie. – Jeden do swojej matki i dwa do niejakiego Rasmusa Nordstranda. Pierwszy z nich trwał dziewięć i pół minuty, a drugi półtorej minuty. Rasmus Nordstrand ma trzydzieści trzy lata i żonę, dziennikarkę o imieniu Anna. Wychowują dziewięcioletnią córkę Theę. On pracuje jako biolog morski dla Nobel Oil i przeważnie urzęduje w Grenlandii. Zhakowałem jego profil na Facebooku, jest otwarty na twoim komputerze.

Lene łapczywie poklikała, żeby obudzić monitor, i oto uśmiechał się do niej młody czarnowłosy mężczyzna z Banana Club, stojąc na kamienistym odludnym wzgórzu wśród zaśnieżonych szczytów. Miał na sobie czerwoną kurtkę z logo Nobel Oil na piersi.



– Jesteś geniuszem – pochwaliła kolegę. – Naprawdę. Przecież to on. Jesteś pięknym, pięknym człowiekiem, Bjarne.

– Dziękuję. – Informatyk zaczerwienił się i usiadł przy swoim biurku zawałonym elektronicznymi gadżetami, laptopami i chrupkami serowymi.

Lene przeglądała foldery ze zdjęciami Nordstranda, które, podobnie jak wszystko na Facebooku, sygnalizowały brak jakichkolwiek problemów, bliskość i rodzinne życie toczone w domowym zaciszu. Znalazła zdjęcia ślubne sprzed trzech lat. Smutna ciemnowłosa kobieta, która siedziała przy budce z lodami pod domem Petera Holma, okazała się żoną Rasmusa, Anną z domu Nielsen, a drużną na ich ślubie była córka Thea. Dziewczynka o wszystkowiedzących niebieskich oczach.

Zeszłe lato rodzina Nordstrandów spędziła w tropikalnym raju. Lene oglądała porośnięte drzewami bloki skalne charakterystyczne dla wybrzeża Tajlandii. Dziewczynka bawiła się na plaży, umięśniona ręka Rasmusa obejmowała ramiona uśmiechniętej z zachwytu Anny, odzianej w złote sari i ogromny kapelusz słoneczny i wyglądającej niczym ciemnowłosa Nicole Kidman. Nordstrand miał na nadgarstku wytatuowanego węża, takiego samego jak jego żona wokół lewej kostki.

Miłosne tatuaże, pomyślała i poczuła ukłucie zazdrości. Szczęście, szczęście, szczęście.

Zadzwoił jej telefon i Lene odebrała natychmiast.

– Dempsey i Makepeace na tropie. Mówi Makepeace.

– W takim razie to pomyłka – oznajmił cierpko Arne.

– Coś ty. To ja. Co masz?

– Nic specjalnego. Kilka informacji ode mnie i medyków sądowych, jeśli cię to interesuje i jeśli jeszcze ich nie dostałaś.

– *Cholernie* mnie to interesuje.

– DNA z nasienia na prześcieradle jest oczywiście zgodne z DNA Holma – zaczął Arne – natomiast DNA z krwi w salonie, kuchni i bramie na podwórzu pochodzi od tej samej, nieznaney nam osoby. Mężczyzny.

Lene popatrzyła na uśmiechniętą twarz Rasmusa na swoim monitorze.

Nie całkiem nieznaney, pomyślała.

– To prawdopodobnie DNA sprawcy – ciągnął Arne. – Peter Holm został odurzony rohypnolem. Lekarze znaleźli to w jego żołądku, krwi i w kieliszku wina na nocnej szafce.

– Super. Dzięki, Arne.

Powinna czuć satysfakcję, ale bezskutecznie jej w sobie szukała.

- To świetnie. Dobra robota. Naprawdę – powiedziała matowym głosem.
- Czyli zabójca nie doszedł?
- W sensie?
- Nie miał orgazmu? Wytrysku?
- Bjarne poruszył się za jej plecami.
- Nie. I w mieszkaniu nie było kondomów. Bo to było twoje następne pytanie, prawda?
- Prawda. Ale to nic. Dzięki za informację.
- Zaczekaj, do diabła! Najlepsze zostawiłem na koniec – brzmiał jak podekscytowane dziecko.
- Czyli?
- Zestaw wyjątkowo pięknych i kompletnych odcisków palców na narzędziu zbrodni, czyli kuli śnieżnej. Powtarzają się również w innych miejscach w mieszkaniu. Znaleźliśmy też jego ubranie, wepchnięte pod łóżko. Bokserki, buty trekkingowe, dzinsy i...
- ...niebieska koszulka z Pattaya Beach? – zapamiętała ją z nagrania z Banana Club.
- Arne zamilkł.
- Przepraszam, ale mówimy o Rasmusie Nordstrandzie, tak? – spytała ostrożnie.
- Usłyszała, jak Arne wciąga głęboko powietrze, a po nim wzdycha ze smutkiem.
- Zgadza się. Skontaktowałem się z Europolem i amerykańskimi służbami celnymi i ci ostatni dopasowali odciski palców z pobranymi od obywatela Danii, który dwa lata temu przyleciał do Stanów z lotniska w Anchorage na Alasce. Rasmus Nordstrand. Ale to już wiedziałas.
- Zawód w jego głosie sprawił, że Lene zacisnęła zęby. Ona też poczuła się zawiedziona – sobą. Dlaczego nie potrafiła mu oddać tego małego triumfu?
- To było tylko przypuszczenie. Może trochę więcej – wyjaśniła z poczuciem winy, chociaż i tak było za późno na skruchę. – Za to ty dostarczyłeś twarde dowody i za to wielkie dzięki, Arne. Wygląda na to, że to był on. Tylko dlaczego? Oglądam właśnie jego profil na Facebooku, który zresztą regularnie aktualizuje. I on wygląda tu na najbardziej heteroseksualnego człowieka na świecie. Sielanka aż mdli.
- Niestety Arne miał jej dość na dzisiaj.
- Na pewno się tego dowiesz. Jesteś na tropie, jak sama powiedziałaś. I nie, wciąż nie wiem, kto wykopał te drzwi. Do widzenia.

– Czeka! Były tam mikrofony? – zawołała.

– Nie. Ale była jeszcze jedna kamera, w sypialni, skierowana na łóżko.

Lene odłożyła słuchawkę. Odsunęła się z fotelem, położyła nogi na biurku i znów spojrzała na ekran.

– Ładny facet, ładna żona, ładna córka, ładna kariera, wszystko takie cholernie ładne. Więc dlaczego?

– Mówiłaś coś? – spytał Bjarne.

– Nie.

Zasadniczo sprawę można było uznać za wyjaśnioną. Poza pojmaniem sprawcy Rasmusa Nordstranda oczywiście. Ta sprawa rzeczywiście była wyjątkowo prosta, dokładnie tak, jak przewidział Andersson. Coś, co dowolny śledczy wyjaśniłby podczas spokojnego dnia w biurze. Więc dlaczego się nie cieszyła?

Bo to się nie trzymało kupy.

Rasmus Nordstrand nie był gejem, tego była pewna. Co w takim razie robił w łóżku Petera Holma?

Odpowiedź musi się znajdować gdzieś pomiędzy tymi strzępami informacji, którymi nikt nie chce się z nią podzielić: w zdenerwowaniu Charlotte, w jej wymijających sformułowaniach, w specjalnym doradcy ministra sprawiedliwości, który może ludzi awansować albo degradować i który żądał codziennych raportów. Nie sporządzała ich, odkąd dwadzieścia lat temu przestała patrolować ulice w Vesterbro. Jej kolegą z patrolu był zgryźliwy Bent o włosach w kolorze żółtawego blondu i z całej ludzkości lubił tylko Lene. Nazywali ich płomień i cytryna, trochę przez ich fryzury, a trochę dlatego, że wykazywali taką samą brawurę, jak słynny duet z duńskiego ruchu oporu.

– Lene?

– Co?

– Dlaczego łamiesz te długopisy? Nie działają?

– Jakie długopisy?

Spojrzała na swoje dłonie. Były niebieskie od tuszu z tanich pisaków, które im kupowało państwo. Trzy z nich leżały przed nią w kawałeczkach, a w rękach trzymała czwarty i jego też próbowała właśnie złamać na pół.

– Stało się coś? – zaniepokoił się Bjarne.

– Nie. Po prostu... To nic takiego. Nic.

– Ale to jest on, prawda? Ten Nordstrand?

– Oczywiście, że to on. To, co zrobiłeś, to majstersztyk. Bez wątplenia.

W mieszkaniu Petera Holma musiało być coś, co przeoczyli. W przeciwnym razie po co żona Nordstranda i jego córka siedziałyby tam tyle godzin? To się naprawdę nie trzymało kupy.

Nagle Lene przypomniała sobie, co obiecała Charlotte i wysłała jej ma-  
iła:

RASMUS NORDSTRAND, 33 L., BIOLOG MORSKI, NOBEL OIL. ŻONATY. JEDNO  
DZIECKO. TO ON. TYLKO DLACZEGO? ZAMIERZAM SIĘ TEGO DOWIEDZIEĆ.  
LENE

\*

Michael znalazł stół w zacisznym rogu biblioteki miejskiej przy Krystalgade. Obok jego łokcia znajdowało się podwójne espresso z mlekiem oraz kanapka. Zdjął marynarkę i poluzował krawat. Następnie za pośrednictwem telefonu satelitarnego ustanowił prywatny hotspot, łącząc się z bezpiecznym serwerem w piwnicy pod instytutem geografii Uniwersytetu Humboldta w Berlinie. Korzystał z tego serwera od lat, natomiast pracownicy instytutu chyba zapomnieli o jego istnieniu. Poza sporadycznymi wizytami Michaela ostatni wpis w dzienniku zdarzeń pochodził z 3 czerwca 2011 roku.

Siedział wśród monotonnego szumu morza studentów i uczniów, a suchy zapach papieru łaskotał go w nos.

Proste wyszukiwanie hasła „Wojownicy Posejdona” wyrzuciło jedynie informacje, które już wcześniej znalazł w prasie. Włamał się na profil Rasmusa Nordstranda, który wyglądał jak wszystkie inne. Żadnych politycznych deklaracji ani radykalnych opinii. Znalazł za to serię zdjęć z wakacji w Tajlandii, na których mignął mu niewielki trójząb wytatuowany na lewej łopacie biologa. Żona wyglądała zdaniem Michaela jak Nicole Kidman z ciemnymi włosami, a córka była prześliczna. Uśmiechała się szeroko na wszystkich zdjęciach. I nic, absolutnie nic ani w tych zdjęciach, ani towarzyszących im opisach wprawnemu oku Michaela nie sygnalizowało, że Rasmus Nordstrand mógł być homo- czy biseksualny.

Następnie włamał się na profile rodziny, przyjaciół i kolegów Nordstranda. Oglądał foldery zdjęć przedstawiających skrawki życia przypadkowych ludzi, aż miał ochotę wyć z nudów. Uznał również, nie po raz pierwszy, że ludzie zamiast życiem zaczęli się zajmować dokumentowaniem najróżniejszych przedstawień. Jednego dnia wystawiają sztukę pt. „Idealna ro-

dzina z dziećmi”, a drugiego – „Jestem zakochany”. Wydarzenia liczyły się, dopiero gdy zostały pokazane w mediach społecznościowych.

Ugryzł kanapkę, przeżuł kęs w zamyśleniu i popił go zimną kawą. Do rzeczywistości przywrócił go pojedynczy sygnał oznaczający nową wiadomość. Było to powiadomienie od niedużego prywatnego banku w Liechtensteinie, który obsługiwał śmiesznie małe ostatnimi czasy transakcje jego firmy. Tym razem szef, dr Voller, informował go, że na jego konto wpłynęło właśnie sto tysięcy szwajcarskich franków. Do wiadomości dołączono zaproszenie do niezobowiązującej rozmowy na temat funduszu emerytalnego i możliwości inwestycyjnych oraz na lampkę sherry, kiedy Michel znów będzie w Vaduz. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd Michael dostał jedno z nieformalnych zaproszeń od dr. Vollera.

Wsparł brodę na dłoni i oczy mu się zamykały, gdy gdzieś w najodleglejszym zakamarku świadomości coś nieznacznie skrzypnęło. Jakieś odstępstwo, które zobaczył przed chwilą na Facebooku, chociaż nie przywiązał do tego szczególnej wagi. Coś na którymś ze zdjęć.

Nie na profilu Nordstranda, ale dużo dalej, na profilu któregoś z jego znajomych. Parę zdjęć z męskiego wypadu do starego domku letniskowego z dużą werandą. Popołudniowe słońce malowało na złoto nagie wysepki, krystalicznie czyste morze i surowy szary granit. Na stole wały się puste puszki po piwie, butelki wódki, sztucce i upačkane papierowe talerze. Garstka młodych mężczyzn w niezobowiązujących pozach wyglądała na rybaków albo weteranów: zaprawieni w boju, brodaci, w znoszonych czapkach baseballowych i wyblakłych koszulkach.

Z opisu wynikało, że tegoroczna męska wyprawa odbyła się w Orust w szkiecach na wysokości Göteborga.

Michael przeniósł zdjęcia do swojego ulubionego programu do obróbki. Powiększał, przycinał, znów powiększał i znów przycinał, aż miał na ekranie trzy sterczące palce na środku zdjęcia. Gest, który dla wtajemniczonych musiał symbolizować trójzab Posejdona. Palce należały do jasnowłosego wikinga z gęstą brodą i w zielonej koszulce z trzeciej duńskiej wyprawy oceanograficznej 2006–2007. Miał uśmiechnięte oczy, choć zamglone i przekrwione. Na ramieniu wiking miał wytatuowany trójzab identyczny z tym na łopacie Nordstranda. To właśnie on przywoływał Michaela z jego własnej podświadomości.

Rozbrykani, młodzi, pijani i we własnym mniemaniu niepokonani i nieśmiertelni. Małe bractwo. Trzy sztywne palce sterczały dokładnie nad

głową Nordstranda. Rasmus uśmiechał się ostrzegawczo do kolegi i podnosił dłoń, żeby ukryć tajny znak.

Michael odchylił się na krześle i postukał palcami w stół.

Viking nazywał się Alan Knutzon i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa należał do Wojowników Posejдона. Arcywrogów Axela Nobla i terrorystów ściganych na całym świecie.

Jego podejrzenia potwierdziły kolejne dostępne w sieci informacje: Knutzon również był biologiem morskim, studiował na Uniwersytecie Kopenhaskim razem z Rasmusem Nordstrandem i razem służyli w wojsku. Viking mieszkał z dziewczyną Marią Kemper w mieszkaniu w Vesterbro. Nie mieli dzieci. Knutzon pracował obecnie jako szef wydziału w Agencji Ochrony Środowiska i specjalizował się w biotopach morskich w Arktyce.

– Oj, Rasmus, Rasmus. Na co komu wrogowie, jeśli ma się takiego przyjaciela jak Alan. A ty, Alanie: nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziewa twój przyjaciel? Ktoś aż się pali, żeby sobie z nim porozmawiać – mruknął Michael do siebie.

Złapał trop.

Dla porządku obejrzał jeszcze raz nagrania z kamer w mieszkaniu Holma, ale nie znalazł nic istotnego, co umknęłoby mu za pierwszym razem.

Rasmus Nordstrand trzykrotnie wypowiedział to samo słowo w stronę komputera Holma i Michael wielokrotnie odtwarzał tę krótką sekwencję, próbując czytać z jego ust, ale nie był w tym najlepszy.

Krewetki? Serwetki?

– Co mówisz, Rasmus?

Krewetki wydawały się bez sensu.

Ale chyba były najbliższe. Michael ostatecznie dał sobie spokój z drażnieniem tego wątku. Powoli zjadł kanapkę i dopił kawę, obmyślając szczegóły włamania, którego zamierzał dokonać tego wieczoru. Już miał zamknąć komputer, kiedy coś jednak trąciło cienkie i nadzwyczaj czułe struny w tyle jego głowy: coś było nie tak z pudełkiem chusteczek na biurku Holma. Ktoś wyciął fragment nagrań, chociaż na zegarze nie było tego widać.

Przed cięciem z pudełka wystaje chusteczka, a po cięciu pudełko jest puste. Ktoś musiał je zużyć. Ciekawe, do czego?

W jego branży normalne było, że między klientem a konsultantem nie ma równych relacji, jeśli chodzi o szczerłość i prawdę. Klient oczekiwał od konsultanta pełnej otwartości, zaufania i transparentności w działaniu, ale sam

miął powody, żeby pewne istotne fakty przemilczeć. Czasem z próżności albo ze wstydu, a czasem by ukryć swoje czyny niezgodne z prawem.

Michael wiedział, że takie były uroki tej pracy, ale uważał to za męczące i uciążliwe, bo przecież i tak koniec końców wszystkiego się dowiadywał.

Co się zatem wydarzyło pomiędzy szaloną ucieczką nagiego Rasmusa Nordstranda a obrazem twarzy sumiennej kryminalistyczki, która znalazła kamerę?

Rasmus, przecież ty nigdzie nie uciekłeś, pomyślał Michael i mimowolnie się wzdrygnął. Nie wyszedłeś już z tego mieszkania. Wpadłeś w sam środek koszmaru, którego nie byłeś sobie w stanie wyobrazić. I teraz Dirk i jego psychopatyczni serbscy koledzy odcięli ci genitalia i przybili gwoździem do czoła, mam rację?

Pytanie, czy Axel Nobel wiedział o manipulacji nagraniami, czy też Dirk Straat popełnił błąd i próbował zatrzeć ślady.

Michael zamknął komputer, odłączył telefon satelitarny i pomasaował skronie. Oczywiście istniało również inne, mniej niewinne wytłumaczenie montażu nagrania. Straat i Nobel dokładnie wiedzieli, gdzie były rozmieszczone kamery i, naturalnie, nie chcieli zobaczyć siebie na miejscu zbrodni.

Istniała taka możliwość, ale Michael nie bardzo w to wierzył.

\*

Była wpół do dwunastej w nocy, kiedy Michael zaparkował kilkaset metrów od wejścia do kamienicy Holma. Nie poszedł najkrótszą drogą, kilkakrotnie przechodził przez Strandvejen i trzymał się cienia, albo szedł tak blisko innych ludzi, żeby wyglądało, jakby był częścią grupy. Kelnerzy chowali już stoliki i krzesła z kawiarnianych ogródków, a małe restauracje niemal całkiem opustoszały.

Ze szczególną uwagą oglądał zaparkowane samochody, wśród nich wypatrywał zwłaszcza pozbawionych okien wozów vanów, które upodobał sobie Dirk Straat. Spojrzał na fasadę domu Holma z drugiej strony ulicy. Okna od tej strony były ciemne, również w mieszkaniu piętro niżej i wyżej nie dawano oznak życia.

Zanim jednak przeszedł przez ulicę, wydało mu się, że w oknie na trzecim piętrze coś błysnęło. Jakby czyjaś zdenerwowana dłoń omiatała wnętrze latarką.

Dotknął swojego Glocka 9 mm w kaburze na biodrze.

W mieszkaniu znów błysnęło i Michael szybko przeszedł przez ulicę.

Otwarcie zamka wytrychem trwało mniej więcej tyle czasu, ile mieszkańcowi tego domu zajęłoby to zwykłym kluczem. Wejście na klatkę zajęło mu również ledwie kilka sekund. Nie włączył światła, przez chwilę stał i nasłuchiwał. Cisza jak w bibliotece. Bezgłośnie wspiał się na trzecie piętro, gdzie w świetle swojej kieszonkowej latarki obejrzał policyjną pieczęć i tymczasową kłódkę.

Zastanawiał się, czy na pewno coś widział w oknach mieszkania Petera Holma, czy może było to tylko przypadkowe odbicie, na przykład przelatującej mewy. Przyklęknął i uchylił kłapkę na listy. W długim korytarzu nic się nie poruszało, a słabe światło księżycyca przez otwarte do pokoi drzwi rzucało na podłogę jasne prostokąty.

Zamiast otwierać kłódkę, Michael wykręcił zamek i schował do kieszeni. Potem ostrożnie, milimetr po milimetrze otworzył drzwi, dziękując Bogu za nasmarowane zawiasy.

W mieszkaniu pachniało tak, jakby nikt tu nie mieszkał, ale właściciel pewnie pojawiał się tam sporadycznie. Było tu cieplej niż na schodach, a wszystkie drzwi do pokoi i sypialni stały otwarte.

Michael czuł, że nie jest sam.

Po prawej była kuchnia, oświetlona słabo przez księżyc. Urządzona na bogato i świetnie wyposażona, chociaż nie pachniała jedzeniem. W całym mieszkaniu unosił się taki sam zapach kurzu i braku życia.

Michael wszedł do pomieszczenia po lewej. Był to pierwszy z trzech dużych pokoi dziennych. Okna oświetlał zielono-czerwony neon po drugiej stronie ulicy. Nagle jęknęła deska pod jego stopą i Michael westchnął z wściekłością. Może to deska, a może to westchnienie wywołały cichą eksplozję szybkich ruchów w ostatnim z pokoi, zwieńczoną okrzykiem przerażenia, który w uszach Michaela zabrzmiał zdecydowanie kobieco. Rzucił się w tamtą stronę i zdążył dostrzec zwinną, szczupłą postać, która przeskoczyła przez kanapę i pognąła w stronę długiego korytarza. Postać była szybka, ale Michael uważał, że on jest szybszy. Zanim nie przeskoczył przez kanapę i nie potknął się o jakiś podłużny przedmiot. Wygiął się nienaturalnie w powietrzu i w ostatniej chwili uniknął uderzenia głową w szklany stolik kawowy. Zamiast tego przekoziółkował przodem i płynnie stanął na nogi. Kiedy dotarł do drzwi na korytarz, te właśnie się zamykały.

W ciemnym holu trafi na następną przeszkodę. Mimo że gdy ostatni raz tu zaglądał, korytarz był pusty.



Przeszkoda była elastyczna, jednocześnie twarda i miękka, i przypominała człowieka. Uciekinierka mignęła mu jeszcze w drzwiach do kuchni, a sekundę później usłyszał szybkie kroki na tylnej klatce schodowej.

Druga osoba nie poruszyła się, ale podcięła mu nogi. Lecąc na podłogę, Michael złapał przeciwnika za poły skórzanej kurtki i pociągał za sobą. Upadł na plecy i łokciem uderzył w miejsce, gdzie spodziewał się, że znajdowała się twarz tej nieznanej postaci. Usłyszał miły dla ucha dźwięk łamanego nosa, a po nim mokry, poszarpany charkot. Michael wywinął się i znalazł nad swoim niższym i szczuplejszym przeciwnikiem. Ten wymierzył mu jednak mocny cios kolanem w krocze i pięścią w czoło. A ponieważ nosił pierścionek, przeciął mu skórę jak nożem.

Michael wycofał się, czując w ustach smak dnia sądnego i wymiotów, wydał z siebie niski, rozpaczliwy ryk. Dociskał obie dłonie do genitaliów i powstrzymywał odruch wymiotny. Ból w kroczu był nie do wytrzymania. Napastnik błyskawicznie wstał na nogi i przymierzał się do wykonania superligowego kopnięcia podbiciem, które wyrzuciłoby jego głowę na orbitę Marsa. Michael, ignorując wszystkie swoje bóle, złapał but w powietrzu, poderwał się na kolana i cieszył oczy pięknym, acz krótkim lotem przeciwnika, po którym ten z łoskotem upadł na plecy, aż podłoga zaśpiewała. Pozostało dokończyć dzieła ciosem kantem dłoni w grdykę. Ciosem, który odpowiednio wymierzony z dużym prawdopodobieństwem mógł przeciwnika zabić na miejscu.

Jego ręka w ostatniej chwili zawisła w powietrzu. Coś tu się nie zgadzało, nawet bardzo. Po pierwsze, jego lewa dłoń zaciskała się na czymś miękkim, okrągłym, ciepłym i pełnym, co mogło być jedynie w pełni rozwiniętą kobiecą piersią. Po drugie, przeciwnik pachniał dobrymi perfumami. A po trzecie, miał lufę pistoletu dociśniętą do szyi.

Zerknął w dół na granatową, złowieszczą broń.

A potem jęknął.

– Lene... to ty? To nie jesteś ty, prawda? Proszę, powiedz, że to nie ty.

– Zabieraj tę łapę, idioto, albo za dwie sekundy będziesz grał na harfie... a w ogóle... Michael? Michael! Co ty tu, kurwa, robisz?

Sturlał się z niej na podłogę, oparł plecami o ścianę i zawzięcie pocierał twarz dłońmi, które po chwili z powrotem docisnął do swojego krocza.

– No to związała – wymamrotał.

– Kto?

– Nikt. By to szlag. Kobieto, masz niesamowicie chujowe wyczucie czasu! Mogłem się spodziewać, że się napatoczysz!

– Możemy już włączyć światło? – spytała niewyraźnie.

Podniosła się na nogi, zapaliła lampę i kucnęła na wprost niego, dociskając sobie palce do twarzy.

– Dlaczego tu jesteś? Kto ci płaci? Bo zdajesz sobie oczywiście sprawę, że znajdujesz się na miejscu zbrodni i że już to stanowi przestępstwo, prawda?

– To mnie pozwij.

– Mogłabym cię zastrzelić.

– To zastrzel. W sumie zrobiłabyś mi przysługę. I gratuluję. Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, byłaś komisarzem, a teraz zostałaś młodszą inspektor. Strasznie długi tytuł do podpisywania druczków, co nie? Chyba że masz pieczętkę?

– Mam i jest na niej napisane: wal się. Kiedy mnie ostatni raz widziałeś, przestrzeliłeś mi płuco, Michael.

– Pomyliłem cię z kimś innym. Nie dostałaś kwiatów?

– Wyrzuciłam je.

Michael spojrzał na nią ukradkiem. Wyglądała tak jak zawsze.

– Wiesz, naprawdę jesteś dupkiem. Patrz, co mi zrobiłeś z nosem! Nie poczułeś, że to ja?

– Nie.

Popatrzyła na niego z urazą.

– Moja siostra ciągle powtarza, że powinienem do ciebie zadzwonić – powiedział nagle. – Będzie zachwycona, gdy jej o tym powiem.

– Skąd jej to, u licha, przyszło do głowy?

– Uważa, że dobrze by mi zrobiła rozmowa z przyjacielem. Że coś nas łączy.

– Myli się. Nie jestem twoją przyjaciółką i nic nas nie łączy.

– To właśnie próbowałem jej wyjaśnić.

Lene wstała i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę łazienki, z głową uniesioną do góry, żeby jeszcze bardziej nie zakrwawić sobie jasnej skórzaney kurtki. Michael z kolei zgięty wpół pokuśtykał do kuchni, kopniakiem zamknął drzwi na schody, roztrzaskał trochę kostek lodu w ręczniku kuchennym i otworzył butelkę należącego do Holma chateau margaux 1990, na które nigdy nie byłoby go stać. Nalał szlachetnego wina do dwóch ele-

ganckich kieliszków, zasiadł przy długim prowansalskim stole i sącył wino, dociskając lodowy opatrunek do pachwiny.

Dziesięć minut i kilka poprawek później Lene usiadła po drugiej stronie stołu. Miała waciki w nosie, ale nos wyglądał, jakby udało jej się go ustawić we właściwym miejscu. Wznieśli milczący toast. Lene wypła łyk, zamknęła oczy i westchnęła.

– Dobrze. Naprawdę dobre. Kto to był?

– Dlaczego ty tu jesteś?

– Michael, to jest tak zwane miejsce zbrodni. Mam prawo tu być. Ty nie masz prawa tu być.

– Pomyliłem mieszkania.

– Jasne. Jak się miewa Sara?

– Znakomicie.

– Nie możesz mi po prostu powiedzieć, co robisz w mieszkaniu denata? – spytała z rezygnacją w głosie. – Osoby, która zmarła z przyczyn bardzo nie-naturalnych. I kim był ten ktoś, kto uciekł tylnymi drzwiami?

– Może ktoś, kto się dowiedział, że lokal wkrótce będzie na sprzedaż. Gdybyś mnie nie powstrzymała, wiedzielibyśmy teraz znacznie więcej.

Michael dopił wino i nalał sobie kolejną lampkę. Podniósł butelkę w stronę Lene, ale zasłoniła dłonią swój kieliszek.

– No tak, ty jesteś w pracy – mruknął z sarkazmem. – Kiedy kończysz?

– Kiedy się dowiem, dlaczego tu jesteś i kto ci płaci.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że tak się nie stanie. Możesz zgadywać i pewnie się domyślasz, ale ode mnie się tego nie dowiesz.

Z wściekłością patrzyli przed siebie, unikając nawzajem swojego wzroku.

– O co chodzi z twoją siostrą? – spytała nagle i Michael poczuł, jak złość mu mija. Z reguły tak się działo w jej obecności. Co było bardzo dziwne.

– Mieszkamy razem w Gentoft. Kupiliśmy mieszkanie w starej willi.

Zmarszczyła brwi.

– A co z Sarą i dziećmi?

– Moja urocza małżonka ruchała się ze swoim mistrzem bonsai. Trwało to rok, zanim się zorientowałem. Całe miasto wiedziało, poza mną. Jestem świetnym detektywem. A najdziwniejsze, że znam typa.

– Skąd?

– Chodziliśmy razem do szkoły. Był zawsze taki opanowany, zawsze w zgodzie z sobą samym, wyrozumiały, nigdy nie podnosił głosu i skupiał się

wyłącznie na samorozwoju. Praktykował mindfulness, zanim ktokolwiek znał to słowo.

– Zen?

– Tak, ale w prowokacyjnym stylu. Zawsze obstawiałem, że zostanie garbarzem albo psychoterapeutą.

Wstał i napił się wody z kranu, czerpiąc dłońmi.

– Wiem oczywiście, że sam jestem sobie winien. W ciągu ostatnich pięciu lat spędziłem w domu może ze sto dni. A kiedy już z nimi byłem, to jakby mnie nie było, nadal wszystkim zajmowała się Sara. Te miliardy rozmów z nauczycielami i wychowawcami, szkolne przedstawienia, wycieczki i wyjazdy do letniego domku, ta cała psychotyczna celebrowanie przeciętności, z jaką się wiąże bycie rodzicem w tym śmiesznym kraju. Teraz przynajmniej wyręcza ją w tym mistrz bonsai. Ponoć to uwielbia.

Lene zakrztusiła się winem i dostała czkawki ze śmiechu

Michael zmierzył ją lodowatym wzrokiem.

– Fajnie, że cię to bawi. W każdym razie moja siostra zachorowała, przeprowadziła się do Danii i musiałem się nią zająć. Robię to od ponad roku i od tego czasu prawie nie widuję swoich dzieci. Tak naprawdę to prawdziwe piekło.

– Myślałam, że twoja siostra żyła sobie szczęśliwie w Izraelu z mężem i dzieckiem. I że była okulistką albo kimś takim, źle pamiętam?

– Dobrze pamiętasz. Była okulistką chirurgką i rzeczywiście była szczęśliwa, aż jeden kierowca ciężarówki zabił jej dwudziestodwuletniego syna na drodze wzdłuż wybrzeża na południe od Hajfy. Jozjasz jechał skuterem na mecz krykieta. Tak po prostu wyszło. Oni tam jeżdżą naprawdę niebezpiecznie. Po paru miesiącach jej mąż dał nogę. Zamieszkał ze studentką uniwersytetu, na którym wykładał. Kiedy ostatni raz miałem o nim jakieś wieści, ta dziewczyna była z nim w ciąży. Czy to nie jest rodzaj kazirodztwa?

– Jest. Na co zachorowała?

– Na głowę. Była hospitalizowana, przeszła kilka terapii elektrowstrząsami. Kiedy nie jest w szpitalu, boję się, że popełni samobójstwo. Wiele ją to kosztuje, ale myślę, że w tej chwili czuje się lepiej. Zaczęła wstawać z łóżka i regularnie się kąpać. Zaczęła jeść. Mam nadzieję, że wydobrzeje na tyle, żebym mógł wnieść sprawę do sądu rodzinnego i zawalczyć o widzenia z dziećmi. Bo w tej chwili nie mam siły na nic poza opiekowaniem się nią.

Spojrzał na zegarek.

– Szczerze mówiąc, nawet teraz się martwię, że zostawiłem ją na tak długo.

– Przykro mi. – Wydawało się, że mówiła szczerze.

– Nasz ojciec też to miał – powiedział nieoczekiwanie. – Mówią na to wrodzona melancholia. To jak mieć w mózgu bombę zegarową. Może ją zdetonować najdrobniejsza rzecz. Na przykład śmierć dziecka.

Natychmiast zobaczył w jej oczach wielki, niewypowiedziany ból.

– Lene, przepraszam. Nie chciałem...

Pokiwała głową. Jej dłoń przesunęła się po blacie w jego stronę. On też przesunął nieznacznie swoją. Ale rozmyślił się i ją cofnął. To i tak w niczym nie pomoże.

– Masz coś przeciwko temu, żebym się tu trochę rozejrzał? – spytał.

– Szczerze mówiąc, mam. Ale żeby cię powstrzymać, będę musiała cię zastrzelić, prawda?

– Prawda.

\*

Lene została w kuchni, Michael tymczasem chodził po mieszkaniu i zapalał światło w każdym pomieszczeniu, do którego wchodził. W salonie znalazł długi mosiężny karnisz, który chwilę temu niemal przyczynił się do jego dekapitacji.

Przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Wzdłuż biegły żłobienia, a na obu końcach znajdowały się zdobione mosiężne guzy, które teraz leżały na podłodze. Skierował karnisz do światła lampki na biurku i zajrzał do środka rurki. Była oczywiście pusta, ale stanowiła doskonałą kryjówkę. Na przykład na dysk USB.

Rasmus Nordstrand zdążył się wykazać nadzwyczajną pomysłowością, kiedy Straat wyłamał drzwi.

Michael spojrzał w dół na Strandvejen. Po lewej, na granicy światła i cienia stał granatowy dostawczy opel, podobny do tego, który śledził Holma i Nordstranda po drodze z Banana Clubu, chociaż z tej odległości nie sposób było dostrzec, czy ktoś w nim siedział.

Oparł czoło o chłodną szybę, zapalił papierosa i kiedy wypalił połowę, usłyszał ją za swoimi plecami. Stała oparta o futrynę drzwi, z rękami sple-

cionymi na piersi. Wwiercała w niego wielkie szczere oczy i wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

Michael rozejrzał się za czymś, co mogłoby mu posłużyć za popielniczkę. Ostatecznie zrezygnował, wyjął białego hiacynta z zabytkowej szklanej misy, wrzucił pet do wody i z powrotem włożył do niej kwiatek.

Lene z odrazą śledziła jego ruchy.

Michael ponownie spojrzął na leżący na podłodze karnisz.

– Krewetki – powiedział cicho.

– Krewetki?

– Co?

– Powiedziałaś „krewetki”.

– Nie wiem, co mówię. Pewnie wywołałaś u mnie wstrząśnienie mózgu. Znowu.

– Jak to znowu?

– Znokautowałaś mnie wtedy, w tamtym pustym magazynie, z terrorystami – przypomniał jej. – Zanim obcięli nam głowy i nas filmowali. Mogę ci pokazać blizny, jeśli zapomniałaś.

Właśnie odsuwała sobie włosy z twarzy obiema rękami, ale teraz patrzyła na niego spomiędzy palców zanurzonych w kasztanowych lokach.

– To była moja sobowtórka! Dobrze o tym wiesz i wiesz chyba, że jednak nam nie odcięli głów, prawda? Przecież tu stoisz.

– Mów, co chcesz. Ja jestem przekonany, że to byłaś ty.

– Czyli co? Stoimy po przeciwnych stronach, tak?

– Oczywiście, że tak.

– I wiesz, kto zabił Holma? Oraz dlaczego?

– Ty też to wiesz. Inaczej byłabyś słabą śledczą, a nie jesteś.

– To miał być komplement?

– Spostrzeżenie. Widziałem cię przy pracy, nie raz, ale wiele razy. Poza tym tutaj jest pewnie więcej śladów niż w parku safari.

Wyjęła z kieszeni gumkę do włosów, przytrzymała ją między zębami i wypięła biust, zbierając włosy na karku. Był to gest tak nieskończenie zwyczajny, a jednak tak osobisty i kobiecy, że Michael mógł tylko stać z otwartymi ustami, gdy wszystko w nim rozdzierająco i przeciągle krzychało słowa pożegnania. Z czym? Z tym wszystkim.

Jej kucyk był gotowy.

– Okej. Przyjmijmy zatem, że wiem, kto to jest. Na potrzeby naszej dyskusji. Ale dlaczego?

Michael wrócił do okna. Samochód odjechał.

– Po co to drążysz? – rzucił jej przez ramię. – Ja to robię dla klienta. Nie jestem tu dla zabawy ani dlatego, że miałem nadzieję cię tu spotkać, jasne? I wiesz, że nic ci nie mogę powiedzieć.

– Bo przysięgłeś na stos Biblii? Nie obowiązuje cię przecież absolutna poufność i chyba nie jesteś zobowiązany do jej przestrzegania bez względu na okoliczności? Popełniono zbrodnię, Michael. Zabójstwo.

– Nie muszę na nic przysięgać. To jest moja praca i wiem, na czym ona polega – odciął się ze złością.

– Więc nawet mnie nie możesz tego powiedzieć?

Miał ochotę ją zastrzelić. Albo pocałować. Ale bardziej zastrzelić.

– Dość!

– To Nobel Oil, prawda?

– Wiesz, kto zabił Petera Holma – powiedział ostro. – Wiesz to. Powiedzmy tylko, że motyw nie był osobisty, okej? To nie była sprawa osobista i na tym koniec.

– Jesteś drugą osobą, która mi to mówi – powiedziała cicho. – Że to nie była osobista sprawa.

Michael zmrużył oczy. Podpuszczała go?

– A kim był ten drugi inteligentny typ? – spytał.

– Specjalnym doradcą w Ministerstwie Sprawiedliwości. Powiedział, że to śledztwo jest elementarne.

– Politycy! – Michael się skrzywił. – Czyli cokolwiek zrobisz, masz przesrane. Gdzieś tam już zaczęło się dla ciebie odliczanie, tego możesz być pewna.

W jej oczach stanęły płomienie.

– Za to tobie musi być zajebiście łatwo. Żadnych zasad, żadnej lojalności, żadnej etyki, nic.

Michael uśmiechnął się szeroko.

– I żadnych zwierzchników, nie zapominajmy o tym. Nie martw się, odwiedzę cię czasem, gdy cię przeniosą do wydziału rejestracji pojazdów i zaczniesz rozmawiać z automatem do kawy.

– Rasmus Nordstrand – powiedziała nagle, patrząc mu w twarz.

Michael wiedział, że niczego w tej twarzy nie zobaczy i że Lene musiała być zdesperowana, skoro ujawniała nazwisko podejrzanego.

– Nie dzwoni ci żaden mały alarm? Nic a nic?

– Muszę lecieć. Ida chyba już wróciła z bingo.

– Więc dlaczego nie możemy go znaleźć? Ani jego żony czy dziecka? Ma dziewięcioletnią córkę, dla której pewnie jest całym światem. Czy to dla ciebie nic nie znaczy? Chryste. Stałeś się prawdziwą dziwką.

Zerknął na drzwi, którymi wymknęła mu się zdobycz, ale nic nie powiedział.

– Czy to Anna Nordstrand nagle w środku nocy zapałała przemożną pasją do karniszy i dekoracji wewnątrz? – Lene była bystra. – I co było w tym karniszu? Twoje zdjęcie w jakimś tropikalnym rajku?

– Skarbie, wiedzielibyśmy to wszystko, gdybyś mnie nie powstrzymała.

– My?

– Okej. Jedno z nas.

– Nie poznaję cię – wyznała cicho i to było gorsze niż jej wściekłość czy wyrzuty. – On ma żonę i córkę i obie siedziały przez bitych pięć godzin po drugiej stronie ulicy rankiem po zabójstwie. I czekały.

Michael spojrzał w sufit i rozpaczliwie próbował pozbierać w sobie resztki chłodnego obiektywnego profesjonalizmu. Dlaczego rodzina Nordstranda czekała pod miejscem zbrodni? To elementarne, drogi Watsonie: bo nie wiedziały, gdzie się podziewa ich mąż i ojciec, ale wiedziały, co miał do załatwienia w mieszkaniu Petera Holma.

– Michael, śmiało – kusiła. – Czy naprawdę nie możemy...

– Nie, nie możemy – uciął stanowczo. – Mam klienta, o czym mówiłem ci już milion razy. Pojmiesz to wreszcie?

Wyminął ją, nawet na nią nie patrząc.

– I co zamieszasz zrobić, kiedy go znajdziesz? – spytała.

– Dostarczyć go.

– Komu?

Odprowadziła go do drzwi.

– Komu?! – krzyknęła za nim, kiedy zbiegał po schodach.

\*

Zanim Michael dotarł do domu, gorycz z niego wyparowała i zastąpił ją wstręt do samego siebie. Przyprawiony poczuciem, że popełnił największy błąd w życiu. A w każdym razie kolejny błąd.

Wszedł od łazienki, sprawdził w lustrze swoje obrażenia, ale nie miał siły niczego z nimi robić. Poza tym zasłużył na nie. Nie był dostatecznie ostrożny, a liczenie na łut szczęścia w jego profesji nigdy się nie spraw-



działo. Tylko początkujący w ogóle wspominali o szczęściu. Michael wepchnął sobie do ust kilka tabletek ibuprofenu, paracetamolu i jedną tabletkę nasenną i popił je ciepłą wodą z kranu.

Przechodząc obok drzwi pokoju Idy, usłyszał ciche stukanie w klawiaturę. Usiadł przy kuchennym stole, nalał sobie whisky i zorientował się, że z ucha leci mu krew. Nie pamiętał, że oberwał akurat tam. Wcisnął do niego kawałek ręcznika papierowego, zdjął marynarkę i krawat, wyjął magazynek z Glocka i przeładował, żeby upewnić się, że komora jest pusta.

Mechanicznie opróżnił szklanekę i znów ją napełnił. Nie potrafił myśleć o niczym poza tą plugawą sztuką, jaką było kłamstwo. O Straacie, Noblu i specjalnym doradcy z Ministerstwa. Politykach. Lene nie miała szans. Tak naprawdę nieważne, co zrobi, i tak będzie źle: jeśli znajdzie Nordstranda żywego, dane Nobla zdążą się roznieść i zostaną upublicznione w sposób, który zniszczy koncern i projekt w zatoce Disko, a ją obwinia o to, że temu nie zapobiegła.

A jeśli nie znajdzie ani tych przeklętych danych, ani Nordstranda, to ją oskarżą o nieudolność i zaniedbanie obowiązków.

Fakt, że żona i córka czekały pod domem Holma, wskazuje, że Rasmus Nordstrand był bardzo, bardzo daleko.

U Idy nadal paliło się światło, więc Michael wsunął głowę do jej pokoju. Siedziała przy biurku pochylona nad komputerem. Obok stał kubek herbaty. Popatrzyła na niego z irytacją znad okularów do czytania. Zamknęła komputer i ukradkiem, z poczuciem winy spojrzała na zdjęcie syna na półce. Michael bacznie jej się przyglądał, wyczulony na wszystko, co mogłoby sygnalizować nawrót choroby: to, że nadal była w szlafroku, że nie doprowadziła się do porządku ani nic nie zjadła, bo nie zasługiwała na to, aby żyć. Potrafił wyłapać wszystkie możliwe detale. Ale tej nocy jej włosy były uczesane i splecione w warkocz, a Ida miała na sobie wyprasowaną białą bluzkę i lekkie sandały, których Michael wcześniej nie widział.

Spróbował się uśmiechnąć.

– Ida, czy mi się wydaje, czy masz pomalowane rzęsy? Co się dzieje? Zostałaś camgirl?

Ida zaczerwieniła się ze złości, czego również nie widział u niej co najmniej od roku.

– Czy fakt, że mam diagnozę psychiatryczną, w pełni wyklucza potrzebę i pragnienie odrobiny prywatności? Powiedz mi, dlaczego nie możesz zapukać jak normalny człowiek?

– Przepraszam. Masz rację. Pomyślałem tylko... No, ale w takim razie dobranoc.

– Dobranoc, Michael.

Już miał się wycofać, kiedy światło zapalonych świeczek omiotło jego twarz i oczy Idy za szklami okularów zrobiły się wielkie. Podbiegła do niego.

– Michael! Wyglądasz, jakbyś wpadł pod pociąg. Chodź tutaj... kto ci to zrobił? No chodźże... Rany boskie! Na pięć minut nie można cię zostawić samego, bo zaraz pakujesz się w jakieś kłopoty!

Pozwolił jej wciągnąć się w głąb pachnącej, kobiecej przestrzeni, ciepłej i przytulnej dzięki łagodnemu światłu świec i stojącej na biurku lampki. Ida posadziła go w fotelu i wyszła.

Michael odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. W sumie miło tak się oddać w czyjeś ręce.

Siostra wróciła z arsenałem jodyny, lodu, chloroheksydyny, plastrów, ciepłej wody i czystych szmatek i zaczęła go opatrywać. Była w tym dobra.

Nie mógł się powstrzymać i wymamrotał:

– Zrobiłem tylko to, o co mnie prosiłaś. Spotkałem się z Lene Jensen.

– Jak to?

– To była randka w ciemno. Dosłownie w ciemno.

– Nie rozumiem. To ona cię tak załatwiła? Powiedz mi, czy ona ma nierówno...

Poczuł, że powinien jednak wstawić się za Lene.

– Uwierz mi, że nie byłem jej dłużny. Ona tak naprawdę tylko się broniła i jest w tym świetna. Zapomniałem po prostu, że jest taka dobra.

– Ale dlaczego?

– Nie wiedziałem, że to ona.

– Znowu? Michael, nie pojmuję, jak możesz bez przerwy mylić ją z kimś innym. Wygugłowałam ją, wygląda jak gwiazda filmowa. A tym myślałeś, że to kto? Święty Mikołaj?

Ida nie przestawała mu robić wyrzutów, kiedy oczyszczała jego rany mydłem i chloroheksydyną, a duże rozcięcie na czole zakleiła plastrem.

– Jeśli ty tak wyglądasz, to ciekawe, jak ona się prezentuje?

Nie doczekała się odpowiedzi. Tabletki nasenna i whisky przeniosły Michaela do krainy snów. Zaczął cicho pochrapywać, wierzgać nogami i jęczeć, jakby ktoś go ścigał we śnie. Ida westchnęła, nakryła go kocem, zdjęła mu buty i wróciła do komputera.

\*

Lene czekała na cud, ale Michael nie wrócił. Mimo to zaczęła jeszcze chwilę. Potem weszła do salonu i usiadła w jednym z należących do Holma foteli Corbusiera z czarnej skóry i chromu. Zawsze kojarzyły jej się z lotniskami, nieograniczonymi możliwościami i marzeniami. Ale teraz to nie działało. Opierała się, ale ostatecznie uległa poczuciu krzywdy i się rozpląkała.

Gdy skończyła, powoli przeszła kolejno przez wszystkie pokoje. Próbowała znaleźć miejsca, które Arne albo jego zespół pominęli, ale nie znalazła niczego, co miałyby jakiegokolwiek znacznie dla kogokolwiek poza zmarłym.

\*

Była tak pogrążona we własnych rozmyślaniach, że wyłączyła się na wszystko wokół.

Wyjęła właśnie kluczyki do samochodu, kiedy poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

Wzdrygnęła się, ale zaraz się odwróciła i uśmiechnęła nerwowo, sądząc, że to Michael. Myślała, że zmienił zdanie. Wciąż jeszcze mogło im się udać, gdyby zaczęli współpracować. Stanowili fantastyczny zespół, kiedy udawało im się odsunąć na bok te wszystkie niełatwe emocje.

Tom Andersson uprzejmie odwzajemnił jej uśmiech.

– Proszę wybaczyć, pani młodsza inspektor. W żadnym razie nie było moim zamiarem pani przestraszyć.

Lene popatrzyła zawiedziona na specjalnego doradcę, niższego od niej o głowę. Dziś miał muszkę. Do tego szary bawełniany płaszcz pachnący nowością. Zapach impregnatu płaszcza mieszał się z dyskretnym zapachem płynu po goleniu, który akurat lubiła. Jego jedyną wadą było to, że nie był Michałem.

– Wiem – zapewniła go obojętnym tonem.

Popatrzyła za jego plecy, szukając bmw, ale kierowca najwyraźniej dostał tej nocy wolne, toteż skierowała wzrok z powrotem na Anderssona.

– I tak przypadkiem tędy przechodziłeś? Bo widzę przecież, że nie z psem.

Mężczyzna uśmiechnął się zmieszany.

– Nie przepadam za psami. Wychowałem się w Chinach. Mają tam dość dwuznaczny stosunek do tych zwierząt.

– W sensie klepią je po grzbiecie, karmią, a potem zabijają i zjadają?

Anderson uprzejmie zaśmiał się z jej niewiedzy.

– Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek podał mi psa na talerzu, to zaręczam, że nie miałem pojęcia o pochodzeniu tego mięsa. Myślę, że pies już dawno zniknął z diety przeciętnego Chińczyka. Nie, po prostu mam dwa koty. I nie zamierzam ich zjadać.

– Z rodowodem, ma się rozumieć.

– Z Kocięgo Azylu u Inge. I obawiam się, że żaden z nich nie ma arystokratycznych manier.

– *Aryskotraci* – powiedziała do siebie.

Kiedy jej córka była mała, to była jej ulubiona bajka. Josephine najbardziej lubiła te dwa psy na motocyklu. Jak im było? Napoleon i...?

– Dokładnie – uśmiechnął się Andersson.

Lene znów się rozejrzała. Na Strandvejen było cicho i pusto, jeśli nie liczyć pojedynczych pieszych i przejeżdżających taksówek. Chodziło jednak o coś innego. Coś niepokojącego, czyjaś niewidoczną obecność na granicy światła i cienia. Obecność, której, ku swej irytacji, nie umiała zlokalizować.

– Często bywasz w Chinach?

– Niestety nie tak często, jak bym chciał. Wychowałem się w Hongkongu. Mój ojciec był konsulem i pracował dla Kompanii Wschodnioazjatyckiej. Nie wolno lekceważyć Chin. To byłby wielki, bardzo wielki błąd. Tym bardziej dziwi, że wszyscy ten błąd popełniają. Również ci, którzy powinni wiedzieć lepiej.

– Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Owszem, ale nie mówmy o tym.

Andersson zamyślił się na chwilę, a potem zmienił temat. Uśmiech zniknął.

W oczach, za wąskimi szklami, które Lene widziała po raz pierwszy, pojawił się chłód.

– Jak postępy w śledztwie? Tak naprawdę pytam, czy zidentyfikowałaś sprawcę.

– Jeszcze nie mam pewności.

Andersson zdjął okulary i z zatroskaną miną począł je pucować śnieżnobiałą, wykrochmaloną chusteczką, którą wyczarował nie wiadomo skąd.

– To niedobrze, pani młodsza inspektor.

– Jesteśmy wciąż na wczesnym etapie postępowania.

Doradca pokiwał głową, ale widać było, że ta odpowiedź go nie satysfakcjonuje.

– Z tego, co zrozumiałem, sprawa była dość prosta. Oraz mówiono mi, że masz doskonale kwalifikacje. Widocznie źle mnie poinformowano. Albo nie mówisz mi wszystkiego, co wiesz. Może dlatego, że mi nie ufasz, a może nie do końca rozumiesz, kim jestem. A może dlatego, że nie wiesz, po której jestem stronie.

– Albo z każdego z tych powodów, Tom. I kto mówi, że ta sprawa jest tak zajebiście prosta, co? Ktoś, kto ewidentnie zna tę sprawę lepiej niż ja. Nie oczekuj ode mnie cudów, skoro założyliście mi worek na głowę. I co tak naprawdę najbardziej was interesuje? Zabójca, a może coś innego? Dlaczego cały czas mam poczucie, że nikogo nie obchodzi, kim on jest? Czy on coś ukradł Holmowi? Albo, mówiąc konkretnie, pracodawcy Holma, Nobel Oil? To by tłumaczyło moją nagłą sławę i osobistą obstawę z Ministerstwa.

Andersson skulił się w obszernym płaszczu. A potem popatrzył na nią z uznaniem. I nawet się uśmiechnął.

– Przejdziemy się kawalek? – zaproponował.

– Chętnie.

Ruszyli chodnikiem. Na każdy krok Lene przypadały dwa kroki Anderssona. Spojrzała ukradkiem na jego skarpetki. Dzisiejszym kolorem była morska zieleń.

– Powiedz mi zatem, czego tak naprawdę szukam?

– Wiedzy *oraz* zabójcy – odparł. – Wiedzy, która może się okazać groźna. Peter Holm był mózgiem operacyjnym Nobel Oil w zatoce Disko, gdzie znajdują się największe na świecie złoża gazu naturalnego i oleju łupkowego. Ten projekt ma kolosalne znaczenie.

– Tak jak Chiny?

– Dokładnie tak jak Chiny. Które zresztą, zaangażowały się w to na wszystkich możliwych poziomach, nie tylko finansowo. Przystępując do takiego projektu, zawsze trzeba się liczyć z oporem i niedowierzaniem. Każdy znaczący postęp w historii musiał się z tym mierzyć. Ten bardziej niż jakikolwiek inny, jak się okazało. Pewna grupa bojowniczych ekodziałaczy postawiła sobie za cel zatrzymanie albo całkowite uniemożliwienie wydobywania. Chociaż... ekodziałacze to takie przyjemne słowo, nieprawdaż? Zaraz myślimy o prostowaniu rzek, biednych foczkach, plażach zaśmieco-

nych plastikiem i tak dalej. A to są terroryści, którzy mordują ludzi. Mają już ich na sumieniu całkiem sporo, chociaż to tylko chińscy robotnicy daleko stąd.

– Tak, słyszałam o tym – przytaknęła.

Andersson położył dłoń na jej ramieniu. Była lekka jak ptak, który przycupnął na gałęzi. Zaraz też ją cofnął.

– Nazywają siebie Wojownikami Posejdona. Ta żałośnie melodramatyczna nazwa jest jednak jedynym dyletanckim elementem ich działalności. Bo są niesłychanie skuteczni.

– I byli zaangażowani w zabójstwo Holma?

Andersson się zatrzymał.

– Nie można w każdym razie wykluczyć, że istnieje takie prawdopodobieństwo.

Lene pomyślała, że on wie znacznie, znacznie więcej.

– Ale *istotne* prawdopodobieństwo?

– Tak. Dlatego tak nas zdziwiło, że komendant główna wyznaczyła do wyjaśnienia tej sprawy tylko jedną osobę. Próbuję ją przekonać, jak ważne jest, aby przeznaczyła na to więcej środków, ale bezskutecznie. Na razie.

– Zwykle udaje mi się wyjaśniać sprawy, jakie mi przydzielają. O sukcesie nie zawsze przesądzają grupy fokusowe, szeroko zakrojony nadzór policyjny, podsłuchy, helikoptery, granaty z gazem łzawiącym i psy policyjne. Tak naprawdę prawie nigdy o nim nie przesądzają. Kiedy nad sprawą pracuje zbyt wielu śledczych, prędzej czy później zaczną wchodzić sobie w drogę.

– Skoro tak mówisz.

– Ale wy będziecie próbować nadal?

– Z czym?

– Z uzyskaniem większych zasobów. Albo... większej liczby ludzi?

– Pewnie tak – przyznał. – Jeśli nie nastąpi jakiś przełom. To chyba zrozumiało.

Lene popatrzyła na swój mały niebieski samochód. Andersson znów się zasepił.

– Wojownicy Posejdona, mówisz? Okej, dam znać, jeśli jakichś napotkam. Szkoda, że od początku nie otrzymałam tej informacji – dodała.

Znów dotknął jej przedramienia, tym razem z nieco większym naciskiem.

– Posłuchaj, ja też dostaję rozkazy. A w każdym razie polecenia. Co rano dostaję do ręki nową kartę SIM. Poprosiłem cię o codzienne sprawozdania,

ale chyba nie rozumiałaś tej prośby?

– Dostaniesz raport, gdy będę miała co zaraportować. Obiecuję.

Tom Andersson popatrzył na nią niemal ze współczuciem. Jakby upierała się, żeby wejść na ruchome piaski.

– Wnosząc z twojego wyglądu, można by pomyśleć, że naprawdę nie robisz postępów – stwierdził niespodziewanie. – Chociaż może wprost przeciwnie. To ktoś, kogo znałaś?

– Wpadłam na drzwi. Było ciemno. Nadal jest – odcięła się ze złością. – Dobranoc, Tom.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– Na przykład Michael Sander?

Zatrzymała się w pół kroku.

– Wiesz, Lene, o czym nigdy nie wolno ci zapomnieć, jako pracownicy służby publicznej?

Powoli się odwróciła.

– O tym, żeby nikomu nie mówić tego, co wiem i co myślę?

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Że jesteś służbą. Stąd nazwa. Że się komuś służy. Ty, Lene, służysz innym.

– Zmierzasz do tego, że drugą rzeczą, o jakiej muszę pamiętać, jest to, że nikt nie jest niezastąpiony, prawda?

– Dokładnie. Chociaż byłoby szkoda. Porozmawiamy jutro.

– Wspomniałaś coś o niebezpiecznej wiedzy – powstrzymała go.

– Chodzi o wiedzę, to na pewno. Holm dopiero co wrócił z Zatoki Disko. Prosto z Kastrup pojechał się spotkać z Axelem Noblem. Chociaż podróż trwała wiele godzin, nie pojechał najpierw do domu.

– Tom, próbujesz mi mówić, jak mam wykonywać swoją pracę?

– Nie. Jest po prostu jasne, że to spotkanie było niesłychanie istotne.

– Dlaczego twoim zdaniem takie było?

– Przez czternaście dni przed jego przybyciem do Kopenhagi wszelka komunikacja satelitarna między stacją badawczą a siedzibą główną była zerwana. Gołębi pocztowych nie mają, dlatego obstawiam, że w ciągu tych dwóch tygodni wydarzyło się coś decydującego.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Ale jest co najmniej jedna osoba, która to wie. Axel Nobel. Imożliwe, że poza nim i Peterem Holmem nikt inny.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć?

– Ponieważ to prawda.

– W jego mieszkaniu były kamery – zmieniła temat.

Andersson pokiwał głową.

– Z tego, co zrozumiałem, Holmowi oraz innym czołowym postaciom w Nobel Oil grożono śmiercią i w związku z tym uruchomiono pewne procedury ochronne.

– A jeśli się okaże, że kamery były tylko u Holma?

Ministerialny doradca najpierw długo na nią patrzył. Sprawiał wrażenie, jakby dała mu do myślenia.

– I co, jeśli kamery nagrały zabójstwo? – dodała.

– Z moich informacji wynika, że nie zostały jeszcze uruchomione.

– A od kogo masz te informacje?

Po raz pierwszy w głosie Anderssona pojawił się cień niepewności.

– No tak... Od Nobel Oil. Axela Nobla.

– Axela Nobla? Tego, z którym podobno jesteś w kontakcie? I który jako jedyny wie, co się stało w Grenlandii? Nie no, wobec tego wszystko jest w najlepszym porządku. A przyszło ci może do głowy, że Noblowi akurat najbardziej na rękę jest nieujawnianie komukolwiek pełnego obrazu sytuacji? Słodkich snów, Tom.



\*

Lene skręciła w pierwszą ulicę w prawo, potem znów w prawo, a potem odjechała kamienicę. Zaparkowała przed sushi na wynos i poszła ulicą w dół, do skrzyżowania ze Strandvejen. W ręce trzymała niewielką, ale silną lornetkę. Idąc blisko ściany domu, skręciła za rogiem i modliła się, żeby za moment nie wpaść na Toma Anderssona i jego pytający wzrok.

Ale najwyraźniej doradca, pomimo niskiego wzrostu, kiedy chciał, potrafił poruszać się szybko, bo znajdował się jakieś sto pięćdziesiąt metrów przed nią, po drugiej stronie ulicy. Krótkimi nogami uderzał w chodnik jak pałeczkami w werbel. Zatrzymał się przy podłużnym ciemnym audi. Otworzyły się drzwi pasażera i z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna. Jego sylwetkę na moment oświetliło światło z kabiny i Lene natychmiast rozpoznała Axela Nobla, najbogatszego Duńczyka.

Wyglądało na to, że prezes wyzywał Anderssona na czym świat stoi, a specjalny doradca hardo i zwięźle mu odpowiadał. Nobel kilkakrotnie energicznie gestykulował w kierunku mieszkania Holma.

Ich kłótnia była dość krótka. Następnie Nobel ponownie wsiadł do audi, które wrzuciło migacz i odjechało od krawężnika. Andersson patrzył z rezygnacją, jak się oddala. Potem wzruszył ramionami i ruszył w przeciwnym kierunku.

Lene poczuła w ustach coś ciepłego i słonego. Znów leciała jej krew z nosa.

Kciukiem i palcem wskazującym ścisnęła nozdrza i ruszyła z powrotem do swojego samochodu, przeklinając wszystkich mężczyzn, a Michaela Sandera w szczególności.

W połowie drogi coś kazało jej się zatrzymać na środku chodnika. Nie była pewna, dlaczego. Zdecydowanie nie była tego pewna. Tak naprawdę nie miała nic oprócz mglistego przeczucia. Zarys wspomnienia. Coś albo ktoś widziany niedawno. Biegiem wróciła na Strandvejen i skierowała lornetkę w kierunku przeciwnym do trasy, którą odszedł Tom Andersson.

Tam rzeczywiście nic nie było. Już zniknęły: postać wysoka, wyprostowana i druga, niższa. To mogła być kobieta i dziecko. Wcześniej stały, trzymając się za ręce. Nieruchome. Wypatrujące. Na skraju mroku.

Michael powiedział, że jej kariera wisi na włosku, że odliczanie już się zaczęło. Teraz niemal słyszała, jak ten zegar tyka.

Wsiadła do samochodu, ze schowka wyjęła chusteczkę, potargała ją na paski, które zwinęła i wepchnęła sobie do nozdrzy. Bolało jak cholera.

Potem odchyliła głowę i zawiesiła niewidzący wzrok na aureoli wokół odległej latarni. Zaczął padać deszcz. Lene rozplakała się na jego dźwięk. Kiedy zamknęła oczy, znów je widziała, tę kobietę i dziecko. Tak nieskończenie zagubione. Jak żałobnice porzucone na cmentarzu.

Napoleon i Lafayette. Tak się nazywały te psy z *Aryskotratów*. Ucieszyło ją, że przynajmniej to sobie przypomniała.

\*

Ida w nadzwyczajnym przypiływie sił umyła okna, aż lśniły niczym kieliszki w restauracji z przewodnika Michelin. Ten całkiem nowy objaw Michael chętnie tłumaczył sobie jako kolejny krok na drodze do wyleczenia.

Kuchnię zalało światło. Pijąc kawę, Michael miał swobodny widok na swoje spuchnięte, kolorowe i połatane plastrami oblicze w czajniku, również wypolerowanym przez Idę. Najwyraźniej nie zamierzała przepuścić żadnej gładkiej powierzchni.

Potem przebrnął przez wszystkie kolejne sekretarki, aż doczekał się połączenia z Axelem Noblem. Po kilku słowach oschłego pozdrowienia Michael wyjaśnił prezesowi, że nie jest zadowolony z ich dotychczasowej współpracy. Że jest wręcz bardzo *niezadowolony*.

– Zatem nie, Axel. Niezbyt mi się to podoba. Nie ułatwiasz mi zadania. Chyba że to Straat, twoje holenderskie zwierzątko domowe, wszystko pierdoli.

– W jaki sposób? – Nobel wydawał się zaskoczony.

Zdziwił go zarówno ton Michaela, jak i jego bezpośredni sposób wyrażania się.

O to zresztą Michaelowi chodziło.

– Taki, że mu się wydaje, że jest ode mnie sprytniejszy. Radzę wam dobrze: skończcie z tym, bo żaden z was nie jest.

Michael siorbnął kawę, trzymając telefon tuż przy twarzy.

– Ale co myśmy zrobili?!

Nobel podniósł głos i wydawał się szczerze urażony, co Michael odnotował z uśmiechem.

– Wolalbym ci to powiedzieć prosto w twarz – oznajmił. – I nie w tym twoim mauzoleum, w którym ludziom się wydaje, że potrafią latać. Chcę

się z tobą spotkać niezwłocznie w jakimś miejscu publicznym. W parku albo gdzieś.

Jego słowa zapadły głęboko w ciszę, która po nich nastąpiła.

– Nie podoba mi się ten ton, Michaelu. I zwykle to ja proponuję ludziom, aby mówili mi po imieniu.

– Trudno, Axel. Ja z kolei nie lubię być niedoinformowany. To znacznie utrudnia cały proces i tak naprawdę będzie cię po prostu więcej kosztować, bo muszę tracić czas na prostowanie idiotycznych zmyłek.

– Pavillonnen. Błonia Fælledparken – powiedział krótko Nobel. Odzyskał też panowanie nad głosem.

– Za pół godziny – dodał Michael.

Nie czekał na potwierdzenie.

Ida zjadła owsiankę, wypila kawę i popatrzyła na niego znad porannej gazety.

– Zabrzmiało to, jakbyś właśnie opieprzył Axela Nobla, najpotężniejszego człowieka w Danii.

Michael rozmasował sobie ucho.

– Co? Ledwo słyszę. W uchu mi dzwoni jak system odstraszenia nurków w łodzi podwodnej.

– To minie. Rozmawiałeś z Axelem Noblem?

– Tak. I okazuje się, że jest fiutem, tylko jeszcze tego nie zauważył. On sam myśli, że jest bardzo w porządku.

– Rozumiem, ale czy to rozsądne rozmawiać z nim w ten sposób? Przecież to klient. Jedyne, jakiego masz.

Michael ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją w czoło.

– Jesteś dziś wyjątkowo delikatna, siostrzyczko.

Cofnęła głowę.

– Bo tak się składa, że powzięłam pewien plan – odparła zdecydowanym tonem.

– A jakiż to plan?

– Masz minę, jakbym oznajmiła, że chcę kandydować na prezydentkę Stanów Zjednoczonych. Po prostu mam plan. Wiesz, takie coś, według czego ludzie organizują sobie życie.

Michael zmarszczył brwi i szukał w głowie stosownej odpowiedzi. Ida od półtora roku nie miała żadnych planów.

– Znam to pojęcie. Był nawet czas, kiedy sam robiłem plany. Ale to było dawno, dawno temu.

– No widzisz. A ja tak mam właśnie teraz. Zapisalam się do klubu szermierki i będę mieć lekcję z takim jednym węgierskim mistrzem świata. Mam jeszcze swoje floretty, kostium i maskę. A potem umówiłam się na lanch z Laurą.

– Z jaką Laurą?

Ida westchnęła.

– No z Laurą-Laurą. Przez trzy lata chodziłam z nią do liceum, a ty większość tego czasu próbowałeś ją zaciągnąć do łóżka. Co było żałosne, Michael. Kucyk. Blondynka. Bystra. W mokasynach. – Oczywiście były trochę zbyt lśniące. – Co, myślisz, że sobie nie poradzę?

– Oczywiście, że sobie poradzisz.

– A jaki w ogóle jest Axel Nobel?

– Budzący grozę. Ale właśnie przelał nam na konto w Liechtensteinie sto tysięcy mocnych jak skała szwajcarskich franków. To niewiele, ale to dopiero początek. Całe honorarium to milion, więc możesz spokojnie postawić Laurze latte. Stać nas. W pewnym sensie...

– To znaczy?

– *We're gonna have to earn it*, jak by powiedział Blondas.

– Jaki Blondas?

Michael ubrał czarną wiatrówkę, włożył magazynek do Glocka i przeladował broń, po czym wsunął ją do kabury na prawym biodrze. Wiedział, że w mniej niż sekundę będzie mógł wyjąć broń i z odległości dwudziestu metrów strzelić do celu wielkości karty do gry oraz że trafi dziesięć razy na dziesięć. W każdym razie kiedyś tak umiał.

– Blondas. Dobry, zły i brzydki. Ida, widzieliśmy to milion razy. Clint Eastwood to Blondas. Ostatnia scena. Dwieście tysięcy dolców w kalifornijskim złocie leży w grobie opisanym jako Arch Stanton. Tylko muszą je zarobić w najcięższy z możliwych sposobów. Tak mówi Blondas.

– Na cmentarzu?

– Dokładnie.

– A z kim będziesz musiał o to złoto zawalczyć? Z Lene?

– O co ci chodzi?

Zawiązał buty do biegania i zerknął na nią. Była blada i wściekła.

– Nie jestem kompletną idiotką, Michael. Pobież się z nią zeszłej nocy, prawda? Czyli to ona stoi po drugiej stronie twojego zlecenia wartego milion franków szwajcarskich. Powiedz, warto?

– To jej wybór. Wie, co robi, a ja nie jestem jej niczego winien. Przeciwnie. Uratowałem jej tyłek i życie nieliczoną ilość razy.

Ida wstała i gwałtownym ruchem opłukała miseczkę po płatkach. Jej plecy potrafiły być bardzo wyraziste.

– Co ty wygadujesz? Ona jest policjantką. To jej praca. To się nazywa obowiązek.

Teraz on się zdenerwował.

– Nie musisz mi tłumaczyć, czym jest obowiązek. Miałem nadzieję, że masz tego świadomość. Wiem, na czym polega obowiązek. W tej chwili moim obowiązkiem jest zarobić pieniądze i spłacić dług. I to jest moja praca. A twoją pracą jest wyzdrowieć.

– Aha, więc robisz to dla mnie? – Zrobiła wielkie oczy.

– Dla ciebie! Dla mnie! Nie rozróżniam tego. Jak miałbym to rozróżnić. Zrobił krok w jej stronę, ale się rozmyślił. Wyminął ją i wyszedł.

\*

W oddali jacyś chłopcy grali w piłkę dopingowani przez swoich rodziców. Nieco bliżej szła wycieczka przedszkolna. Mali i więksi ludzie przemierzali trawniki niczym ekspedycja w poszukiwaniu kopalni króla Salomona. Michael z daleka widział Nobla i Straata przy zielonym stoliku wysypanego białym żwirkiem kawiarnianego ogródka. Sama kawiarnia była zamknięta na cztery spusty i wyglądała jak pseudogrecki pawilon. W pobliżu nie było żywej duszy.

Prezes odwrócił głowę, gdy usłyszał kroki Michaela. Dirk Straat trzymał swoje duże dłonie skromnie splecione na blacie. Jego blada twarz ani drgnęła, kiedy zobaczył Michaela, ale zielone oczy wyłapały każdy szczegół.

Michael stanął przy stoliku, nie wyjmując rąk z kieszeni kurtki.

– Chcę porozmawiać z panem Noblem w cztery oczy, Dirk. W międzyczasie poszukaj sobie jakichś gołębi, którym będziesz mógł powrywać skrzydła, albo dzieci do maltretowania. Poszukaj tam, między drzewami.

Holender wstał, pomrukując ze złością, ale Nobel położył mu dłoń na ramieniu i zmusił, aby ponownie usiadł. Michael popatrzył nad ich głowami z bezgraniczną obojętnością. Następnie znów spojrzął na Straata.

– A jeśli znów zobaczę twojego niebieskiego vana, to zamierzam zabić wszystkich, którzy w nim będą. Rzucasz się w oczy jak Lady Gada w obo-

zie dla uchodźców.

Michael przesunął prawą dłoń do dołu, kierując ich uwagę w stronę Glocka. Wiedział, że go zobaczyli. Prezes wyszeptał coś do ucha Holendra, na co ten wstał i pomaszerował w stronę drzew i ścieżki biegowej. Michael przysunął krzesło do stolika i usiadł tak, żeby mieć Straata na oku.

Nobel westchnął.

– Czy to naprawdę było konieczne? Musisz mu dopiec za każdym razem, kiedy się widzicie? Wiem, że Dirk nie jest aniołem, ale na Boga, ty też nie jesteś. Kto dziś, zresztą, potrzebuje aniołów? Ja natomiast potrzebuję Dirka w stanie mniej więcej zrównoważonym, okej? Więc bądź tak miły i przestań go ciągle wkurzać.

– Postaram się – obiecał Michael. – Ale on zmontował nagrania z mieszkania Holma. Albo ty to zrobiłeś. To niepotrzebnie komplikuje sprawę, a ja nie lubię komplikacji. Tracę przez nie czas.

Nobel popatrzył na niego ze szczerym zdumieniem.

– O czym ty mówisz?

– Proszę cię, nie zgrywaj niewiniątka. To się robi męczące.

Przez sekundę oczy prezesa zapłonęły na zielono. Zaraz jednak iskra zgasła i spytał przytomnie:

– Czego brakuje?

– Ostatniej jednej piątej, tak sądzę. Tego, co się stało między ucieczką Nordstranda a odnalezieniem kamery przez policyjnych kryminalistów.

– Dirk pewnie nie chciał zostać nagrany przez kamerę, którą sam zamontował. Potrafię to zrozumieć. To jeszcze nie znaczy, że ukrywa coś istotnego. Bez wątpienia to Nordstrand zabił Petera. Mam nawet dla ciebie świeże informacje: odciski palców Nordstranda znaleziono na tej kuli śnieżnej, którą rozłupano Peterowi czaszkę. To twardy dowód. Poza tym miałeś rację: Peter został odurzony rohypnolem. Nordstrand zostawił odciski również na tym kieliszku wina na szafce nocnej.

Michael długo mu się przyglądał. Axel Nobel musiał mieć niebywale dobre kontakty, skoro zapewniały mu dostęp do tego typu informacji. To utwierdziło Michaela w przekonaniu, że w tej sprawie nie istnieje żadne rozróżnienie między interesami Nobel Oil a rządu.

Znów pomyślał o Lene. Tak naprawdę nie była im do niczego potrzebna, skoro mieli dostęp do informacji z zakładu medycyny sądowej i wydziału kryminalistyki i wiedzieli, kim był zabójca Holma. Michael nabrał pewności, że Lene nigdy nie znajdzie Rasmusa Nordstranda.

– Okej. Ale dlaczego Nordstrand z zimną krwią zabił człowieka?

– Jak to? Sam widziałeś. Skopiował dane z twardego dysku Petera. Wywiązała się bójka. Nie twierdzę, że to było planowane, że od początku tak miało być. Peter po prostu za wcześnie się ocknął i wyszło, jak wyszło.

– I naprawdę nie macie kopii danych Holma? Wybacz, ale trochę trudno w to uwierzyć. Mamy dwa tysiące piętnasty rok. Te informacje nie były wyryte w kamieniu ani zapisane na pergaminie, prawda?

– Prawda. Ale dla nas to zasadniczo bez znaczenia, czy mamy kopie czy nie. Jeśli... pewne rzeczy... Pewne wyniki analiz geologicznych z zatoki Disko ujrzą światło dzienne, to jesteśmy skończeni, ponieważ ludzie zawsze wolą wierzyć w wersję bardziej sensacyjną. W spisek. Taka jest ludzka natura. Podobnie zareagują światowe rynki. Ale tak się składa, że w ciągu ostatnich tygodniu pobytu Petera w terenie rzeczywiście wszystkie nasze połączenia satelitarne zostały zaatakowane i zerwane, więc zwyczajnie nie mamy tych wyników. Poza tym Peter nie zdążył swoich odkryć ująć w grafy, tabelki i całościowy raport.

Michael zapalił papierosa i zamyślony wydmuchał dym.

Straat stał oparty o drzewo i obserwował kobiety uprawiające jogging.

– Ale szyfrujecie swoje dane?

Nobel z zazdrością popatrzył na papierosa i pokiwał głową.

– Tak. I nie przejmowałbym się tym aż tak bardzo, gdyby chodziło tylko o Wojowników Posejdon. Ale jeśli te dane trafią w ręce konkurencji, to taki Exxon albo BP mogą nająć najlepszych ludzi, którzy złamią kod, a nie mając nad nimi przewagi, nie jestem w stanie z nimi konkurować. Nikt nie jest. Nasi chińscy partnerzy wycofają się z zatoki Disko i przez następnych dwadzieścia lat będą ciągać moją firmę po sądach całego globu, nawiązując w międzyczasie współpracę z Royal Dutch Shell i opróżniając Grenlandię z nimi zamiast z nami. Adwokaci zarobią majątki, a Dania poniesie straty.

Michael wciąż nie był przekonany.

– I twoim zdaniem Nordstrand był gotów zabić dla tych informacji? Zarzykować wszystko? Żonę i dziecko?

– Michael, to fanatycy. A to ich wojna. Dla nich wszyscy pracownicy Nobel Oil są przestępcami, popełniającymi odrażające zbrodnie na Matce Ziemi.

– Niby tak... ale zasadniczo to właśnie robicie, prawda? Trzymacie zapaloną zapalniczkę pod tym uroczym zegarem z kukułką, który nazywamy światem.

Wzrok prezesa skupił się na twarzy Michaela jak laser. Jego dłonie przesunęły się po blacie stołu. Przytrzymały krawędzi. I znów ją puściły.

– Człowieku, posłuchaj. Ja mam czwórkę dzieci, troje wnuków i kolejne w drodze. Naprawdę myślisz, że chciałbym, aby którekolwiek nich dorastało po drugiej stronie księżyca? To, co mówisz, jest bez sensu. Nie mam możliwości wysłania ich na jakąś inną, lepszą planetę niż ta. Ale ten olej tam jest, zamknięty w tej górze. Naprawdę tam jest! I jeśli Nobel Oil i Dania go stamtąd nie wydobędą, to zrobi to ktoś inny. Wolałbyś, żeby to byli Chińczycy albo Rosjanie? Natychmiast przyłożyliby dymiący jeszcze pistolet do głowy całego Zachodu i Rady Bezpieczeństwa ONZ. Zablokowaliby wszystkie demokratyczne inicjatywy: Syrię, Tybet, Irak. Zwyrodniałe reżimy mogłyby swobodnie łamać prawa człowieka bez obawy przed sankcjami ze strony cywilizowanego świata. Wystarczyłoby, że zagroziłyby zakręceniem kurka i nikt by im nie podskoczył. Poza Amerykanami, ale im się powoli odechciewa wyciągać Europejczyków z tarapatów, w które sami się wpędzamy.

– Tak, tego byśmy nie chcieli – przyznał Michael.

Nobel pokręcił głową.

– Nie chcielibyśmy. Uwierz mi.

Prezes popatrzył na niego dziwnie, jak na nieposłuszne dziecko.

– Ale ty też nie jesteś apostołem prawdy, Michaelu Sanderze.

– Jestem gotów przyznać to jako pierwszy, ale chodzi ci o coś konkretnego?

– Stanowczo stwierdziłeś, że nie znasz żadnej z osób na nagraniach – zaczął Axel. – A przecież to nieprawda. Mam na myśli niejaką młodszą inspektor Lene Jensen, która jest zdolna, ale z tego, co mówią, również niesłychanie uparta. Otóż okazuje się, że w przeszłości coś was łączyło.

Michael wzruszył ramionami.

– Nie jesteśmy ani nie byliśmy parą. Przeciwnie, unikam jej jak dżumy. Uznałem, że dla naszej sprawy to nieistotne.

Prezes się uśmiechnął, ale martwy wyraz jego głęboko osadzonych oczu stanowił niewątpliwe ostrzeżenie.

– Może jednak powinieneś być pozwolić mnie ocenić, co jest, a co nie jest istotne dla sprawy, Michaelu. Za milion szwajcarskich franków oczekuję co najmniej szczerości. Poza tym zeszłej nocy widziano, jak Lene Jensen opuszczała mieszkanie Petera pół godziny po tobie.



Michael poczuł w piersi strach jak zimną twardą kulę. Dirk Straat wpa-trywał się w niego, jakby zdejmował miarę do trumiennego garnituru.

– Axel, ona niczego nie wie. Nie więcej niż ty. Pracuje w Komendzie Głównej, nie ja decyduję, kto z nich co robi. Zresztą najwyraźniej masz dostęp do tych samych informacji co Lene, więc ona nie może ci zaszkodzić.

– Możliwe. Znalazłeś tam coś?

– Dysk USB z danymi Holma był ukryty w karniszu. Nordstrand zdążył go tam schować, kiedy Straat wszedł do mieszkania. W nocy zastałem w mieszkaniu kogoś jeszcze. Ten ktoś przyszedł po ten dysk. I niestety zdołał uciec tylnymi schodami. Młodsza inspektor Jensen przeszkodziła mi w pościgu. Jej fatalne wyczucie chwili sprawiło, że przysłała na miejsce dokładnie wtedy, kiedy nie powinna. Doszło między nami do bójki, zanim się nie zorientowaliśmy, kto jest kim. – Poparzył na Nobla i dodał: – Nordstrand najwyraźniej swoje szanse na wyjście z tego cało ocenił jako znikome.

– Najwyraźniej – potwierdził prosto prezes. – To była żona?

– Czyja?

– Nordstranda, oczywiście.

Michael powoli wyjął za paczki kolejnego papierosa i zapalił. Poczęsto-wał Nobla, który po chwili wahania wziął jednego. Michael mu przypalił i prezes zaciągnął się z wyraźnym upodobaniem.

– Axel?

– Mmm?

– Cały czas chodzimy w kółko. I moim zdaniem to kółko robi się coraz mniejsze. Dlaczego myślisz, że to była jego żona? Dlaczego nie on sam? Przecież twierdzisz, że uciekł.

Prezes powoli otworzył oczy.

– Tak... oczywiście. Naturalnie. Ale jego ściga policja, prawda? Wzią-łem za pewnik, że wysłałby do mieszkania kogoś innego. I nie twierdzą, że Nordstrand uciekł. Ja to wiem.

Michael uśmiechnął się smutno.

– Przecież on nie żyje. Jest martwy jak kamień. To dlatego wycięliście fragment nagrania. Ten, na którym Dirk i jego siepacze urywają mu łeb. Niestety, zapomnieli go najpierw zapytać, gdzie ukrył twoje wyniki analiz.

Po chwili przerwy ciągnął dalej:

– Ale wiesz co? Tak naprawdę mnie to nie rusza. Wiem, jak to działa. Wiem, że takie rzeczy się zdarzają. Chwila nieuwagi, działanie w afekcie, zwykła nieostrożność. Sytuacje, które w ułamku sekundy zmieniają bieg

wydarzeń. Coś bezpowrotnie pęka, na przykład czyjś kark. I nagle człowiek ma przed sobą trupa, z którym nie wie, co począć.

Prezes nieznacznie przytaknął.

– Jestem pewien, że znasz się na rzeczy, nigdy w to nie wątpiłem. Ja też potrafię zrozumieć takie sytuacje. Spędziłem w wojsku kupę czasu. Najpierw w Korpusie Łowców, a potem w brytyjskich służbach specjalnych. Byłem na wielu ciężkich misjach, które nijak się nie mają do tego, o czym piszą ci wszyscy weterani, wspominając swoje dni chwały w Korpusie albo w SAS. Ale nigdy nie usłyszałem strzału oddanego z wściekłości. Wiesz, kiedy nasz ojciec wycofał się z życia zawodowego, firmę miał przejąć mój starszy brat. Ja, jeśli mam być szczery, w wojsku czułem się świetnie. Tylko że brat zachorował na białaczkę i musiałem pilnie wracać z Iraku.

– Musiało być ci ciężko.

– Tak, ale przysięgam na życie moich dzieci, że nie zabiłem Rasmusa Nordstranda ani nie kazałem nikomu go zabić. Przysięgam. On uciekł.

Michael długo i uważnie mu się przyglądał. W końcu pokiwał głową.

Nobel wdeptał peta w żwir i wrócił do tematu:

– Czyli ktoś był w mieszkaniu Petera, ale uciekł, zabierając dysk USB, więc wracamy do punktu wyjścia. Czy tak przedstawia się sytuacja?

– Może niezupełnie do punktu wyjścia. Udało mi się zidentyfikować innego członka Wojowników Posejdona. Tak sądzę.

Michael przysunął swoje krzesło bliżej Nobla i włączył swój smartfon. Po chwili znów go wyłączył i popatrzył z zainteresowaniem na prezesa.

– Skoro nie podoba ci się prowadzenie interesów, firmy, bycie właścicielem, przewodniczącym zarządu i tak dalej i mówisz, że najchętniej zostałbyś w wojsku, to dlaczego dalej w to brniesz? Bo domyślam się, że nie chodzi o pieniądze ani o widok z tej twojej kopuły?

Nobel wyglądał na niemal zawstydzonego. Pewnie nie przywykł pozwalać, aby ktokolwiek poza najbliższą rodziną widział w nim człowieka.

– Nigdy nie chodziło o pieniądze – potwierdził po chwili wahania. – Oczywiście, że nie. Zawsze miałem więcej, niż potrzebowałem. Na grzbiet możesz założyć tylko jedną koszulę i jechać tylko jednym samochodem. Poza tym przedmioty nie mają dla mnie znaczenia. Myślisz, że to pensja motywuje założycieli Microsoftu, Oracle'a, Google'a czy Apple'a do pracy po osiemdziesiąt godzin tygodniowo? Z tego, co wiem, pensja Steve'a Jobsa w Apple'u wynosiła dolara rocznie, a on i tak umarł z przepracowania, mimo że oficjalnie nazwano to rakiem trzustki.

– Mnie pensja by motywowała – oznajmił Michael i pomyślał o balonie stratosferycznym prezesa. Szalenie droga zabawka jak na kogoś, kto twierdził, że nie zważał na rzeczy materialne.

– Tak. Pewnie tak. Na początku. Ale po miesiącu próżnowania na Tobago urozmaiconego jedynie drinkami i nartami wodnymi dostałbyś szału. Jesteś ambitny, Michael. Chcesz pokazać, na co cię stać. Chcesz być najlepszy w swoim fachu. Pragniesz uznania.

– Czyżby?

Michaela zdziwiła ta kompletnie nietrafiona diagnoza. Od zawsze posiadał niezachwianą wiarę w siebie i żadne uznanie nie było mu potrzebne. Ba, kiedyś nawet siebie szanował.

Prezes ewidentnie czekał na jakieś dalsze wyjaśnienia, bo się zniecierpliwił:

– Nie w takim sensie, żeby być na okładce „Euromana”, chodzi mi o uznanie ludzi równych tobie.

– Nie ma takich – wypalił wprost Michael.

Nobel się roześmiał i po chwili Michael śmiał się razem z nim. To było surrealistyczne. Pięć minut temu był gotów wyjąć pistolet i odstrzelić Nobla i Straata jak wściekłe psy, gdyby tylko poczuł z ich strony jakiegokolwiek zagrożenie. Wiedział, że Holender nosił broń w kaburze naramiennej, a w jego jednej skarpetce zauważył wypukłość, która wskazywała, że miał też dodatkowy rewolwer w kaburze na kostkę.

W końcu Nobel wzruszył ramionami i Michael domyślił się, że chwilowa poufałość właśnie się skończyła.

– Tak, pewnie masz rację – przytaknął. – Żeby to zrozumieć, musiałbyś się urodzić w rodzinie takiej jak moja. Nie twierdzę, że to tak jak być następcą tronu w rodzinie królewskiej. Oni mają jednak znacznie trudniej, trochę jakby się urodzili w innym stuleciu. Mnie chodzi o to, że moi przodkowie zbudowali katedrę. Zajęło im to trzysta pięćdziesiąt lat i pracowali nad nią dzień i noc. Jest to świątynia pieniądza oraz, naturalnie, władzy i wpływów, jakie pieniądz daje. Ta zasada obowiązuje również wśród narodów, nieprawdaż? Im bogatszy naród, tym większą ma władzę. Wystarczy spojrzeć na Szwajcarię. Ich jedyny wkład w ogólny rozwój ludzkości w ciągu ostatnich sześciuset lat to zegar z kukułką i skrytka bankowa. Ale ich wpływ polityczny jest gigantyczny. Dokładnie taki sam zyskałaby Rosja albo Chiny, gdybyśmy im oddali zatokę Disko. Wiele pokoleń Noblów pracowało na to, abyśmy dotarli do tego miejsca. Spadkobiercy o słabszych

umysłach byli zsyłani na Riwierę i zastępowani braćmi albo kuzynami, którzy dysponowali odpowiednimi cechami charakteru. A te cechy to między innymi zdolność podejmowania koniecznych decyzji. W każdej chwili i w każdych okolicznościach. Dla rodziny i przysłych pokoleń.

– W jakim sensie koniecznych? – Michael poczuł ciarki na plecach.

– Po prostu koniecznych. Skoro przyszła kolej na ciebie, nieskończenie trudno jest odwrócić się do wszystkiego plecami, przekręcić kluczyk i pozwolić firmie upaść, choć na to nie potrzeba trzystu pięćdziesięciu lat, tylko połowy pokolenia. Weźmy na przykład Kompanię Wschodnioazjatycką. Albo Burmeister & Wain. Wydawało się, że są niezatapialni, że będą istnieć zawsze, a zmiotło ich w mgnieniu oka. Możliwe, że ktoś inny z mojej rodziny wybrałby własne szczęście i miał w dupie konsekwencje, ale ja nie jestem taki silny.

Michael dość się już nasłuchał i nie bardzo miał ochotę zbliżyć się do charyzmatycznego prezesa na tyle, żeby zacząć na przykład pałać do niego sympatią.

Ale Noblowi usta się nie zamykały. W tej chwili chyba nawet zapomniał, że Michael tam był. Jego wywód brzmiał jak wewnętrzny monolog, który tylko przypadkiem wypowiedział na głos.

– Jesteś częścią rodziny w takim samym stopniu, w jakim rodzina jest częścią ciebie. Nie da się tego rozdzielić... Mój ojciec ma osiemdziesiąt pięć lat i wiesz, co robi każdego ranka o godzinie siódmej, po przeczytaniu *Berlingske* i *Børsen*, ale przed wypiciem pierwszej kawy i wypaleniem pierwszego papierosa?

– Nie.

– Na czarnej tablicy w swojej kuchni zapisuje kredą bieżący kurs akcji Nobel Oil. Jeśli kurs się nie zmienił albo wzrósł, nic się nie dzieje. Ale jeśli kurs jest niższy niż poprzedniego dnia, nawet jeśli tylko o pięćdziesiąt øre, to zaraz do mnie dzwoni. Boi się.

– Czego?

– Że to początek końca. Że będzie musiał się z tego wytłumaczyć swoim przodkom, kiedy ich spotka w zaświatach. Że stwierdzą, że zabrakło mu umiejętności i sumienności, że nie dość dobrze wykorzystał ich zbiorowy wysiłek i ich zasługi, że wybrał sobie złego następcę, że nie był dostatecznie bezwzględny albo brutalny, albo przewidujący czy mądry. I wiesz co?

– Nie.

– Mieliby rację i on o tym wie. Ma w życiu tylko jeden cel i jest nim nie-dopuszczenie do tego, aby firma straciła na wartości albo cokolwiek jej za-groziło na jego warcie. I zrobi wszystko, aby nie stało się to również na mo-jej warcie. Tak po prostu jest. Nie wiem, jak to nazwać. Może to jakiś ro-dzaj miłości. W każdym razie jest to wewnętrzny przymus, z którym oswa-jamy się od pierwszego roku życia.

Michael niemal mu współczuł.

\*

Pokazał prezesowi film z męskiej wyprawy Nordstranda na szwedzkie szkiery.

– Studiowali razem – wyjaśnił. – Wszyscy są biologami morskimi, geo-grafami albo oceanografami. Wiedzą wszystko, co warto wiedzieć o zasobach naturalnych Grenlandii i jej środowisku. Co można, a czego nie można robić. Ten tutaj nazywa się Alan Knutzon i, jak widzisz, ma taki sam tatuaż w kształcie trójzębu jak Rasmus Nordstrand. Poza tym mieszka tu, w Ko-penhadze, w Vesterbro ze swoją dziewczyną Marią Kemper. Nie mają dzieci, ale mają kota o imieniu Tommy. – Michael przerwał i spojrzał na Nobla. – Zacząłbym od Knutzona. Chciałbym go dyskretnie poobserwo-wać. Dowiedzieć się, z kim się spotyka, do kogo dzwoni i co mówi. Za-montowałbym w jego mieszkaniu mikrofony i kamery. Niech Dirk się tym zajmie, pod warunkiem że jest w stanie to zrobić, nie wyrabując dziury w podłodze ani nie rozdeptując kota.

Nobel odchylił się na krześle. Zerknął w kierunku Straata, co Michael odnotował z dziwnym, chłodnym przeczuciem.

I rzeczywiście, prezes się uśmiechnął.

– Nieźle, Michaelu. Naprawdę nieźle. Alan Knutzon. Znakomicie. Coś jeszcze?

– Nie.

Prezes wstał z krzesła. Z rękoma w kieszeniach patrzył na plamy słońca na trawnikach.

– Kiedy chodziliśmy do Krebs's Skole, prawie codziennie graliśmy tu z braćmi w piłkę.

– Dobrze wam szło?

Nobel popatrzył na niego zaskoczony.

– Oczywiście, że dobrze.

– Oczywiście. Czego teraz ode mnie chcesz?

– Byłoby świetnie, gdybyś znalazł Annę Nordstrand. Albo przynajmniej dowiedział się o niej jak najwięcej.

Następnie Nobel ręką przywołał do siebie Straata, który podszedł do nich nieśpiesznie. Na Michaela nawet nie spojrział.

– A co z Knutzonem? – spytał Michael.

– Jego zostaw nam – postanowił prezes i spojrział na zegarek.

Michael ponownie popatrzył na Holendra i w końcu do niego dotarło, co go tak niepokoiło w jego twarzy: jego oczy nie odbijały światła jak oczy innych ludzi. Były matowe jak stalowe kulki.

Zacisnął w kieszeniach pięści, aż paznokcie wbiły mu się we wnętrza dłoni.

– Młodsza inspektor Jensen – powiedział na koniec. – Chyba się domyślasz, że ona będzie się wtrącać, w taki czy inny sposób. Zawsze tak robi.

Nobel nonszalancko wzruszył ramionami.

– Spodziewam się, że Lene Jensen będzie rozsądna. Powściągliwa.

Michael popatrzył na niego.

– Lene powściągliwa? Chyba nie dość jasno się wyraziłem, mówiąc o maniackalnym fanatyzmie, z jakim pracuje, zwłaszcza odkąd...

Prezes nie pozwolił mu dokończyć.

– Wszystkim na tym zależy, Michael. Wszystkim. Rządowi w pierwszej kolejności. Myślę i mam nadzieję, że ona to rozumie. Dla jej własnego dobra. Choć w rzeczywistości to, czy to rozumie czy nie, nie ma tu większego znaczenia. Zadzwon, kiedy znajdziesz żonę Nordstranda, okej?

Zniknął za pawilonem, pogrążony w rozmowie ze Straatem, i Michael został przy stoliku sam.

Dłonie położył na blacie. Wciąż zaciśnięte. A w jego wyobraźni rozgrywały się najróżniejsze niepokojące sceny, których nie umiał zatrzymać.

\*

*Tego samego dnia przed południem*

*56° 50' 4" szerokości północnej*

*6° 25' 4" długości wschodniej*

*Ławica Lille Fisker, Morze Północne*

Duża nowoczesna jednostka o nazwie Regine z Thyborøn sunęła na najniższych obrotach silnika przez gładką tafłę morza, w której odbijały się jej śnieżnobiałe burty i wysoka nadbudowa. Szyper, młody mężczyzna w bejs-

bolówce i flanelowej koszuli w kratę siedział w sterówce z przymkniętymi oczami, nogami na desce rozdzielczej i parującym kubkiem kawy w ręce. Na kanale 16 nikt się nie odzywał, ale w radiu HF nadawali koncert fortepianowy. System namierzania ławic zapika, jeśli pod czujnikami trawlera przepłynie coś ciekawego, a AIS da mu znać, jeśli wystąpi ryzyko kolizji. Dlatego przysypiał bez obaw, ufny, że elektronika wszystkiego dopilnuje.

Większość nocy był na nogach. Akurat wciągano jedną z sieci, nie robił sobie jednak wielkich nadziei co do wielkości połowu. Nagle dużym statkiem coś wyraźnie szarpnęło, kiedy wciągarka trałowa na rufie zatrzymała się z metalicznym chrzęstem, a alarm tuż nad jego głową zawył niczym potępione dusze. Szyper zaklął siarczyście, kiedy wylał sobie na spodnie gorącą kawę.

Szarpnął drzwi kabiny i wąskim pomostem bokiem szybko przeszedł wzdłuż burty na rufę.

Włók zwisał z podnośnika nad rampą chłodni i poruszał się pełen srebrzystych ryb. Starszy rybak stał nadal z dłonią na wciśniętym hamulcu awaryjnym, a trzech członkowie załogi zwisali z lin włoka, próbując wyhamować wahadłowy ruch ciężkiego wora.

Szyper zaniepokojony popatrzył na kolegę.

– Sven, co się stało? Ktoś jest ranny?

Rybak, zwykle nad wyraz rozmowny, pokręcił głową i wskazał palcem.

– Nie. To znaczy... tak, w jakimś sensie, ale...

Szyper popatrzył we wskazanym kierunku. Spomiędzy ok sieci sterczała naga ludzka noga, widoczna aż do pachwiny. Była biało-różowo-niebieska i złamana w kilku miejscach. U stopy brakowało trzech palców.

Szyper mimo młodego wieku był świetnie wyszkolony, ale przede wszystkim pochodził z rodziny rybackiej, która od średniowiecza łowiła w tych wodach.

Z grozą się przeżegnał.

\*

Piekielny hałas nowego helikoptera Augusta Westland należącego do Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa sprawił, że szyper Regine z Thyborøn mocno docisnął dłoń do jednego ucha, a do drugiego przycisnął ręczny radiotelefon VHF. Harmider był nieopisany, wibrowały od niego wszystkie kości w jego ciele.

Tyle dobrze, że choć morze było dziś w miarę łaskawe i nie musieli się poruszać po trzeszczącym śliskim pokładzie.

Na szeroką rufę opuszczono metalowe nosze razem z ratownikiem. Starszy rybak Sven czekał, gotów ich odebrać. Delikatnie, na ile to było możliwe, uwolnili potwornie zmasakrowane zwłoki z sieci i owinęli w plandekę. Szyper zaproponował, że dopłynie z ciałem do brzegu, chociaż to oznaczało dla nich spore koszty, ale ktoś na górze uznał, że nie ma na to czasu. Zupełnie jakby gdzieś tam czekano, aż stanie się coś takiego.

Ratownik postawił stopy na pokładzie i pociągnął w dół nosze. Rozwiązał linę, którą je opuszczono, i krzyknął coś do przypiętego przy szyi mikrofonu. Potem helikopter oddalił się na jakieś pięćdziesiąt metrów i szyper wreszcie usłyszał własne myśli.

Ratownik zdjął z głowy gumowy kaptur, przywitał się z szyprem i starszym rybakiem, a potem popatrzył na leżący na pokładzie tłumok.

– Pomożecie mi?

Szyper i Sven popatrzyli po sobie.

Potem zgodnie pokiwali głowami.

– Tylko ostrożnie – uprzedził ratownika szyper. – Jest trochę w rozsypce.

\*

Dziesięć minut później zwłoki znajdowały się na pokładzie helikoptera, który skierował dziób w stronę morza i obrał kurs na wschód. Wkrótce był tylko kropką na horyzoncie, chociaż hałas, jaki generował zdawał się za-trzymać tuż przed przednią częścią Regine.

Sven popatrzył na swojego młodego szypra.

– I co. Płyniemy dalej czy...?

– Chyba tak. Chociaż nie sądzę, że cokolwiek złapiemy.

– Ja też nie. Może dziś wypłynęliśmy właśnie po niego. Biedak.

– Myślisz, że to był mężczyzna?

– Chyba tak. A nie?

Szyper wrócił na swoje miejsce w sterówce, wbił nowy kurs do autopilota i włączył sygnalizację.

Potężny silnik diesla pod pokładem zaczął buczeć nisko i Regina rozwinęła nową linię kilwateru na spokojnej tafli.

\*



Charlotte Falster stuknęła błyszczącym paznokciem w szarą okładkę teczek z aktami, a jej okulary do czytania dyndały na cienkim srebrnym łańcuszku. Wzrokiem pełnym dezaprobaty mierzyła z góry na dół Lene, która bardziej leżała, niż siedziała na krześle dla gości w gabinecie szefowej. Spod jasnej poplamionej krwią skórzanej kurtki młodszej inspektor wystawała koszulka w szalonych kolorach z Bondi Beach w Australii przedstawiająca rozdziawioną paszczę rekina. Lene nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek była tak zmęczona.

Zasnęła w Hellerupie w samochodzie, a gdy się obudziła, była tak sztywna, że ledwie mogła się ruszyć. Zjadła jajko sadzone w jakiejś spelunie w Husum, której klientelę stanowili zalani w trupa alkoholicy sunący do domu. A jej szefowa uwielbiała narady o poranku.

– Prezentujesz się jeszcze gorzej niż ostatnio – zauważyła zrezygnowana. – Lene, powiedz mi, co ty u licha wyprawiasz? Wyglądasz jak po ustawce z kibolami.

Lene nie miała siły jej wszystkiego tłumaczyć.

– Taa...

– Okej, nieważne. Przeczytałam twój wstępny raport na temat Rasmusa Nordstranda. Sprawa wydaje się dość oczywista, prawda? A jednak nie możesz go znaleźć?

– Wysłałam w teren wszystkich dostępnych ludzi, do jego znajomych i kolegów z Kopenhagi, do każdego, kto mógł mieć z nim kontakt. Rozmawiałam też z policją w Grenlandii. Poprosiłam nawet Johannesę, twojego pupilka uwielbiającego grę zespołową, żeby poszukał jakichś tropów. Ale Rasmus Nordstrand oraz jego żona i dziecko wyparowali. Albo zapadli się pod ziemię.

Z kolei reszta jego rodziny zachowuje się niczym sekta. Są skrajnie niechętni do współpracy. Podobno są również szczerze wstrząśnięci. Ale w ten milczący sposób.

– Rozumiem. Sprawa wydaje się jednak dość prosta, prawda? DNA, odciski palców, ubranie w mieszkaniu Holma, to samo, które miał na sobie w tym, jak mu tam, Banana Clubie. Czyli zbrodnia w afekcie, kłótnia między kochankami, która wymknęła się spod kontroli?

– Tak to wygląda, na pierwszy rzut oka.

Charlotte westchnęła ciężko.

– Ale tylko cymbały takie jak niżej podpisana zinterpretowałyby dostępne fakty w taki sposób?

Lene nie odpowiedziała. Czubkami palców ostrożnie dotknęła nosa. Jedna dziurka była niemal całkiem zapchana i świszczała, kiedy Lene wciągała powietrze. Brzmiało to żałośnie. Jak gumowa zabawka. Domyślała się, że ma przekrzywioną przegrodę nosową. Michael, niech go szlag!

Charlotte odchyliła się w krzesło i skrzyżowała ręce na piersi niebieskiego żakietu Chanel.

– Co w takim razie zamierzasz zrobić?

– Znaleźć go, oczywiście.

– Czyli zgadzasz się, że to on jest zabójcą?

– To jedna z możliwości.

– Lene, kiedy słyszysz tętent kopyt, to nie zawsze oznacza zebra. Czasem to po prostu jest koń.

– A kamery? Co z nimi?

– Właśnie miałam o nich mówić. – Z powrotem założyła okulary i wzięła do ręki jakąś kartkę. – Zgodnie z tym oświadczeniem podpisanym przez Petera Holma był on świadom monitoringu w swoim mieszkaniu. Kierownictwo Nobel Oil znów otrzymało groźby z powodu wydobycia w Grenlandii, a nazwisko Holma było pierwsze na liście planowanych zamachów. Firma ochroniarska zatrudniana przez koncern zamierzała zamontować monitoring w domach jeszcze kilku pracowników, ale nie wszędzie zdążyli założyć mikrofony i włączyć kamery. Właśnie dlatego nikt niczego nie widział. Nie istnieją żadne nagrania samej zbrodni.

Lene wzruszyła ramionami i jeszcze niżej osunęła się w krzesło, niemal do pozycji poziomej.

– Bardzo dogodna wymówka – przyznała. – Chociaż na tej cholernej kamerze akurat świeciła się zielona lampka.

– Czyli twoim zdaniem mamy tu jakiś tajny spisek?

Lene się uśmiechnęła.

– Nie wiem. Mamy?

Siedziały na wprost siebie, nie patrząc sobie w oczy. Lene była mistrzynią nieruchomego wyczekiwania. Charlotte nie miała szans i przegrała, jak zwykle. Wstała, podeszła do okien i wyjrzała na zewnątrz. Lene ani drgnęła.

Charlotte odwróciła się i wcisnęła ręce w kieszenie żakietu.

– Kawy?

– Nie, dziękuję.

Lene odnotowała, że jej szefowa podjęła jakąś decyzję. Ściągnęła usta w dobrze jej znany sposób, oznaczający: „robię to z największą niechęcią, ale chyba nie mam wyjścia, skoro sama się o to prosisz, prawda?”.

– Złożyłaś podanie o pracę w Europolu w Hadze. Nawet więcej, poruszyłaś niebo i ziemię, żeby móc tam aplikować – zaczęła.

Lene wyprostowała się i wbiła czujny wzrok w twarz Charlotte. To była prawda, dałaby się poćwiartować, żeby zostać śledczą w Hadze. Móc pracować przy prawdziwych zbrodniach. Tropić międzynarodowe szajki pedofilskie, handel ludźmi, przestępstwa narkotykowe na wielką skalę. Nie miała wątpliwości, że by się tam przydała. Łatwo uczyła się języków i przez całą zimę chodziła na kurs francuskiego. Jej angielski był świetny, a niemiecki doskonały.

– Tak! Ale czekam na odpowiedź od trzech miesięcy. Wysłałam z założenia, że wzięli na to stanowisko kogoś innego, chociaż nie rozumiem, dlaczego nawet mnie nie zaprosili na rozmowę. Wydaje mi się, że znam większość pozostałych kandydatów ze Skandynawii, i moim zdaniem nie jestem od nich gorsza.

– Z całą pewnością nie jesteś, sama im cię polecałam – wyznała Charlotte. – Podobnie jak komisja rekrutacyjna podległa Komendzie Głównej i Ministerstwu Sprawiedliwości. Stanowisko ma być obsadzone w ciągu miesiąca. I to przez kogoś z Danii, tak przewidują obowiązujące umowy. Więc tak naprawdę to tylko formalność. O ile, oczywiście, nadal jesteś zainteresowana.

– Przecież wiesz, że jestem. – Lene siedziała teraz na krawędzi krzesła. – A co z Nordstradem?

– Sprawę może przejąć Johannes Mark. I jestem przekonana, że się sprawdzi. Więc jak? Mam przesłać twoje papiery do Hagi?

Lene zamknęła oczy.

– Tak... Cholera, jasne, że tak! I dzięki.

Charlotte się rozpromieniła i rozluźniła ramiona.

– Kawy? Aha, ale Johanna sama wprowadzisz w szczegóły sprawy, prawda?

– Tak, jasne, że tak – wyszeptała Lene. – I dzięki. Chętnie się napiję tej kawy.

Długo siedzieli przy kuchennym stole, nie odzywając się do siebie ani słowem. Herbata w jego kubku zrobiła się zimna. Prawie na siebie nie patrzyli, a Alan Knutzon wiedział, że jego twarz jest tak samo martwa i nieprzenikniona jak twarz Marii. Wzdrygali się i zerkali w bok, kiedy docierał do nich jakichś obcy dźwięk z ulicy albo klatki schodowej.

Alan chyba po raz dwudziesty sprawdził swój telefon. Wciąż nic. Żadnego maila, żadnego esemesa. Zarządzili w grupie całkowitą ciszę w eterze, dopóki się nie wyjaśni, co się stało z Rasmusem. Z Anną zresztą też.

Maria podniosła głowę i zarzuciła sobie na plecy czarny warkocz. Na klatce słychać było obce głosy. Ich starsza sąsiadka, mieszkająca samotnie pani Winther rozmawiała z kimś. Jak się zdawało – z młodą kobietą. Słychać było również dziecko.

Pani Winther zamknęła drzwi swojego mieszkania i oboje usłyszeli lekkie kroki dwóch par stóp na schodach. Chwilę potem zadzwonił dzwonek w ich mieszkaniu.

– Nie otwieraj – poprosiła Maria.

– Skarbie, jest środek dnia. Sprawdzę tylko kto to.

Poszedł do przedpokoju i spojrzął przez wizjer. Przed drzwiami stała ładna, młoda brunetka w wiatrówce i džinsach. Jej policzki miały zdrowy, naturalny kolor. Przez ramię miała przewieszony plecak. W ręce trzymała puszkę na datki z logo Czerwonego Krzyża. Ścisłym głosem powiedziała coś do stojącego obok chłopca o ciemnych lokach. Uśmiechnął się do niej. Podobieństwo między nimi było uderzające.

Kobieta patrzyła prosto w wizjer i ponownie wcisnęła dzwonek. Alan odwrócił się i z wiszącej w przedpokoju kurtki wyjął trochę drobnych.

Kobieta uśmiechnęła się do niego, kiedy otworzył drzwi. Była jeszcze ładniejsza, niż sądził.

– Cześć! Pomyślałam, że może chciałbyś wesprzeć Czerwony Krzyż? Oboje z Simonem ucieszymy się z każdego datku, prawda, Simon?

Chłopiec przytaknął energicznie i uśmiechnął się do Alana.

Kobieta rolowała lekko „R”, ale nie potrafił określić jej pochodzenia po akcencie. Jej wilgotne usta były rozchylone i Alan popatrzył na fragment białych zębów. Potem spojrzął niżej, na puszkę i zaczął wsuwać monety do otworu. Prawa ręka kobiety uniosła się szybkim, ale płynnym i pewnym ruchem. Kątem oka udało mu się dostrzec, że coś w niej trzymała.

Coś ciemnego. To coś uderzyło go w szyję, przez kołnierzyk koszuli i rozbłysło na niebiesko, wydając wściekły trzask.

Monety bezdźwięcznie rozsypały się na wycieracze. Jego ramię opadło wzdłuż ciała, a nogi się pod nim ugięły. Kobieta już się nie uśmiechała. Alan zdążył się jeszcze zdziwić, że wyraz ludzkiej twarzy może się zmienić tak bardzo w tak krótkim czasie oraz że był tak strasznie, tragicznie głupi.

Kiedy uderzył głową o wykładzinę w przedpokoju, dostrzegł ich szarego prążkowanego kocura Tommy'ego, który siedział w progu salonu. Zwierzę patrzyło na niego tak, jakby w jego mniemaniu tak daleko posunięta łatwościowość naprawdę była niewybaczalna.

Dźwięk jego upadającego ciała sprawił, że Maria wbiegła do korytarza.

Tu obezwładnili ją dwaj potężni mężczyźni. Zasłonili jej ręką usta, a ramiona wygięli do tyłu, zgięli w łokciach i wcisnęli nadgarstki między łopatki. Wrzasnęłyby z bólu, gdyby mogła.

\*

Kiedy Alan się ocknął, stwierdził, że jest nagi. Siedział na krześle w swojej własnej kuchni. Przedramiona i dłonie miał przyklejone taśmą do ud. Oddychać mógł tylko nosem, bo ktoś kilkakrotnie owinął mu taśmą dolną część twarzy – w poziomie i w pionie, pod brodą i przez głowę. Poruszać mógł właściwie tylko oczami. Tułów miał przywiązany do oparcia, a łydki i stopy do nóg krzesła. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezbronny. Zaczął płakać. Maria leżała przed nim na podłodze, naga. Jej głowa była owinięta taśmą wzdłuż i wszerz, podobnie jak jego własna. Jej ciemne, tak bardzo kochane oczy wwierały się w jego oczy. Związanymi dłońmi próbowała zasłonić krocze. Łzy płynęły jej z kącików oczu, spływały po skroniach i znikwały w gąszczu ciemnych wilgotnych włosów.

Na wprost Alana siedział schludnie ubrany mężczyzna po czterdziestce. Miał szare, pozbawione blasku oczy i czerstwą bladą twarz. Jego rzęsy, brwi i krótko ostrzyżone włosy były bardzo jasne, niemal bezbarwne. Odwrócił krzesło kuchenne tyłem, usiadł na nim okrakiem i oparł brodę na przedramionach wspartych na oparciu. Patrzył na Alana beznamiętnie, jakby ten był plamą na ścianie. Mężczyzna miał na nogach czarno-białe buty do golfa z małymi frędzlami. O lodówkę stała oparta torba do golfa. Główki kijów były zabezpieczone czymś w rodzaju włóczkowych czapeczek w kształcie zwierząt. Alanowi zrobiło się niedobrze, kiedy rozpoznał łosia, konia, uśmiechniętą świnię i głowę sowy na największym z kijów.

W korytarzu stali dwaj barczyści mężczyźni w czarnych skórzanych kurtkach. Palili papierosy i rozmawiali w nieznanym mu języku. Jeden z nich miał złote kolczyki i wyrazistą romską twarz. Drugi miał ogoloną głowę i był wielki jak góra. Cygan znudzony przesuwiał między długimi palcami złotą zapalniczkę. Słońce odbijało się w niej, puszczając zajaczki do Alana.

Mężczyzna na krześle położył na rogu stołu cyfrowy dyktafon, a potem spokojnie dwukrotnie uderzył Alana w twarz – najpierw wnętrzem, następnie grzbietem dłoni. Nie bił mocno, nie chciał mu zadać bólu. Chciał jedynie ściągnąć na siebie pełną uwagę Alana. Następnie zapalił cuchnącą cygaretkę i oczy Alana utkwili w czerwonym żarze na jej końcu.

Mężczyzna podążył za jego wzrokiem i się uśmiechnął.

– Nie zamierzam ci tego wkładać w oko, Alanie – zapewnił go i dmuchnął w żar. – Znasz angielski, prawda? Pokiwaj głową na tak i pokręć na nie. Chociaż jeśli nie znasz angielskiego, to mamy duży problem, bo wówczas tak naprawdę do niczego mi nie będziesz potrzebny. Rozumiesz, co mówię?

Alan skinął głową.

– W porządku. Zatem, kolego, cóż. Przykro mi, ale to *naprawdę* jest twój najgorszy koszmar. Nie żartuję. Ja jestem twoim koszmarem. Jesteśmy w nim razem i ja nie zniknę. Jesteśmy trzema obcymi mężczyznami w twoim domu i jesteśmy prawdziwi. Rozumiesz?

Mówił z holenderskim akcentem. Niezbyt mocnym, ale słyszalnym. Wzrok Alana wrócił do twarzy Marii, jakby przyciągany magnesem, i tamten westchnął. Z kieszeni marynarki wyjął duży składany nóż, otworzył ostrze i przeciął taśmę na ustach Alana. Czubek noża musnął jego górną wargę, ale go nie zranił.

– Imię i nazwisko.

– Alan Knutzon.

Mężczyzna spojrzał na zielony wyświetlacz dyktafonu i zmarszczył brwi.

– Proszę głośniej.

– Alan Knutzon.

Teraz najwyraźniej było lepiej, bo mężczyzna pokiwał głową.

– Wojownicy Posejdona. Kim jesteście, ilu was jest. Poproszę nazwiska i adresy, najlepiej od razu. Chcielibyśmy zdążyć odwiedzić ich wszystkich, sam rozumiesz.

Maria, patrząc na Alana, w milczeniu pokręciła głową i do kuchni wszedł mężczyzna z kolczykami. Zgasił papierosa w zlewie i popatrzył na Holendra.

Ten powtórzył:

– Wojownicy Posejdona. – Oparł brodę na dłoni i przyglądał się Alanowi.

Jemu z kolei pot spływał po twarzy. Wpatrywał się w Marię, kiedy kałuża moczu powoli rozlewała się pod jej ciałem. Ze wstydu zamknęła oczy.

Przywódca całej trójki złapał Alana za brodę i odwrócił jego twarz od dziewczyny.

– Teraz spójrz na mnie. Jesteś tego absolutnie, bezwzględnie pewien? To twoja ostateczna decyzja?

Alan pokiwał głową i mężczyzna powiedział coś do Cygana. Potem odebrał kawałek taśmy i z powrotem zakleił rozcięcie na wysokości ust Alana.

Jego pomocnik uwolnił jeden nadgarstek Marii i szarpnął jej prawe ramię, odciągając je od ciała, chociaż próbowała się opierać. Kolanem docisnął jej przedramię do podłogi, schylił się i nim Alan pojawił, co się dzieje, do kuchni wszedł ten z ogoloną głową i trzema krótkimi strzałami z pistoletu do gwoździ przybił nadgarstek i dłoń Marii do podłogi.

Jej oczy wytrzeszczyły się z gwałtownego szoku, ciało wygięło się w łuk. Przez chwilę wspierało się na piętach i podstawie czaszki, kiedy do podłogi przybito również drugą rękę. Leżała teraz ukrzyżowana na podłodze, którą Alan samodzielnie wycyklinował i polakierował, gdy się tu wprowadzili.

Alan krzyczał pod warstwą taśmy. Próbował wstać razem z krzesłem, ale ten z ogoloną głową pchnął go z powrotem.

– Spokojnie... tylko spokojnie.

Holender przysunął swoje krzesło bliżej i zerwał mu taśmę z ust.

– Alan?

Wymierzył mu jeszcze dwa silne policzki, aż nawiązał z nim kontakt wzrokowy. Zmęczonym ruchem potarł oczy, potem sięgnął za siebie i zgasił cygaretkę pod kranem.

– *Fuck*, człowieku, nie masz pojęcia jak ja mam tego dość. Mój szef to tak naprawdę kawał skurwysyna. Mówiąc między nami. Ale taka jest prawda. Oczekuje cudów. Z drugiej strony to nasza jedyna szansa, żeby się wbić w środowisko tych naprawdę bogatych. Ludzi, którzy mają duże pieniądze. I duże problemy. Bo widzisz, my pomagamy bogaczom rozwiązywać ich problemy. To nasza praca, z niej żyjemy. A ty i twoi znajomi jesteście problemem. Więc to się musi skończyć, rozumiesz? Mieliście swoje pięć minut sławy, trochę się zabawiliście, ale już wystarczy.

Zerka na Marię:

– Ładna jest. Bardzo ładna, delikatna młoda dama. Szczęściarz z ciebie. Mogę ci coś powiedzieć? – Mężczyzna patrzył na Alana z taką powagą i szczerością, że ten pokiwał głową i spróbował ukryć nienawiść w swoich oczach.

– W tego typu... przypadkach... czy sprawach... jak wolisz, zawsze jest jakieś *przed* i jakieś *po*. I te dwie rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego. Są całkiem odrębne. Rozumiesz?

Alan z płaczem potrząsnął głową, a Holender szukał odpowiednich słów.

– *Przed* jest to, co boli. Jak na przykład teraz. Nawet bardzo... mówię, jak jest. – Mężczyzna podniósł palec, żeby podkreślić wagę swojego wywodu. – Ale, i to jest w tym najlepsze: rany, które zadamy Marii, zanim postanowisz być z nami szczerzy i nam zaufasz, z czasem się zaleczą. Będzie jak nowa. Odzyska wszystkie... funkcje. Mówię o tych cielesnych. To ci mogę obiecać. Widziałem to nie raz. Nie jest to przyjemne, ale macie tu w kraju naprawdę zdolnych lekarzy. – Teraz twarz Holendra przybrała uroczysty wyraz. Złączył dłonie przed oparciem krzesła. – *Po*, Alanie. To następny etap. I naprawdę istnieją tylko te dwa scenariusze. *Well*, to zupełnie co innego. Jeśli zmusisz nas, żebyśmy posunęli się dalej, ślady będzie nosiła na sobie przez całe życie. A życie jest długie, zwłaszcza młodej pięknej dziewczyny. W mgnieniu oka możemy zrobić z niej zwierzę, ale ona tym zwierzęciem będzie już zawsze, rozumiesz? Nie uwierzyłbyś, jak niewiele czasu do tego potrzeba. Mówiąc szczerze, nawet nas nie przestaje to zdumiewać, chociaż widzieliśmy to tyle razy. Biologia jest po prostu zbyt silna. Znacznie silniejsza od ducha, można by rzec. I nie będziemy mogli sprowadzić jej z powrotem. Nikt nie będzie mógł. To jest zawsze absolutnie niemożliwe. Możemy karmić ją jej własnymi jelitami i utrzymywać przy życiu. Naprawdę potrafimy to zrobić. Już to robiliśmy.

\*

Dwie minuty później Holender miał nazwiska i adresy, na których mu zależało. Uśmiechnął się, wyłączył dyktafon i schował do kieszeni marynarki. Potem poklepał Alana po policzku. Wstał, zrobił krok i Alan zamknął oczy, czując rozdzierającą ulgę. Ale tamten się rozmyślił i usiadł ponownie.

– Świetnie, Alan. Naprawdę. Wielkie dzięki. Wierzę ci. Całkowicie. Mam tylko jedną, ostatnią prośbę. Gdzie jest Anna Nordstrand?



Alan pocił się wszystkimi porami, jego płuca pracowały na zwiększonych obrotach.

– Nie wiem – powiedział. – Naprawdę nie wiem.

Dirk Straat najpierw długo mu się przyglądał. Potem wymienił spojrzenia z Cyganem i skinął głową. Obaj jego współpracownicy poszli do salonu, skąd przynieśli wszystkie poduszki z kanapy i zabarykadowali nimi drzwi kuchni.

Dirk wstał i się przeciągnął. Zdjął marynarkę, złożył ją poszewką od zewnątrz i wręczył Cyganowi. Potem podwinął rękawy koszuli i uśmiechnął się do Alana, który śledził jego ruchy oczami wytrzeszczonymi w panice.

– Alan, jeśli lubisz ból, to powinienesz spróbować golfa. To naprawdę straszliwy sport.

Holender wybrał z torby odpowiedni kij, a Cygan tymczasem wyciął w taśmie na wysokości ust Marii niewielki krzyżyk. Straat wcisnął przez otwór tee i kazał Marii zacisnąć na nim zęby. Dziewczyna potrząsała głową, aż olbrzym pistoletem przybił jej warkocz do podłogi. Wtedy zacisnęła zęby na tee i zamknęła oczy. Straat delikatnie umieścił na nim piłeczkę golfową. Potem między jej drobnymi piersiami postawił stopę w nabitym kolcami bucie, złapał równowagę i z siłą i precyzją posłał piłeczkę na poduchy przy drzwiach.

Uśmiechnął się do Alana, który przez zaklejone usta był zmuszony połknąć własne wymiociny. Straat wyjął z torby następną piłeczkę.

Dziesięć minut później było po wszystkim. Ponownie przystawili Knutzonowi gwoździarkę do szyi. Jego ciało zwisało sparaliżowane i na wpół przytomne ze strzępów taśmy oklejającej krzesło.

W miejscu nosa Marii zionął ciemny krwawy krater. Jej dolna szczęka była zdeformowana i zmiażdżona. Ale ona wciąż żyła. Cygan jeszcze raz potraktował ją taserem. Rozbłysło niebieskie światło i kuchnię wypełnił ostry zapach ozonu.

Olbrzym z ogoloną głową wyjął spod zlewu rolkę worków na śmieci. Spokojnie oderwał cztery. Rozdzielił je na dwie pary. W każdej włożył jeden worek do drugiego. Worki nałożył na głowy Marii i Alana. Wygładził je, aby przylegały do ich twarzy, i owinął im taśmę wokół szyi, odcinając dopływ powietrza. Worki szybko zaszyły parą od łapczywych oddechów i twarze obojga stały się niewidoczne.

Dirk umysł ręce w zlewie i kuchennym ręcznikiem wytarł pot z czoła.

Spojrzał na Zacka, Cygana.

– Naprawdę nie wiedział – stwierdził ze zdumieniem. – Nobel mnie zabije.

– Ale mamy nazwiska pozostałych.

– No tak, bracie. Oczywiście.

Założył marynarkę.

– Posprzątaj tu i pozbądź się ich. I kiedy mówię, że masz posprzątać, to chodzi mi o usunięcie wszystkich śladów kryminalistycznych, jasne? Niech Elena i chłopak ci pomogą.

– Chłopak też?

– Niech się uczy życia.

– Życia?

– Wiesz, co mam na myśli. – Holender przyjrzał mu się badawczo, aby się upewnić, że się rozumieją.

– Jasne, Dirk. A co z kotem?

– Jak to co? Myślisz, że złoży zeznania? Zostaw go w spokoju. Bądźmy humanitarni.

Mężczyzna pokiwał głową i wyszedł.

\*

W świetle jarzeniówek w Zakładzie Medycyny Sądowej dłonie Lene świeciły na zielonkawo. Dyżurny w recepcji rozmawiał przez telefon, a ciemność na zewnątrz czyniła z okien idealne lustro. Po raz Bóg wie który przeczytała zagadkowego esemesa, którego dostała, gdy śmiertelnie zmęczona siedziała na kanapie w swoim salonie z nogami na stole i kubkiem chińskiej zupki w ręce. Do DVD wsunęła *Pod osłoną nieba* Bertolucciego, a w zanzardzu miała deser w postaci tabliczki marabou.

RASMUS NORDSTRAND SIĘ ZNALAZŁ. ZMS NATYCHMIAST.

Wiadomość nie była podpisana i przyszła z „numeru nieznanego”. ZMS musiało oznaczać Zakład Medycyny Sądowej.

– Lene?

– Przepraszam.

– Kochaniutka, Helle zaraz będzie gotowa.

– Dzięki.

Dyżurny był wytatuowany niczym harleyowiec, miał mnóstwo kolczyków w uszach i piercing w przegrodzie nosowej. Był kanciasty, kochany,

gruby i włochaty, nosił ksywę Jezus.

Lene podeszła do jego biurka zavalonego papierami i kartotekami, i pokazała mu ekran swojego telefonu.

– To chyba nie ty napisałeś, co?

Jezus grzebał sobie akurat palcem w zębach, próbował wydłubać coś spomiędzy tych najgłębiej osadzonych. Mlasnął z zadowoleniem, przełknął, przeczytał wiadomość i podniósł wielkie jak bochny dłonie.

– Dziecinko, ja nie umiem pisać esemesów. Mam za grube palce.

Podwójne drzwi do prosektorium rozsunęły się z cichym szmerem i pojawiła się w nich młoda kobieta w niebieskim stroju operacyjnym i czepku, z maseczką chirurgiczną zsuniętą na brodę. Pomachała do Lene i przywołała ją do siebie.

– Cześć, Lene. Mam nadzieję, że nie jesteś świeżo po posiłku – przywitała się Helle Englund, lekarka medyny sądowej, z którą Lene współpracowała już kilkakrotnie.

– Aż tak z nim źle?

Lekarka dobrze wiedziała, że dla Lene każda wizyta w prosektorium była ostatecznością i udręką.

– Wcale nie – zapewniła ją pośpiesznie, ale z twarzą dziwnie nieruchomą, więc Lene miała najgorsze obawy.

Posłusznie ruszyła za Helle długim korytarzem, z którego weszły do dużej, bardzo jasnej i doskonale wentylowanej sali sekcyjnej z czterema stołami, z których tylko na jednym leżało ciało zasłonięte prześcieradłem. Rury wentylacyjne pomalowano na śmiało, ostre kolory, jakby ktoś chciał to miejsce rozweselić i odwrócić uwagę od tego, co się tu działo. Tak w każdym razie domyślała się Lene. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła na prześcieradle duże jasnoróżowe plamy o brązowawych brzegach, a w nozdrza uderzył ją morski zapach jodu.

– To ty mi przysłałaś esemesa jakieś pół godziny temu?

– Nie, nie wiedziałam nawet, że to ty prowadzisz śledztwo.

– A był tu może Johannes Mark?

Lekarka zmarszczyła czoło.

– Dlaczego miałby tu przychodzić?

– No tak, dlaczego by miał...

Helle naciągnęła lateksowe rękawiczki i popatrzyła na Lene, która skinęła na znak, że jest gotowa – i wstrzymała oddech. Kiedy lekarka odsłoniła prześcieradło i odłożyła na bok, Lene beknęła i ledwie powstrzymała

odruch wymiotny. Zapach morza obezwładniał. Zwłoki były pozbawione włosów, twarzy i genitaliów. Rozlewały się po całym stole, jakby nie podtrzymywał ich żaden szkielet. Pod pępkiem widoczna była poszarpana rana długości około pięciu centymetrów. Wyglądała, jakby ktoś rozerwał różowy wacik. Ramiona i nogi były połamane w wielu miejscach i z biało-niebieskiej skóry sterczały szare końcówki kości.

Lene cofnęła się i popatrzyła na Helle spomiędzy palców. Jej wnętrzności buntowały się zaciekle.

– Boże drogi, co mu się stało? To na pewno Rasmus Nordstrand? W sensie...

– Na pierwszy rzut oka trudno stwierdzić płeć, ale tak, to *jest* on. DNA się zgadza, a na nadgarstku ma ten tatuaż w kształcie węża.

– Helle, dlaczego on tak wygląda? Dlaczego jest tak strasznie... zdeformowany?

– Wszystkie kości długie ramion i nóg są wielokrotnie złamane – wyjaśniła lekarka. – Tak naprawdę nie ma w ciele ani jednej kości, która by się zachowała nienaruszona. Włącznie z czaszką, ta jest całkiem skruszona. Jak worek z glinianymi skorupami. Włoki trawlera nie obeszyły się z nim łagodnie, kiedy go ciągnęły spory kawałek po morskim dnie. Ale to nie wszystko.

Lene otworzyła szeroko oczy.

– To nie wszystko?! Rany boskie, co jeszcze? Pomyślałabym, że coś takiego...

Stwierdziła, że spróbuje oddychać ustami, i odsunęła dłonie od twarzy, ale natychmiast wróciły na miejsce, jakby były przyklejone.

– On nie wypadł za burtę. Nie utonął. Kiedy wpadł do wody, już nie żył – wyjaśniła Helle. – W płucach nie ma wody morskiej, a jego kark został złamany dużo wcześniej. Wstępnie szacuję, że uderzył w wodę z maksymalną prędkością, która dla człowieka wynosi jakieś dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę. To jak uderzyć w beton.

Lene bezradnie pokiwała głową.

– Czyli... ktoś go wyrzucił z samolotu, kiedy już nie żył?

– Tak. Albo z helikoptera.

– Jezu.

Lene patrzyła na młodego martwego mężczyznę i wtedy coś – śliska, przypominająca albinosa istota – wystawiło głowę przez otwór pod pęp-

kiem. Skóra na podbrzuszu mężczyzny ożywiła się i zaczęła gwałtownie poruszać.

W jednej chwili z rany wysunęło się półmetrowe, białe jak kreda ciało śluzicy wraz z kałużą spienionej różowej morskiej wody. Było grube jak ramię Lene. Zaraz wypełzło kolejne pół metra, z mlaszcząco-ssącym dźwiękiem i całe zwierzę umościło się wygodnie w zagłębieniu między nogami zwłok. Podniosło ślepą głowę i badało otoczenie długimi ruchomymi czułkami, które sterczały wokół otworu gębowego jak wąsy. Wargi śluzicy były czarne i odsunięte, więc widać było rzędy ostrych spiczastych zębów.

Lene wrzasnęła i pobiegła w stronę umywalk, gdzie zwymiotowała. Potem obiema rękami przytrzymała się krawędzi jednej z nich, trzęsła się na całym ciele i była mokra od potu. Za plecami słyszała odgłos stali przesuwanej po flizach i przekleństwa Helle. Jakiś alarm włączył się i wył ogłuszająco. Lene odwróciła się na drżących nogach i zobaczyła, jak metrowy potwór, wijąc się, zdumiewająco szybko sunie po podłodze prosto na nią. Znow wrzasnęła, ale nie mogła się ruszyć. Jakby najgłębszy, pierwotny strach przykuł jej stopy do podłogi, jakby jej nogi skamieniały i już ich nie czuła. W panice sięgnęła po pistolet, wyjęła go z kabury i prawie upuściła na podłogę. Zwierzę było teraz ledwie trzy metry od niej. Pozbawionymi czucia palcami przeładowała broń i oddała dwa strzały, które oczywiście nawet nie musnęły śluzicy, za to niebezpiecznie odbiły się rykoszetem od podłogi. Zanim zdążyła strzelić po raz trzeci, Helle przesunęła się przez linię ognia i omal się nie przewróciła, ślizgając się na śladzie zostawionym przez zwierzę. Długim skalpelem przecięła je na pół, ale obie połówki dalej sunęły ku Lene, jakby nigdy nic.

W ostatniej chwili impulsy z porażonego mózgu Lene dotarły do jej stóp, przeskoczyła nad zwierzęciem i pobiegła w stronę stołu sekcyjnego. Opierając się o niego patrzyła, jak Helle raz po raz siecze zwierzę. Żaden człowiek nigdy wcześniej nie wzbudził w niej takiego podziwu jak młoda lekarka w tamtej chwili.

No, może jeszcze Michael Sander, wtedy, gdy...

Coś zimnego, śliskiego i ciężkiego przesunęło się po dłoni, którą przytrzymała się stołu. Spojrzała w dół i oniemiała z przerażenia zobaczyła, że ciało Nordstranda opuściły kolejne dwie śluzice i właśnie spełzały ze stołu na podłogę.

Lene cofnęła rękę i krzyczała jak nigdy dotąd.

\*

Siedziała teraz na kanapie w biurze Helle Englund. Plecy miała okryte kocem i co kilka sekund przeszywał ją dreszcz od czubków palców u stóp po cebulki włosów. Lampka na biurku Helle była jedynym źródłem światła, a tam, gdzie nie docierało, panował głęboki czarny mrok.

Lene podciągnęła nogi pod siebie.

Na ścianach wisiały dwie tablice. Jedną całkowicie wypełniały zdjęcia najbardziej przerażających ran i obrażeń. Na drugiej, tej za krzesłem biurowym lekarki, wisiały rysunki jej dzieci i fotografie życia, które wyglądało na sielskie.

Weszła Helle. Wzięła prysznic, pachniała czystością i miała na sobie dzinsy, drewniaki i koszulkę z logo swojego miejsca pracy. Nie patrząc na Lene, usiadła w fotelu, wysunęła stopy z chodaków i położyła je na biurku. Potem splotła palce za mokrymi jasnymi włosami i spojrzała w sufit.

– O jasna cholera – stwierdziła.

Lene wciąż nie mogła wydusić słowa. Cały czas czuła na dłoni ciężar służicy oraz głęboką wdzięczność do Jezusa, który po nieskończeniu długim czasie zjawił się uzbrojony w wiadro i siekiere z skrzynki przeciwpożarowej. Nieustraszony walił w te potwory, aż wytlukł z nich życie, a potem zgarnął je do wiadra.

Helle rozejrzała się i popatrzyła na Lene spod ramienia.

– Dobrze się czujesz?

– Co?

– Pytałam, czy się dobrze czujesz? Nic ci nie jest?

Lene przeszył kolejny długi dreszcz i ciaśniej otuliła się kocem.

– Nie, kurde, w ogóle nie czuję się dobrze! Te... te zwierzęta... będę je miała przed oczami do końca życia. Na zawsze!

Czuła, że zaraz się popłacze, więc ugryzła się w palec.

Lekarka pokiwała głową i popatrzyła przed siebie.

– Tak... masz rację... to...

– Zdarzyło ci się już kiedyś coś takiego?

– Węgorze tak. Kiedy mamy ciała wyrzucone przez przypiływ. W nich dość często znajdujemy żywe węgorze, nawet kiedy już mamy ich na stole. Ale czegoś takiego jak te służice jeszcze tu nie miałam. One są zresztą ślepe, ale mają niesamowity węch. Żywią się wyłącznie padliną.

Lene pokręciła głową.

– Kobieto, na rany Chrystusa, jak ty to znosisz? Dzień w dzień? I co mówisz swoim dzieciom? I dlaczego nie zostałam chirurgką plastyczną albo dermatologką? Miałabyś gruby hajs. Dom w Toskanii. Jacht w Rungsted.

– Sama zadaję sobie to pytanie co najmniej dziesięć razy dziennie. Albo mój mąż.

Z powrotem wsunęła stopy do drewniaków i odwróciła się z krzesłem do Lene.

– Nie wiem dlaczego. Żeby tym sukinsynom nie uszło to na sucho – odparła po chwili.

– No tak, powinni za to zapłacić. Ale... serio, Helle.

Kobieta przeciągnęła się, aż strzeliło jej w kościach, i przeszła do rzeczy:

– Okej. Jesteś gotowa usłyszeć kilka wniosków na temat losów Rasmusa Nordstranda?

– Nie, ale mów.

– Przyczyna śmierci: przerwanie rdzenia kręgowego w odcinku szyjnym. Nastąpiło jednak, jak powiedziałam, na długo przed tym, jak trafił do morza. Innymi słowy, był już martwy, kiedy z dużej wysokości uderzył w wodę.

W którymś momencie miał związane ręce. Wokół nadgarstków ma bruzdy od sznurka.

– To jasne. Nie ma wątpliwości, że zamordował Petera Holma, ale potem... Widocznie zaraz potem ktoś unieszkodliwił jego.

– Kto?

– Obstawiam, że ten, kto umieścił kamery w mieszkaniu Holma. Jakaś na wpół zmilitaryzowana firma ochroniarska. Najemnicy Nobel Oil. To dlatego nikt się nie przejął zniknięciem Nordstranda. Wszyscy, poza jego rodziną i mną, wiedzieli, że już nie żył. Zabili go i wyrzucili w miejscu, gdzie, jak sądzili, nikt go nigdy nie znajdzie.

– Dlaczego zabił Holma?

– Tego nie wiem, ale mam wrażenie, że zdaniem wszystkich Nordstrand dostał to, na co zasłużył. Mówią o jakichś terrorystach. Ekodziałaczach, próbujących sabotować wydobycie oleju w Grenlandii. Wygląda na to, że Nobel Oil dostał od rządu coś w rodzaju *carte blanche*, aby w tej sprawie zrobić, co będzie konieczne. Dlatego tak mi patrzą na ręce, boją się, że zaczęły im mieszać szyki.

– Powinna się martwić?

– Nie. Ty nie. Wykonujesz tylko swoją pracę. Ale pięć minut po tym, jak stąd wyjdę, pewnie odwiedzi cię taki jeden specjalny doradca z Ministerstwa Sprawiedliwości. Nazywa się Andersson. Poznasz go po skarpetkach. Bardzo charakterystyczne.

– Andersson.

– Tak. Tom Andersson. Nawet miły. Do pewnego momentu.

Lekarka westchnęła ciężko. Lene pomyślała, że musi być równie zmęczona jak ona.

– I co mam mu powiedzieć?

– Wszystko, chociaż on pewnie i tak większość szczegółów już zna.

– Zazwyczaj nie udostępniamy raportów z sekcji przypadkowym urzędnikom tylko dlatego, że nas o to proszą.

– Wiem, że nie. Ale zrób to dla własnego dobra. Jeśli będziesz się stawić i każesz mu przejść całą drogę od twojego szefa aż po dyrektora szpitala, żeby cię do tego zmusić, to tylko bardziej go wkurzysz. Gra niewarta zachodu. Poza tym on nie jest urzędnikiem.

– A ty co z nim robisz?

Lene zastanowiła się chwilę. Lubiła Helle. Znały się od dawna i więcej niż raz zdarzyło im się naginać paragrafy. Poza tym zawsze były wobec siebie szczerze.

– Ja przechodzę do Europolu, do Hagi. To wielki, lśniący zajebicie kuszący kawał tortu, którym pomachali mi przed nosem, a ja postanowiłam go przyjąć. Bo jeśli go nie przyjmę, to pewnie sama trafię do morza.

– I węgorzy – mruknęła Helle.

– Błagam, kobieto!

Tamta się uśmiechnęła, ale dodała:

– To jednak do ciebie niepodobne, poddać się albo dać się przekupić.

– Helle, mam czterdzieści sześć lat. Dla mnie jesteś dzieckiem. Pogadamy, jak ci wypadną mleczaki, okej? Mam zresztą jeszcze trochę czasu do odlotu.

Wyjęła z kieszeni telefon i raz jeszcze przeczytała tajemniczą wiadomość.

– Poza tym możliwe, że ktoś życzliwy bardzo by chciał, aby ta sprawa została wyjaśniona. Choć nie wyobrażam sobie, kto by to mógł być. Na pewno nie ktoś z oficjalnych struktur. Masz coś jeszcze? Poza związanymi rękami i złamanym karkiem?



Lekarka wyjęła z kieszeni małą foliową torebkę i rzuciła ją Lene. Ta obejrzała ją pod światło lampy na biurku. Znajdowało się w niej kilka zielonkawych odłamków szkła. Największy wielkości paznokcia.

– To szkło?

– Specjalne, zielone szkło zbrojone, którego używa się w przeszklonych fasadach albo witrynach sklepowych – wyjaśniła Helle. – Wyjęłam je z jego skóry głowy, barków i jednej dłoni.

– Czyli skręcił kark, wypadł przez okno, został wyrzucony z samolotu albo helikoptera nad Morzem Północnym i na koniec przeciągnięty włókami po dnie morza. Powiedz, ile razy trzeba go było zabić? Nawet Indiana Jones już dawno by wyzionął ducha!

– Mógł skręcić kark, wypadając przez okno – zauważyła Helle. – A reszta była jedynie... usuwaniem śladów.

– Mogę zatrzymać te odłamki?

– Jasne. Zostało ich jeszcze pod dostatkim.

– Dzięki.

Lene wstała i złożyła koc.

– Można już chyba powiadomić rodzinę – dodała cicho lekarka. – Bo to *jest* on. Rasmus Nordstrand.

– No tak, Boże. Rodzina.

– Był żonaty, prawda?

– Tak. Jego żona od trzech dni chodzi za mną krok w krok. I wlecze za sobą ich biedną córkę. Wyglądają jak bezdomne.

– Dlaczego?

– Myślę, że czekała, aż to się stanie. Tylko nie miała pewności.

\*

Michael od spotkania z Noblem nie mógł przestać myśleć o Alanie Knutzonie. Znaki, jakie prezes wysyłał do Straata, i sposób, w jaki z nim rozmawiał – chłodny i wyrachowany, sprawiły, że Michaelowi zapaliła się czerwona lampka. Starał się ją zignorować i skupić się na Annie Nordstrand. Jeśli uda mu się ją znaleźć, to prawdopodobnie znajdzie również zaginione dane Nobla i sprawa, przynajmniej z jego perspektywy, będzie zamknięta. A on nigdy więcej nie będzie musiał mieć do czynienia z Dirkiem Straatem. Albo Lene.

Mogliby wyjechać dokądś z Idą. Jej mogliby załatwić najlepsze leczenie w jakimś spokojnym, pięknym miejscu w Szwajcarii albo na południu Francji. Stałaby na nogi, zobaczyła przed sobą przyszłość. To był jego najwyższy priorytet. Poza widywaniem swoich dzieci, chociaż w tej chwili nie widział sposobu, aby tego dokonać – poza zwykłym porwaniem.

Na razie jednak jego poszukiwania nie przynosiły efektu. Anna Nordstrand była niezależną dziennikarką i pracowała zdalnie. Michael udał się do mieszkania Nordstrandów, ale nie znalazł tam żadnych wskazówek. Zmywarka była opróżniona i sucha. Żadnego świeżego jedzenia ani żadnych produktów mlecznych w lodówce, a w skrzynce na listy na klatce schodowej leżała nieistotna korespondencja z ostatnich trzech dni. Nie natknął się również na osobiste dokumenty trójki mieszkańców: żadnych paszportów, legitymacji ubezpieczeniowych czy dyplomów. Brodzik prysznicowy był suchy jak pustynia Gobi i w mieszkaniu nie zostały żadne telefony, iPady czy laptopy. Wyglądało na to, że rodzice z córką postanowili razem zniknąć.

Michael bez trudu umiał ich sobie wyobrazić. W szalście na plaży w Goa. Szczęśliwych i beztroskich, próbujących zapomnieć o wszystkim, co się wiązało z Danią, Wojownikami Posejdoną i całą Zatoką Disko. On tak właśnie by zrobił, gdyby miał przy sobie jakąś Annę o urodzie Nicole Kidman. Może grali sobie w karty. Robili plany, załatwiali podrabiane paszporty. Snuli się między palmami w sarongach i japonkach. Możliwe, że Rasmus Nordstrand zapuścił brodę, a u miejscowego dermatologa usunął laserowo tatuaż z trójzębem. Z kolei Anna była teraz Ukrainką, zaś ich córka całkiem łysa. Możliwe...

Ulica, przy której mieszkali Knutzonowie była wąska, a stojące przy niej domy – stare. Przez kilka pokoleń znajdował się tu znany klub nocny z na wpół wypalonym neonowym logo w kształcie egzotycznego ptaka. Mroczna, zadymiona kapsuła czasu i zamknięte w niej drogie dziwki, barmani, którzy widzieli już wszystko, jeszcze droższe rozcieńczone drinki i mafiozi nadgryzieni zębem czasu z brylantyną na włosach i przewlekłą obturacyjną chorobą płuc. Dawny świątek kryminalny z Vesterbro bratał się tu z nowymi bandytami i gangami imigrantów w atmosferze ciepłej, przyjaźnej i serdecznej.

Dziś zamiast klubu był Aldi, narkomani przenieśli się na Lolland, a dzielnicą zawładnął element tapaso-sushi-latte-hipsterski ze swymi dziećmi o dziwacznych imionach. Mężczyźni, którzy nie chcieli dorosnąć, przyczepki

rowerowe, designerskie butiki, zanik autorytetów, studia z komunikacji, elektryczne samochody i nacechowane ideologicznie przedszkola – wszystko to, co się rozpleniło we wszystkich dzielnicach Kopenhagi, które zachowały jeszcze odrobinę własnego charakteru.

A wśród tego wszystkiego granatowy dostawczy opel, który odjechał od krawężnika, kiedy Michael skręcił z Vesterbrogade. Samochód miał żółte holenderskie tablice. Dirk Straat znowu wyprzedził go o krok i Michael powoli miał tego dość.

Z sercem ciężkim jak kamień przez chwilę rozważał pościg za samochodem i egzekucję wszystkich nim jadących, ale obawa o los Knutzona domagała się weryfikacji.

W głębi duszy był oczywiście boleśnie świadom tego, co się tu wydarzyło, w ten zwyczajny, jasny dzień, który na pozór niczym się nie różnił od pozostałych. Oraz czyja to była sprawka.

Zaparkował na wolnym miejscu pod numerem 14 i spojrzał na fasadę starej kamienicy. Bardzo starej. Wyglądała, jakby miała się złamać na pół. Jakby środek budynku ważył więcej od jego boków. W dodatku nie miał kątów prostych. Może nawet był pod ochroną konserwatora. Knutzon i jego dziewczyna mieszkali na drugim piętrze. Spojrzał w zamknięte i zasłonięte okna ich mieszkania.

Słyszał dzwony kościoła św. Marii przy Istedgade.

Do kamienicy wchodziło się przez bramę. Michael zatrzymał się przed kratą i patrzył na dwóch chłopców grających w piłkę przy murze wewnętrznego podwórka. Axel Nobel kopał piłkę na błoniach, tak mówił. Michael nie umiał sobie tego wyobrazić. Krótkie spodenki, odrapane kolana i wesoły beztroski uśmiech zupełnie nie pasowały do prezesa. Prędzej widział go grożącego pozostałym chłopcom pozwami albo wręcz pistoletem, gdy on i jego bracia przegrywali.

Rozejrzał się. Wszystko wyglądało normalnie. Nie działo się nic, co by odbiegało od tego, co codzienne i przewidywalne. A jednak czuł się jak pod kloszem, spod którego powoli ucieka powietrze. Jego puls przyśpieszył. Oparł się ręką o zimną stal bramy i nagle spanikował, obezwładniony własną bezsilnością.

Nie teraz, kurwa.

Może Ida miała rację? Może naprawdę już się do tego nie nadawał, może coś mu się stało w serce? Może Sara i potwór, który mienił się jej adwokatem, zniszczyli mu jakiś niezbędny do życia organ?

Nie mógł też przestać myśleć o Lene, co było chyba najgorsze. I śmiertelnie niebezpieczne, bo go rozpraszało, a on tak bardzo potrzebował teraz skupienia. Tak, stał się rozkojarzonym, rozmarzonym głupcem, który zasłużył sobie na to, aby wpakować się w coś niewybacznego. Los, hybris albo karma – to wielkie liczydło gdzieś w górze nie strzegło idiotów, którzy powinni byli wiedzieć lepiej. Co do tego nie miał wątpliwości.

Michaela zawsze postrzegano jako niezawodnego, pewnego siebie profesjonalistę. To inni załamywali się, popełniali błędy albo nie wracali z misji. On wracał zawsze. Keith Mallory, który był jego mentorem, odkąd razem pracowali w Shepherd & Wilkins nazywał go Landroverem.

Bo choć Michael Sander nie miał kuszących opływowych kształtów jak projekty Ghii czy Pininfariny, to surowa moc sinika i kół pozwalały mu forsować każdą przeszkodę, a kiedy kurz opadał, on zawsze stał z uśmiechem triumfu na twarzy, bogatszy o kilka egzotycznych przygód i blizn.

Zamknął oczy i przywarł mocno do bramy z kutego żelaza, aż dotarło do niego, że miarowe uderzenia piłki o ścianę domu ucichły. Kiedy podniósł powieki, zobaczył tuż przed sobą dwóch chłopców, dziewięcio- albo dziesięcioletnich, ubranych w koszulki Messiego i Ronaldo. Wyższy, Ronaldo, trzymał piłkę pod pachą.

Michael uśmiechnął się do nich słabo.

– Wszystko okej? – spytał Messi.

– Tak. Dzięki. Zapomniałem zjeść śniadania. Robię się wtedy... trochę do niczego.

Messi wyjął z kieszeni snickersa i wręczył go Michaelowi. Ronaldo obserwował ten gest, jakby baton był ogniem olimpijskim.

Michael przyjął cenny dar. Czekolada była ciepła i miękka.

– Jesteś pewien?

– Jasne.

– Vitus go nie chce, a ja nie jestem głodny – oświadczył uroczyście Ronaldo.

Michael wyjął batona z lepkiego papierka, a chłopcy z zapartym tchem obserwowali każdy kęs.

– Przeszedłeś pomóc Alanowi i Marii w przeprowadzce?

Michael zamknął oczy. Zakręciło mu się w głowie. Boże.

Brzęczenie w jego uszkodzonym uchu rozniosło się na resztę ciała, jakby się zbliżał do stacji transformatorowej.

– Jak to. Wyprowadzają się? – spytał.

– Jak wszyscy – odparł Messi.

– Przyszli tu dwaj duzi panowie w skórzanych kurtkach. Jeden miał kolczyki, co nie, Vitus?

– I miliard dziar – dodał Messi. – A drugi był łysy. Wynieśli od Alana takie długie ciężkie worki. Dziwnie mówili. Jak ciapaci. Była też jedna pani i chłopiec, żeby posprzątać.

– I jeszcze jeden, z torbą do golfa. Mój dziadek ma taką. Może to była torba Alana?

– Tak, może. – Michael miał ochotę krzyczeć na całe gardło.

– To był ten blady – potwierdził Ronaldo, kiwając głową.

– Dobrze ubrany? – dopytał Michael.

– Wyglądał, jakby miał się żenić.

– Chyba powinienem go sobie obejrzeć – zagaił Michael. – Nie nagraliście go przypadkiem telefonami? Nie zrobiliście mu zdjęć?

Chłopcy wymienili szybkie spojrzenia i stracili zainteresowanie.

– My gramy w piłkę. Nie robimy zdjęć.

Vitus został i przyglądał mu się badawczo. Ten drugi wrócił do trenowania i podwórko znów rozbrzmiało odgłosem krótkich elastycznych odbić.

– Pomógł? – spytał chłopak. – Mój snickers?

– Zdecydowanie. – Michael uśmiechnął się do niego. – Tak w ogóle, zawsze byłem za Barcą.

Chłopak w koszulce Messiego zmarszczył brwi.

– Wiadomo. – Powiedział to tonem poważnym, jakby tylko wykolejeńcy albo kompletni idioci mogli kibicować innym drużynom.

– Głupio, jak spada cukier – dodał. – Znam to. Jakby się uderzyło w mur. Jakby nagle nie miało się nóg.

– To prawda. A widziałeś może Alana albo Marię, odkąd poszli tamci ludzie?

– Alan czasem schodzi z nami pograć. Ale dziś go nie było. Oni nie mają dzieci.

No tak, pomyślał Michael. Dziś go nie było. I cholernie długo nie będzie, Messi.

– No to cześć. Dzięki za snickersa.

Chłopak uklonił się uroczyście i pobiegł do kolegi. Kilka sekund później rozpętała się między nimi dzika awantura.

\*

Po niespodziewanym napadzie złych myśli Michael poczuł pewną ulgę, kiedy wszedł do mieszkania Alana i Marii. Panował w nim lekki nieporządek, ale taki, który czynił miejsce normalnym i przytulnym. Na granatowej kanapie leżał szary kot w prążki. Bawił się czymś różowo-białym, a obcego w domu omiół obojętnym spojrzeniem. W kuchni można by przeprowadzać in vitro, tak tam było czysto. I spokojnie.

Michael zaczął się uśmiechać.

Widocznie ludzie Straata spóźnili się i odjechali z niczym. Nobel będzie niepokieszony, ale Michael nie posiadał się z radości. Okno było uchylone, więc z czystej ulgi zapalił papierosa i usiadł przy stole ze spodkiem pod ręką.

Był wykończony. Nie z braku snu, ale dlatego, że jego życie było ciągłą, bezkresną strefą zagrożenia. Zrobił jeszcze jeden obchód po mieszkaniu, ale nie znalazł niczego podejrzanego. Z punktu widzenia śledztwa mieszkanie było równie nieciekawe co mieszkanie Nordstrandów. Zgasił papierosa i już miał wyjść, kiedy przypomniał sobie o kocie.

W lodówce znalazł paczkę karmy brekkies i kiedy pochylony napełniał kocią miskę, uświadomił sobie trzy rzeczy: 1. Chłopcy mówili, że tamci obcokrajowcy wynosili podłużne, foliowe worki. 2. Wyczuwał tu silny korzenny zapach, który kojarzył się z cuchnącymi greckimi cygaretkami Straata. 3. W misce kota, poza brązowymi bryłkami suchej karmy, było coś jeszcze, coś białego i błyszczącego. Wyjął to ostrożnie, a gdy zaczął to oglądać, jego puls narastał, aż brzmiał, jakby Michael stał pod wodospadem. Był to ludzki ząb trzonowy, ewidentnie wybity z górnej szczęki. Uderzająco biały i bardziej żółty tam, gdzie był osadzony w dziąśle. Michael był niemal pewien, że należał do kobiety. Niezłamany, w całości.

Michael ponownie usiadł, a ząb położył przed sobą na stole.

Straat jednak ich zastał. Mieszkańcy tego domu nie żyli.

Tym zaś, kto im wskazał Alana Knutzona i jego dziewczynę, był on sam, Michael. To on postawił na nich krzyżyk. Pewny jak amen w pacierzu. Równie dobrze sam mógłby ich zabić.

W końcu wstał powoli i zostawił ząb w spokoju. Spuścił jednak wzrok, kiedy coś otarło się o jego łydkę. Kot, wciąż z tą zabawką w pyszczku. Mi-

Michael zmarszczył brwi i kucnął. Zwierzak odsunął się nieznacznie i spojrzał na niego podejrzliwie.

To nie była zabawka. To był kawałek ludzkiego nosa.

Michael zaślepiony rozpaczą złapał kota za skórę na karku i zręcznym ruchem skrzył mu kark. Coś chrupnęło mu pod palcami, zwierzę wierzgnęło i zwisło bezwładnie z jego dłoni. Jego pionowe czarne źrenice powoli robiły się okrągłe i czarne na tle żółtych gałek.

Michael wyjął spomiędzy kocich szczęk ludzki szczątek i położył na stole obok zęba.

Potem delikatnie zaniósł kota do salonu. Mały dzwonek przy niebieskiej obroży brzęczał żałośnie. Położył czworonoga w jego legowisku na końcu kanapy i nakrył pledem.

\*

Mały Messi stał przy bramie samotnie, kiedy Michael wychodził z kamienicy. Gdy chłopiec go zobaczył, przy jego ustach zamajaczył uśmiech, ale zamarł natychmiast. Chłopak mocno docisnął do siebie piłkę i spuścił wzrok.

Michael minął go bez słowa, wyszedł na słońce i jasną ulicę wypełnioną całkiem zwyczajnymi dźwiękami wydawanymi przez ludzi zajmujących się zwyczajnymi sprawami.

\*

Michael uparł się, żeby barman nie zabierał mu kieliszków. Jeden po drugim odwracał je, wlewał w siebie Famous Grouse i uderzał o bar w krótkich zrywach intensywnego uzalania się nad sobą. Stał już przed nim godny uznania szereg. Ospały barman może by się sprzeciwił temu złamaniu etykiety, ale poza nim i Michaeliem nikogo w barze nie było. Poza tym jego jedyny klient miał minę zaciętą i ponurą, szerokie plecy i posturę oficera. Absolutnie nic w jego postawie nie zachęcało do dyskusji, komentarzy czy pogawędki.

W rogu sali na płaskim ekranie leciał niekończący się mecz snookera nadawany z Manchesteru. Dwaj elegancko ubrani rywale w milczeniu i z namaszczeniem poruszali się wokół zielonego sukna i dokonywali na nim cudów. Szczególna wirtuozeria była przez publiczność nagradzana zbiorowym westchnieniem i pstrykaniem palcami. Barman na drugim końcu baru

wsypywał orzeszki ziemne do małych miseczek. Michael miał właśnie wlać w siebie kolejne centylitry szkockiej amnezji w płynie, kiedy nagły ruch powietrza sprawił, że dym z jego papierosa zmienił kierunek.

Westchnął z rezygnacją, kiedy w lustrze za barem zobaczył, kto właśnie wszedł.

Młodsza inspektor policji Lene Jensen posadziła swój kształtny tyłek na stołku możliwie najdalej od niego. Nie patrzyła na Michaela. Otyły barman podszedł do niej kaczym krokiem i Lene zamówiła piwo. Barman nalewał je z irytującym namaszczaniem, jakby odprawiał japońską ceremonię parzenia herbaty. Uczynił z tego proces długi i skomplikowany, zmieniając kąt nachylenia kufła i napełniając go po ściance ledwie widocznym strumieniem piwa. Potem jeszcze rustykalną drewnianą szpatułką zdjął pianę z wierzchu i dopiero wtedy, uznawszy swe dzieło za ukończone, wręczył pani inspektor mokry kufel i ukłonił się niemal niewidocznie.

Michael przyglądał mu się z nienawiścią.

Lene napiła się i przeszył ją dreszcz.

Sam opróżnił kolejny kieliszek i uderzył nim w bar, aż Lene się wzdrygnęła.

Następnie, wymawiając słowa z przesadną starannością, oznajmił:

– Chyba nie mam co liczyć, że to spotkanie to dogodny zbieg okoliczności, prawda, pani młodsza inspektor Jensen? Cholernie długi masz ten nowy tytuł. Jak sobie z tym radzisz?

Lene bez słowa i z kamienną twarzą zsunęła się ze stołka, podeszła do niego i wymierzyła mu policzek tak siarczysty, że miał wrażenie, jakby dostał granatem. Potem wróciła do swojego piwa.

Barman przyglądał się temu, uśmiechając się pod nosem, ale natychmiast przestał, kiedy Michael na niego spojrział.

Potem na niemal dwie minuty w lokalu zapanowała ciężka, grobowa atmosfera.

– Jak mnie znalazłaś? – spytał wreszcie.

– Przez twój telefon. Sam mnie tego nauczyłeś. Jeśli nie chcesz, żeby cię namierzono, to go wyłącz. Nie chciałeś, żeby cię znaleziono?

– Nie.

Michael dał znak barmanowi, ale ten się zawahał. Michael ponowił sygnał, bardziej nagląco i mężczyzna nalał mu kolejny kieliszek.

– A w ogóle, to właśnie straciłeś pracę – powiedziała.

– Tak?



Popatrzyła na niego znad kufła i z powagą pokiwała głową. Przymknęła duże zielone oczy. Wypiła łyk i zaczęła obracać kufel między długimi bladymi palcami. Paznokcie miała owalne, zadbane i pociągnięte bezbarwnym lakierem. Holenderscy mistrzowie uwielbiali takie dłonie. Zupełnie nie przypominały narzędzi do wymierzania policzków niewinnym ludziom, trzymania pistoletów oburącz, jak nakazuje regulamin, i pociągania za spust, ani czegoś, co się wciska w rękawice bokserskie i bije do nieprzytomności przypadkowych, zwykle pocziwych podwładnych.

– Masz ładne dłonie – stwierdził.

– Wal się.

Przez chwilę wydawało się, że zaraz ponownie zejdzie ze stołka, pokona te trzy dzielące ich metry i znów dam mu w twarz. Ale nie ruszyła się z miejsca.

Telefon w jej torbie zasygnalizował esemesa. Podniosła torbę z podłogi, wyjęła telefon i między jej brwiami pojawiła się głęboka bruzda, kiedy odczytała wiadomość. Po chwili schowała telefon z powrotem, a torbę położyła na podłodze.

Michael odnotował każdy szczegół.

Lene podniosła wzrok i natychmiast wróciła do udawanej obojętności.

– Co powiedziałaś? Coś o tym, że straciłem pracę? – zagadnął.

– Znaleźli ciało Rasmusa Nordstranda. Więc już nie musisz go szukać. Dla swojego klienta.

Michael zamrugnął i próbował się skupić, ale jego mózg był jak rozgotowana kasza. Zdawał się prześlizgiwać po jej słowach, niezdolny się zatrzymać na tym, co powiedziała.

Nie powinien być zaskoczony. Od początku uważał, że facet nie żyje. Mimo to nie potrafił tego zrozumieć. Na miejscu Nobla starałby się za wszelką cenę utrzymać Nordstranda przy życiu, przynajmniej dopóki tamten by nie powiedział, gdzie ukrył skradzione dane. A potem w zasadzie nie byłoby powodu go zabijać. Wystarczyłoby go przekazać policji, która i tak nie uwierzyłaby w jego opowieść o waterboardingu czy pobiciu.

– Gdzie go znaleźli?

– Pocałuj mnie w dupę, Michael.

– Hej, daj mi szansę!

– Dałam ci szansę wczoraj wieczorem w mieszkaniu Holma. Nie chciałeś jej wykorzystać.

– Właśnie że chciałem... Jasne, że chciałem... tylko...

– Powiedziałaś, że masz klienta. Że jest to *arcyświęta* i poufna więź.

– Ależ jesteś z siebie zadowolona, co?

To pytanie dało jej do myślenia. Pozerką nie była na pewno. Zawsze mówiła dokładnie to, co myśli. Była to jedna z tych rzeczy, które...

– Nie, niespecjalnie – przyznała poważnym tonem.

– Dlaczego? Wyjaśniłaś poważną zbrodnię i znalazłaś sprawcę. Może nie w tak dobrej kondycji, jak na to liczyłaś, ale jednak.

Lenne dopiła piwo i zamówiła następne. Barman znów rozpoczął swój rytuał, zerkając co jakiś czas na Michaela, jakby wiedział, że nieskończenie go to irytuje.

Michael z kolei zamknął oczy, ale świat nie przestawał wirować. Czuł się jak na staroświeckiej karuzeli. Nigdy nikogo nie nienawidził tak, jak w tej chwili nienawidził Nobla i Straata. Zrobili go w konia, a on od początku to wiedział. Potraktowali go jak debila, któremu można wcisnąć największy kit. Nobel nawet przysiągł na życie swoich dzieci. *Chryste*.

Ta świadomość była jak kubek zimnej wody. To zawsze on miał kontrolę, to on wiedział najwięcej i był o dwa albo trzy ruchy do przodu.

Co się z nim działo? Stracił czujność? I co mogło być przyczyną? Nieliczne i dziecinnie proste zadania, jak to z poszukiwaniem zięcia Palmerów? Poczucie odpowiedzialności za Idę? Rozwód? Lene?

A może *naprawdę* zrobił się na to za stary?

Nie czuł się stary, ale skąd wiadomo, jakie to uczucie? To przecież tylko słowa.

Lene patrzyła na niego, ale z jej twarzy nie dało się nic odczytać. Żadnego zrozumienia i, oczywiście, żadnego współczucia. Patrzyła na niego jak na kogoś obcego.

– Nie jestem zadowolona – powtórzyła powoli. – Z dwóch powodów. Nadal nie wiem, dlaczego Rasmus Nordstrand poszedł do łóżka z Peterem Holmem, żeby potem go zabić. Po twojej minie widzę, że ty to wiesz, ale ja nie. Najwyraźniej jako jedyna w tym mieście.

Nie było sensu protestować. Lene zawsze wiedziała, gdy ktoś łamał. Zawsze. Ona sama nie umiała tego wyjaśnić, a Michael już dawno po prostu się tym pogodził.

– A drugi powód?

– Drugi powód jest taki, że Rasmus Nordstrand nie umarł z przyczyn naturalnych, na przykład na zapalenie płuc we własnym łóżku. Nie wpadł również pod autobus.

– Okej. Też tak uważam. Chociaż nie wiem. Co ja uważam?

– Też nie wiem, ale to były najbardziej zmasakrowane zwłoki, jakie kiedykolwiek widziałam – oznajmiła. – Kompletnie pogruchotany. Miał złamane dosłownie wszystkie kości. Wyłowiono go z Morza Północnego dziś przed południem.

– Jak to? Jak się tam znalazł?

– Raczej nie wpław, Michael.

– Mów wreszcie!

– Co dostanę w zamian?

– Coś dostaniesz. Obiecuję.

Nie wyglądała na przekonaną, ale pokiwała głową, a on myślał gorączkowo, co mógł jej powiedzieć. Miał wrażenie, że nic z tego, co wiedział, do niczego jej się nie przyda.

Rozpaczliwie starał się jej dorównać. Gdyby tylko mogli pracować razem.

W mgnieniu oka przyszpililiby Straata, jego najemników, a na koniec Nobla, jako wisienkę na torcie. Znaleźliby też zaginione dane z zatoki Disko i opublikowali je w „Süddeutsche Zeitung”, „Le Monde” i „International Herald Tribune”. A on sam... On byłby bezrobotny aż do śmierci. Nikomu by nie przyszło do głowy zatrudnić specjalisty do spraw bezpieczeństwa, który przy pierwszej nadarzającej się okazji podciął gardło swojemu pracodawcy. Stałby się biedakiem o kryształowym sumieniu. I nie mógłby pomóc Idzie. Musiałby zamieszkać ze starym ślepym psem w dwóch kartonach pod mostem nad autostradą.

– Co chcesz wiedzieć?

– Skąd Morze Północne?

Wreszcie w twarzy, która wydawała mu się tak piękna, dostrzegł odrobinę zrozumienia. Może również rezygnację, rozdrażnienie i odrazę. Ale przynajmniej nie patrzyła już na niego, jakby był niewidzialny.

– Wplątał się w sieci rybackie. Z mnóstwem odłamków zielonego szkła w ciele, na marginesie. Jakby ktoś go wyrzucił przez okno, zanim spotkały go te inne potworne rzeczy.

– I mówisz, że był pogruchotany?

– Kompletnie. Jakby go wyrzucono z samolotu. I... i... były w nim takie... takie straszne, straszne...

– Straszne: co?

– ...białe jakby węgorze. Śluzice.

Zaczęła się trząść, a jej zęby zastukały o szkło.

Wyobrażał to sobie: puste biuro na ostatnim piętrze budynku Nobel Oil, to remontowane. Brakująca przeszklona ściana była zielona, jak reszta pomnika, który wystawił sobie Nobel. I ten pomost poniżej, w który ktoś, kto wypadł z okna z odłamkami szkła w głowie, musiał uderzyć i złamać sobie kark. Boże drogi, stał tam przecież i z głupkowskim uśmiechem dał sobie wcisnąć kit o starych budynkach, w których ciągle coś trzeba naprawiać.

Mały kieliszek do szota pękł mu w dłoni z głośnym brzękiem. Barman popatrzył na niego oniemiały, Lene tylko pokręciła głową. Michael owinał sobie chusteczkę wokół drobnych skaleczeń na dłoni i zacisnął w pięść.

– Mam mówić dalej? – spytała.

– Poproszę.

– No więc nie. Nie uważam, że odkryłam coś istotnego w tym śledztwie – oznajmiła i dostała następnego esemesa. Przeczytała go z tą samą dziwnie zaniepokojoną miną.

Michael zauważył, że jej kufel był pusty, i wpadł na pewien pomysł, naciągany, ale wart wypróbowania. Pochwycił wzrok barmana i wskazał na pusty kufel. Tamten skinął głową i zaczął go napełniać.

Michael zgasił papierosa i zaraz zapalił następnego.

– Rozmawiałaś z jego żoną? – spytał.

Lene stanęła jakiś metr od niego ze skrzyżowanymi ramionami.

– Nie, nie rozmawiałam. I nasza rozmowa również się skończyła, Michael. Gdy cię spotkam następnym razem, zamierzam cię aresztować za utrudnianie pracy policji i zatajenie informacji istotnych dla śledztwa w sprawie zabójstwa. Miłego wieczoru.

Kiedy go mijala, wyciągnął rękę i ją zatrzymał.

– Sprawa zabójstwa jest już wyjaśniona. Zaczekaj chwilę.

Michael wziął z baru podkładkę pod piwo, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął długopis. Napisał na podkładce dwie litery i jakieś cyfry. Już miał jej przekazać podkładkę, kiedy się rozmyślił. Wtedy Lene wyrwała mu ją z ręki i przeczytała.

– Co to jest? ...35. To twoje IQ?

– Alan Knutzon... przez „z”. Viktoriagade. Podwójne zabójstwo. Niebieski opel dostawczy, a w nim sprawcy i zwłoki. Holenderska rejestracja. Jeśli się pośpieszycie, ale bardzo, to możecie ich jeszcze złapać. Tylko musiałybyś ruszać od razu.

– Podwójne zabójstwo?

Żrenice Lene powoli się powiększały, a ona zastygła w bezruchu. Barman podgłośnił dźwięk w telewizorze i postawił przed nią nowe piwo.

Weszło dwóch stałych gości, mężczyźni w średnim wieku. Usiedli przy stoliku w rogu i natychmiast pogrążyli się w rozmowie o piłce nożnej. Barman nalewał im bittery. Wiedział, co piją.

– Zgadza się – potwierdził Michael. – Znajdź ten samochód, a będziesz miała sprawę wyjaśnioną.

– Ale kim oni są?

– Kto kim jest?

Tupnęła w podłogę, aż tamci podnieśli głowy.

– Ci zabici, do diabła!

Mężczyźni patrzyli na nią osłupiali.

– Idiotka – syknął Michael przez zęby, wyrwał jej z ręki podkładkę, dopisał dwa słowa i przytrzymał jej przed nosem: *Wojownicy Posejdona*. – A teraz spadaj – powiedział cicho. – I będę się modlił, żeby cię więcej nie spotkać.

– Michael...

– Chciałbym móc powiedzieć, że było zajebiście miło, ale twoja zaciętość i nieustępliwość przybierają na sile, twój brak umiaru cię zniszczy – dodał oschle. – Tylko jedna rzecz: między nami koniec, szczerze pragnę nigdy więcej cię nie widzieć. Ale jeśli znajdziecie ten samochód, nie pchaj się tam sama. Ludzie, którzy wykonali robotę przy Viktoriagade, to import z Bałkanów i są śmiertelnie groźni. Najgorszemu wrogowi nie życzyłabyś takich przeciwników. Oni mają zupełnie inną konstrukcję niż wszyscy, których ścigałaś do tej pory. Owszem, jestem trochę pijany, ale wiem, co mówię.

– Ale chyba są ludźmi, prawda? – odparła przekornie. – Krwawią jak wszyscy?

– Nie byłbym tego taki pewien. Nie możesz się po nich spodziewać jakichkolwiek normalnych reakcji czy zachowań. W nich nie ma nic normalnego. Zaangażuj antyterrorystów. I żadnych dziewczyn.

Położyła dłoń na jego przedramieniu, ale Michael je odsunął.

– Miałaś rację – powiedziała po chwili. – Z tym odliczaniem czasu.

– Hę?

– Zaproponowali mi pracę w Europolu w Hadze i się zgodziłam. Wyjeżdżam za trzy tygodnie, więc możesz być spokojny, więcej mnie nie zobaczysz. Obiecuję.

Haga. Rzut beretem, autostradą na południe i potem kawałek w prawo. Swoim mercedesem mógłby tam dojechać w osiem godzin. Mimo to poczuł się, jakby mu oznajmiła, że przenosi się do innej galaktyki.

– Haga? Europol?

– Tak. Nagle się dało.

– Zapewne – przytaknął Michael. – Ale oni mają rację. Albo Charlotte ma rację. Ta sprawa jest nie do rozwiązania. Ona to robi, żeby cię ochronić przed linczem ze strony mediów albo żalosnej bandy półgłówków z Christiansborga.

Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały smutne.

– Dostałam nawet przyzwoitkę. Specjalnego doradcę z Ministerstwa Sprawiedliwości. Toma Anderssona. Znasz go?

– Słyszałem o nim. Ponoć jest surowy, ale sprawiedliwy. To niańka ministra.

– Dokładne. Czuję się niezwykle uprzywilejowana i ważna, gdy poświęcają mi tyle uwagi. W każdym razie on powiedział, że to nie przypadkowa kłótnia kochanków doprowadziła do śmierci Petera Holma.

– Też ci to mówiłem.

Lene oparła się o bar.

– W mieszkaniu były kamery.

– Tak?

Niepojęte, ale naprawdę się zaczerwienił, a ona natychmiast to dostrzegła.

– Czyli o tym też wiedziałeś – powiedziała z goryczą w głosie. – Wielkie dzięki. I oczywiście miałeś dostęp do nagrań.

Michael się wkurzył. Nagle wytrzeźwiał, co samo w sobie było cudem.

– O co ci właściwie chodzi? Masz zabójstwo i masz zabójcę. Co prawda nie jest w stanie, który by mu umożliwił wyjaśnienie swoich motywów, a co dopiero wręczenie ci podpisanego przyznania się do winy przewiązanego wstążką, ale to chyba najmniejszy z twoich problemów. Wyjaśniłaś sprawę. Rzeczywiście była elementarna. Więc czego jeszcze chcesz?

Odpowiedziała głośno i wyraźnie:

– Nadal nie wiem, dlaczego doskonale wykształcony biolog morski pochodzenia duńsko-grenlandzkiego, mający rozległy krąg przyjaciół, świetną pracę, niezłą pensję, żadnych długów, żonę podobną do Nicole Kidman i uroczą córkę oraz który sam wyglądał jak model Hugo Bossa, zaryzykował całe to idealne życie, którego pozazdrościłby mu chyba każdy na tej plane-

cie, rozwalając czaszkę przypadkowemu geologowi poznanemu tej samej nocy w klubie gejowskim. Według wyciągów z jego karty nigdy wcześniej nie kupił sobie drinka w żadnym gejowskim barze i nigdy nie był w gejowskiej saunie. Nigdy go nie spisano w żadnym z tych parków, do których chadzają ci bardziej zdesperowani, nie obejrzał gejowskiego porno w sieci ani w żadnym z hoteli na całym świecie, w których spędzał połowę życia, pracując dla Nobel Oil. A w każdym razie nigdy nie zapłacił, żeby móc je obejrzeć. Więc co mi to mówi, Michael?

Popatrzył na nią, nie kryjąc, że jest pod wrażeniem.

– Yyy... tobie też się wydaje, że ona jest podobna do Nicole Kidman?

– *Who cares!* To twój najlepszy strzał? Otóż mówi mi to, że biedak wyciągnął najkrótszą zapalną, kiedy losowali, kto uwiedzie Petera Holma. Poza tym był pewnie również najładniejszym z Wojowników Posejda, zgadza się?

– Pewnie tak.

– Więc co musiał ukraść?

– Yyy...

– Zastanów się nad odpowiedzią, a ja pójdę siku.

– Nigdzie się nie ruszam.

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi toalety, podniósł jej torebkę i szukał jej telefonu wśród tysiąca rzeczy, bez których kobiety nie mogą żyć, gdy tłusta dłoń barmana spoczęła na jego przedramieniu. Druga płasko opierała się o bar.

– Co ty robisz? – spytał. – Łapy precz od torebki tej pani, jasne?

Michael powoli przeniósł wzrok z dłoni barmana na jego nalaną czerwoną twarz. Nagle w lewą dłoń chwycił długi nóż sprężynowy, a z niego kliknięciem wysunął ostrze. Czubek ostrza umieścił na barze między palcami barmana.

– Dokąd mam ci wysłać tę rękę? – spytał Michael.

Barman zbladł. Cofnął się i ze wzmożoną uwagą wrócił do studiów nad snookerem na dalekim ekranie. Mężczyźni przy stoliku uciekli przed wzrokiem Michaela, kiedy się do nich odwrócił.

Przeczytał dwa krótkie esemesy od Anny Nordstrand, która chciała się spotkać z młodszą inspektorką. Najszybciej jak to możliwe. To była kwestia życia lub śmierci. Michael zapamiętał numer, wrzucił telefon z powrotem do torebki Lene i położył ją tam, gdzie leżała.

Miał ją. Annę Nordstrand znajdzie teraz wszędzie, jeśli tylko będzie miała włączony telefon.

\*

Lene wróciła, wypila łyk piwa, ale zaraz odsunęła od siebie kufel.

– A ty masz jakiś pomysł, co mogło być motywem Nordstranda? – spytał Michael obojętnie.

– Coś za coś.

– Dałem ci numer rejestracyjny i Viktoriagade.

Jej oczy złagodniały odrobinę.

– Rzeczywiście. Przepraszam. I dziękuję.

– A co mówi Tom Andersson? – spytał.

– Mój znajomy Arne nazwał go sfinksem i to adekwatne określenie. Jego zdaniem z mieszkania Petera Holma coś zabrano. Jakieś ważne informacje. Twierdzi też, że ostatnio były jakieś problemy z tym złożem w Grenlandii.

– Ich każdy ruch jest sabotowany, ataki się nasilają i oni przestają sobie z tym radzić – wyjaśnił Michael. – Wszystko powoli im się sypie. Rurociągi są wysadzane, ropa wylewa się do morza. Zniszczono ich połączenia satelitarne, a Wojownicy Posejdony przeniknęli głęboko do struktur koncernu. Oni tam współpracują z nieprzebraną masą ludzi i ekspertów, którzy pewnie mówią w trzydziestu różnych językach i dialektach. Nie ma szans, żeby prześwietlić każdego. To chyba nic dziwnego, że próbują się chronić.

Zwlekał z konkretami, co ją niecierpliwiło.

– Tak, jasne, mam tego świadomość. Każdy, kto w ciągu ostatniego półroczka czytał gazetę, o tym wie. Nie w tym problem. Chodzi o tę górę.

– O górę?

– Tak uważa Andersson. W każdym razie zasugerował coś takiego.

Michael wciągnął głęboko powietrze.

– A co się niby z nią dzieje? – spytał nienaturalnie głośno i niemal fałszem, z czystej irytacji.

– Nie powiedział. Ale zamierzam się dowiedzieć.

– Skarbie, ty jedziesz do Hagi.

Na jej twarzy pojawił się ten przekorny grymas, który znał tak dobrze. Jezu, jeszcze jak dobrze.

– Posłuchaj. Rasmus Nordstrand był najbardziej heteroseksualną osobą na Ziemi. Uwiódł Holma wyłącznie po to, żeby coś mu wykraść. Prawdo-



podobnie najnowsze analizy geologiczne z zatoki Disko. Może tam było coś nie tak. Coś, co Axel Nobel wolałby ukryć.

– To oczywiste, że zamierzał zhakować komputer Holma, a jego zawartość wkleić na pierwsze strony gazet – zgodził się Michael. – Nordstrand był fanatykiem i ekoterrorystą.

Lene w swoim logicznym wywodzie i wnioskach zaszła niebezpiecznie daleko. Tak naprawdę, zgodnie z jego kontraktem z Noblem Michael powinien ją teraz wywlec na tylne podwórko i strzelić jej w głowę. Ale Nobel złamał ich kontrakt, kłamiąc na temat Nordstranda.

No i byli jeszcze Alan Knuzon i Maria Kemper.

– Miał coś przy sobie, kiedy go znaleźli? – spytał

– Tylko tatuaże.

– A ten Andersson na coś się przydaje?

– Chce codziennych raportów. Ale nawet o Nordstrandzie mu nie powiedziałam. Nie ufam mu.

Popatrzyła przed siebie i się zamyśliła.

– Zwłaszcza że wczoraj na Strandvejen, dwieście metrów od mieszkania Holma widziałam, jak rozmawiał z pasażerem dużego granatowego audi. Twoim szefem. Axelem Noblem.

– Okej. Długo rozmawiali?

– Kłócili się. Chyba za sobą nie przepadają. Nie, niedługo. Ze dwie minuty. Góra.

Tom Andersson i Nobel. Teraz i Michael się zadumał. W sumie to chyba naturalne. Prezes sam powiedział, że w interesie wszystkich było uniknięcie skandalu i kontynuowanie wydobycia w Zatoce Disko po ostatnim sabotażu. Zwłaszcza w interesie rządu. Każdy sukces za kadencji obecnego rządu będzie na wagę złota w nadchodzącej kampanii, a projekt w zatoce to oczko w głowie rządzącej ekipy. Projekt ma szansę zmienić Danię w Norwegię: kraj mlekiem i miodem płynący. Ci, którzy ofiarują Duńczykom miliardy z ropy naftowej, do końca świata nie będą musieli oddawać władzy. Stary Nobel będzie mógł na swojej czarnej tablicy zapisywać codziennie nowy rekord cen akcji, a jego syn zostanie wyniesiony do rodzinnego pantheonu.

– Więc czego dokładnie szukał Rasmus Nordstrand? – spytała.

Patrzyła na niego wyczekująco i Michael zorientował się, że wciąż jeszcze żywi do niego jakiś sentyment. Ale maleńki i stale się kurczący.

– Nie wiem, Lene. Naprawdę nie wiem.

– Chodzi ci o to, że nie chcesz powiedzieć.

– Chodzi mi o to, że tego nie wiem. Nie muszę tego wiedzieć, dlatego nikt mi nie powiedział. I tak naprawdę zwykle tak to u mnie wygląda.

Nie uwierzyła mu, a maleńkie ciepłe słońce w jej oczach zgasło.

A potem wyszła.

Na krótko, o wiele za krótko, zostawiła w barze swój zapach. Potem i on się rozplynął, zastąpiła go woń rozlanego piwa i porażki. Michael nigdy jeszcze nie czuł się tak nieuleczalnie samotny. Nie zostało mu już nic, nawet jego praca i etyka zawodowa. Proste, ale nienaruszalne zasady, których trzymał się przez całe dorosłe życie. Na przykład ta, żeby nigdy nie zdradzać tego, kto mu płaci żołąd, bez względu na to, jak bardzo odrażający jest ten ktoś. Gdy przyjmowałeś zlecenie, to *stawiałeś się* zleceniem. Nie wolno się wycofać w trakcie. I nigdy, przenigdy nie wolno ujawniać kluczowych szczegółów niepowołanym stronom trzecim – jak to zrobił przed chwilą.

Nie umiał już odnaleźć Michaela Sandera. Stał się pustym ubraniem, które stawiało jedną stopę przed drugą. Bezużytecznym dla siebie i innych. Keith Mallory brzydziłby się jego słabością i brakiem zdecydowania.

Schował papierosy do kieszeni i wstał.

– A kto zapłaci za panią? – spytał barman.

– Nie zapłaciła?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Oczywiście – mruknął Michael i wyjął portfel.

\*

Jadąc do Glostrup, Lene przez komórkę rozesłała do posterunków holenderski numer rejestracyjny. Wysłała patrol pod adres przy Viktoriagade z poleceniem pilnego wejścia do lokalu. Na koniec wyjęła ze schowka niebieski, prawie nieużywany kogut, włączyła magnes i umieściła go na dachu. Nie działał. Wciskała guziki i pociągnęła za sznurek, ale żarówka nie świeciła. Na koniec szklany klosz odczepił się od dachu i w tylnym lusterku widziała, jak potoczył się po drodze i roztrzaskał na tysiąc niebieskich kawałeczków.

Swoją szefową złapała w domu i poprosiła ją o nadanie najwyższego priorytetu poszukiwaniom granatowego opla. Lene już się szykowała na odpieranie najróżniejszych wymówek i wybiegów, spodziewała się nawet, że

zostanie przekierowana do Johannesesa Marka jako team leadera, ale Charlotte o dziwo zgodziła się bez szemrania i dała Lene zielone światło.

Ruch na trzeciej obwodnicy był bardziej niż znośny. Wcisnęła gaz do dechy, co oznaczało maksymalną prędkość stu piętnastu kilometrów na godzinę. Możliwe, że należało już dawno kupić nowy samochód, ale była przywiązana do swojego wysłużonego niebieskiego citroena.

Dziś Arne miał swój wieczór brydżowy, a Lene wiedziała, że nienawidził, gdy mu wtedy przeszkadzano. To był jedyny wieczór w tygodniu, jaki spędzał bez swojej chorej żony, i każdy, kto go znał, starał się to uszanować.

– Arne? To ja.

Głębokie westchnienie. Niemal jęknięcie.

– Arne?

– No słucham cię. A raczej... w sumie to nie. Czego chcesz?

Lene pomyślała, że nadal miał do niej żal o Rasmusa Nordstranda. Że wytrąciła mu asa z ręki, kiedy chciał jej podać na tacy jego odciski palców.

– Wiem, że dziś masz brydża, ale ktoś umarł.

– Cały czas ktoś umiera. Życie to nieuleczalna choroba.

– Umarł w sensie został pozbawiony życia z premedytacją i przestępczym zamiarem.

– Masz pojęcie, jaka karta mi się trafiła? Najlepsza od miesiący. Nie wiem, czy słyszałaś, ale istnieje taki ktoś, kto się nazywa oficerem dyżurnym u nas w wydziale. Dlaczego nie zadzwonisz do niego albo do niej? I co zrobisz, gdy przejdę na emeryturę?

Wyprzedziła ciężarówkę. Zajęło jej to sporo czasu i jej samochód na niskim biegu zawył urażony.

– Przykro mi, naprawdę, ale jesteś i zawsze będziesz najlepszy, a cały czas chodzi o sprawę Nordstranda. To się powoli zmienia w koszmar i muszę to zatrzymać, zanim wszyscy trafimy na czerwony pasek w CNN News. Arne, to jak epidemia Eboli. Ludzie wokół mnie padają jak muchy.

– A co mówi Charlotte?

– Że masz mi pomóc. Mogę ją poprosić, żeby sama do ciebie zadzwoniła, ale...

Nawet przez telefon usłyszała, że się wzdrygnął. Nie przepadał za komendant główną, podobnie jak ona.

– Adres – powiedział tylko.

\*

W Glostrup dyżurowało ledwie parę osób, ale Lene zaprzęła wszystkich do poszukiwań granatowego vana. Obdzwoniła wszystkie komendy rejonowe w Kopenhadze i okolicach, podkreślając, że sprawa ma absolutnie najwyższy priorytet, wyższy niż awantury domowe, kontrola prędkości, burdy w knajpach i pączki z kawą.

Potem chodziła niespokojnie tam i z powrotem po swoim ciemnym biurze. Brakowało jej rozłożystej, milczącej obecności Bjarnego. Zagotowała wodę i zalała nescafé, którą ukradła z jego szuflady. Sprawdziła pocztę, ale nie umiała się skupić na odpisywaniu na maile. I bez przerwy myślała o Michaelu.

Nie rozumiała go. Nie rozumiała, jak mógł siedzieć spokojnie i pozwalać, aby działy się tak potworne rzeczy, nie próbując nic z tym zrobić. Zawsze wiedziała, że to chłodny profesjonalista, że zależy mu na pieniądzach i swobodzie działania i że jest zgorzkniały, ale nie cyniczny. Zawsze się o nią troszczył, dbał o jej bezpieczeństwo, nawet jeśli to zagrażało realizacji jego własnych celów. Ale najwyraźniej się zmienił.

Potem przypomniała sobie o jego siostrze Idzie, która namawiała go, żeby się z nią skontaktował, bo uważała, że przyda mu się przyjaciel. Dobrą się okazała przyjaciółką, nie ma co.

Lene z pierwszego roku po śmierci córki nie pamiętała prawie nic. Niemal codziennie upijała się do nieprzytomności. A jeśli czerwone wino i wódka nie wystarczały, to łykała garściami leki nasenne i uspokajające.

Michael przynajmniej jakoś funkcjonował, mimo że żona go zostawiła i nie pozwalała mu widywać dzieci. Opiekował się siostrą, która była jego jedyną rodziną, no i powiedział jej o podwójnym zabójstwie przy Viktoriagade, mimo że to pewnie uniemożliwi mu wykonanie zlecenia i pozbawi go honorarium.

Zresztą kiedy ostatnio coś do kogoś poczuła? Nie umiała sobie tego przypomnieć. Chyba że liczyć te pogmatwane i wieloznaczne uczucia do Michaela.

Oparła czoło o zimną szybę i zorientowała się, jak twarz jej płonie. Powiedział, że jest zacięta i nieustępliwa i że to ją zniszczy.

Miał rację.

\*

Arne zadzwonił godzinę później. Brzmiał jak zwykle, czego zresztą Lene się spodziewała. Szef działu kryminalistyki w pracy stawał się profesjonalistą po czubki palców.

– To jak dotąd najczystsze miejsce zbrodni w mojej karierze – oznajmił.

– Ale to *jest* miejsce zbrodni?

– O tak, zdecydowanie. Chociaż dziwne. Po pierwsze, nie ma ofiar. Choć to okazuje się tylko częściową prawdą, kiedy się bliżej przyjrzeć. To robota zawodowców i to świetnych. Zamordowano albo uprowadzono dwie osoby: Alana Knutzona, biologa morskiego, i jego partnerkę Marię Kemper, bibliotekarkę. W każdym razie żadnego z nich tu nie ma, są natomiast ich pozostałości. Na stole w kuchni leży kobiecy ząb trzonowy i fragment jej nosa. Po drugie, wygląda na to, że po wszystkim był tu ktoś jeszcze i ten ktoś też się zna na rzeczy. Wszystko tu dla nas przygotował. Powiedziałbym, że wręcz zainscenizował. W legowisku leży na przykład martwy kot.

– Kot?

– Ktoś mu skręcił kark, ale potem ułożył go tak, że wygląda, jakby spał. Nakrył go nawet kocem. Kot wabi się Tommy.

– Aha. Cóż, Arne, myślę, że twoje przypuszczenia są w stu procentach słuszne. Wszystkie. Dzięki. I jak... jak do tego doszło, twoim zdaniem?

– Jedno z nich było przyklejone taśmą do krzesła. Drugie – przybite gwoździami do podłogi w kuchni. To tu się wszystko rozegrało. W kuchni.

– Przybite gwoździami? Jezus Maria...

– Ta osoba była torturowana. Między innymi pistoletem do gwoździ. Pneumatyczny i stosunkowo cichy. Taki, jakich używają stolarze. Sprawcy działali starannie, bez pośpiechu. I bez widocznych gołym okiem śladów. Naprawdę trzeba użyć największej lupy Sherlocka Holmesa, żeby się zorientować, że wydarzyło się tu coś szczególnie brutalnego. Jest za to mnóstwo mikroskopijnych śladów krwi, moczu, kwasu żołądkowego. Po prostu bardzo starannie po sobie posprząтали. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jak mówię, zawodowcy.

– Dzięki, Arne.

– Odezwę się, gdy będę miał coś więcej. To w sumie nawet fascynujące. Brzmiał prawie, jakby się cieszył.

– Tak, na pewno – mruknęła.

Przypomniała sobie, że Michael ją ostrzegwał. To śmiertelnie niebezpieczni zawodowcy z zagranicy, do których nikt poza antyterrorystami nie powinien się zbliżać.

Ale najpierw, oczywiście, ktoś musi ich znaleźć.

Potem pomyślała o kocie i o tym, że Michael był wielkim miłośnikiem zwierząt.

Gdy Arne się rozłączył, zmorzył ją sen. A w każdym razie zapadła w niepokojną drzemkę z nogami na biurku i głową wspartą na splecionych na karku dłoniach. Przyśnił jej się głuchy odgłos pistoletu do gwoździ, którym ktoś przybija do podłogi człowieka. Poderwała się przerażona tym dźwiękiem. To jej noga w ciężkim bucie spadła na podłogę i ją obudziła. Zaschło jej w gardle, jakby miała tam piasek. Dopiła zimną kawę.

Drzwi jej biura były otwarte i panował w nim półmrok. Usłyszała, że gdzieś dzwoni telefon, i czekała, aż na telefonie na jej biurku zacznie migać zielona lampka i głos w słuchawce oznajmi jej coś ważnego. Ale nic się nie stało, a Lene zdała sobie sprawę, że bardziej niż czegokolwiek innego potrzebuje teraz snu.

W takim stanie, w jakim się znajdowała, była do niczego.

Powiedziała „dobranoc” kilku samotnym duszom, które były skazane na czuwanie tu do rana, i podeszła do swojego samochodu na opustoszałym zimnym parkingu.

Była na obwodnicy i właśnie miała zjechać do siebie na Frederiksberg, kiedy zadzwoniła dyspozytorka z posterunku przy Dworcu Głównym.

– Dobry wieczór – przywitała się.

Lene spojrzała na zegarek. Było wpół do piątej.

– Dzień dobry.

Kobieta od razu wspomniała o holenderskiej rejestracji, więc Lene zjechała na bok i włączyła światła awaryjne. Serce jej waliło.

– Tak?

– Namierzyliśmy cel przy Bådehavnsgrade w Sydhavnen na końcu wiaduktu. Są tam głównie złomowiska, zamknięte centra ogrodnicze i wysypiska śmieci.

– Tak, znam to miejsce.

– No tak, oczywiście. Zatem mamy tam radiowóz. Chce pani, żeby...

– Nie! W żadnym razie! Niech zostaną tam, gdzie są, rozumiano? Niech...

W cichej kabinie Lene usłyszała swój podniesiony głos. Uświadomiła sobie, że ma w słuchawce zwykłą funkcjonariuszkę, która po prostu wykonuje swoją pracę, i się zreflektowała.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi – powiedziała kobieta beznamiętnym tonem. – Łączę z kierownikiem operacyjnym. Chwileczkę.

– Chodzi mi to, że to skrajnie niebezpieczni, uzbrojeni bandyci – wyszeptała Lene.

W słuchawce odezwał się męski głos.

– Czego potrzebujesz? – spytał rzeczowo.

Lene zjechała z pobocza i znów docisnęła gaz. Próbowwała sobie przypomnieć wszystko, co Michael powiedział jej o ludziach w granatowym vanie. Na przykład to, że takich przeciwników nie życzyłby najgorszemu wrogowi.

Możliwości było kilka. Mogła poprosić o kilka radiowozów z jednostki szybkiego reagowania przy Artillerivej. Dotarcie na miejsce zajęłoby im jakieś piętnaście minut i mieliby przy sobie pistolety maszynowe. I nic więcej. A Michael wyraźnie podkreślił, że w grę wchodzi tylko antyterrorysty.

Ci byli przeszkoleni do konfrontacji i unieszkodliwiania uzbrojonego przeciwnika, ale zmobilizowanie jednostki AKS trwałoby za długo. Nie miała wątpliwości, że ludzie pracujący dla Nobel Oil albo którejś z ich paramilitarnych agencji ochroniarskich są szybcy, skuteczni i czujni.

Zakłęła w myślach.

– Powinam tam wysłać kogoś z AKS. Z moich informacji wynika, że może chodzić o dwóch, trzech, góra czterech silnie uzbrojonych zawodowców, ale nie wiem tego z całą pewnością – przyznała.

– Pojazdy?

– Nie wiem, czy mają jakiś poza tym wozem dostawczym.

– Uzbrojenie?

– Nie mam pojęcia.

– I mówisz od dwóch do czterech osób?

– Tak sędzę, ale nie mam pewności.

W słuchawce zapadła cisza.

– Mamy czas, żeby ich otoczyć? – spytał kierownik.

Pewnie myśleli o tym samym. Bådehavnsgade była specyficzną ulicą. Wiła się jak piskorz, łączyła się ze sobą i na koniec rozgałęziała w Sjællandsbroen, sieć autostrad i całą Europę, a na wschód prowadziła przez Sydhavnstippen do Valbyparken i dalej – ku sieci autostrad i Europie. Przed obławą można było uciec jedną z żaglówek cumujących w tamtejszej przystani, można było też uciec przez most kolejowy albo w stronę Kastrup i lotniska. Drogą lądową, morską i powietrzną.

– Ile by to zajęło? – spytała głównie, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Co najmniej godzinę. Wiesz, że ta okolica to piekło do takich akcji. Może najlepiej ich ścigać, aż znajdziemy odpowiednie miejsce, żeby ich zatrzymać?

W pół godziny mogę tam wysłać helikopter i ze dwa albo trzy nieoznaczone radiowozy.

Lene skręciła w Folehaven i ruszyła w stronę Sydhavnen. Tak naprawdę zdecydowała się bez konsultacji z sobą samą. Wszystkie najważniejsze decyzje w swoim życiu podejmowała w ten sposób.

– Dobrze, tak zrób. Dyskretnie – dodała.

– Oczywiście.

– Kto jest na miejscu?

– Daj mi chwilę.

W tle słyszała różne głosy. Dzwoniące telefony. Posterunek Station City się obudził.

Kierownik operacyjny wrócił do telefonu:

– P trzydzieści dwa. Młodszy aspiranci Basim Yenni i Clara Johansen. Ona jest całkiem zielona. Poszukiwany samochód stoi w tej chwili przed zamkniętym złomowiskiem samochodowym na końcu Fragtvej. To długi, wąłący się czerwony budynek. Jest otwarty, a w środku pewnie zagracony i ciemny. Zgłosili, że nikogo tam nie widać. Wszędzie graffiti, spalone wraki samochodów i mewy. Nic więcej.

– Rozumiem.

– Mam ich odwołać?

– Tak, dzięki. Róg przy moście Sjællandsbroen. Znajdę ich. I wyślij ten helikopter i jakieś nieoznakowane wozy. Ile tylko zdołasz. Ale niech trzymają dystans.

– W porządku. A co oni zrobili?

– Zabili dwie osoby – odparła.

Basim Yenni.

Wydawało się, jakby minęły lata, a przecież zaledwie dwa dni temu znokautowała go na ringu i potem stała razem z nim pod prysznicem, czując wyłącznie koleżeńską solidarność. Mogłaby zresztą być jego matką. Sam tak powiedział, nie raz.

A Clara? O niej Lene nie słyszała ani jej nie widziała. Domyślała się tylko, że to jedna z blond amazonek z kucykiem, które zwykle trafiały do nich z Jutlandii.



Gorączkowo obmyślała plan. Przejechała na czerwonym na Borgmester Christiansens Gade, skąd do Sydhavnsgade zostało tylko sześćset metrów. Zwykle swoje przecucia trzymała w ryzach, ale teraz miała wrażenie, jakby ulice się zwężyły, czas zwalniał, a wszystkie dźwięki stały się bardzo wyraźne.

Coś się stanie, coś szczególnego. Wiedziała to. Nic nie było przypadkowe.

\*

Michael nie pamiętał, jak wrócił do domu, ale mercedes stał równo zaparkowany przy żywopłocie, który swoją drogą należałoby przystrzyc. Podobnie jak trawę i jego samego. Miał przed sobą szklankę whisky, ale nie mógł jej wypić, choć wiedział, że to by mu dobrze zrobiło. Wielokrotnie podnosił szklankę do ust, ale nie potrafił się zmusić, żeby wlać w siebie jej zawartość.

Ida była w łazience, słyszał odkręconą wodę.

Ten dźwięk przypomniał mu o Morzu Północnym, co z kolei nakierowało jego myśli na Nobla i Straata i dłonie zadrżały mu z nienawiści.

– Wszystko okej? – zawołał w stronę korytarza.

Gdy nie odpowiadała przez kilka sekund, zmarszczył czoło.

– Hej, wszystko gra? – powtórzył.

– Tak... tak, Michel, nic mi nie jest.

Jej głos był spokojny, ale słaby. Pewnie czytała do późnej nocy. A on chętnie by z nią porozmawiał. Był ciekaw, jak jej się udał wczorajszy dzień. Jak jej się udał trening i potem obiad z tą Laurą, której naprawdę zupełnie nie pamiętał. Potem przypomniał sobie o Lene i ta myśl zaboląła go do żywego. Miał ochotę porządnie ją sprać, a jednak świadomość, że nigdy więcej jej nie zobaczy, była nie do zniesienia.

Kolejne minuty poświęcił na przekonywanie samego siebie, że ona w istocie nic dla niego nie znaczyła. Że po prostu czuł się samotny, to wszystko. Że brakuje mu kobiety, a Lena była po prostu jedną z kandydatek.

Zapalił papierosa i odpłynął na chwilę z brodą wspartą na dłoni, gdy papieros dopalał się między jego palcami.

\*

Ranek był piękny. Niebo nad płaskim Amager było czyste i malowało się na czerwono, pomarańczowo i fioletowo. Wczesny samolot rozwijał na niebie wełnisty biały sznurek, a z przystani rybackiej wypłynęła mała motorówka, której kształt odbijał się idealnie w spokojnej wodzie. Wędkarze, ranne ptaszki, zmierzali w stronę Rotteøen i Kalveboderne, skąd mieli otwartą drogę na Sund. Stary diesel pod rufą terkotał nieco szybciej od bicia serca Lene. Sydløbet i Sydhavnstippen były jedynym zakątkiem stołecznego wybrzeża, który cudem uniknął wizualnej destrukcji jak ta, która dotknęła całą linię nabrzeża od Sluseløbet do Nordhavnen. Dziś tylko pracownicy głównych oddziałów banków i wielkich biur rachunkowych czy kancelarii adwokackich mogli karmić oczy nachodzącymi na siebie i stale się zmieniającymi płaszczyznami wody, światła, nieba i miasta, ale tylko w godzinach od 9.00 do 16.00. Sprzedano należne kopenhązanom prawo pierwotnego i pozwolono, aby biurowce odcięły mieszkańców od morza i nieba.

Lene zapukała knykciem w zaparowane okno radiowozu. Zasnęli? A może... ciarki jej przeszły po plecach i już miała szarpnąć klamkę, kiedy okno się opuściło i zobaczyła zaspany uśmiech Basima. W ręce trzymał pistolet.

Zaraz też niemal fizycznie uderzyły ją wszystkie wypełniające kabinę zapachy: kawy, wymiocin pijanych aresztantów, którego żaden detergent nie potrafił do końca usunąć, choinki Wunderbaum na lusterku oraz mężczyzny i kobiety zmuszonych spędzać razem długie godziny dyżurów w mundurach z syntetycznych tkanin wzmagających zapach potu. Wyczuła również nutę smaru do broni i dziewczęcego szamponu i w jednej chwili cofnęła się do Istedgade, Benta, swojego kolegi z patrolu, i ich starego forda mondeo, w którym pachniało identycznie. Nachyliła się i spojrzała na dziewczynę. Ta uśmiechnęła się do Lene niepewnie i z widocznym podziwem, ukazując piękne zdrowe zęby, i bardzo dobitnie się ukloniła. Potem ciasno splótła dłonie na kolanach. Była blondynką i miała kucyk. A Michael powiedział: żadnych dziewczyn.

Basim był bledszy niż normalnie. Starał się nie dać tego po sobie poznać, ale jego twarz i mowa ciała zdradzały zmęczenie stałym, przedłużającym się napięciem.

– Gdzie oni są? – spytała Lene.

– Dwieście metrów dalej, przy Fragtvej. Jest tam wysypisko śmieci, szrot i mnóstwo starych łódek wyciągniętych na brzeg i rozwalających się.

– Widzieliście ich?

Dziewczyna się wychyliła i przytaknęła.

– Dwie osoby. Skórzane kurtki. Wysocy, barczyści mężczyźni. Jeden ma ogoloną głowę, drugi mnóstwo tatuaży. Ma też kolczyki i romski wygląd.

– Broń?

Basim wręczył jej lornetkę.

– Broni nie widzieliśmy. W ogóle jest bardzo spokojnie, poza...

– Poza czym?

Dwójka policjantów w samochodzie popatrzyła po sobie.

– Nożycami do żywoplotu albo czymś podobnym. Całkiem niedawno – powiedziała dziewczyna.

– I małym silnikiem na benzynowym – dodał Basim.

Lene się wyprostowała. Na końcu bocznej uliczki dostrzegła kalenicę długiego magazynu. Wzdłuż niej w dachu widać było szereg szprosowych okien, w większości wybitych. W połowie dachu brakowało sporej części dachówek. Dziura skojarzyła jej się z Australią. Dochodził stamtąd głośny warkot silnika. Zamilkł. I znów się rozległ. I znowu zatrzymał.

Poczuła słońce na twarzy i włosach oraz świeże morskie powietrze w płucach.

Oddała Basimowi lornetkę. Nie była jej potrzebna. Wciągnęła głęboko powietrze, rozluźniła barki i próbowała wyłączyć myślenie. Mężczyzna popatrzył na nią z niepokojem, za to dziewczyna nie zauważyła niczego szczególnego. Ale ona nie miała okazji przez pięć rund obserwować ruchów i mowy ciała Lene.

– Co się dzieje? – spytał. – AKS tu jedzie? Oddział szybkiego reagowania? Helikoptery? Cokolwiek?

Popatrzyła na niego.

– Tak, oczywiście, że jadą. Wy macie tu tylko zaczekać.

– Co oni właściwie zrobili? – spytała dziewczyna.

– Wczoraj przy Viktoriagade zabili dwie osoby. Prawdopodobnie mają przy sobie ciała i właśnie się ich pozbywają. Tak w każdym razie obstawiam. To zawodowcy i z całą pewnością są uzbrojeni, mogą mieć broń automatyczną.

Dziewczyna popatrzyła przed siebie i Lene wiedziała dokładnie, jak się teraz czuje.

Po lewej stały dwa podłużne niskie budynki: centrum wulkanizacji i hurtownia artykułów żelaznych. Lene wskazała w tamtą stronę.

– Podjedź tam, Basim. Skontaktuj się z kierownikiem operacyjnym w Station City i zostańcie z nim w kontakcie radiowym. I w żadnym razie nie dajcie się zauważyć.

Na jego szczupłej ciemnej twarzy pojawiło się z wątpienie i niepokój.

– A ty?

– Ja nic. Trochę się rozejrzę.

Nie uwierzył jej. Otworzył drzwi, wysiadł i oddalił się kilka kroków, żeby być poza zasięgiem słuchu koleżanki.

Lene popatrzyła na niego twardo.

– Nie ma na to czasu, Basim. Muszę lecieć. Przemowy zachowaj na później, okej?

– Na przykład na twój pogrzeb?

– Na przykład.

Przez moment wydawało się, że zamierza ją powstrzymać siłą, ale pokręcił głową.

– Jesteś szalona.

– Nie. Nie jestem. Ale to nieistotne.

\*

Michael poderwał głowę. Zaklął z bólu i wykonał zamach ręką. Zapalony papieros nakreślił w powietrzu łuk, wpadł do zlewu i zgasł.

Jak długo spał?

W łazience dalej lała się woda, okna w kuchni były zaparowane.

Pobiegł korytarzem i otwartą dłonią uderzył w drzwi łazienki.

– Ida?

Nie odpowiedziała, więc szarpnęła klamkę.

– Ida, do cholery!

Zrobił duży krok do tyłu i kopniakiem wyważył drzwi. W łazience paliło się światło, ale pomieszczenie wypełniała para, która uderzyła w niego i spowiła go, jakby chciała go w sobie rozpuścić. Przez krawędź wanny przelewała się ciemnoczerwona woda i spływała do otworu w podłodze.

W czerwonej wodzie bezwładnie unosiły się białe ramiona Idy. Widoczne były tylko puste dłonie, przedramiona i wąski owal twarzy. Michael wyszarpnął korek z wanny. Chciał wyjąć siostrę z wody zmieszanej z krwią, ale wyslizgnęła się z powrotem ku śmierci. Woda prysnęła na podłogę, jego buty i ściany. Płakał i klął głośno, ale w końcu ją podniósł.

Jej serce nie biło. Przyłożył ucho do jej piersi, szukał tętna w pachwinie i na szyi. Z głębokiego cięcia w lewym zgięciu łokcia wypływały ostatnie języki ciemnej krwi żyłnej.

Ida była normalnie lekka jak piórko, ale jej mokre ciało było nieporęczne, bezwładne i jakby przewrócone na lewą stronę i nie dawało się chwycić. Stale mu się wysuwała. Wreszcie ciągnąc ją po podłodze, wydostał ją na korytarz. Wyjął sznurówkę z buta i zrobił z niej opaskę uciskową powyżej rany. Pobiegł do kuchni i zerwał z krzesła swoją kurtkę. Szarpał się z nią chwilę, próbując wyjąć telefon, opuścił go, ale w końcu dodzwonił się na 112 i wykrzyczał do słuchawki, jak pilnie potrzebna jest karetka.

Biegiem wrócił do Idy i pozwolił działać swoim instynktom i doświadczeniu: dziesięć głębokich, szybkich, elastycznych ucisków w dolnej trzeciej części klatki piersiowej i po nich wydech wprost do nosa, z odchyłoną głową i wysuniętą do przodu dolną szczęką. Kolejne dziesięć ucisków, poczuł, jak pod prawym serdecznym palcem pękło żebro, gwałtownie i bez zapowiedzi, ale to nic, od złamanego żebra się nie umiera. Odsunął jej powieki, ale światło było tak słabe, że nie widział, czy źrenice reagowały. Znów wdmuchał jej powietrze do nosa, po czym pobiegł do kuchni po krzesło. Położył na nim jej łydki i unieruchomił rącznikami. W nogach mogła mieć jeszcze z pół litra krwi, która tam się marnowała, za to potrzebna była wyżej, w mózgu Idy.

Minęło kilkadziesiąt lat, a raczej – co potem stwierdził ze zdumieniem – jakieś osiem minut, zanim potężny facet w trzeszczącej, zimnej pomarańczowo-czarnej kurtce odepchnął go i przystawił balon resuscytacyjny do ust i nosa jego siostry, by zacząć jej robić sztuczne oddychanie. W tym samym czasie kobieta w przeciwdeszczowej kurtce wyposażonej w taką liczbę odblasków, że byłaby widoczna z księżycą, odchyliła do tyłu głowę Idy i w ciągu sekundy wbiła gruby wenflon w jedyną otwartą żyłę, która jej została na szyi. Michael stanął na chwiejnych nogach, wytarł sobie usta grzbietem dłoni. Miał w nich smak jej krwi. Mamrotał coś nieskładnie jak spanikowany kretyn, kiedy tamci zajmowali się chudym ciałem jego siostry. Barczysty lekarz pogotowia w okularach przykleił jej do klatki piersiowej elektrody, podłączył je do małego monitora i przystawił stetoskop do piersi Idy. Powiedział coś cicho do kobiety, która w żaden sposób nie zareagowała. Podłączyła kroplówkę z płynem zwiększającym objętość osocza i uciskała worek, aż jej palce zbieleły, żeby wycisnąć z niego więcej płynu i zmusić umierające serce samobójczyni do podjęcia współpracy. Pozbawiony wy-

razu wzrok skierowała na Michaela i cały czas wciskała w ciało Idy gęstą ciecz. Potem spojrziała na krzesło, na którym leżały nogi Idy, i na opaskę uciskową powyżej otwartej rany. Michael wmawiał sobie, że na jej sympatycznej, choć przeciętnej twarzy pojawił się wyraz uznania. Lekarz napełnił strzykawkę i włożył do niej metrową igłę. Lewy palec wskazujący wcisnął w zagłębienie poniżej klatki piersiowej Idy, wbił jej igłę w serce i wcisnął do końca tłok strzykawki, obserwując monitor.

Dał znak skinieniem.

Po raz drugi w ciągu półtorej minuty niemal wyrwano im z zawiasów drzwi wejściowe, kiedy załoga karetki wwoziła nosze. „Całe szczęście, że mieszkanie jest duże, a korytarz przestronny”, pomyślał Michael. Miejsca było dość, żeby się po nim przemieszczać z ciężko rannym.

Przejechali obok niego z Idą owiniętą jak niemowlę w grube białe koce. On stał nieruchomo, przyciśnięty do ściany.

Postawny anestezjolog podniósł z podłogi czerwone torby, a pielęgniarka ruszyła za noszami, cały czas trzymając w rękach worek z plazmą, jakby to było serce Idy, które ona próbowała uciskać. Wyglądało to tak, jakby jego siostra naprawdę oddychała z jego pomocą. Coś poruszyło się nieznacznie pod warstwą koców.

– Riget – powiedział lekarz cicho, mijając Michaela, ale na niego nie patrząc. Pewnie nie lubił samobójców. Zwłaszcza takich nieudaczników, z którymi są same kłopoty, bo nie potrafią się porządnie przyłożyć do roboty.

– Czy ona...

Drzwi się za nimi zatrzasnęły.

Michael jak w transie przeszedł przez puste pokoje i stanął w wykuszu, skąd okna wychodziły na ogród. Miał wrażenie, jakby dopiero teraz ktoś podłożył do obrazu ścieżkę dźwiękową: nagle rozległa się symfonia syren i trzeszczących komunikatów radiowych. Mógłby przysiąc, że wcześniej ich nie słyszał.

\*

Lene stała nieruchomo z pistoletem wycelowanym w betonową podłogę od kilkadziesiąt lat zasypywaną śmieciami i odpadami, niemal nieprzebytą. Czekala, aż jej puls się uspokoi. Znajdowała się bezpośrednio za spalonym volkswagenem ogórkiem na końcu długiej czerwonej hali. Przed chwilą spłoszyła śpiącego gołębia. Wyfrunął przez okno samochodu niczym tajfun

obruszonego gruchania i łopoczących skrzydeł, kilka centymetrów od jej twarzy. Lene niemal zsikała się ze strachu.

Zamknęła oczy i w myślach zaklęła przeciągle. Usłyszeli ją?

W każdym razie obco brzmiące głosy zamilkły na chwilę i Lene kucnęła, pilnując, żeby jej stopy były ukryte za płaskimi oponami samochodu, na wypadek gdyby któryś z zabójców zechciał się trochę rozejrzeć.

W końcu głosy rozległy się ponownie, w tonie zwykłej rozmowy. Słyszała dźwięk metalu uderzającego w coś miękkiego. I znów ten długi, zgrzytający odgłos niewielkiego silnika benzynowego. A potem dźwięk czegoś ciężkiego, co z miękkim pluskiem zanurzało się w jakąś ciecz.

Lene gapiała się na graffiti na brudnej ścianie: *Don't Waste Your Life on Graffiti*. Wyciągnęła rękę i przekręciła pęknięte lusterko boczne samochodu, modląc się, żeby żaden słoneczny refleks albo rdzawe skrzypnięcie nie zdradziło jej obecności.

Mężczyzn zasłaniał stos sprasowanych wraków samochodów, widziała natomiast w lusterku tył granatowego opla i holenderski numer rejestracyjny, wspaniale. Wstała i bezgłośnie przesunęła się za volkswagen. Pistolet trzymała na wysokości oczu, regulaminowo, oburącz, za palcem na spuście. Wiedziała, że według obowiązujących norm strzela znakomicie. Tak samo uważał policyjny instruktor. Ale nie była oczywiście tak dobra jak Michael. Widziała go kiedyś na strzelnicy. Jego precyzja i szybkość były niemal nadnaturalne.

Cienkie blachy dachowe były usiane setkami dziur, przez które słońce rzucało do środka nieregularne gwiazdziste kształty. Nad jej głową nieustannie gruchały gołębie. Buty jej się zanurzały w kilkucentymetrowej warstwie łajna, które pękało jak lukier. W pomieszczeniu panował chłód, ale kiedy jej ciało albo twarz przecinały małe diamenty słońca, na moment robiło się cieplej.

Głosy brzmiały teraz wyraźniej, a z samochodu dobiegała muzyka klasyczna, przerywana co jakiś czas aksamitnym głosem mówiącej po duńsku prezenterki. Włączyli sobie radio. Czemu nie? Łatwiej się pracuje przy muzyce. Lene znajdowała się teraz dziesięć metrów od tylnej ściany opla. Osiem. Wspięła się na palce, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w szoferce. Drzwi do przyczepy były otwarte na oścież, ale jej wewnątrz było puste i wysprzątane.

Zastygła i nasłuchiwała. Daleko, bardzo daleko słychać było słaby odgłos silnika, charakterystyczny dla helikoptera. Kierownik operacyjny z poste-

runku przy dworcu dotrzymał słowa. Choć ta odległa kropka na niebie nie mogła jej w niczym pomóc, jej widok dodał Lene otuchy. Ostrożnie przesuwała ręką po sprasowanych wrakach. Szukała szpary, przez którą mogłaby podejrzeć, co się dzieje z drugiej strony, ale karoserie były zgniecione tak ciasno, że tworzyły niemal jednolitą masę.

Męskie głosy znajdowały się bardzo blisko. Zaraz za wrakami, góra pięć metrów od niej. Ostrożnie stawiała jedną stopę przed drugą. W zalegających na podłodze odłamkach szkła widziała swoją bladą twarz.

Gdzie jesteś, Michael? Boże, gdzie jesteś?

Wciągnęła głęboko powietrze i szerokim łukiem obeszała niebosięzny stos wraków samochodów. Pomyślała, że każdy z nich budził kiedyś w kimś ciepłe uczucia i wzruszenie.

Kurz i miliony czerwonych lepkich cząstek krwi fruwały w ukośnych promieniach słońca. Lene miała przed sobą scenę, która nie mieściła jej się w głowie. Rozpylona w powietrzu krew przyklejała się do jej skóry. Jej dłonie pokryły się czerwonymi łuskami, a od intensywnego słodkawego zapachu zrobiło jej się niedobrze.

To był widok nie z tej epoki i nie z tego świata, a ci dwaj rzeźnicy musieli należeć do jakiegoś innego gatunku, mimo że z wyglądu przypominali ludzi. Mieli na sobie długie czarne gumowe fartuchy, żółte gumowe rękawice i kalosze. Ich twarze przesłaniały duże gogle ochronne. Pod śliskimi od krwi fartuchami byli nadzy. Ich ramiona i korpusy pokrywały czarne i ciemnoczerwone rozbryzgi krwi, a w tych okularach wyglądali jak owady.

Kompletowali anatomiczny katalog amputowanych części ciała. Większy z nich, olbrzym z ogoloną głową, trzymał w rękach piłę łańcuchową. Wbił jej ostrze w kobiecy korpus, między dwie małe piersi. Głowy i dolnej części ciała nie było. Głowę Lene wypatrzyła po chwili. Wieńczyły ją czarne posklejane krwią włosy, a twarz, należąca do młodej kobiety, była biała, nieprzenikniona i martwa. Brakowało jej nosa, zaś półprzymknięte oczy były zwrócone w stronę własnego ciała leżącego trzy metry dalej. Głowę wspierał kikut szyi. Może przypadkiem, a może jak coś w rodzaju trofeum. A może dla żartu. Rzeźnicy rozłożyli na podłodze szarą plandekę i zagięli jej róg, żeby czarna gęsta krew spływała do kloaki.

Lene sparaliżowana patrzyła, jak zlany potem olbrzym wprawnym, płynnym ruchem rozplątał korpus kobiety niczym polano albo tuszę zwierzęcia. Tłuszcz, krew i cienkie białe kości sterczały półkuliście z podłogi między



jego szeroko rozstawionymi nogami. Wiszące między nimi jądra i gruby ciemny członek zakołysały się, gdy wykonywał cięcie.

Drugi włókł za sobą nogę dorosłego mężczyzny w stronę zielonych beczek stojących poza plandeką. Kończyna była wygięta i owłosiona, a on trzymał ją za stopę. Z trudem podniósł ją i wrzucił do jednej z beczek. Z pluskiem wylała się z niej mętna szara ciecz. Przy zetknięciu z plandeką syknęła i zareagowała, wydzielając białe opary i żrąc plastik. Na beczkach widniały żółte i czerwone ostrzeżenia, informujące w trzech językach o oparzeniach, warunkach transportu i przechowywania, i zagrożeniach w razie połknięcia.

Niewielki światły i wciąż działający zakamarek jej mózgu przekazał jej, że w beczkach znajdował się kwas azotowy. Jego pozostała część była nieruchoma jak skała. Większość jej świadomości czekała, aż Lene przestanie starać się zrozumieć, na co patrzy, podejmie jakąś decyzję i spróbuje działać. Była boleśnie świadoma tego, co miało tu miejsce, ale poczuła się jak wtedy w prosektorium, kiedy pojawiły się służnice. Widok tych mężczyzn i ich makabrycznej pracy poraził jej mięśnie. Jej usta były otwarte, dłonie opadły. Lufa pistoletu znów była skierowana w podłogę.

Mężczyźni odłożyli narzędzia na stare drewniane drzwi wsparte na dwóch kozłach. O drzwi z kolei opierał się wojskowy karabin automatyczny. Czarnowłosa Cygan, który rozpuszczał części ciała w kwasie, miał pistolet automatyczny zatknięty na plecach za ramię, którym przewiązany był w pasie fartuch. Kiedy się pochylał, pistolet zostawiał błądy odciski na jego śniadej i czerwonej od krwi skórze. Plecy i ramiona miał czarno-niebieskie od tatuaży, które schodziły na umięśnione pośladki. Jego kolczyki połyskiwały w słońcu. Bezskutecznie próbował wepchnąć kijem do beczki stopę, co jego kolega musiał dowcipnie skomentować, bo na twarzy tego pierwszego pojawił się szyderczy uśmiech. Wreszcie się wyprostował, odwrócił i popatrzył wprost na Lene z odległości góra sześciu metrów. Zmarszczył czoło, ale nie przestał się uśmiechać. Może nawet uśmiechnął się szerzej.

\*

Jego gogle ochronne były matowe i nieprzejryste od krwi i brudu. Lene nie mogła więc odczytać wyrazu jego oczu, jeśli miały jakiś wyraz. Nie odezwał się słowem. Nie krzyknął ostrzegawczo do kolegi, do niej też nic nie

powiedział. Stała nieruchomo i wiedziała z absolutną pewnością, że teraz umrze. Tu, na tej betonowej podłodze. W gołębich gównach. A ostatnią rzeczą, jaką zobaczy, będzie dziura w dachu w kształcie Australii, do której nigdy nie pojechała i nigdy nie miała ochoty pojechać, bo mieszkały tam wielkie pająki, trujące meduzy i węże i... Mężczyzna miał ruchy niebywale szybkie i skoordynowane. Ujrzała rękę z pistoletem, ale stał się cud i broń wysunęła się z jego śliskiej żółtej rękawiczki, przejechała po plandece i przemknęła przez pole widzenia łysego olbrzyma.

Ten z kolei przebił się przez klatkę piersiową, serce i płuca i piłował wzdłuż kręgosłupa. Korpus się rozdzielił. Otworzył jak książka, obie połówki upadły na boki.

Mężczyzna obejrzał się za pistoletem i spojrział na kolegę. Potem odwrócił głowę i zobaczył Lene. Zamachnął się i rzucił piłą, której łańcuch cały czas się napinał przy wyjąłym silniku. Musieli jakoś unieruchomić blokadę, pomyślała idiotycznie. Piła przeleciała leniwym łukiem, obracając się powoli wokół własnej osi i przecinając cienie i wiązki słońca, a Lene śledziła wzrokiem nieuchronną trajektorię wirującego frenetycznie niewyraźnego ostrza. Cofnęła się o krok, poślizgnęła na odłamkach szkła i z krzykiem upadła na tyłek.

Cygan doskoczył do swojego pistoletu, leżącego cztery metry dalej. Piła poszybowała tuż nad głową Lene. Uratowało ją to, że siedziała. Poczula natomiast przeszywający ból w lewym barku i zaskoczona zobaczyła cięcie, które jak za sprawą czarów pojawiło się na jej kurtce. Z rozdarcia wystawało watowane podbicie. I zaraz zrobiło się czerwone, kiedy nasiąknęło krwią.

Olbrzym zbliżał się do niej na szerokich nogach. To nie było łatwe. Plandeka była śliska, kalosze rozjeżdżały mu się komicznie. Fartuch przesunął się z boku na bok, odsłaniając co chwila potężne mięśnie ud, wiszący koński członek i śmiesznie otłuszczone kolana jak u niemowlęcia. Gdy tylko mężczyzna postawił jedną stopę na suchej betonowej podłodze i odzyskał przyczepność, wyprostował się i uśmiechnął z ulgą. Wtedy Lene strzeliła mu w drugą nogę. Przestrzeliła kolano i przez ułamek sekundy wmawiała sobie, że widziała prześwit. Olbrzym zerwał z oczu gogle i ryknął wściekle. Odrzucił je na bok, a na jego czerwono-czarnej twarzy został po nich biały ślad. Przyklęknął, dociskając rękami przestrzelone kolano, i wtedy następna kula Lene trafiła go w szyję, a trzecia w lewe oko.

Prawe, nietknięte oko rzeźnika patrzyło na nią z nienawiścią, którą zastąpiło zdumienie, gdy umierał. Powietrze uszło z jego nabrzmiałej szyi z piskliwym skowytym. Twarzą padł na podłogę.

Lene patrzyła smutno na Cygana, który leżał teraz na betonie, poza zakrwawioną plandeką. On też nie miał już gogli, a jego ciało znajdowało się w stanie delikatnej, śmiertelnie groźnej równowagi. Mięśnie na jego ramionach i piersi pęczniały i zaciskały się jak wściekłe węże, zaś pistolet podnosił się na wysokość jej twarzy. Szare oczy mężczyzny były krystaliczne i nieruchome. Nie zdążyłaby wycelować w niego własnej broni.

Wtem zmarszczyła czoło i poczuła, jak w jednej chwili narasta w niej złość. Zza stosu sprasowanych wraków wyłonił się Basim. Poruszał się bezgłośnie jak cień. Tamten go nie słyszał. Basim zrobił duży krok w przód i kiedy jego pistolet znalazł się mniej niż dwadzieścia centymetrów od potylicy mężczyzny, strzelił. Kula wyrwała mężczyźnie połowę twarzy, a jej siła sprawiła, że czaszka uderzyła w beton z głuchym krótkim łupnięciem.

Basim ponownie wycelował i strzelił w kark. Kiedy zamierzał strzelić po raz trzeci, Lene podniosła zdrowe ramię.

– Wystarczy, Basim. Dzięki.

Jego ciemne oczy pojaśniały i uśmiechnął się do niej zatroskany. Potem jego uśmiech zastygł. Otworzył usta, ale Lene nigdy się nie dowiedziała, co zamierzał zawołać. Usłyszała nad sobą szelest i instynktownie padła na plecy.

Tasak do mięsa o szerokim ostrzu nakreślił w powietrzu srebrzysty łuk i wylądował w miejscu, w którym pół sekundy wcześniej była jej szyja. Lene popatrzyła z dołu na młodą ciemnowłosą kobietę w kurtce typu anorak. Widziała jej mocno zarysowaną szczękę, na wpół otwarte usta, nozdrza w kształcie kropli i długie, szeroko rozstawione nogi w dzinsach. Z tej pozycji wydała się Lene wszechmocna. Kobieta wrzasnęła, zła, że chybiła, a jej ciało nadal było w ruchu po wykonanym rzucie, kiedy Lene wygięła się niczym tancerka breakdance i mocno kopnęła ją w kolana.

Pod tamtą ugięty się nogi i tasak z brzękiem zniknął pod odległą stertą złomu. Kobieta zaczęła odwracać głowę, kiedy Lene z całej siły uderzyła ją pięścią tuż pod lewym uchem.

Kobieta upadła na twarz i znieruchomiała.

– Witamy w Kopenhadze – mruknęła Lene.

Wstała, krzywiąc się z bólu, docisnęła dłoń do rany w ramieniu i odszukała wzrokiem Basima. Chłopak wymiotował w kącie. Może to adrenalina.

A może to, co tu się wałało po podłodze.

Lene cierpliwie zaczekała i spróbowała poruszać ramieniem. Niezbyt jej to wyszło.

Potem zobaczyła małego czarnowłosego chłopca, który wyszedł z cienia parę metrów od niej. Patrzył z poważną miną na nieprzytomną kobietę.

Wzrok miał jasny i przytomny, a białka jego oczu były tak białe, że aż niebieskawe. Miał na sobie porządną sportową odzież, mały pomarańczowo-zielony plecak, buty górskie i włączony telefon w ręce.

Lene mu go odebrała, przystawiła sobie do ucha i powtórzyła kilkakrotnie „halo”.

W słuchawce brzmiał jakiś szum. Potem pojedynczy oddech i sygnał zniknął.

– Kto to był? – spytała po angielsku.

Powiedział kilka słów w nieznanym jej języku. Potem wzruszył ramionami. Może nie wiedział.

Lene przeskakiwała po folderach w telefonie, ale wszystkie były puste. To był tani aparat, a karta w nim była pewnie z tych, które są ważne przez dobę lub na doładowanie, i kupiono ją w przypadkowym kiosku albo na stacji benzynowej.

Podszedł do nich Basim. Wytarł usta dłońmi, które następnie dokładnie obejrzał. Potem spojrzał na chłopca.

– Z kim rozmawiał? – zwrócił się do Lene.

– Nie wiem, ale sprawdź go. Możliwe, że ma w plecaku broń jądrową.

– Lepiej skoczę po licznik Geigera – wyszczerzył się, ale jego śmiech był pusty i przerażająco mechaniczny.

Lene poparzyła mu w twarz i starała się powściągnąć wdzięczność, jaka ją wypełniała.

– A w ogóle czy nie prosiłam cię, żebyś został w radiowozie?

– Co? Ja... No tak. Dobra, przepraszam!

Mówił głosem znacznie wyższym niż normalnie.

– Panowałam nad sytuacją – oznajmiła.

– Tak, jasne. Widziałem.

– Panowałam nad sytuacją, Basim.

Otworzył usta. A potem z powrotem je zamknął i popatrzył na nią ze smutkiem.

– Ty naprawdę tak myślisz – stwierdził. – I to jest w tym najstraszniejsze.

– Jak myśłę?

W jego kieszeni zatrzeszczało radio VHF.

– Co mam im powiedzieć?

– Powiedz, że to skomplikowane.

\*

W centrum Kopenhagi, w restauracji z dwiema gwiazdkami Michelin słynącej z kuchni molekularnej Dirk Straat starannie otarł usta wykrochmaloną serwetą z irlandzkiego płótna lnianego, popatrzył na swoje sproszkowane małże zapiekane w estragonie z harissą i chrupki, przyrumieniony kant ravioli z kaczką, po czym wyjął kartę z telefonu.

Nie czuł się dobrze.

Zack i Hector nie żyli, co do tego nie było wątpliwości. Elena być może też. Chłopca nie zabili, z tego co się zorientował, nasłuchując transmisji z Sydhavnen. Elena sprytnie to wymyśliła, żeby do niego zadzwonić i dać chłopakowi telefon.

Przy jego stoliku pojawił się zmartwiony kelner w szarym stroju przypominającym sutannę i z czymś w rodzaju średniowiecznej francuskiej mycki na głowie. Chciał wiedzieć, czy jedzenie mu nie smakowało. Sięgnął po talerz Dirka i przekręcił go o ćwierć obrotu. Holender nabrał przemożnej ochoty, żeby chwycić duży nóż z drewnianym trzonkiem i w skórzaney pochwie, który mu przyniesiono razem z mikroskopijną porcją islandzkiej kiełbasy z owcy, i wbić go kelnerowi w pachwinę, dokładnie tam, gdzie biegną największe tętnice, a potem patrzeć, jak się wykrwawia.

Zapewnił go, że dziełom mistrza Daniela nie ma absolutnie nic do zarzucenia.

Po prostu coś mu wypadło i niestety musi przerwać posiłek po dwóch pierwszych daniach.

Kelner popatrzył martwym wzrokiem na jego kartę MasterCard, ale nawet jej nie dotknął.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? – zdenerwował się Dirk. – Nie dość jasno się wyraziłem?

Twarze w niskim pomieszczeniu o nagich ścianach odwróciły się w jego stronę. Mgliste blade owale na skraju pola widzenia.

Kelner oddalił się z jego kartą, a Dirk jedno po drugim gasił wstrząśnięte spojrzenia gości, aż wszyscy przestali się gapić.

\*

Michael wielokrotnie odwiedzał urazówkę w Rigshospitalet, kiedy jego samego trzeba było połączyć. W poczekalni bez zmian: zielonkawe krzesła nadal wyglądały jak z któregoś z wczesnych sezonów *Star Treka*, automat z kawą, na którym szeroko uśmiechał się kolumbijski rolnik w słomkowym kapeluszu, oczywiście nie działał, nikt nic nie wiedział, a pielęgniarki za przekombinowaną okrągłą ladą rozsiewały nieprzeniknioną aurę pod tytułem „nie przeszkadzajcie nam, frajerzy, bo jesteśmy zajęte sprawami ważniejszymi niż wy”. Wymęczeni i zatroskani bliscy z nadzieją podnosili głowy, kiedy przez poczekalnię przemykał jakiś lekarz lub pielęgniarka. Podnosili palce, ale nim zdążyli sformułować pytania, osoby w kitlach zniknęły.

W końcu w uchylonych drzwiach bloku operacyjnego pokazała się zmęczona twarz młodej lekarki i zagięty palec przywołał Michaela do siebie. Kobieta miała potargane włosy, jej błękitny strój operacyjny wyglądał, jakby w nim spała. Podrapała się pod pachą, a z jej miny nie dało się wyczytać absolutnie nic.

Szybkim krokiem, skrzypiąc różowymi crocsami, prowadziła Michaela skąpanym w półmroku korytarzem, po którego obu stronach były sale, w nich zaś pikały i syczały respiratory, urządzenia dawkujące i monitory pracy serca, a pielęgniarze i pielęgniarki w skupieniu odczytywali z nich informacje i regulowali ustawienia.

– Pan jest bratem, tak? – spytała przez ramię. – W karcie napisano, że to nie był pierwszy raz.

Michael złapał ją za ramię, zatrzymał w pół kroku i odwrócił przodem do siebie.

Kobieta popatrzyła na niego osłupiała. Stała nieruchomo z rękami wzdłuż ciała.

– Zanim podejmiemy tę pogawędkę, pani doktor, może będzie pani łaskawa powiedzieć, czy moja siostra żyje. Wie pani, to dla mnie jakby ważne.

Lekarka zaczęła się jąkać.

– Myślałam, że pan wie. Nikt z panem nie rozmawiał?

– Nie, nikt.

– Kurde. Ludzie mogliby czasem wyjąć sobie głowy z dupy. – Białą jedynką przygryzła górną wargę. Potem posłała mu zmęczony, ale szczery

uśmiech. – Przykro mi. Naprawdę. Ale tak, żyje. Straciła połowę krwi, którą uzupełnił mi. Możliwe, że doszło do zatrzymania pracy serca, ale teraz bije miarowo. Przecięła mniejsze ścięgno, jedną tętnicę i dwie duże żyły w łokciu. Wszystkie zostały zszyte. Nie doszło do uszkodzenia żadnych nerwów, co jest dobrą wiadomością.

Michael zasłonił twarz dłońmi i popatrzył na lekarzkę spomiędzy palców, które powoli robiły się mokre.

– Dziękuję. Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem. Ja po prostu... Przykro mi, ale...

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nic się nie stało. Ale ona musi przestać to robić. Zresztą pan oczywiście to wie. Chodzi mi o te zachowania.

– Tak, oczywiście. – Po chwili wahania Michael dopytał. – A co z... wie pani... – Wskazał palcem na swoje czoło.

– Niewiele z nią rozmawiałam. To nie jest zbyt zdrowe dla mózgu, kiedy ciało traci połowę krwi, to się rozumie samo przez się. Od zatrzymania pracy serca też raczej się nie mądrzeje. Jednak na ile jestem w stanie to ocenić, jej IQ jest wciąż fenomenalne.

– To rodzinne – oznajmił Michael.

– No tak.

W windzie milczeli, a kiedy wysiedli na dziesiątym piętrze, Michael zdziwił się, że już był dzień. Piętro tonęło w żółtym świetle słońca i z jakiegoś powodu poczuł się od tego jeszcze bardziej zmęczony. Cały miniony wieczór i noc były jak skondensowany koszmar przycięty i zmontowany przez szalonego filmowca. Pamiętał Lene w barze. Widział papieros w swojej ręce, kiedy przysnął w kuchni, białe ramiona Idy w wannie – jak kawałki ryby w sosie pomidorowym.

W sumie pamiętał wszystkie szczegóły, ale nic z tego, co się stało, nie wywoływało w nim jakichkolwiek uczuć. Jakby oglądał komiks o kimś innym.

Sala Idy znajdowała się w połowie korytarza i miała okna, których nie dało się otworzyć. Jego siostra spała albo była utrzymywana w stanie nieświadomości. Wokół łokcia miała gruby opatrunek z białego i niebieskiego bandaża. Była biała jak poszewka jej poduszki. Powieki zaklejono jej wąskimi paskami przeźroczystej taśmy, żeby zapobiec wysychaniu gałek ocznych. Pielęgniarka sprawdzała coś przy kroplówce, którą przeprowa-

dzano transfuzję krwi do jej chudego ciała. Powiedziała coś do lekarki i wyszła.

– Jej stan jest stabilny – lekarka zwróciła się do Michaela. – Będzie jak nowa. Obiecuję.

– Dziękuję. – Michael usiadł na jedynym krześle w pokoju.

Lekarka wyjęła z kieszeni dzwoniący telefon, popatrzyła na ekran i oznajmiła:

– Muszę odebrać.

Michael popatrzył na nią.

– Dziękuję – powtórzył.

– Do widzenia. Niech szybko wraca do zdrowia.

– Tak. Dziękuję.

\*

Przesiedział tak cztery godziny. W tym czasie nie wydarzyło się nic poza tym, że Ida kilkakrotnie zamlaskała i głęboko westchnęła. Z początku co piętnaście minut sprawdzano jej ciśnienie i puls. Potem tylko raz na godzinę. Zapowiadał się ładny dzień. Bezchmurne poranne niebo przeciął policyjny helikopter. Śpieszył się i chyba zmierzał na wschód.

O dziesiątej Michael wstał, przeciągnął się i zapytał, czy może zejść na dół zapalić. Mógł. Pielęgniarka poczęstowała go czarną kawą, a on zostawił jej swój numer na wypadek, gdyby Ida się wybudziła.

Siedział na ławce przed szpitalem i palił papierosa obok dużego znaku z zakazem palenia. Patrzył w ziemię, nie myśląc o niczym szczególnym, kiedy poczuł, że ktoś obok niego stoi. Ten ktoś pewnie stał tam od jakiegoś czasu. Michael podniósł głowę. I z powrotem wbił wzrok w płyty chodnikowe.

– Mogę się przysiąść? – spytała Lene. – Byłam na urazówce.

– Jest to kraj względnie wolny – mruknął.

– Ale tu akurat nie wolno palić – zauważyła.

Musieli przekrzykiwać zgiełk ruchu ulicznego na Tagensvej i Blegdamsvej.

– Trudno traktować ten zakaz poważnie, skoro szpital umiejscowiono w jednym z najbardziej zanieczyszczonych spalinami miejsc na planecie – zauważył Michael.

– Pewnie chodzi o efekt sygnalizacyjny.



– Pewnie tak.

Nie czuł w tym momencie nic szczególnego. W tyle głowy miał jedynie tę samą co zawsze, niedającą się uciszyć myśl, tę, która niczym pasek w wiadomościach bez przerwy wyświetlała się na wewnętrznej ścianie jego czaszki: muszę stąd wyjechać. Muszę zabrać stąd Idę. Musimy stąd wyjechać... Muszę stąd wyjechać. Muszę zabrać stąd Idę.

Lene usiadła obok, westchnęła ciężko i ostrożnie wyprostowała nogi. Zerknął na nią z boku i zauważył, że ma lewe ramię w temblaku, a rękaw jej skórzanej kurtki jest rozerwany i poplamiony krwią.

– Widziałaś ten helikopter? – zagadnął.

– Co tu robisz? – spytała ona.

– Obmyślam swój następny mistrzowski ruch na szachownicy. A raczej obmyślałbym, gdybym miał jakieś pionki i figury. I szachownicę. A ty? Do-myślałem się, że jednak podeszłaś do tego granatowego vana, chociaż ci mówiłem, że to nie jest dla dziewczyn i żebyś tego nie robiła.

– Wiec kto powinien to zrobić? Krasnoludki?

– Tak! Krasnoludki z psami, kamizelkami kuloodpornymi i pistoletami maszynowymi. I helikopterami.

– Helikopter akurat był – zastrzegła. – Hen, hen daleko. Nie bardzo rozumiem, w czym niby miałyby pomóc.

Michael odchylił się na ławce i przyjrzał jej się uważnie. Była blada, jej zielone oczy były zapadnięte, a kości policzkowe sterczały pod napiętą skórą. Wyglądała, jakby ją wyłowiono z łodzi ratunkowej tydzień po katastrofie statku.

– Dobrze wyglądasz – stwierdził.

– Mhm... na pewno.

Zdrową ręką sięgnęła za kark i przechyliła głowę w jedną i drugą stronę, przy akompaniamencie głośnego gruchotania kości.

– Miałeś rację. To nie byli ludzie. Nie tak do końca.

– Ale krwawili?

– Tak, krwawili.

– Opowiadaj.

– Ćwiartowali Alana Knutzona i Marię Kemper piłami łańcuchowymi w nieczynnej hali do złomowania samochodów w Sydhavnen. Części ich ciał wrzucali do beczek z kwasem azotowym.

– Meksykańska zupa – Michael pokiwał głową.

– Tak się na to mówi? Nie wiedziałam.

– To popularna metoda wśród karteli narkotykowych z północnego Meksyku, tak słyszałem. I...?

– I nic. Nic tam nie było. Nie mieli żadnych dokumentów. Oczywiście rozesłaliśmy wszędzie odciski palców. Była tam jeszcze kobieta i chłopiec, na oko siedmioletni. Trzymał w ręce włączony telefon, więc ktoś miał z tego słuchowisko.

Straat, pomyślał Michael.

– I jak to się skończyło?

– Niby dobrze. Tylko chłopiec mówi jakimś językiem środkowoeuropejskim, a kobieta... – Lene spuściła wzrok i się zaczerwieniła.

– Co z nią?

– Złamałam jej szczękę w dwóch albo trzech miejscach. Właśnie ją operują, ale przez kilka tygodni raczej nie będzie mogła normalnie mówić. Dobra, a dlaczego ty tu jesteś?

Nie był pewien, czy ma ochotę ją wtajemniczać w swoje prywatne sprawy. Przecież dał sobie z nią spokój, prawda? Poza tym wyglądała, jakby miała dość własnych problemów. Pewnie o tym nie wiedziała, ale za kulisami trwały w tej chwili gorączkowe prace nad zatuszowaniem zabójstw Rasmusa Nordstranda, Alana Knutzona i Marii Kemper. Chodziło o to, żeby upchnąć tę sprawę w jakiś bezpieczny cichy kąt, w jakąś tajną komisję w ramach PET, zasłonić się prawem o ochronie tajemnicy państwowej albo zrzucić wszystko na Europol, byle dalej stąd, do czasu aż Wojownicy Posejdoną zostaną aresztowani, a w zatoce Disko znów tryśnie ropa.

I raczej nie pozwolą, aby to młodsza inspektor Lene Jensen doprowadziła tę sprawę do końca. Straat bez wątpienia dostał od Alana Knutzona nazwiska pozostałych członków organizacji, zanim go zlikwidował.

– Rozmawiałaś z jego żoną? – spytał.

– Czyją żoną?

– Nordstranda, a czyją?

Lene uśmiechnęła się do niego zaczepnie.

– Wciąż liczysz na bilet na Bora-Bora, strumienie zimnych drinków i gorące ciemnoskóre piękności w trawiastych spódnicach?

Michael odpowiedział wymuszonym uśmiechem.

– Dokładnie. Widziałas się z nią?

– Wyobraź sobie, że nie – odparła chłodno. – Ale to kwestia czasu. Ona mnie śledzi od samego początku. Cały czas wlokąc za sobą tę biedną małą. Pewnie wie również, gdzie mieszkam.

Michael wyostrzył słuch. Musiała być zmęczona bardziej, niż przypuszczał, skoro tak nonszalancko podzieliła się z nim tą informacją.

– Moja siostra próbowała w nocy popełnić samobójstwo – oznajmił. – Leży na dziesiątym piętrze.

– Ida?

– Przecięła wnętrze łokcia skalpelem – dodał bezbarwnym głosem i wyjaśnił: – Jest lekarką. Wie, co robić. Położyła się w wannie pełnej bardzo ciepłej wody, żeby krwawienie nie ustało. Zjadła też całą fiolkę magnylu, żeby zapobiec krzepnięciu krwi. Naprawdę się postarała.

– Dlaczego? To znaczy, dlaczego teraz? Z tego, co mówiłeś, wydawało mi się, że czuła się lepiej.

Michael energicznie przytaknął:

– Bo to prawda, ona *czuła* się lepiej. Nie wiem, dlaczego to musiało być akurat teraz. To bez sensu, kompletnie posrane.

Patrzył przed siebie. Łokcie oparł na kolanach i pocierał dłońmi twarz.

– Muszę jej pomóc. Muszę przy niej być non stop. Muszę ją zabrać w jakieś dobre miejsce. Południe Francji. Szwajcaria... nie wiem.

– Przecież nie możesz.

– Właśnie, że mogę! Muszę tylko zdobyć pieniądze.

Lene popatrzyła na niego, ale nic nie powiedziała. Zdrową dłoń położyła mu na ramieniu i przytrzymała chwilę. Prawie nigdy go nie dotykała, mimo że nie raz zdarzało im się spać obok siebie, na przykład w małym namiocie na pustkowiu. Albo na antresoli nieocieplanej stacji harcerskiej.

– Nie, nie możesz – powtórzyła z mocą. – Ja to wiem. *Ja* to wiem! Wtedy, po tym jak Josefina... Patrząc wstecz, to było takie oczywiste, że ona to robi.

Ale w tamtym czasie ja też wierzyłam, że jej się poprawia. Że najgorsze minęło. I tak było. Wyzdrowiała na tyle, żeby zrozumieć, że nigdy z tego nie wyjdzie, że już się nie otrząśnie, nigdy nie będzie szczęśliwa, nie będzie taka jak inni, jak jej przyjaciółki, których towarzystwo stało się dla niej nie do zniesienia. Dziewczyny, które znała od przedszkola, które kupowały ciuchy, studiowały, imprezowały i sypiały z chłopakami, podczas gdy ona została okaleczona i nigdy już nie będzie mogła z nikim być. Więc niczego już tutaj nie chciała. Chciała tylko przestać istnieć.

– Jesteś doskonałą pocieszycielką, naprawdę umiesz poprawić człowiekowi humor i dodać otuchy.

– Przepraszam, po prostu...

Michael wstał i spojrzał na nią z góry.

– Może masz rację, ale muszę spróbować. Ona jeszcze nie umarła.

– Idziesz już? – zasmuciła się. – Okej, zatem powodzenia. Również z siostrą.

– I wzajemnie.

Po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił.

– Nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale miałaś rację.

– W czym?

– Wtedy, gdy się domyśliłaś, że mój bilet do wolności był w przeklętym karniszu u Petera Holma.

– Ale karnisz był pusty.

– Nordstrand skopiował twardy dysk Holma. Wszystkie dane zapisał na dysku USB. Były zaszyfrowane najbezpieczniejszym algorytmem na świecie i nie wiem, jakie konkretnie to były informacje. Nie wiem też, czy to ci się do czegokolwiek przyda, ale wszystko kręci się wokół odzyskania tych danych.

– Jesteś pewien, że powinieneś mi to mówić?

– Jestem bezrobotny. Jak sama zauważyłaś.

Pochwyciła jego wzrok i go przytrzymała. Miała wrażenie, jakby patrzyła w oczy tonącego.

– Michael?

– Co?

– Ty nigdy nie zrobiłeś krzywdy kobiecie ani dziecku, prawda?

– Owszem, zrobiłem i dobrze o tym wiesz. Ja pierdolę, nigdy nie odpuszczisz, co?

Boże, pomyślała i miała ochotę odgryźć sobie język. Zapomniała o tym. Michael opowiedział jej, jak kiedyś podczas uwalniania duńskich zakładników w Somalii strzelił w plecy uciekającej nastolatce i ją zabił. Zrobił to jednak z odległości kilometra i nie wiedząc, że to dziewczyna. Lene wiedziała, że on cały czas to przeżywał, tylko o tym zapomniała.

– Kurde, przepraszam, Michael. Zapomniałam o tym, nie pomyślałam... przepraszam.

Pokręcił głową.

– Ja za nic nie przepraszam. Zresztą, to właśnie jest nasza relacja w pigułce: pies i kot w beczce spadającej z wodospadu, które cały czas się żrą, zamiast wspólnie spróbować się wydostać.

– Masz rację – powiedziała. – Masz stuprocentową rację. Po prostu musiałam o to zapytać.

– Dlaczego?

– Kiedyś ci powiem. Obiecuję.

Patrzyła na jego szerokie wyprostowane plecy, aż zniknęły za rozsuwanymi drzwiami szpitala.

\*

Zrobiła się trzecia po południu i Lene wiedziała, że ten dzień przejdzie do jej osobistej historii jako jeden z najgorszych.

Chłopiec z Sydhavnen zniknął. Ktoś przyszedł go odebrać. Ludzie o dobrych intencjach z którejsz z licznych organizacji, które utrzymują się w Danii z troski o wszystko, co jest ofiarą czegokolwiek.

Młoda kobieta, która próbowała odrąbać jej głowę, wybudziła się po operacji. Szczękę złożono jej drutami, szynami i śrubami, a wodę piła przez słomkę, ale bynajmniej od tego nie spokorniała. Na Lene i siedzącą na krańcu jej łóżka tłumaczkę serbskochorwackiego patrzyła z nienawiścią stężoną w niebieskich oczach. Lene nieczęsto widywała u ludzi tyle niepokromionej, zwierzęcej wściekłości. Kobieta momentami coś mamrotała, na co tłumaczka, elegancka pani po pięćdziesiątce, czerwieniła się ze wstydu za swoją rodaczkę i nie chciała tłumaczyć.

Po paru godzinach bezowocnego odpytywania, w czasie których Lene kilkakrotnie miała ochotę przystawić kobiecie pistolet do głowy i zażądać konkretnych informacji tu i teraz, otworzyły się drzwi i do sali wszedł młodszy od niej mężczyzna, niejaki Christian Erichsen, znany Lene z jednej z wcześniejszych spraw, i poprosił ją na stronę. Natychmiast.

Kiedy byli na korytarzu, Christian patrzył na zamknięte drzwi sali, a Lene na niego.

– Od tego momentu przejmujemy sprawę.

– Wy?

– Tak.

Nie odrywała od niego wzroku. Ten przystojny młody człowiek nosił kiedyś kucyk i brodę. Teraz wyglądał jak księgowy. Oraz był w PET inspektorem, więc formalnie jej przełożonym.

Zamrugnęła, ale gdy tylko zamknęła powieki, zachwiała się niebezpiecznie. Christian ją przytrzymał.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się.

– Czyli PET przejmuje śledztwo, mimo że to ja jestem...?

– To cudzoziemcy. Sądzymy, że weterani z Bałkanów. Najlepiej będzie, jeśli od tego momentu my to przejmujemy.

– Fantastycznie. Gratulacje. Jasne, że są weteranami z Bałkanów! Podobnie jak połowa ludzi pracujących w europejskich agencjach ochrony. Każdy głupi to wie. Jeśli są byłymi pracownikami specnazu, to na bank, zanim im wyrosły włosy na kłacie, mordowali muzułmanów w byłej Jugosławii albo strzelali do kobiet i dzieci w Sarajewie.

– Wiem, ale...

– Ale co?

Inspektor PET wyprostował plecy. Korytarzem w ich stronę szło paru jego kolegów. Lene pomyślała, że wyglądają jak typowi pracownicy wywiadu: muskularni, krótko obcięci i zapaleni triatloniści. Bez wyobraźni, za to w doskonałej kondycji fizycznej.

– Dostałem bezpośredni rozkaz, więc ty również – oznajmił.

– Tak?

– Charlotte Falster chce cię jak najprędzej widzieć u siebie.

Lene podniosła na niego zmęczony wzrok. Potem pociągnęła go za rękaw w spokojne miejsce za pustą dyżurką. Koledzy Christiana weszli do sali i zamknęli za sobą drzwi.

– Christian – zaczęła spokojnie i starała się wykrzesać z siebie choć trochę życzliwości. – Jesteś mi winien przysługę, nie zapomniałeś chyba, co?

Uśmiechnął się. Teraz, kiedy jego podwładni zniknęli z pola widzenia, nie musiał udawać twardziela. Lene wiedziała, że zawsze ją lubił.

– Tak?

– Tak. Safar Khan. I twój przyjaciel Mikkel. Nie wierzę, że nie pamiętasz.

Zaczął niepewnie pocierać skórę pod brodą.

– To zależy od wielu rzeczy – zaczął ostrożnie. – Może pamiętam, może nie.

– Christian, co tu się dzieje? Tylko mów normalnie, bez eufemizmów.

– Nie wiem, naprawdę. I wątpię, czy w tej chwili ktokolwiek w pełni to kontroluje. Mnóstwo telefonów wysoko na górze jest rozpalonych do czerwoności i spożywa się ogromne ilości pilnych lanczów. To normalne, że wkraczamy do akcji, gdy chodzi o zawodowych morderców z zagranicy. Prawdopodobnie terrorystów.

– Tacy z nich terroryści jak ze Śnieżki i Siedmiu Krasnoludków. Zatrudnia ich firma ochroniarska, która pracuje bezpośrednio dla Nobel Oil w ramach kontraktu polegającego na wyeliminowaniu Wojowników Posejdoną wszelkimi środkami. Człowieku, obudź się.

– Masz dowody?

– Nie.

Tupnęła nogą, ale wtedy ból przeszył jej ramię.

Odwrócił się i zanim odszedł, obiecał:

– Rozwiążemy to, Lene. Dam ci znać, gdy będziemy o tych terrorystach wiedzieli coś więcej.

– To nie są terroryści! – zawołała za nim.

\*

Po kilku próbach w słuchawce usłyszała Basima, jak zawsze małow- nego.

– Zapomniałam ci chyba porządnie podziękować – zaczęła. – Dobrze, że się tam znalazłeś. Bardzo dobrze, tak naprawdę.

– Nie ma sprawy. Clara jest na chorobowym. Doznała szoku.

– Jaka Clara?

– Moja partnerka z patrolu. Z kucykiem.

– Współczuję. A ty co robisz?

– Oglądam mecz.

– Na posterunku?

– W domu. Po co dzwonisz?

– Tak tylko, żeby ci podziękować za uratowanie życia w tamtym kotle.

– Nie ma za co. Wszystko gra, ale muszę lecieć.

– Basim, co się dzieje?

Milczenie. Słyszała w tle wołanie małego dziecka. I trzaśnięcie drzwiami.

– O to właśnie chodzi. Nic się nie stało, a mnie nie wolno o tym mówić. Na razie. Tak powiedzieli.

Lene wbiła wzrok w podłogę. Od zapachu szpitala robiło jej się niedo- brze. Nie jadła od... odkąd?

– Kto tak powiedział? – spytała.

– Ktoś z posterunku. Ktoś, kto podejmuje decyzje. Posłuchaj. Moja żona jest na macierzyńskim, a gdy nie jest na macierzyńskim, to jest na studiach.

Do jesieni ma się wyrobić z pracą magisterską. Potrzebuję tej roboty, po prostu. O nic innego nie chodzi. Nie mam bogatego ojca ani wujka, moja żona też nie ma, okej?

– Rozumiem.

– Przykro mi.

– W porządku. Trzymaj się.

Tak po prostu.

To w Sydhavnen nigdy się nie wydarzyło.

Popatrzyła na dziurę w swojej kurtce i na swoje ramię w temblaku. To nie było złudzenie. To naprawdę się stało! Zdjęła temblak i zdecydowanym ruchem rzuciła go na podłogę. Ramię bolało straszliwie, ale mogła je podnieść. Niemal do pozycji poziomej. Na razie będzie musiało jej to wystarczyć.

Następnym przystankiem w tej podróży przez piekło było biuro Charlotte Falster.

\*

W szpitalnej kafeterii Michael zjadł pozbawiony smaku posiłek, a kiedy wrócił do Idy, już nie spała. Patrzyła w sufit i oczywiście była blada. Za to spojrzenie i ruchy miała pewne.

Bez słowa przeszedł obok jej łóżka i stanął przy oknie odwrócony do niej plecami. Ręce ciasno splótł na piersi, bo inaczej by ją udusił.

– Liczę te dziurki w suficie – powiedziała cicho. – Jest ich czterdzieści sześć wszerz i sześćdziesiąt cztery wzdłuż. Ile to razem? Czekał. Dwa tysiące dziewięćset dwadzieścia cztery. Nie. Dwa tysiące dziewięćset czterdzieści cztery. Czyli...

– Weź się zamknij, Ida.

– Przepraszam.

Zrobiło się tak cicho, że słyszał tykanie swojego zegarka. Niebo było niebieskie i czyste.

– A tym razem o co poszło? – spytał, nie odwracając się do niej. – Po raz pierwszy od wieków się pomalowałaś, założyłaś coś innego niż spodnie od dresu i superwesołą koszulkę z jakiejś plaży nad Morzem Czerwonym, wybierałaś się na trening szermierki z węgierskim mistrzem, a potem miałaś się spotkać z Laurą, tą cnotką w mokasynach, której nie pamiętam. Więc co



się stało? Zobaczyłaś, jak ktoś spadł z roweru? Widziałaś smutnego psa? No, powiedz! Co to było?!

Odwrócił się do niej z wściekłością.

Ida patrzyła na swoje splecione dłonie. Pomyślał, że nie miała dość krwi, żeby się czerwienić, i pewnie była zbyt odwodniona, żeby płakać. A jednak na jej policzkach pojawiły się dwie czerwone plamy.

– Przepraszam, że jestem takim cięż...

– W kółko to powtarzasz! – wrzasnął na nią. – Jeśli powiesz to raz jeszcze, to, kurwa, sam cię zabiję! Nie żartuję!

Otwierał i zamykał dłonie w niepohamowanej złości. Przez jedną szaloną sekundę miał ochotę zacisnąć je na szyi siostry.

Ida wyciągnęła do niego rękę. Co do tego też się pomylił: była w stanie płakać.

– Przepraszam, Michael. Kłamałam. Okłamałam cię!

Popatrzył na nią skonsternowany i naraz cała złość z niego wyparowała.

– Z czym?

– Z tym, że umówiłam się z Laurą. Umówiłam się z mężczyzną.

– Mężczyzną? W jakim sensie? Ale z mężczyzną? Przecież nigdy, przenigdy nawet nie spojrzałaś na...

– Wiem! Wiem przecież. To na nic. Byłam głupia. Ale on zobaczył moje zdjęcia i powiedział, że jestem piękna. A potem, że w rzeczywistości jestem jeszcze piękniejsza, kiedy... Kiedy się z nim dziś spotkałam. Czy wczoraj.

Michael opadł na krzesło i już miał wyjąć papierosa, kiedy wyraz twarzy Idy go powstrzymał. O ile wiedział, Ida znała w życiu tylko jednego mężczyznę. Wyszła za niego, mieli dziecko – i to by było na tyle. Wszyscy uważali, że to fantastyczne, że wyszła za chłopca, którego poznała w kibucu w Izraelu, w wieku dziewiętnastu lat.

Niesamowicie fantastyczne.

Jedna z pielęgniarek otworzyła drzwi, migiem wyczuła atmosferę w sali i zaraz się wycofała.

– Jakie zdjęcia? – spytał Michael pustym głosem. – Wybacz, ale nie jesteś trochę za stara i za niska, żeby startować do *Top Model*? Mów normalnie: jakie zdjęcia?

Ida popatrzyła na niego z rezygnacją.

– Michael, czasem jesteś naprawdę tępy. Serio. Na portalu randkowym, do diabła. Ideal Partner, tak to się nazywa, jeśli koniecznie musisz wiedzieć. Pewnie słyszałeś, na czym to polega. Pisałam z nim przez ostatni miesiąc.

On ma własną stocznię. Sam projektuje łódki, ma dwunastometrowy jacht, dom nad morzem i uroczą dwunastoletnią córkę. Widziałam jej zdjęcia. Naprawdę ładna. On jest wdowcem. I gra w szachy. A ona nosi kucyki.

Michael ze wstydem stwierdził, że byłby niesłychanie, niesamowicie wdzięczny, gdyby ktoś go zastąpił. Choć na parę miesięcy. Czy to straszne tak myśleć?

– Ale Ida, przecież to brzmi idealnie! Więc co się stało? Nie spodobałaś mu się? Daj mi nazwisko tego buca, a zrobię z niego kadłubka i z jachtów pozostanie mu co najwyżej mydelniczka na kółkach.

Jego entuzjazm spowodował u niej jeszcze bardziej intensywny płacz.

– Nie, nie, nie. Spodobałam mu się, on mnie też. Naprawdę. Jest idealny. Zbyt idealny. Potem pięć razy do mnie dzwonił. Jest cholernie mądry, przystojny i zabawny. Na bank byś go polubił.

Michael zamrugnął, pokręcił głową i znów opadł na krzesło.

– Mylisz się. Ja nikogo nie lubię, a ty, siostrzyczko, jestem nieco zagubiony. Skonfundowany, można by rzec. Gość jest przystojny, mądry, miły, projektuje żaglówki, a ty uwielbiasz żeglować, do tego ma uroczą córkę z kucykami i żadnych żadnych zemsty byłych żon z armią adwokatów z dziewiętego kręgu piekieł, oraz uważa, że jesteś zajebista. Więc w czym problem? Postanowiłaś odebrać sobie życie ze szczęścia? Bo to rodzi mnóstwo interesujących pytań odnośnie do twojej kariery samobójczyni. To by oznaczało, że najbardziej muszę na ciebie uważać, kiedy jesteś najweselsza, kiedy tańczysz i śpiewasz. Chociaż ty nigdy tego nie robisz!

Ida ukryła twarz w dłoniach i załkała.

– Ty nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz. To było zbyt dobre. Zbyt poprawne.

To przecież niemożliwe.

– Dlaczego nie?!

Ida odsłoniła twarz mokrą od łez. Pociągnęła nosem. Chwilę szukała chusteczki, aż Michael wręczył jej własną.

– Bo jestem szalona – powiedziała cicho i z rezygnacją w głosie.

Michael powoli wypuścił wstrzymywany oddech. Tak, oczywiście coś w tym było.

– Ida, ty nie jesteś szalona. Albo okej, może odrobinę. Ale przecież nikt nie jest doskonały. Powiedziałaś mu, że jesteś szalona?

– Powiedziałaś mu o Jozjaszu i moich... problemach. O tobie. O tym, co dla mnie robisz. O naszej sytuacji. Że mieszkamy razem. Że chciałabym

wrócić do pracy. Że z tym walczę. Że naprawdę próbowałam wyjść z domu... do ludzi. Porobić coś zwyczajnego.

– I?

– O dziwo nieźle to przyjął. Wariaci zawsze się odnajdą w tłumie, prawda?

To rodzaj selekcji naturalnej. Okazało się, że jego żona zginęła w wypadku samochodowym trzy lata temu. Razem z nią zginął ich starszy syn, miał czternaście lat. Więc dobrze to znał...

– Przecież to znakomicie! – Skrzywił się, kiedy usłyszał własne słowa. – To znaczy... może to nie zabrzmiało najlepiej, ale przecież to jest idealna sytuacja! Jesteście najlepiej dobraną parą, o jakiej słyszałem.

Wydmuchała nos. A potem na niego spojrzała.

– Naprawdę tak uważasz? – W jej głosie zabrzmiała nuta nadziei.

– Tak! Tak! Zadzwoń do niego. Od razu. Proszę cię. Nie. Błagam, żebyś to zrobiła.

Uśmiechnęła się słabo i zatoczyła wokół ręką.

– A jak mu wyjaśnię to wszystko? Jak mu wyjaśnię to, że wyglądam jak gówno?

– Wcale nie! Wyglądasz pięknie. Intrygująco blada. Jak narzeczona wampira.

No, dalej. Możesz powiedzieć, że wpadłaś na szklane drzwi w centrum handlowym albo coś w tym stylu. – Michael pstryknął palcami. – Bo chodzisz z głową w chmurach, odkąd spotkałaś najwspanialszego faceta na świecie. Wiecznie zamyślona i rozmarzona. Zobaczysz, gość będzie cały w skowronkach. I do tego poczuje się trochę winny. Nie zapominaj, Ido, że przy pomocy poczucia winy możesz kierować całym układem słonecznym mężczyzny.

– Oczywiście, że nie mogę. To była pierwsza rzecz, jakiej mnie nauczyła mama.

Wciąż patrzył na nią ponaglająco, ale światło w jej oczach zgasło, jakby ktoś je wyłączył.

– Ostatnie, czego mu potrzeba, to taki ktoś jak ja – stwierdziła i odwróciła się na bok, twarzą do szafek.

– Ale...

Michael nie ruszył się z miejsca. Nie wiedział, co powiedzieć. Pewnie miała rację.

Muszę ją stąd zabrać, pomyślał po raz enty tego dnia. I sam muszę stąd wyjechać. Musi być jakiś sposób.

– A co z Lene? – spytała cicho, tyłem do niego.

– Co z nią?

– Porozmawialiście?

– Akurat ją spotkałem na dole, parę godzin temu. Coś sobie zrobiła w ramię.

Ida częściowo się odwróciła i znów popatrzyła w sufit.

– Coś poważnego?

– Chyba nie.

– Umówiliście się?

– Nie, Ido.

– Michael, chciałabym, żeby choć jedno z nas było szczęśliwe.

– Ty będziesz szczęśliwa, siostrzyczko. Zobaczysz.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem. Śpij.

Znowu odwróciła twarz w stronę szafek.

Michael pomyślał o Axelu Noblu i Straacie, o milionie szwajcarskich franków oraz o kobiecie, która razem z córką podobno deptały Lene po piętach.

A potem zasnął.

### III

Miała wrażenie, jakby tak naprawdę nigdy nie wyszła z biura Charlotte. Jakby cały czas prowadziły jedną, niekończącą się rozmowę. Komendant główna przesuwiała między palcami perły naszyjnika i nie potrafiła usiedzieć na miejscu dłużej niż minutę. Chociaż nie, dziś jej zdenerwowanie było widoczne jeszcze bardziej niż ostatnio.

Ale im bardziej nerwowo i niezręcznie zachowywała się Charlotte, tym pewniej i spokojniej czuła się Lene.

– Z tego, co zrozumiałam, drobny incydent w Sydhavnen dziś rano w rzeczywistości nie miał miejsca... oficjalnie – powiedziała.

Charlotte popatrzyła na nią ostro.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Oczywiście, że miał! Własnoręcznie wypełniałaś chłodnie Zakładu Medycyny Sądowej zwłokami w różnym stopniu rozczłonkowania albo rozpuszczenia i zlikwidowanymi na różne egzotyczne sposoby. Doprawdy, Lene. Musieli przesłać część z nich do chłodni zakładów w Odense i Aarhus. Po prostu nie mieści mi się w głowie, jak mogłaś wejść tam sama. To było ekstremalnie głupie. Ale racja, po co nam antyterrorysty, przeszkoleni do radzenia sobie w tego typu sytuacjach, skoro pierwsza lepsza śledcza w średnim wieku, której pewnie zaczęła się menopauza i która ma w nosie ich wiedzę i doświadczenie, pcha się tam, gdzie...

– Nie byłam sama, jak się okazało. I to nie ja zabiłam tych wszystkich ludzi. Co najwyżej jednego z nich, i to dlatego, że on próbował zabić mnie piłą łańcuchową oraz wyglądał, jakby gazu pieprzowego używał zamiast sprayu do ust. Więc co innego mogłam zrobić, jeśli nie strzelić? Poza tym dzięki za troskę, ale jeszcze nie mam menopauzy. Jeśli o to chodzi, to mów za siebie. I nie da się przeszkolić do takich sytuacji. Ci chłopcy, którzy zjeżdżają na linach w swoich kamizelkach na rzepy i hełmach, są w takich sytuacjach głównie warci i nieważne, czy są antyterrorystami, frogmanami czy Korpusem Łowców. Żaden z nich nigdy nie brał udziału w prawdziwej ak-

cji. W kółko tylko ćwiczą, skaczą ze spadochronami na festynach i liczą, że służba w elitarnej formacji pozwoli im zostać prezenterami telewizyjnymi albo pisarzami. Albo założyć firmę konsultingową, która będzie spuszczać otyłe kobiety pracujące dla Novo na dno silosów w ramach team buildingu. Był tam za to Basim Yenni, który naprawdę jest odważny, bo właśnie odwagi potrzeba w takich sytuacjach. I jeszcze taka jedna... Clara. Słyszałam, że zgłosiła niezdolność do pracy...

– Ta dziewczyna była całkiem zielona! Prosto po szkole. Doznała szoku. Przydzieliliśmy jej psychologa.

– Doznała szoku? Była czterysta metrów dalej, w zamkniętym samochodzie! Może powinna raczej zostać projektantką mody albo specjalistką PR jak wszyscy. Za to Basimowi ktoś ze Station City nałożył kaganiec. Charlotte, on mi uratował życie. Więc skoro ktoś spróbuje mu cokolwiek zrobić, to tego kogoś zatłukę, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Zamilkła na chwilę, żeby się upewnić, czy szefowa usłyszała ją i zrozumiała.

– A najzabawniejsze jest to... – ciągnęła nieco ciszej.

Komendant główna popatrzyła na nią.

– Co jest najzabawniejsze, Lene? Naprawdę chętnie się dowiem. Bo ja nie widzę w tym absolutnie nic zabawnego.

– Najzabawniejsze jest to, że nigdzie nie ma ani słowa o podwójnym zabójstwie przy Viktoriagade ani strzelaninie w Sydhavnen. Ani w radiu, ani w telewizji, ani w internetowym wydaniu żadnej z gazet. Naprawdę niesamowite, moim zdaniem.

– Przecież sprawę przejęło PET. Nie wiem, czy wiesz, ale to *tajna* służba wywiadowcza. Pewnie poprosili naczelnych, żeby o tym nie mówili.

– Pewnie tak. Masz coś do picia? – spytała Lene. – Coś mocniejszego?

Charlotte się uśmiechnęła.

– Akurat mam i szczerze mówiąc, sama bym się napiła. Mam niebiańską wytrawną sherry na wypadek sytuacji awaryjnych. W mojej ocenie to jest sytuacja awaryjna.

– Brzmi jak coś, co zaproponowałabyś swojej przyjaciółce, której córka nie dostała się na Sorbonę. Niezupełnie moja półka, ale polej.

Charlotte przyniosła butelkę i dwa kieliszki. I żeby pokazać, że nie jest zupełnie odklejona od rzeczywistości, w jakiej żyje jej podwładna, napełniła je po brzegi.

Lene opróżniła kieliszek jednym haustem i wyciągnęła go w stronę Charlotte.

Ta nabrała koloru na twarzy i połała jej znowu. Potem rozparła się w swoim fotelu, z wdziękiem trzymając nóżkę kieliszka między dwoma palcami. Zadzwończyły jej złote bransoletki.

– Rozmawiałam z mężem – powiedziała nagle. – A właściwie solidnie go opieprzyłam. Kazał cię gorąco pozdrowić.

– Z Ottem? Naprawdę go opieprzyłaś?

Lene kilkakrotnie miała okazję spotkać Otta Jarla Falstera, szefa departamentu. Był to potężny, budzący respekt mężczyzna w okularach o masywnych czarnych oprawkach i zawsze ciemnych ubraniach świetnej jakości. Był szarmancki, kompetentny i inteligentny, jak przystało na urzędnika państwowego. Przyszedł na pogrzeb Josefine i powiedział Lene kilka dobrych słów.

– Chciałabym to słyszeć – mruknęła pod nosem.

– Co? ...no tak. Podobno robię to dość często, jego zdaniem. To znaczy opieprzam go. W każdym razie w sytuacjach, gdy dzieje się coś, co wykracza poza ich procesy myślowe, automatyczna reakcja w ministerstwach polega na tym, że urzędnicy chowają głowę w piasek i liczą, że problem rozwiąże się sam. A gdy sytuacja eskaluje zbyt szybko, a do tego dotyczy spraw niezwykle istotnych, jak w tym przypadku, reakcją jest panika, rozumiesz?

– Oczywiście.

– Jeśli można odwlec moment, w którym te groźne wydarzenia przedostaną się do opinii publicznej i politycy będą się musieli do nich odnieść, zyskają trochę czasu, aby zorientować się w sytuacji i przygotować swoje stanowisko. Problem w tym, że w tej konkretnej sprawie dramatyczne zwroty akcji następują tak szybko, że oni nie nadążają. Lene, masz przed sobą stale rosnący mur niezdecydowania i frustracji w rządzie. Ludzie robią się nerwowi. Zaczynają pytać, kto u licha jest tym wichrzycielem, który co chwila miesza im szyki. Bo musisz wiedzieć, że każde odstępstwo od codziennego grafiku to w ministerstwie wielkie halo. Rodzi się potrzeba wskazania kozła ofiarnego. W tym wypadku jesteś nim ty. A zaraz po tobie ja, bo ludzie, skądinąd słusznie, chcą wiedzieć, dlaczego nie potrafię nad tobą zapanować. Ja z kolei nie mogę im powiedzieć, że nigdy tego nie potrafiłam ani wskazać na twoje wybitne zasługi. Bo tam to nie działa.

– Czekaj. Naprawdę sugerujesz, że powinnam była pozwolić, aby dwóm zawodowym mordercom uszło na sucho torturowanie, zamordowanie i rozczłonkowanie dwojga obywateli duńskich?

– Oczywiście, że nie. Robisz tylko to, co do ciebie należy, choć w sposób wybitnie niekonwencjonalny. Ta sprawa jest po prostu zarówno większa, jak i bardziej skomplikowana niż wszystko, czym się dotąd zajmowałaś. Musisz zrozumieć, że uczestniczysz w wyjątkowo mrocznej grze, a tożsamości niektórych z graczy być może nigdy nie poznasz. Są nimi urzędnicy związani z rządem, Axel Nobel, najpotężniejsza osoba w Danii, ambasador Chin, Chiński Bank Rozwoju, Grenlandzki Rząd Lokalny, Komenda Główna Policji, PET, partie opozycyjne i rządzące oraz bezlik organizacji ekologicznych, które bez wytchnienia lobbują za tym, żeby powstrzymać wydobycie gazu łupkowego. Nie dlatego, że jest to szczególnie obciążające dla środowiska, ale dlatego, że muszą wykazać, że coś robią za darowizny, które dostają od ludzi. Do tego dochodzą zatroskani biolodzy morscy i politycy z Kanady i Stanów, chcący realizować własne cele, i wreszcie Wojownicy Posejdon, którzy zdaniem większości powinni po prostu przestać istnieć. A ty, Lene, wbiłaś kij w to mrowisko. I nie przestajesz w nim grzebać. Jeszcze?

– Co?

Charlotte podniosła butelkę sherry.

– Tak, poproszę.

W sumie smakowała nieźle i wyglądała zszargane nerwy.

– Zatem we wszystkich rządach na całym świecie można wyróżnić trzy standardowe postawy w sytuacji, gdy się nie nadaża. Pierwsza to zaprzeczanie, że wydarzyło się coś szczególnego, oraz bagatelizowanie wydarzeń, wyciszanie emocji i blokowanie informacji. Dzięki temu my, pozostali, mamy wrażenie, że nie jest tak źle, poza tym nie można przecież wierzyć we wszystko, co się czyta i słyszy. Druga strategia to przyznanie, że owszem, dzieją się pewne niepokojące rzeczy i choć dziś nie dysponujemy środkami, które by pozwoliły skutecznie zarządzać powstałą szkodą, to przekazemy więcej środków z budżetu, aby zapobiec wystąpieniu takiej szkody w przyszłości.

– A trzecia?

– Trzecia to przyznanie, że coś się stało, ale jest za późno, aby cokolwiek z tym zrobić.

– I twoim zdaniem jaką strategię obrał Otto?



– Czwartą, Lene.

– Czyli?

– Całkowite utajnienie. Precedensów nie brakuje. Na przykład w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym amerykański bombowiec z trzema bombami atomowymi na pokładzie rozbił się nad bazą Thule. Sprawę utajniono. Podobnie jak doniesienia o możliwym chorobotwórczym promieniowaniu radioaktywnym, na które narażeni byli tamtejsi Inuici. Wtedy zaciemnienia żądał Waszyngton, obecnie żąda go Pekin. PET ma w pierwszej kolejności zadbać o to, żeby nikt się nie dowiedział.

– Ale oni mogą to zrobić? W sensie Pekin?

– Chiny są supermocarstwem. Chcą, żeby zatoka Disko stała się pięknym, w pełni rozwiniętym politycznym mostem między naszymi krajami. Wzorcowym przykładem tego, co można osiągnąć dzięki nowoczesnej współpracy Chin z rządami regionalnymi, w tym wypadku z Danią. Wszyscy tego chcą. Dania musi mieć gospodarkę surowcową, tak jak Norwegia. Bo przecież na innych umiejętnościach nam nie zbywa... na czytaniu i pisaniu na przykład.

– Czyli wszyscy tego chcą? – nie dowierzała Lene.

– Tak. Jeśli zaglądałaś do internetowych wydań gazet, to wiesz, że rozpisano wybory parlamentarne. Maja się odbyć za trzy tygodnie.

– A czemu tak im się śpieszy?

– Urzędujący rząd jest niemal pewien reelekcji.

– Aha. Więc tego, kto włożył kij w mrowisko, trzeba wcisnąć w kaftan bezpieczeństwa i przykuć do kaloryfera.

– Może nie aż tak. Sprawa w każdym razie odtąd należy do PET, a ty lecis do Hagi. Musisz!

– Żeby nikt tej sprawy nie ruszał, aż będzie po wyborach?

– Niektóre rzeczy lepiej zostawić do tego czasu – przyznała Charlotte.

Wszystko w Lene krzyczało w proteście przeciwko tej spokojnej, rzeczowej analizie sytuacji. Co się u licha stało z jej szefową? Nie były może najlepszymi przyjaciółkami, ale Lene zawsze uważała Charlotte za nieprzekupną i całkowicie odporną na próby nacisku. Właśnie dzięki pozycji, jaką zajmował jej mąż. Ale może w tej sytuacji naprawdę dominowały odcienie szarości, choć Lene lubiła widzieć świat czarno-białym. Z barwami pośrednimi sobie nie radziła. Peter Holm został zamordowany, zapewne przez Rasmusa Nordstranda, który teraz sam nie żył, podobnie jak Alan Knutzon i Maria Kemper. Ale może po prostu dostali to, na co zasłużyli? Bez wątpie-

nia należeli do zdemoralizowanego, fanatycznego bractwa, zaś ich akcje sabotażowe kosztowały życie niewinnych chińskich robotników. Mężczyzn żyjących w ścisłości w blaszanych kontenerach i harujących, aby zapewnić byt rodzinom, które zostały po drugiej stronie globu i z którymi mogli porozmawiać przez Skype'a pięć minut w miesiącu.

– *Fuuuck* – jęknęła.

– Słucham?

– Nic takiego. Powiedz mi po prostu, co mam robić, a to zrobię – oznajmiła z pokorą w głosie.

Charlotte popatrzyła na nią oczami jak szparki.

– Najbardziej nienawidzę, kiedy nagle robisz się potulna w ten swój przegięty fałszywy sposób.

– Powiedziałaś, że mnie nienawidzisz?

Charlotte oparła przedramiona na biurku. Jej twarz spoważniała, ale głos był wyrazisty.

– Lene, nie rób ze mnie idiotki. Ile lat się znamy? Sześć? Myślisz, że nie wiem, co o mnie opowiadasz za moimi plecami? Że jestem pedantyczna, przesadnie kontrolująca, nudna, żalсна i zupełnie nie znam realiów pracy policji.

Że zasadniczo tylko ci przeszkadzam. Więc dlaczego nie miałabym cię nienawidzić? Dlaczego nie miałabym odwzajemniać tego, co ty czujesz do mnie? Myślisz, że ja nie mam uczuć?

– Czekaj, czekaj... – wypaliła Lene i nagle zamilkła. Twarz jej płonęła, a w ustach zaschło.

Bo przecież to wszystko było prawdą. Tylko zabrzmiało tak... dosadnie, gdy sama Charlotte o tym powiedziała.

– Masz rację – przyznała po chwili. – Wszystko się zgadza. Niewiele osób cię lubi. W każdym razie niewiele z mojego rocznika.

– Lene, jestem waszą szefową. Ja nie mam być lubiana. Nie mam się przyjaźnić z ludźmi, których być może będę musiała kiedyś zwolnić albo przenieść. Patrząc, jak ich świat się wali, wiedząc, że to za moją sprawą. Powinnaś kiedyś spróbować, jak to jest. Ja zresztą też mogę dostać pięć minut na opróżnienie biurka, jeśli nie przestaniesz zachowywać się jak słoń w składzie porcelany. Ale się nie skarzę.

Lene nie umiała się zmusić, żeby spojrzeć jej w oczy, za to odburknęła:

– Każdemu, kto ma ochotę słuchać, mówię również, choć to być może nie dotarło do twoich uszu, że niesamowicie mi pomogłaś, kiedy Josefine

zachorowała.

Szefowa uniosła brew.

– Dziękuję – powiedziała.

– To ja dziękuję. A w ogóle Michael Sander też jest w to zamieszany.

Lene w napięciu czekała na jakąkolwiek reakcję, ale na próżno.

Dziwne, Charlotte miała do Michaela słabość.

– Spotkałaś się z nim? – spytała tylko.

– Spotkałam go przypadkiem przed Rigshospitalet po tym, jak mi zszyli bark.

– Jak to? Dzisiaj?

– Mhm. Jego siostra trafiła na oddział po próbie samobójczej. Poza tym rozwiódł się i była żona nie pozwalała mu się widywać z dziećmi, chociaż on nie ma ograniczonych praw.

– Biedny Michael, szkoda go. – Głos Charlotte był bardzo poważny.

– Tak.

Lene zmarszczyła czoło. Coś tu się nie zgadzało. W żadnym razie nie odmawiała Charlotte pewnej zdolności do empatii, ale jej ton był wręcz teatralny.

I nagle się zorientowała, że dała się nabrać. Umysł Charlotte był ósmym cudem świata, ostry jak brzytwa.

– Myślisz, że jestem upośledzona umysłowo? – spytała szefowa.

– Yyy... nie, oczywiście, że nie.

– Ależ tak – prychnęła Charlotte.

– Czemu tak mówisz?

– Nie wiem, czy kiedykolwiek nauczysz się mi ufać, pewnie nie. Ale dopóki niczego mi nie mówisz, ja nie mogę cię wspierać. To warunek konieczny, choć stanowi złamanie twoich świętych zasad.

– Niby czego ci nie powiedziałam?

– Domyślam się, że nie jesteś iluzjonistką. Dlatego zastanawia mnie wstępny raport, w którym Arne stwierdza, że ktoś, kto znał miejsce zbrodni, wykspონował w mieszkaniu przy Viktoriagade ludzki ząb i fragment nosa, ale sam nie pozostawił śladów. Oraz że kot został pośmiertnie ułożony niczym egipska królowa. Zastanawiam się również nad tym, że przypadkiem znałaś holenderski numer rejestracyjny wozu dostawczego, którym jak się okazało, podróżowali dwaj cudzoziemscy sprawcy podwójnego zabójstwa przy Viktoriagade. Poza tym Tom Andersson twierdzi, że Michael pracuje dla Nobel Oil i że on, Andersson, widział go, jak wychodził z mieszkania

Petera Holma pół godziny przed tym, jak ty stamtąd wyszłaś. Dlatego zaryzykuję szaloną tezę, że być może spotkałaś Michaela dziś przed Rigshospitalet, ale to nie było wasze pierwsze spotkanie. Przysłużył się tobie, czyli społeczeństwu, przekazując ci informacje, które pozwoliły wyjaśnić podwójne zabójstwo i wskazać tożsamość sprawców. Pytanie zasadnicze brzmi jednak: czy i ty przysłużyłaś się jemu oraz czym?

Lene miała ochotę wszystkiemu zaprzeczyć, ale wiedziała, że to na nic.

– Masz rację. Co do wszystkiego. Tylko to nie jest takie proste. Michael pracuje dla Axela Nobla, ale nie powiedział mi, na czym konkretnie polega jego zadanie. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, że w Vesterbro zamordowano tę dwójkę ludzi. Oboje prawdopodobnie należeli do Wojowników Posejdona. Musieli do nich należeć. Domyślam się, że zadaniem Michaela jest tropienie tych ludzi, ale nie ich zabijanie. Sądzę również, że to on był na miejscu zbrodni, chociaż nie wiem tego z całą pewnością. Zakładam, że jest wściekły i zrozpaczony, wiedząc, że zostali zabici.

– Kim zatem byli sprawcy?

Lene wzruszyła ramionami.

– Obstawiam, że pracują dla jakiejś paramilitarnej agencji ochroniarskiej zakontraktowanej przez Nobla. Liczba prywatnych armii mających umowy z rządami i międzynarodowymi koncernami eksplodowała w ostatnim czasie.

Są to byli żołnierze, którzy strzelają, zanim zrobią cokolwiek innego.

– Sugerujesz więc, że Axel Nobel pozbywa się przeciwników za pomocą zawodowych byłych żołnierzy z firmy ochroniarskiej.

– Dokładnie to sugeruję, bo to jedyne sensowne wytłumaczenie – potwierdziła Lene. – Noblowi się śpieszy, nie może sobie pozwolić na to, żeby instalacje w Zatoce Disko nie pracowały. Działa zapewne pod ogromną presją ze strony Chińczyków, może również całego rządu i rządu lokalnego.

– Masz jakieś dowody?

– Oczywiście, że nie mam. Kobieta z magazynu nie powiedziała nic, co by mi się na cokolwiek przydało, a chłopiec zniknął. Wątpię, aby udało się cokolwiek z niej wydusić, a on... jak by nie patrzeć, to jeszcze dziecko.

– Czyli ty i Michael jesteście po dwóch stronach barykady.

– Tak.

Charlotte ciaśniej okryła się żakietem, chociaż w biurze było ciepło.

– Lene, przecież to doskonały przepis na tragedię absurdu – zauważyła ze szczerym współczuciem w głosie.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem. To porąbane. Naprawdę porąbane.  
– Ale szczerze mówiąc, trochę się dziwię. To do niego niepodobne, żeby...

– Pojawiła się siostra. To w jego życiu nowość. Ona jest, zdaje się, jedyną rodziną, jaka mu została. Wyobrażam sobie, co coś takiego może z człowiekiem zrobić, i ty pewnie też. On musi stąd pilnie wyjechać, żeby zapewnić jej najlepszą możliwą opiekę. Po to, żeby sam mógł ruszyć z miejsca i znaleźć siłę, by zawałczyć o dzieci.

– Myślisz, że naprawdę tylko o to mu chodzi, tak w głębi serca?

– Tak, myślę, że tak.

– A ty? Czego ty chcesz?

Lene się zawahała.

– Sprawiedliwości?

Charlotte przyjrzała jej się uważnie.

I naraz obie parsknęły śmiechem. I nie umiały przestać. Próbowwały, Lene mocno ugryzła się w policzek, ale co chwila ogarniała je nowa fala głupawki.

– Dobra, przestań. Natychmiast! – zarządziła Charlotte.

– Okej. Przepraszam.

– Nie, pytam poważnie. O co tobie chodzi? Masz zaległy urlop. Wybierz go i jedź do Hagi. Będą tobą zachwyceni.

– Tak myślisz?

– Nie, ale za to ja się ciebie pozbędę.

– A chcesz się mnie pozbyć?

– Boże, jeszcze jak! – wyznała szczerze.

– A ja myślę, że za mną zatęsknisz. – Lene nie kryła urazy.

– Jakoś się otrząsnę – uspokoila ją szefowa.

\*

Gdy weszła do ich biura, Bjarne przyklejał akurat podwozie do modelu samolotu. Maszyna była lśniąca i czerwona jak skrzynka na listy. Skrzydła były chyba wielowarstwowe.

Przystanąła w drzwiach i przyglądała się informatykowi, bez reszty porażonemu w pracy. Czubek języka wystawał mu z kącika ust, a grube palce z wprawą wykonywały precyzyjne działania.

„Mój asperger”, pomyślała z czułością. Tak naprawdę nie miała aż tylu spraw, żeby zapewnić mu pracę na cały etat, ale na każdą wzmiankę, by się przeniósł do innego działu, gdzie więcej osób mogłoby korzystać z jego rozlicznych talentów, zasepiał się i zamykał w sobie. Godzinami mógł siedzieć, gapiąc się w filcową podłogę, aż Lene ustępowała i wyzwalala go ze stuporu.

Zakaszlała cicho, zasłaniając usta dłonią, i oczy Bjarnego powolnym, płynnym ruchem przesunęły się w jej stronę niczym armaty statku. Za to wyraz jego twarzy się nie zmienił. Czubek języka został tam, gdzie był, a palce nie przerwały pracy. Miał godną pozazdroszczenia zdolność do całkowitego wyłączenia się ze świata zewnętrznego.

– Bjarne?

– Mhm?

Lene oparła się o futrynę i skrzyżowała ręce na piersi. Sama się zdziwiła, że bark prawie już nie bolał.

– Do kogo należy? Ten samolot?

– Do Freiherra barona Manfreda von Richthofena, wiesz, Czerwonego Barona. To Fokker Doktor Eins. Trójpłatowiec.

– Bjarne, mogę cię zapytać o coś niezwiązanego z pierwszą wojną światową i niemieckimi pilotami myśliwców?

– Możesz spróbować.

– Gdybyś pracował dla wielkiego międzynarodowego koncernu jako ekspert od IT i dostał polecenie zaszyfrowania szalenie ważnych danych z należącej do spółki odległej stacji terenowej, znajdującej się na przykład na jakiejś dalekiej pustyni, tak żeby można było te dane przesłać do siedziby głównej bez ryzyka, że po drodze zostaną odkodowane, to jakiej byś użył metody?

Zmarszczyła brwi i zastanawiała się, czy wyraziła się jasno i jednoznacznie, tak, jak najlepiej było przekazywać Bjarnemu informacje.

Wzruszył ramionami, jakby jej pytanie było dziecinnie proste i nie zasługiwało na poważne zastanowienie.

– Szyfru AES. Używają go wszyscy najwięksi gracze od NSA i CIA po Lego i Samsunga. Jest nie do złamania.

– I zająłby dużo pamięci? – spytała.

– Przeciwnie. Program ma funkcje kompresji danych, więc zajmuje mniej miejsca niż otwarty tekst.

– I jak to się nazywa? AES?

– Advanced Encryption Standard. Na początku wieku rząd amerykański ogłosił konkurs na szyfr odporny na wszelkie ataki dla wszystkich swoich departamentów, w tym wojskowych. Wygrał algorytm Rijnael. Opracowany w Belgii przez Joena Daengena i Vincenta Rijnena. Jest zadziwiająco prosty.

– I bezpieczny?

Bjarne popatrzył na nią badawczo. Po czym odłożył na biurko trójplatówiec Czerwonego Barona, szerokim gestem odsunął na bok chrupki krewetkowe i cały swój bałagan i pchnął samolot, który gładko przejechał po blacie.

– Chyba jest gotowy, żeby się wzbić w powietrze – zauważyła Lene.

– Tak, jest gotowy – przytaknął. – A jeśli chodzi o ten szyfr, to tak, jest całkowicie bezpieczny. Niektórzy oczywiście twierdzą, że dokonali skutecznych ataków, ale nigdy żadnego nie udowodniono. Nawet zaawansowana teoria matematyczna traktuje go jako niemożliwy do złamania. Więc to byłby najbardziej oczywisty wybór... w sytuacji, którą przedstawiłaś.

Lene zmarszczyła czoło.

I przyszło jej coś do głowy.

– Tego Rijn-coś tam nie można złamać, ale on sprawia, że wszystko wygląda tak jak to, co zostało zaszyfrowane?

– Szyfr Rijndael. Dokładnie. Zasadniczo metoda polega po prostu na symetrycznym szyfrowaniu i odszyfrowywaniu. Innymi słowy, tego samego klucza używa się do przypisania wszystkim zerom i jedynkom w cyfrowej wiadomości nowych miejsc w kryptogramie oraz do przywrócenia zer i jedynek na ich oryginalne miejsca w odtworzonym tekście jawnym.

– I mówisz, że nie da się go złamać?

– Uważa się, że jest to niemożliwe – stwierdził kategorycznie Bjarne.

Po czym na jego twarzy pojawił się ten rozmarzony wyraz, który Lene zdążyła już poznać i który czasem ją przerażał. Tak wyglądała jego twarz, kiedy zwierzył jej się, że z dowolnego komputera jest w stanie kierować ruchem powietrznym w Kastrup. Co, jak się domyśliła, musiało być mokrym snem modelarza.

– Co jest, Bjarne?

Położył palec na maszynie Czerwonego Barona i przesuwając ją nieznacznie do przodu i do tyłu.

– Nic takiego...

– No powiedz.

– Mówię, że nic.

– Bjarne, do cholery! Nie mam czasu cię błagać, żebyś mi powiedział, co wiesz.

– Nie no, wiem. Po prostu ten, kto by umiał złamać algorytm Rijndael...

– Miałby planetę nazwaną swoim imieniem?

Bjarne spojrział na nią wstrząśnięty.

– Nie! Ten ktoś nigdy, przenigdy nie mógłby się z tym zdradzić. W ciągu tygodnia przepadłby bez wieści albo trafił do Guantánamo. Ale... ale...

– Ale co?

– To by było jak zdobyć Mount Everest.

W oczach Bjarnego znów pojawił się ten szczególny nabożny błysk. Jego oczy niemal świeciły zza okularów.

– Wydawało mi się, że ludzie cały czas tam wchodzą – zauważyła Lene.

– Czy to nie stało się równie proste jak wejście na Himmelbjerget na Jutlandii?

– Chyba trochę przesadzasz. To nadal osiem tysięcy osiemset czterdzieści osiem metrów. Niemało.

– A co trzeba by mieć, żeby złamać ten szyfr?

Samolot na blacie zaterkotał cicho. A potem się zatrzymał. Palec Bjarnego przestał się poruszać.

Cofnął rękę.

– Nie... to niemożliwe, całkiem niewykonalne. Na początek trzeba by mieć superkomputer, od NASA albo któregoś z największych uniwersytetów, na przykład CRAY XE Sześć. Ale to nie jest coś, co człowiek z ulicy może sobie wypożyczyć na godziny.

– Albo serwer tej firmy, która wysyłała i otrzymywała zaszyfrowane dane?

Bjarne popatrzył na nią i wolno pokiwał głową.

– Tak, to mogłaby być droga na skróty – przyznał. – I nawet dość sprytna.

W teorii. Wówczas wystarczyłoby zhakować daną firmę i pogrzebać w ich serwerach, aż by się nie znalazło konkretnej wersji algorytmu. Ale i tak trzeba by dysponować własnym wydaniem. Bo mówimy teoretycznie, prawda?

– Jasne, że tak... powiedzmy.

– Co to znaczy powiedzmy?

Lene usiadła przy swoim biurku.



- Gdzie się kupuje ten Rijndael?
  - Na przykład w sklepie internetowym. Kosztuje jakieś trzydzieści tysięcy.
  - Tylko tyle?
  - Dolarów.
- Lene jęknęła.
- A my nie mamy jakiegoś na zbyciu? Przypadkiem?
  - Nie. Ale znam kogoś, kto ma. I być może nam pożyczy. Zasadniczo niczym się to nie różni od wypożyczenia pakietu Office.
  - Kto to ma?
  - PET, oczywiście.
  - Znasz kogoś z PET?
  - Możliwe.
  - Ale, Bjarne... w teorii?
  - Nie, naprawdę.

\*

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Michael obudził się raptownie i spojrzał w ciemne oczy osadzone na dziewczęcej twarzy obramowanej białym, śliskim jak jedwab hidżabem. Poniżej chustki właścicielka oczu miała biały lekarski kitel.

– Kim jesteś? – spytał. Potarł oczy i popatrzył na Idę. Leżała nieruchomo, ale oddech miała miarowy.

– Rihanna – odparła dziewczyna. – Jestem studentką medycyny i mam zostać u twojej siostry na noc.

– Rihanna?

– Niestety, nie. Po prostu Ri-ha-na. Jedno „n”. I nie umiem śpiewać.

– I jesteś też trochę bardziej ubrana.

– W tej chwili tak – spojrzała na niego dziwnie. – Ale nie zawsze.

Odłożyła na podłogę duży plecak. Zapewne pełen opasłych tomów o tym, co ludzie mają w środku.

Jego język smakował wnętrzem suspensorium greckiego zapaśnika, jak lubił mawiać jego przyjaciel Keith Mallory, a głowa była pusta i pozbawiona myśli, niczym chmura. Zachwiał się lekko, gdy wstał, ale szybko odzyskał równowagę.

– Zaopiekuj się nią – wymamrotał. – Jeśli się obudzi, powiedz, że wrócę tu jutro rano i że jej nowy chłopak dwukrotnie dzwonił na moją komórkę.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

– Tak zrobię. I przekażę.

– I uważaj, żeby się nie powiesiła na sznurku dzwonka albo nie wyskoczyła z okna.

Dziewczyna z powagą pokiwała głową.

– Dzwonki nie mają już sznurków, a to ostatnie chyba po moim trupie.

Michael odwzajemnił jej uśmiech. Młoda studentka wyglądała na bystrą i rzutką.

– Udanego dyżuru.

– Dziękuję.

\*

Za wycieraczką czekały na niego dwa mandaty za parkowanie. Michael wyszarpnął je i rzucił na ziemię. Potem pogrzebał w schowku, aż znalazł butelkę wody mineralnej i wypił ją na raz. Pomogło. Pojedyncze, konkretne myśli odklejały się od ścian czaszki i zaczęły podpływać na powierzchnię świadomości. Jeszcze lepiej było, kiedy zapalił papierosa i wciągnął dym w najdalsze zakamarki swoich czarnych płuc.

W kieszeni kurtki zawibrował mu telefon. Michael popatrzył ponuro na ekran.

Axel Nobel. Po raz trzeci.

– Tak?

– Jak leci?

Głos prezesa brzmiał jak zwykle. Najwidoczniej podwójne zabójstwo to za mało, żeby go wytrącić z równowagi.

– W ogóle nie leci – oznajmił Michael.

\*

W białym pałacu w Hellerupie Axel Nobel pomagał swojemu na wpół śpiącemu sześciolalnemu synowi trafić do muszli. Chłopiec miał na sobie granatową piżamę w żółte gwiazdy i planety.

Prezes poprawił słuchawkę w uchu, czekając, aż chłopiec wysika się do końca.

Potem wytarł go papierem i odprowadził korytarzem. Do swojego pokoju chłopiec wszedł sam, a Axel wrócił do łazienki, kopnął ich neurotycznego pudła Zulu, który pił wodę z moczem z sedesu, spuścił wodę i zamknął drzwi.

W ogromnym domu panowała absolutna cisza, ale znacznie niżej, w przynależącym do posiadłości parku fale cieśniny głucho uderzały o kamieniste nabrzeże.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział, kiedy się tam znalazł.

– Poza tym znaleziono Rasmusa Nordstranda – poinformował go Michael Sander. – Był do tego stopnia martwy, że wprowadziła się do niego cała rodzina węgorzy gdzieś w Morzu Północnym. Więc już nie musisz go szukać. Nie żebyś to robił, ale teraz po prostu już wiadomo, gdzie on jest.

– Jak to w Morzu Północnym?

– Rozumiem, że poprosiłeś Dirka, żeby się pozbył ciała. Słuchaj, on naprawdę nie jest takim spryciarzem, jakiego udaje. Jeśli masz pod ręką jakichś doradców albo adwokatów, to na twoim miejscu zacząłbym do nich dzwonić. I wprowadziłbym niebieski stopień zagrożenia albo nawet czerwony...

– Dziękuję za radę.

– Na koszt firmy – odparł jego konsultant.

Axel stał na końcu rozległego pogrążonego w mroku ogrodu zimowego urządzonego w palmiarni, gdzie przez cały rok panowała tropikalna wilgotność i temperatura. Wśród gęstej ciemnozielonej roślinności po obu stronach alejki wyłożonej czarno-białymi płytkami połyskiwały rzeźby greckich atletów z białego marmuru. Oranżeria była największym marzeniem jego drugiej żony.

A może trzeciej? Własne orchidee i papugi. To była Angielka, wiolonczelistka, delikatna i skryta. Mary...? Marian...?

– Moja oferta pozostaje aktualna – powiedział, przysiadając na krawędzi fontanny na środku ogrodu. Głaskał zimną, mokrą skórę plującej wodą nimfy. – Mogę ją nawet podbić do półtora miliona.

Usłyszał kliknięcie zapalniczki blisko mikrofonu.

– Ale ja nie mogę jej znaleźć – oznajmił konsultant. – A poza tym jak sądzisz, co się stanie, gdy napuścisz psychopatę Straata i jego tępych Serbów na tych, którzy wciąż żyją? Na przykład na Knutzona i Kemper? Pozostali już się rozjeżdżają na cztery strony świata w perukach i słonecznych okularach. Nie nauczyli cię myśleć w akademii milionerów? Jedyнным plusem

jest to, że Lene Jensen, która, jeśli dobrze pamiętam, miała być twoim zdaniem „powściągliwa”, uśmierciła dwóch bezmózgich katów Dirka, więc nie musisz im wypłacać honorarium.

Axel uderzył pięścią w wodę.

– Michael, postaram się zapomnieć ten ton i te słowa, ale nie używaj ich więcej.

W słuchawce zapadła cisza. Prezes spojrział na wyświetlacz, żeby się upewnić, że połączenie nie zostało zerwane.

Kiedy konsultant odezwał się ponownie, jego głos był beznamiętny, niemal szepczący i Axel przypomniał sobie niektóre opowieści Straata o Sanderze.

– Dlaczego sądzisz, że zawartość komputera Petera Holma nie została już milion razy skopiowana i rozesłana po wszystkich zakątkach świata? – spytał Michael. – Jesteś pewien, że nadal warto szukać Anny Nordstrand?

– Tak! Tak, warto. Bo my tej zawartości nie mamy. Ale jeśli dostaniemy te wyniki, to wszyscy będą wiedzieli, że pochodzą od nas. Wszystkie kopie staną się zwykłym fałszerstwem. To jak z coca-colą.

– Co?

– Coca-cola przez ponad sto lat strzegła oryginalnej receptury Johna Pembertona jakby to był klucz do rozwiązania zagadki wszechświata. Ale potem postanowiono ją udostępnić, bo wówczas wszystkie produkty stały się podróbkami. Istnieje tylko jedna marka i jest nią Coca-Cola. Nie możesz sobie po prostu zrobić tego samego napoju. Cola to firma z tradycjami. Podobnie jak my, ale nie możemy odpierać zarzutów, nie dysponując oryginalnymi danymi. Nasi informatycy zapewniają wprawdzie, że szyfr jest nie do złamania, więc one powinny być bezpieczne, ale muszą je odzyskać. I sądzę, że Anna Nordstrand je ma, albo wie, kto jest w ich posiadaniu.

– Być może – powiedział bez przekonania głos w słuchawce. – Wysłałeś Dirka do pozostałych członków grupy?

Axel ponownie wybił dziurę w tafli wody.

– Co, nie może ich znaleźć? – domyślił się Sander. Teraz w jego głosie dało się usłyszeć nutę szyderstwa.

– Nie może – przyznał Axel.

– Masz szczęście, że nie jestem z tych, co mawiają „a nie mówiłem”.

– Tak, bardzo mnie to cieszy.

– Ale mówiłem, Axel.

Prezes popatrzył na swoje odbicie w fontannie. Na czarnej tafli dwa zwinęte zwiędłe liście kauczukowca kreśliły nieśpieszne koła.

– Półtora miliona franków – powiedział wreszcie i spojrzał w głąb fontanny. Czuł się, jakby patrzył w zimne bezgwiezdne niebo. – To dziesięć milionów koron. Słyszałem, że twoja siostra znów trafiła do szpitala.

Przygryzł dolną wargę. Ryzyko było ogromne. Jeśli konsultant źle to zrozumie, to za moment doświadczy zstąpienia Michaela Sandera przez sufit, w tumanie rozłupanego drewna, odłamków szkła i nadludzkiego gniewu. Czy zdołałby sobie z nim poradzić? Nie był tego pewien.

– Rada na przyszłość: nigdy więcej nie wspominaj o mojej siostrze. Nie chcę, żebyś nawet o niej myślał, jasne? Powiedziałbym wręcz, że nie ma skuteczniejszego sposobu, abyś zakończył życie.

– Czy to znaczy, że spróbujesz znaleźć Annę?

Kolejna bezdźwięczna pauza.

– Spróbuję – powiedział wreszcie. – A co zrobisz ze Straatem? Odetnij się od niego najbardziej jak się da, spal wszystko, co jest na piśmie odnośnie twojej współpracy z jego... firmą. Wykasuj maile.

– Na piśmie nic nie mam. Wiedziałem, co kupuję. On już mi nie jest potrzebny. Ty jesteś.

Prezes wyjął słuchawkę z ucha, wyłączył telefon, zanurzył obie dłonie w zimnej wodzie i polał nią krótko obciętą głowę. Utknął kiedyś na pustyni w Iraku na trzy niekończące się dni, w czasie których byliby gotowi zabić za dwa łyki wody.

Niedorzeczne. Teraz.

\*

Axel Nobel odnalazł Holendra w skąpo oświetlonej bibliotece. Dirk Straat siedział na gęsto pikowanej kwiecistej kanapie z brodą wspartą na dłoni i patrzył w cień przed sobą.

On sam opadł ciężko na krzesło reżyserskie z napisem „Alfred Hitchcock” nadrukowanym na wyblakłym płóciennym oparciu.

– I co, nie najlepiej to wyszło, prawda? – Jego głos był łagodny, chociaż najchętniej wyjąłby z szafki z bronią należącą do jego dziadka strzelbę na słońce, załadował w nią pociski 470 Nitro Express z okrągłą głowicą i strzelił z obu luf w głowę Straata.

Ten z kolei założył nogę na nogę i poprawił kanty spodni.

– Nie najlepiej, przyznaję. Wystąpiły komplikacje, których nie sposób było przewidzieć. Szereg nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności. Tajemniczych.

– Tajemniczych?

– Bardzo tajemniczych. Na przykład Zack i Hector. Jak ich znaleźli? To musiało być niebywałe zrządzenie losu, chyba że ktoś dał policji cynk o Knutzonie. – Mężczyzna popatrzył na prezesa swymi niemal bezbarwnymi oczami. – Michael Sander wiedział oczywiście, że interesujemy się Alanem Knutzonem.

Nobel uciekł wzrokiem.

– Być może. I być może nie spodobała mu się wasza strategia. On proponował bierny monitoring, ale nie mam na to czasu. Zdobyłeś nazwiska pozostałych, a to najważniejsze.

– Teraz chyba lepiej poczekać, aż wszystko przycichnie, zanim będziemy działać dalej.

– Jestem innego zdania. Oni nie mają żadnych sojuszników i nikt ich nie lubi. Co z kobietą?

– Elena to diablica. Nie piśnie słowa.

– I nie ma nic, co pozwoliłoby powiązać Zacka i Hectora z tobą?

– Oczywiście, że nie, mister Nobel. To freelancerzy. Już z nich korzystałem. Inni też z nich korzystali. Z tego, co wiem, za dwa tygodnie mieli jechać do Bułgarii na kolejną robotę. Byli zdolni i staranni. To, że duńska policja dała sobie z nimi radę, wciąż jest dla mnie niepojęte. Znam tutejszą policję i nie jestem pod wrażeniem.

– To nie była duńska policja. To była jedna policjantka. Młodsza inspektor Lene Jensen.

Przez twarz Straata przemknął cień niedowierzania, ale zaraz zniknął w uprzejmym grymasie.

– Kobieta? Mister Nobel, wobec tego powinniśmy się nią zainteresować. Może warto się z nią spotkać.

– Jeśli już, to w Hadze. Właśnie zakończyła służbę w komendzie głównej. Poza tym to nie Meksyk czy Nigeria. Tu nie da się „spotkać” z funkcjonariuszem policji. Gdybyś spróbował, zajrzeliby pod każdy kamień, aż by cię znaleźli.

– Oczywiście, mister Nobel. Pan płaci, pan decyduje.

Prezes wstał. Podeszedł do umieszczonego pod ścianą miniaturowego modelu jego gondoli balonowej. Położył dłoń na zimnym metalu i się zadumał.

Tamte trzy miesiące podróży przez stratosferę z międzynarodową załogą to był najlepszy czas w jego życiu. Widział rzeczy, jakie mało który człowiek zobaczy: sznur himalaistów z Szerpami wspinający się północnym zboczem K2, zachód słońca, który zalał płynnym złotem pięcioletnią i idealnie geometryczną zachodnią ścianę Dhaulagiri, ogromne wędrujące stado gnu w Afryce Wschodniej, a od Pitcairn do Przylądka Agulhas Noblowi II cały czas towarzystwa dotrzymywał wierny albatros. Nazwali tego wielkiego morskiego ptaka Dias od nazwiska portugalskiego kapitana, który jako pierwszy pokonał drogę od Atlantyku do Oceanu Indyjskiego okrążając Przylądek Dobrej Nadziei.

Powinienem był zostać tam, w przestworzach, myślał czasami. Razem z Diasem.

Nobel podniósł górną część gondoli, która okazała się świetnie zaopatrzoną barką.

– Dirk, może napijesz się strato? To mój wynalazek.

– A co w nim jest?

– Wódka, limonka, szampan, pokruszony lód.

– Brzmi obiecująco.

Prezes przygotował drinki i wrócił na krzesło reżysera.

Straat wypił łyk, zakrztusił się i pokiwał głową.

– Naprawdę dobre.

Axel zakręcił przejrzystym płynem w zmrożonej szklance i popatrzył na swojego pracownika spod przymkniętych oczu.

– Znaleźli ciało Nordstranda.

Tamten zatrzymał szklankę w połowie drogi do ust.

– Ale jak?! To niemożliwe, mister Nobel! Przysięgam. To po prostu niemożliwe.

– Mówisz tak, jakbyś głównie próbował przekonać siebie. Skąd mam wiedzieć jak?

Nagle coś sobie przypomniał.

Michael mówił coś o węgorzach.

– Powiedz, chyba nie wyrzuciłeś go nad jakąś ławicą co?

– Ławicą?

– Płycizną, Dirk. Boże, ty naprawdę jesteś z Holandii. Chodzi o rozległe, względnie płytkie obszary na Morzu Północnym, gdzie ryby się rozmnażają, jedzą i same są zjadane, dlatego rybacy często tamtędy przepływają.

Na twarzy Straata malowały się wszystkie oznaki konsternacji.

– Nie wiem, czy tam były jakieś... płycizny, mister Nobel. Przykro mi.

– Kto wybrał miejsce: ty czy pilot helikoptera?

– Ja.

Nobel westchnął. Czy naprawdę człowiek musi wszystko robić sam?

Po co w ogóle płacił tym imbecydom, którymi się otaczał?

– Współrzędne.

– Oczywiście.

Straat wyjął telefon i wyszukał informację w swoich notatkach.

– Pięćdziesiąt pięć stopni, dwadzieścia pięć minut, czterdzieści siedem sekund szerokości północnej i sześć godzin, dwadzieścia pięć minut, pięć sekund długości wschodniej – wyrecytował niczym pomocnik kapitana.

Nobel podszedł do biurka, włączył komputer i odnalazł lokalizację na Google Earth. Było oczywiście tak, jak się obawiał.

– Sam środek Lille Fisker. Świetna robota, Dirk. Tam jest czterdzieści metrów. Ipewnie co najmniej pięćdziesiąt trawlerów dziennie przeczesuje tamtejsze dno. Akurat mamy sezon na makrele. Naprawdę doskonały wybór. Genialny.

Straat pochylił się do przodu. Siedział na samej krawędzi kanapy. Miał rozchylone usta, a kolana trzymał razem jak stara panna, której odczytują testament ojca.

– Ja... naprawdę bardzo mi przykro, sir. Nie miałem pojęcia. Wydawało się, że miejsce jest bezpieczne. Z helikoptera morze wyglądało na ogromne, nieskończone. A na dole było pusto. Od horyzontu po horyzont. Przysięgam.

– Ogromne? Morze Północne? To sadzawka, Dirk. Tam się nie da niczego schować. Uwierz mi, wiem, co mówię. Nawet w Oceanie Arktycznym, który rzeczywiście jest duży, nic się nie ukryje. I mówi się widnokrąg, a nie horyzont.

– Mister Nobel, niech pan będzie łaskaw wybaczyć braki w mojej wiedzy marynistycznej. Myśli pan, że to właśnie się stało? Że trawler go znalazł?

Prezes ponownie wziął do ręki swoje strato i wypił jednym haustem.

– Masz jakieś nowe pomysły, Dirk?

– Żadnych, poza nadzieją, że Sander dokona cudu.

– Niestety, chyba stracił zapach. Moim zdaniem przez Knutzona i Kemper.

– Ale wciąż potrzebuje pieniędzy. Dla siostry.

– Pozostaje nam na to liczyć.



\*

Lene szumiało w głowie ze zmęczenia, kiedy szukała klucza do drzwi. Myślała tylko o swoim łóżku, o chłodnym, cudownym łóżku. A reszta świata niech się wali. Postanowiła, że ona tu właśnie wysiada i nic już dla niej nie znaczą ropa, Haga, Europol, spiski, komendantki, trupy na dnie morza oraz Michael. Mogłaby otworzyć własną agencję detektywistyczną, pewnie, że tak. Cudownie byłoby móc sobie po prostu stać pod wiatą w deszczu i robić zdjęcia zwykłym ludziom w niewłaściwych łóżkach i zakazanych objęciach. Może Bjarne by się do niej przyłączył? Jak on w ogóle miał na nazwisko? Mikkelsen. „Agencja detektywistyczna Jensen & Mikkelsen, dyskrecja to sprawa honoru. Jesteśmy Twoim czujnym Okiem Argusa. Mąż Cię zdradza? Córka polubiła koks? Pełna inwigilacja i doradztwo 24/7/365”.

Klienci waliliby drzwiami i oknami.

W końcu zgasło światło na schodach. Może zgubiła te przeklęte klucze? Ponownie włączyła światło i usłyszała, jak ktoś chrząka, natrętnie i bardzo blisko, tuż za jej plecami. To głupie, ale przez ułamek sekundy była pewna, że mężczyźni w rzeźnickich fartuchach wrócili z królestwa umarłych, żeby wyrównać rachunki. Z krwawiącymi oczodołami i odstrzelonymi twarzami. I piłami łańcuchowymi. Pisnęła ze strachu i odwróciła się na pięcie. Torebka upadła na podłogę, ale pistolet już trzymała w ręce, był ciężki i dawał poczucie bezpieczeństwa.

W komorze tkwił pocisk, a jej palec owinął się wokół spustu.

Na schodach prowadzących na kolejne piętro siedziała kobieta, która chodziła za nią od kilku dni. Odchyliła głowę, zamknęła oczy, a twarz śpiącej córki przycisnęła sobie do łona przekonana, że zaraz zginie.

Lene naprawdę dopiero w ostatniej sekundzie rozpoznała żonę Rasmusa Nordstranda. Wciągnęła gwałtownie powietrze, zdjęła palec ze spustu i opuściła broń. Spojrzała na dłoń, w której ją trzymała. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby tak się trzęsła.

Kobieta niepewnie otworzyła jedno oko i popatrzyła na Lene. Dziewczynka nadal spała. Długi czarny kosmyk włosów podnosił się w rytm jej spokojnego oddechu. Sytuacja była przejrzysta, krystalicznie czysta i Lene czuła, że eksploduje z wściekłości. Bo ona rzeczywiście chciała kogoś zastrzelić. Chciała tego tak bardzo, że niemal było jej obojętne, kto to będzie.

– Ku... KURWA MAĆ! Kobieto! – wrzasnęła. – Pojebało cię?! Nie mogłaś...

O mały włos bym... Jezu... FUCK!

Oparła się o swoje drzwi i tupnęła z wściekłością w podłogę. Serce waliło jej w piersi ciężko i głucho.

Dziewczynka podniosła głowę i mrużąc niebieskie oczy, popatrzyła na Lene z tą nieadekwatną do swego wieku powagą. Lene schowała broń do kabury, nie trafiła i spróbowała raz jeszcze. Przełknęła ślinę, poruszała językiem w ustach.

– Przepraszam. – Matka pomogła dziewczynce wstać. – Bardzo przepraszam. Naprawdę. Nie chciałam pani przestraszyć... Nie wiem... chyba zasnęłam. To wszystko jest takie potworne.

Sama wstała, zachwiała się, przesunęła dłonią po ciemnych włosach i popatrzyła na córkę.

– Thea, chodź, skarbie. Musimy iść.

– Ale, mam...! – Dziewczynka przetarła oczy, podniosła z podłogi mały niebieski plecak, westchnęła ciężko i popatrzyła przed siebie martwym wzrokiem. Miała bladą, beznamietną twarz, której widok zakłuł Lene prosto w serce.

– Co u licha tu robicie? Jesteś Anna Nordstrand, prawda?

– Tym, co z niej zostało. – Kobieta spróbowała się uśmiechnąć, ale była to próba nieudana. – Nie wiedziałam, dokąd mogłybyśmy pójść. Ale teraz sama widzę, że to było nieskończenie głupie. Pani tylko wykonuje swoją pracę. Przepraszam. Poza tym jest pani obcą osobą.

Zarzuciła sobie na ramię torbę, w której najwyraźniej mieścił się cały ziemski majątek ich dwóch, i opuściła dłoń, żeby wziąć córkę za rękę.

– Mów mi Lene. I przestań bez przerwy przepraszać – powiedziała cicho Lene. – Trzy razy to więcej niż wystarczająco.

Anna uśmiechnęła się nieznacznie. Mimo zmęczenia, była bardzo piękna. Lene przypomniała sobie rozmiękle, pozbawione twarzy ciało jej męża na stole sekcyjnym. Absolutnie nie powinna była tego robić, bo zaraz potem przypomniała sobie... te zwierzęta. Dobrze, tylko jak on mógł w imię zasad zostawić na lodzie żonę i dziecko. To było dla niej niepojęte. Bo przecież nie chodziło o to, że Rasmus miał okazję zabić Hitlera albo ocalić planetę przed inwazją kosmitów, prawda? On to zrobił, żeby przeszkodzić w stonkowo pokojowym projekcie, takim samym jak setki innych na całym

świecie, gdzie wydobywa się ropę i pies z kulawą nogą się tym nie interesuje.

– Przepraszam. – Zasłoniła ręką usta i przerażona spojrzała na Lene, która nagle pomyślała, że w normalnych okolicznościach Anna musiała być osobą ciepłą i obdarzoną dużym poczuciem humoru. Miała zmarszczki mimiczne przy kącikach oczu, a jej pełne wargi w naturalny sposób wyginały się do góry.

Jej twarz nie wyglądała, jakby przywykła albo została stworzona do tego, by przez dłuższy czas zachowywać powagę.

– Tak, skończ z tym – mruknęła Lene machinalnie.

I zaraz pomyślała też, że adrenalina była najlepszym dostępnym na rynku środkiem przeciwbólowym. W ogóle nieczuła rozciętego barku. Michael też to zawsze powtarzał. Czasem, gdy było po wszystkim, ze zdumieniem odkrywał, że krwawi z rozlicznych ran, jakie odniósł. W ferworze walki czuł się niezwyciężony, nietykalny i nienaruszony.

Anna Nordstrand spojrzała na dziecko. Oczy małej znów się zamykały. Stała oparta o matkę.

– Matka Rasmusa zadzwoniła do mnie, kiedy się dowiedzieli – wyjaśniła Anna. – Bałyśmy się zostać w domu, a potem ktoś powiedział, że Alan i Maria zniknęli... że nikt nie ma z nimi kontaktu.

– To kolejni Wojownicy Posejdona? – spytała Lene.

– To teraz bez znaczenia. Rasmus i Alan byli sercem tego projektu. Bez nich niewiele z tego zostało.

– Oni nie żyją. – Lene ściszyła głos, licząc, że dziewczynka tego nie usłyszy. – Alan i Maria. Zamordowano ich wczoraj w ich mieszkaniu w Vesterbro.

– Lene? Lene! Co się dzieje? – sąsiadka otworzyła drzwi i Lene się do niej odwróciła. Z mieszkania wylewał się zagłuszający dźwięk telewizora.

– Cześć, Rita.

Sąsiadka była kiedyś fryzjerką, obecnie na rencie. Miała egzemę na dłoniach i zszargane nerwy. Włosy nadal nosiła zawsze starannie ufarbowane na blond i nienagannie ułożone, ale jej twarz miała kolor gruzu. Między palcami trzymała nieodłącznego papierosa w złotej cygarniczce, a pod pikowaną podomką w kolorze przydymionego fioletu majaczył zarys wyschniętych piersi. Prawie ze sobą nie rozmawiały. Lene słyszała jedynie po-brzękiwanie butelek dzinu na tylnych schodach, szczekanie jej białego pudła, który był diabłem wcielonym, donośny kaszel od papierosów i nie-

pewne kroki stałych klientów na schodach w dni robocze między 21.00 a 23.00, po których rozlegało się skrzypienie sprężyn starego materaca Rity.

Sąsiadka przetaksowała bezbarwnymi oczami stojącą na schodach kobietę z dziewczynką. Pod dolnymi powiekami miała rozmazaną maskarę, a sztuczne rzęsy w lewym oku zaczynały się odklejać.

– Kim one są? – spytała i szybkim ruchem podniosła papierosa do krwistoczerwonych warg. – Wyglądają jak bezdomne Cyganki. Może to złodziejki? Mała żebrze, a stara w tym czasie opróżnia dom ze sreber?

– Słuchaj no... – zaczęła Anna wzburzonym głosem, ale Lene podniosła rękę, nakazując jej milczenie. Drugą ręką sięgnęła do klamki Rity i zaczęła zamykać drzwi mieszkania sąsiadki. Sierściuch krążył wokół jej nóg, ujadając wściekle i chwytając zębami jej buty.

– Do domu, Tulle! – wrzasnęła na niego Rita.

Jakby ten kundel kiedykolwiek zrobił to, co mu się każe.

– To moje znajome. Wracaj do siebie, Rito, i śpij spokojnie! – Lene przekrzykiwała rozwyrzone bydlę.

Rita przez ramię poparzyła ze złością na Annę i Theę, a Lene skorzystała z okazji, żeby butem wepchnąć psa z powrotem. Zaskowyczał i zniknął w głębi mieszkania.

– Co się stało... co się stało, Tulle? Piesek mamusi, kochany piesek mamusi. – Gdy Rita także zniknęła w środku, Lene zatrzęsnęła za nią drzwi i wciągnęła głęboko powietrze.

– Ona nie ma lekko – wyjaśniła Annie i uśmiechnęła się przeproszająco. – Czasem trzeba spróbować sobie o tym przypomnieć. Nawet jeśli ma się ochotę ją uśpić razem z tą bestią.

– Miły piesek – stwierdziła Thea.

– Nie – zaprzeczyły chórem obie kobiety.

Lene znalazła swoje klucze w kieszeni kurtki, gdzie były przez cały czas.

– Wejdźcie.

Anna popatrzyła na nią.

– Jesteś pewna? Nie chcę...

Godzinę później Anna i Lene stały obok siebie w drzwiach z kubkami herbaty w rękach. Patrzyły na Theę, śpiącą głęboko w wąskim łóżku w pokoju, który należał do dużej dziewczynki albo młodej kobiety.

Na ścianach nie wisały już żadne zdjęcia, plakaty czy obrazy, ale wyblakłe prostokąty wskazywały, że kiedyś tam były. W pokoju stało puste biurko, półka z książkami dla nastolatek, pojedynczymi książkami dla doro-

słych i starymi podręcznikami szkolnymi. Płaska szklana gablota na ścianie, a w niej tropikalne motyle. W oknach wisiały kwieciste zasłony, w rogu stała zielona chińska lampa, która rzucała na dziewczynkę senne żółte światło.

Na nocnej szafce stał talerzyk z herbatnikami i wypita do połowy szklanka mleka.

Anna się rozejrzała. Nie wydawała się już tak zmęczona, ale kiedy Lene akurat nic do niej nie mówiła, jej twarz zmieniała się w zastygłą maskę.

– Przyjemnie tu – zauważyła. – Przypomina pokój, który ja miałam w domu rodziców. Czasem chciałabym zostać w nim na zawsze.

Lene pokiwała głową.

– Należał do mojej córki Josefine.

Anna się uśmiechnęła. Objęła kubek oburącz, żeby ogrzać dłonie.

– Wyprowadziła się na swoje?

Lene przesunęła kosmyk włosów między palcami.

– Studiuje fizjoterapię. Dzieli mieszkanie z koleżanką, więc...

– Ale pewnie ci miło, kiedy czasem zostanie u ciebie na noc – zgadywała Anna. – Szczęściara z niej. U mnie tato trzyma w moim dawnym pokoju swoją kolekcję win.

– Taa... – Lene spuściła wzrok i zrobiła jedną z najdłuższych pauz w życiu.

– Ona się nie wyprowadziła, prawda? – spytała Anna ostrożnie.

Lene popatrzyła na nią.

– Nie. Zastrzeliła się. Została skrzywdzona. Leczyła się, ale to nie pomogło.

– Boże. Przepraszam cię. Idiotka ze mnie.

Lene przymknęła drzwi za ich plecami.

– Nie szkodzi. Minęło już kilka lat.

Usiadły na dwóch końcach kanapy, Lene dołała im herbaty. W lodówce nie miała za wiele, ale zjadły tosty z wołowiną i poprawiły herbatnikami.

– Da się z tego otrząsnąć? – spytała Anna. – Oczywiście powiedz, jeśli nie chcesz o tym rozmawiać.

Lene uśmiechnęła się lekko:

– Ja się nie otrząsnęłam. Może innym się udało, ale wątpię. Wciąż uważam, że powinnam być tam, gdzie ona teraz jest, i się nią opiekować.

– Kto jej to zrobił i dlaczego?

– Obłąkani, chorzy bogaci ludzie. To było ostrzeżenie dla mnie, chcieli, żebym przerwała śledztwo. Posłużyli się Josefine, żeby przekazać mi komunikat. – Wypiła łyżeczek herbaty. Dziwne, ale rzeczywiście była w stanie o tym mówić. Nie sądziła, że kiedykolwiek jej się to uda. Od dawna nikomu nie powiedziała ani słowa o Josefine, jeśli nie liczyć Michaela. – Oczywiście obwiniam się o to. Powinnam była przerwać śledztwo, ale tego nie zrobiłam. Szefowa wręcz mi to zaoferowała, jednak odmówiłam. I wtedy to zrobili.

– Ale złapałaś ich?

Lene nachyliła się ku Annie i popatrzyła jej w oczy. Drzwi do Josefine się zamknęły.

– Pomógł mi pewien człowiek. Ten sam, który cię nakrył w mieszkaniu Petera Holma. Pracuje dla Nobel Oil i nie chcesz mieć z nim na pieńku.

– Pracujecie razem?

– Wprost przeciwnie.

Między brwiami kobiety pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Brzmi skomplikowanie.

– Bo jest skomplikowane. – Lene głośno pstryknęła palcami. – Anna? Zapomnij o mnie i postaraj się skupić, dobrze? – Zaczekała, aż miała pewność, że tamta słucha jej uważnie. – Jeśli mam pomóc tobie i twojej córce, to muszę wiedzieć, o co w tym chodzi. Bez tego nie mam szans – zaczęła. – Alana Knutzona i Marię Kemper torturowano i zabito w najbardziej nie-ludzki, bestialski sposób. A oni nie poprzestaną na tej dwójce. Niewykluczone, że ja w ogóle nie mogę ci pomóc. Zostałam oficjalnie odsunięta od tej sprawy. Oni to nazywają awansem, ale to oczywiście ściema.

– Tak, wiem. Wiem, że muszę to zrobić. – Anna popatrzyła w głąb swojego kubka, w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. – Naprawdę to wiem. Szukaliśmy informacji, które są szalenie ważne dla całej masy ludzi. Właśnie niszczą zachodnie wybrzeże Grenlandii. Zatrują Cieśninę Davisa i Morze Labradorskie. Inie chodzi tylko o Grenlandię, ale również wybrzeże Kanady i Stanów Zjednoczonych.

– Nobel Oil to robi?

Anna uśmiechnęła się gorzko i pokręciła głową.

– Wszyscy! Wszyscy to robią i dlatego to jest takie groźne. To coś jak skoordynowane samobójstwo. Oczywiście stoi za tym Nobel Oil, ale również duński rząd, Grenlandzki Rząd Lokalny, chińskie banki. Wszyscy wpa-

dli w amok. Chcą być Norwegią albo Arabią Saudyjską i to już, natychmiast.

– A tak się nie da?

– Nie! Nie, nie! Nie da się. Rasmus i jego znajomi podejrzewali, że góry łupkowe w zatoce Disko są skażone. Ten łańcuch górski przez osiemnaście milionów lat znajdował się pod trzydziestometrową warstwą lodu. Teraz lód zniknął, a góra poszerza się jak grzyb, który był ściśnięty. Z miliardów mikroskopijnych porów w skale wydobywa się kadm i zanieczyszcza olej łupkowy. Próbowali im to powiedzieć, ale nikt ich nie chciał słuchać. Więc zapoczątkowali rodzaj oddolnego ruchu, który niestety stopniowo stawał się coraz bardziej bojowy.

– A co robi ten kadm?

– To zwykły metal, który występuje w rudach cynku, ale zachowuje się jak rtęć. Do organizmu człowieka dostaje się wraz z wodą pitną, roślinami uprawnymi i rybami i nie może być wydalony. Odkłada się w ciele, jest rakotwórczy i uszkadza DNA. Kobiety stają się bezpłodne albo rodzą zdeformowane dzieci. Zanieczyszczenie przedostanie się do morza wraz z wodą używaną do wypychania oleju na powierzchnię. To jedyna rentowna metoda jego wydobywania. Nazywa się to fracking.

– I ty to wiesz na pewno? Podobnie jak wiedział to Peter Holm?

Anna uśmiechnęła się gorzko.

– Skok w bok mojego męża?

Lene uciekła wzrokiem, ale rzeczywiście nie dało się tego delikatnie ująć. Zresztą nie miała ochoty próbować.

– Tak.

– Rasmus był fundamentalistą, jeśli chodzi o środowisko naturalne – wyjaśniła Anna. – Kochał morze, traktował je niemal jak własność prywatną. Postarał się, żeby to jemu przypadło w udziale odwiezienie Holma z bazy na lądowisko. Holm po drodze powiedział kilka rzeczy, które umocniły Rasmusa w jego podejrzaniach. I tak, wiedział, że Holm jest gejem, i postanowił go uwieść.

– Widziałam jego zdjęcia.

– Zgadza się, był przystojny.

– I naprawdę nie było innych możliwości? Inspekcja ochrony środowiska, organy rządowe? Media?

– Z organizacjami rządowymi próbowali. A media? Sama jestem dziennikarką. Bez twardych danych nie było najmniejszej szansy, żebyśmy mogli

się przebić z tą historią. Sama powiedziałaś, że odsunęli cię od śledztwa, chociaż jesteś młodszą inspektorką policji. Nie byle kim.

– To bardzo atrakcyjna i najwyraźniej wciąż wolna posada w Europolu w Hadze – powiedziała cicho Lene.

– Tak po prostu?

– Masz rację. No dobrze, więc przespali się i co było potem? Może o tym nie wiesz, ale mieszkanie Holma było naszpikowane kamerami.

Anna pokiwała głową.

– Spodziewałam się tego. Plan by taki, że Rasmus go uśpi. Zdobył mocne leki nasenne i po seksie miał je rozpuścić w winie Holma. Tylko leki nie do końca zadziałały. Holm się przebudził, kiedy Rasmus grzebał w jego komputerze...

– Zamkniętym w sejfie – wtrąciła Lene.

Anna się zaczerwieniła.

– Rasmus zamierzał przekonać Holma, żeby mu pożyczył komputer pod pretekstem sprawdzenia maila. Miał mu powiedzieć, że to ważne.

– O Jezu.

– Tak. Holm był niesamowicie ufny. W każdym razie wywiązała się bójka i...

Ciemne oczy znów zrobiły się mokre.

Lene położyła dłoń na ramieniu kobiety.

– Anno, musisz mi powiedzieć wszystko – nalegała.

– Wiem. Rasmus zabił Petera Holma. Zabił tego biednego człowieka.

– Który tylko najlepiej jak umiał wykonywał swoją pracę dla Nobel Oil – dodała Lene.

– Tak. Boże...

Lene nie cofnęła ręki. Sama chętnie by sobie popłakała. Bóg jeden wie, jak bardzo tego potrzebowała.

\*

Potem Anna zajrzała do córki, a gdy wróciła na kanapę, przyjęła zaproponowaną przez Lene szklankę whisky.

– Thea śpi jak kamień. Bardzo jej się to przyda. Ostatnie dni były koszmarem. To mądre dziecko, ale oczywiście nie rozumie nic z tego, co się dzieje. Sama ledwie to rozumiem.



– Pokój Josefine działa uspokajająco – przyznała Lene. – Zawsze tak było. Tam jest dobra aura.

– Aura twojej córki?

– Chcę w to wierzyć.

Lene popatrzyła na Annę przez grube dno szklanki. Młoda wdowa była piękna, nawet gdy zniekształcona.

– Równie dobrze możesz powiedzieć resztę. O Rasmusie.

Kobieta pokiwała głową.

– Tak naprawdę myślę, że Rasmus mógłby zwyczajnie poprosić Holma o te analizy, gdyby mu wyznał, kim jest i co zamierza z nimi zrobić. Byli razem w gejowskim klubie, ale to pewnie wiesz?

– W Banana Clubie.

– Właśnie. Rasmus z toalety zadzwonił do Alana i powiedział, że ma duże szanse dostać się do mieszkania Holma. Powiedział też, że Holm ma skrupuły.

– Dlaczego?

– On też był naukowcem. Powiedział Rasmusowi, że w ostatnich próbkach znalazł coś śmiertelnie niebezpiecznego. Gigantyczny problem. Ale wyznał też, że jego zdaniem Nobel będzie chciał wydobywać mimo to. Że znajdzie sposób, aby to obejść. Holm użył określenia „puszka Pandory”. Jeśli się ją otworzy, świat legnie w gruzach.

– Naprawdę tak powiedział?

– Tak twierdził Rasmus.

Lene zmarszczyła czoło.

– Okej. Czyli zaczęli się bić, ale twój mąż był przecież znacznie wyższy, młodszy i silniejszy. Holm miał wokół nadgarstków sznur od zasłon, co wskazuje, że Rasmus go związał. Więc dlaczego u licha musiał go zabijać?

– Nie musiał.

– Nie musiał?

– Nie.

Anna z kamienną twarzą wbiła wzrok w podłogę na tak długo, że Lene nabrała obaw, że doznała załamania w milczeniu. W końcu podniosła twarz i oznajmiła:

– Rasmus unieszkodliwił Holma, związał go, skopiował dane z jego komputera, ale Holm cały czas rzucał się i na niego pokrzykiwał. I coś musiało w Rasmusie pęknąć. Oni naprawdę nienawidzą Nobel Oil.

– Wojownicy Posejdona?

– Tak. Ta firma przez swą pazerność niszczy nasze dziedzictwo, naszą planetę i nie zatrzyma się, dopóki nic tu nie zostanie. Rasmus nazywał to samoobroną w imieniu przyrody.

– Pewnie miał rację – przyznała z zadumą Lene. – W pewnym sensie.

– Tak. Tylko że Peter Holm był człowiekiem. Nie firmą, nie ideologią. I był bezbronny.

– To prawda. I co się stało potem?

– Po jakichś dwóch sekundach Rasmus spanikował. Zdążył ukryć dysk USB i raptem do mieszkania wpadli dwaj obcy mężczyźni.

– Jeden z nich był olbrzymem z ogoloną głową, a drugi miał kolczyki, tatuaże i wyglądał jak Cygan?

– Tak, ale skąd...

– Oni zginęli wczoraj rano.

– Jesteś tego pewna?

– Całkowicie. Ale skąd ty to wszystko wiesz? Przecież to niemożliwe!

– Bo byliśmy niesamowicie przebiegli. Rasmus włączył kamerę w komputerze Petera Holma. Siedziałam w domu u Alana Knutzona i wszystko widziałam.

Lene opadła na poduchy i intensywnie wpatrywała się w Annę.

– Nagraliście to? Powiedz, że to nagraliście!

– Nie. Alan myślał, że się nagrywa, ale wyskoczył jakiś błąd.

Lene złapała się za głowę i jęknęła.

– To fatalnie. Wielka, wielka szkoda. Tak by mi się przydało coś konkretnego, czym mogłabym walnąć w łeb kilka osób i uzmysłwić im, że to ja mam rację, a one się mylą. Na przykład moją szefową. Byli tam tylko ci dwaj? Olbrzym i Cygan?

Anna się zamyśliła.

– Wydaje mi się, że mógł być jeszcze ktoś trzeci – powiedziała niepewnie. – Ale widziałam tylko nogi i buty, w korytarzu. Błyszczące czarne półbuty. Co się stało z Alanem i Marią? To też byli oni?

– Tak. Zostali zabici przez tych dwóch, których właśnie opisałaś.

– To koszmar – podsumowała cicho Anna. – I nie chce się skończyć.

– Trzeba to jakoś zatrzymać. Mam nadzieję, że pozostali Wojownicy Posejdona mają dość rozumu, żeby się ukryć. Ludzie, którzy próbują was unicestwić, to zawodowcy.

– Ukryli się, to ci mogę zagwarantować. Zresztą nie jest nas tak wielu. Ledwie garstka. Mamy wielu sympatyków, ale trzon grupy stanowili Ra-

smus i Alan.

To oni wszystko organizowali.

Lene wstała i podeszła do okien. Podciągnęła roletę i spojrzała w dół na ulicę. Przy skrzyżowaniu Kong Georgs Vej i Kronprinsesse Sofies Vej, na krawędzi głębokiego cienia i snopu światła latarni, samotna postać przeszła przez ulicę. Mężczyzna w ciemnym ubraniu. Po chwili zniknął.

Odwróciła się, gdy usłyszała pytanie Anny:

– Gdzie znaleźli Rasmusa?

– Wyłowił go trawler z ławicy Lille Fisker w Morzu Północnym. Miał złamany kark, a następnie został wyrzucony z samolotu albo helikoptera. Przepraszam, jeśli to brzmi bezdusznie, ale naprawdę nie wiem, jak to złagodzić.

– Nie szkodzi. To nie twoja wina. I na pewno nie jesteś bezduszna.

Młoda kobieta pociągnęła nosem. Potem wcisnęła się w róg kanapy i zaczęła szlochać przeciągle. Lene przeklinała swój los. Dlaczego to zawsze ona musiała przekazywać ludziom najgorsze wieści?

Poszła do kuchni po papierowy ręcznik albo serwetki, ale nawet tam słyszała płacz Anny. W końcu stanęła w drzwiach. Nie wiedziała, czy lepiej tam przeczekać, aż minie najgorsze, czy podejść, usiąść obok niej i ją przytulić.

Ale przytulenie kogoś obcego to chyba marna pociecha, prawda? Dlatego została tam, gdzie była, aż ciemna głowa nieznacznie się podniosła i Anna zaczęła szukać jej wzrokiem.

Wtedy Lene usiadła obok niej i podała jej rolkę papierowych ręczników.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Dane z komputera Petera Holma. Gdzie one są? Czy może nie chcę tego wiedzieć?

Anna wydmuchała nos.

– Chyba nie chcesz tego wiedzieć. Myślę, że to byłoby niebezpieczne dla każdego. Nawet inspektorki policji.

– Młodszej inspektorki – Lene odruchowo ją poprawiła. – Krewetki. Dlaczego u licha mój były przyjaciel powiedział słowo „krewetki”, kiedy się spotkaliśmy w mieszkaniu Petera Holma?

W oczach wdowy pojawił się błysk.

– Pewnie dlatego, że umie czytać z ruchu warg...

– Nie zdziwiłabym się. Jest wszechstronnie utalentowany.

– To było ostatnie słowo, które Rasmus powiedział do kamery w komputerze Holma. To taki stary żart. Siostra Rasmusa mieszkała kiedyś z facetem, który bez przerwy ją zdradzał. W końcu się spakowała, napchała mu do karnisza krewetek i go zostawiła. Krewetki cuchnęły coraz bardziej, a on za nic nie umiał zlokalizować, skąd się bierze ten zapach. W końcu musiał się wyprowadzić.

Lene roześmiała się w głos, Anna tylko się uśmiechnęła.

– Ale to nie koniec: on zabrał ze sobą karnisze do nowego mieszkania! Rasmus nie musiał mówić nic więcej. Od razu zrozumiałam, gdzie schował dysk.

– Sprytnie to wymyślił – przyznała Lene. – Ale... Anno, co ja mam z wami zrobić? Nie masz jakiejś rodziny albo znajomych, którzy by was przygarnęli? A może wyjedźcie z Theą za granicę? To chyba byłoby najlepsze. Tylko na jakiś czas, dopóki...

– Dopóki co?

No tak. Ona miała rację. Dopóki co, konkretnie?

Kobieta się uśmiechnęła.

– Zabawne albo tragiczne jest w tym wszystkim to, że nie mam pojęcia, co z tym zrobić. W życiu się nie odważę wsunąć tego dysku do jakiegokolwiek komputera. Bałabym się, że natychmiast uruchomią się wszelkie możliwe alarmy. Rasmus powiedział, że dane będą zaszyfrowane i potrzeba czasu, żeby je odkodować.

– Ja też tak obstawiam – przytaknęła Lene ostrożnie, pilnując, aby jej twarz niczego nie zdradziła.

Jednocześnie całym sercem pragnęła, aby w małym biurze w Glostrup paliła się lampka nocna, a bogowie informatyki sprzyjali dziś Bjarnemu. Dziwne, ale w ogóle nie czuła zmęczenia, chociaż kilka godzin temu nadała się na złom.

– A co zgodnie z planem twój mąż zamierzał zrobić z tymi informacjami, gdy już je zdobędzie? Mam ochotę dodać, że za wszelką cenę. Między innymi za cenę niebezpieczeństwa, na jakie naraził ciebie i Theę.

Anna pochyliła się do przodu i mechanicznym gestem wzięła ze stolika butelkę whisky. Potem popatrzyła na Lene.

– Wydaje mi się, że od tego momentu plan robił się nieco mętny. To wszystko było dość mocno improwizowane. Wiedzieli, że Peter Holm przyjeżdża do Danii tylko na krótko i zaraz wraca do Grenlandii.

– Skąd wiedzieli, że Axel Nobel nie miał już tych wyników?

– Mają w Nobel Oil sojuszników na wszystkich szczeblach organizacji. Do tego Rasmus był w połowie Grenlandczykiem. Na miejscu znał wszystkich i był przez nich lubiany i szanowany. Niebawem, jak łatwo im poszło. Zniszczyli połączenie satelitarne między stacją a Kopenhagą. Próbowali też, choć im się nie udało, włamać się do głównego komputera stacji. Żałuję, że im się nie udało. Wtedy być może nie doszłoby do tego wszystkiego. Wysadzili rurociąg i uczcili to skrzynką piwa.

– Oraz zanieczyścili połowę Oceanu Arktycznego – zauważyła Lene.

– Ich zdaniem było warto.

– Dziwna logika.

– Liczyli, że poprzez Petera Holma z czasem zyskają dostęp do wszystkich informacji na temat tej góry.

– Dzięki sile perswazji Rasmusa.

Anna spuściła wzrok i nic nie powiedziała.

– Słuchaj, ja tylko uważam, że to dziwne, że Axel Nobel nie wiedział o tym kadmie – dodała szybko Lene. – Z tego, co wiem, Peter Holm pojechał do niego prosto z lotniska.

– Masz rację. Ale gdyby Rasmusowi i Alanowi udało się udowodnić, że ten projekt to tykająca bomba ekologiczna, i przedstawiliby autentyczne dane, które to potwierdzają, to nawet jeśli Nobel o tym wiedział i próbował to ukryć, nie miałyby to znaczenia. Światowe media już zaczęłyby odliczanie.

– Co by zaczęły?

– Lene, pokaż mi dziennikarza, który nie marzy o historii na miarę Watergate. Nie ma takiego.

– Pewnie nie ma.

– Jestem w tym fachu niezła. Naprawdę ciężko pracuję, odkąd skończyłam szkołę. Najpierw u nas, a potem studiowałam dziennikarstwo w Stanach i pracowałam dla „The Atlantic”. Raz nawet udało mi się sprzedać tekst „Vanity Fair”. Oczywiście włożyłam go w ramkę i byłam niego niesamowicie dumna.

– O czym napisałaś?

– O Annie Kurnikowej.

– Miss tenisa? Tej od reklamy sportowych staników?

– *Only the balls should bounce*. Tak, wiem, co sobie myślisz. Ale to był poważny artykuł o tym, że nawet w tym konserwatywnym, elitarnym białym sporcie *sex sells*, jak wszędzie. Ona zarabiała więcej niż zwycięzynie

Wielkiego Szlema, nie mając nawet dziesiątej części ich talentu czy wyników.

– Brzmi *bardzo* poważnie.

– Naprawdę było!

Anna się wzburzyła, co Lene uznała za postęp.

– Spokojnie. O co chodziło z tym odliczaniem?

– Mieli gotową listę dziennikarzy, o których wiedzieli, że są odważni i postępowi. Pochodzą z Rosji, Francji, Stanów Zjednoczonych, Anglii i Niemiec i czekali tylko, aż zdobędą dane. Plan był taki, że gdy znajdą kogoś, kto złamie szyfr, zaczną tym dziennikarzom wysyłać materiał w niewielkich kawałkach.

– O ile w ogóle udałooby im się kogoś takiego znaleźć.

– Uważali, że to kwestia czasu. Chcieli zaszantażować Nobel Oil. Dać im czas na zakończenie projektu, postawić ultimatum i jako przedsmak przesłać fragment materiału, żeby pokazać, że mają dowody.

– *Fair play* – skomentowała Lene.

– Taki był plan. Ale... teraz to historia, a tamci będą pompować olej z kadmem aż po sądny dzień.

– Myślę, że to nie jest takie proste, Anno. Myślę, że decyzja w ogóle nie należy tu do Nobel Oil. Sama powiedziałaś, że wielu podziela to marzenie o ropie, a Chińczycy włożyli w nie ogromne pieniądze. Chin natomiast nie wolno lekceważyć, jak mi ktoś powiedział.

– I miał rację. Nie, oczywiście, że to nie takie proste. Ale taki był świat według Rasmusa i Alana. Prosty. – Kobieta zamknęła oczy i położyła głowę na oparciu kanapy. – Jestem taka zmęczona. Tak strasznie zmęczona... – mruknęła.

– Mam tabletki nasenne. Łykam je, kiedy jestem zbyt wykończona, żeby zasnąć – zaproponowała Lene.

Anna, nie otwierając oczu, pokręciła głową.

– To chyba nie będzie konieczne. Mogę się położyć z Theą?

– Oczywiście. W którejś z szaf znajdziesz kołdry i koce. W sumie miło mieć towarzystwo.

– Lene, co my zrobimy?

– Pójdziemy spać. To znaczy ty pójdiesz spać, ja zabarykaduję drzwi wejściowe i od kuchni.

– Nie powinnam była tu przychodzić. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś ci się stanie.

– Nic się nie stanie. Śpij spokojnie.

\*

W pokoju u Lene, który był pokojem Josefine, zgasło światło. Michael skulił się z zimna w swoim punkcie obserwacyjnym pod drzewem kawałek od jej domu. Za plecami miał zakład pogrzebowy, którego idący z duchem czasu właściciele oferowali transport trumien specjalnie wykonanym rowe-rem towarowym, wyeksponowanym w witrynie zakładu. Nawet ładny. Czarny, z lśniąco mosiężnymi słupkami i elegancko wygiętym dachem nad przyczepą.

Pomyślał, że pomysł był pewnie dobry. Członkowie Duńskiego Związku Cyklistów, koneserzy Tour de France i ekologicznie świadomi bliscy zmarłych na pewno go docenią, on jednak natychmiast wyobraził sobie zderzenie ekokarawanu z rozpędzoną taksówką. Trumna się roztrzaskuje, biedny nieboszczyk czy nieboszczka turla się po Åboulevarden, a grabarz lub grabarka biegną, żeby jego lub ją z powrotem schować do trumny, nim ktoś coś zauważy. O ile oczywiście coś z tej trumny zostanie. Albo z roweru.

Jego myśli miały skłonność do zapuszczania się w dziwaczne zakątki, gdy tylko sytuacja się komplikowała. Domyślał się, że to rodzaj mechanizmu obronnego. Na podobieństwo tych szalonych, intensywnych snów, jakie również miewał w ostatnim czasie.

Spojrzał na swój iPad. Telefon Anny Nordstrand widniał na mapie jako mały zielony krzyżyk migoczący w okolicy mieszkania Lene, ale teraz zastygł w bezruchu. To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe. W barze, gdy Lene poszła do łazienki, zobaczył w jej telefonie numer Anny, który wpisał w program do śledzenia, i gotowe.

Michael próbował wymyślić potencjalne pułapki, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Widział, jak Anna Nordstrand z córką wysiadały z taksówki kawałek dalej, przy Allégade, i dyskretnie poszedł za nimi pod dom Lene. Kobieta bez przerwy oglądała się za siebie, a dziewczynka ze zmęczenia potykała się o płyty chodnikowe i krawężniki.

Wrócił do samochodu, napił się kawy z kubka termicznego i powstrzymał przed zapaleniem papierosa. Głupio by było, gdyby zdradziło go coś tak banalnego jak żar czy płomień zapalniczki. Bo nie miał wątpliwości, że Lene bacznie obserwowała otoczenie.

Próba wdarcia się do jej mieszkania nie miała sensu. Pewnie zabarykadowała drzwi, a pod poduszką miała przeładowany pistolet.

O czym mogły rozmawiać i po której stronie opowiedziała się Lene? I czy Anna Nordstrand powiedziała jej wszystko? Ponieważ matka i córka nie zostały odprawione z kwitkiem, ale zaproponowano im nocleg, musiał przyjąć, że Lene dobrze się nimi zaopiekuje.

Ciekawe, co u Idy? Jak ona się czuje? Miał nadzieję, że będzie spała, aż to się skończy, aż on wymyśli jakieś rozwiązanie... tego wszystkiego.

Michael zsunął się w fotelu, wypił jeszcze łyk kawy i zapadł w tę szczególną mieszankę snu i jawy, stan, który zwykle mu towarzyszył, kiedy czekał, aż będzie mógł uderzyć.

\*

Lene ostrożnie otworzyła drzwi pokoju Josefine i zapaliła światło. Zielona chińska lampka rzuciła na śpiącą matkę z córką ciepły, błogi blask. Anna leżała od ściany i od tyłu obejmowała dziewczynkę na wysokości piersi. Twarz Thei częściowo zasłaniały ciemne włosy.

Chciała dyskretnie wejść do środka, kiedy w kieszeni zawibrował jej telefon.

Zamknęła drzwi i na palcach pobiegła z powrotem do salonu.

– Co?!

– To ja, Bjarne – wyszeptał informatyk. – Masz coś?

Lene zamknęła drzwi na korytarz i zgasiła światło. Było wpół do czwartej, nadciągający świt był dla niej dostatecznie jasny.

– Właśnie miałam się tym zająć, kiedy zadzwoniłeś! – syknęła.

– Czyli nie masz – skwitował z tą swoją szczególną, irytującą i niepodważalną logiką.

Lene popatrzyła w sufit.

– Jeszcze nie. A ty masz?

– Możliwe – powiedział niepewnie. – Zależy, o czym mówimy. Mówimy o tym samym?

– Mam taką szczerą nadzieję – jęknęła. – Co ty masz?

– Mam kolegę w PET. Jest taki jak ja...

– Nikt nie jest taki jak ty – mruknęła.

– Chodzi mi o to, że robimy mniej więcej to samo. Dostałem od niego dostęp do Rijndaela. Poszedł tam dziś wieczorem pod jakimś pretekstem,



ale Lene, nie mamy za dużo czasu.

– Przecież wiem. Tylko że to, co zdobyłeś, to dopiero połowa tego, czego potrzebujemy, prawda? Czy źle coś zrozumiałam?

– Nie, dobrze zrozumiałaś. Ale ja właśnie tam jestem – oznajmił uroczyście.

– Naprawdę? W Nob...

– Nie mów tego słowa! Jeśli je wypowiesz, to na bank w jakiejś wieży nadawczej włączy się nagrywanie, jasne? A wtedy naprawdę mamy przesrane.

Bjarne z trudem łapał powietrze i Lene usłyszała, jak użył inhalatora.

I jeszcze coś.

– Bjarne, jesteś sam? – spytała podejrzliwie.

– Jasne, że tak... o co ci chodzi?

Szczerza uraza w jego głosie sprawiła, że Lene odsunęła na bok swoje podejrzenia. Zresztą, nawet gdyby tam ktoś był, to i tak nic z tym nie mogła robić.

– Wybacz – powiedziała cicho. – I mówisz, że tam wszedłeś?

Nie dowierzała, że Bjarnemu udało się zhakować święte, chłodzone wodą serwery stojące w głębokich podziemiach głównej siedziby Nobel Oil. Choć z drugiej strony zdarzało mu się już wcześniej dokonywać cudów.

– Trudno było?

– Szczerze mówiąc, tak. I jak mówię, nie mamy wiele czasu, zanim gdzieś zapali się czerwona lampka i rozpęta się piekło. Ale rozdziewiczylem ten system, Lene. Przede mną chyba nikogo tu...

– Dwie minuty – przerwała mu Lene i się rozłączyła.

\*

Z powrotem zakradła się do pokoju, wstrzymała oddech i otworzyła drzwi. Dziewczynka poruszyła się we śnie, a ramię matki odruchowo przytuliło ją mocniej.

Lene niemal od razu znalazła to, czego szukała.

I znów zadzwoniła do Bjarnego.

– To było sześć minut i trzysta sekund – oznajmił z wyrzutem.

– To mnie pozwij – mruknęła i włączyła swój komputer. – Jesteś gotowy?

– Jaki masz limit? – spytał.

– Co?

– No, ładowania, Lene.

– Aha. – Dzwoniło jej w uszach, a w ustach miała metaliczny posmak, którego próbowała się pozbyć tą ostatnią whisky, ale bezskutecznie. – Nie wiem. Pięćdziesiąt mega?

– Więc będziemy z tym siedzieć do końca życia. Który dostawca?

– Czekaj. – Popatrzyła na swój telefon. Czy policja miała jednego dostawcę od wszystkiego? Lene miała służbowy telefon i komputer. – Bjarne, właśnie o czymś pomyślałam – oznajmiła.

– O czym?

– Telefon, z którego rozmawiam, jest służbowy i mój komputer też. To chyba nie za dobrze, co?

– No nie. W którymś momencie będzie z tego kwas, ale tym zajmiemy się później. Albo ty się zajmiesz. Czekaj, podniosę ci pakiet. Upload masz teraz ustawiony na piętnaście mega. O wiele za wolno. Podniosę ci do dwustu pięćdziesięciu... gotowe. Dobra, dawaj.

– Naprawdę możesz to zrobić?

– Właśnie to zrobiłem. Jaki masz CPU? I-siedem Quad?

Lene nerwowo klikała myszą.

– A ty nie możesz mówić tak, żeby się dało zrozumieć?

– Właśnie mówię. To nie esperanto. Zresztą nieważne, już cię mam...

Lene z zapartym tchem patrzyła na monitor. Urządzenie było teraz we władaniu Bjarnego.

– Jeśli to ci się uda, to stawiam ci bilety lotnicze i trzy tygodnie w hotelu w Pattaya Beach – zapowiedziała.

– Na pewno?

– Sto procent.

– Dzięki. Akurat za niedługo chciałem tam wrócić – mruknął jakby nigdy nic, a Lene słyszała, jak w Glostrup jego palce cały czas biegały po klawiaturze.

– Jak to? Byłeś tam już?

Bjarne był na ogół chorobliwie nieśmiały, unikał wszelkiego kontaktu fizycznego, nosił drugie śniadanie w tym samym pudełku co w pierwszej klasie, a mama wyszywała mu monogramy na chusteczkach do nosa.

– Żeby to raz. Jeżdżę tam prawie co roku od ostatnich... no, będzie już z piętnaście lat. Piękne miejsce.

– I co tam u licha robisz?

– Zwiedzam świątynie.

Czyżby usłyszała stłumione prychnięcie? Niemożliwe. Zaczynała mieć omamy.

– No tak. Zatem...

– Zadzwoń, gdy będę coś miał – obiecał i się rozłączył.

Lene położyła się na kanapie i objęła dużą poduszkę. Próbowała się prześpać, ale zaliczyła tylko krótką drzemkę pełną dziwacznych, chaotycznych obrazów.

Czy to się uda? To wszystko?

Tyle rzeczy było obecnie poza jej kontrolą. Spodziewała się, że prędzej czy później natknie się na Annę Nordstrand, ale stało się to w sposób tak niespodziewany i gwałtowny, że o mały włos jej nie zastrzeliła. I tak naprawdę dowiedziała się od niej tylko rzeczy, których już wcześniej się domyśliła. Mistrzowska biegłość komputerowa Bjarnego była w tej chwili najbardziej kluczową niewiadomą. Reakcje i zachowanie Michaela z kolei zupełnie jej nie martwiły. Znała go. Zawsze wybierał drogę najkrótszą i najtrudniejszą. Wystarczyło wskazać mu cel i spokojnie się rozsiaść, a on ten cel realizował z typową dla siebie konsekwencją i efektywnością.

Chyba że już taki nie jest. Ludzie z czasem się zmieniają.

Zresztą, to wszystko i tak bezcelowe spekulacje. Istniała tylko jedna droga – Lene musiała ją wybrać i na niej pozostać.

\*

Kiedy jej telefon zadzwonił, Lene była w takim stresie, że musiała się zmusić, aby odebrać.

– Wszystko gra – powiedział od razu Bjarne niewzruszonym tonem.

– Na pewno?

– Słuchaj, to *jest* ważne, tak? Bo do końca życia będę musiał sprawdzać herbatę miernikiem Geigera. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– To *szalenie* ważne. I dziękuję ci za pomoc. Wiem, że to banał, ale ta sprawa to kwestia życia lub śmierci dla ogromnej rzeszy ludzi.

– Wysłałem ci dwa pakiety na Gmaila – oznajmił. – Jeden jest czerwony, a drugi zielony. Wypakuj ten drugi, a potem odeślij pliki w dokładnie takiej formie, w jakiej je dostałaś.

– A co w nich właściwie jest?

Bjarne streścił jej zwięźle dokumentów i Lene prychnęła nerwowo.

– Oba zajmują mniej więcej tyle samo miejsca – dodał.

– Dobrze pomyślane. A czerwony?

– Czerwony pozwoli ci rozwalić świat w pył i nie chcę wiedzieć, jak to zrobisz, oraz nie życzę sobie, aby moje nazwisko zostało w jakikolwiek sposób powiązane z twoim aktem wandalizmu. Nie życzę sobie!

Bjarne naprawdę pokazał jej się tej nocy z całkiem nowej strony, pomyślała. Najwyraźniej gdzieś, w środku tego rozchwiania i rozmycia był jakiś mocny, solidny rdzeń.

– Mimo że to jest twój Everest?

– Właśnie dlatego. Potem radzę ci zakopać laptopa w lesie i zlikwidować konto na Gmailu.

– Tak zrobię. Dzięki raz jeszcze.

– Spoko.

Lene przez chwilę bawiła się telefonem. Czy w ogóle w porządku było prosić drugiego człowieka o to, co właśnie dostała od Bjarnego? I dlaczego tak naprawdę to zrobił? Doskonale wiedział, że ryzykował życie i pracę, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

– Ale jeśli my tego nie zrobimy, to kto? – mruknęła do siebie.

Potem z powrotem zakradła się do pokoju Josefine i dopilnowała paru szczegółów. Jej wizyta pozostała niezauważona.

\*

Michael obudził się i uderzył głową o coś twardego. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, wiedział za to, że zasnął w czasie, gdy miał czuwać. Odsunął głowę od słupka drzwi i klnąc, rozmasował skroń.

Potem spojrzął na ulicę i odetchnął z ulgą na widok citroena Lene, stojącego nadal kawałek dalej, pod drzwiami jej domu. Była dziewiąta rano. Nie miał żadnych nowych wiadomości. Zadzwoił do Rigshospitalet i dowiedział się, że Ida spokojnie przespalała noc, a teraz się obudziła i nawet coś zjadła. Wciąż jednak nie chce z nikim rozmawiać. Przed południem będzie u niej psychiatra, więc zobaczą, co powie. Na oddziale stale brakowało łóżek, więc jeśli lekarz stwierdzi, że Ida nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla siebie albo nie cierpi na ostrą psychozę, to prawdopodobnie ją wypiszą. Albo zaproponują jej miejsce na oddziale zamkniętym.

Michael podziękował i nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić. Dla niego oczywiście najlepiej byłoby, gdyby na kilka dni zamknęli Idę na oddziale. Ale jej tylko się od tego pogorszy. Zawsze tak było. Najszybciej dochodziła do siebie w domu, przy nim. Tylko że on nie miał czasu. Najzwyczajniej nie miał teraz kiedy się nią zajmować.

Mocno uderzył dłonią w kierownicę.

Nagle otworzyły się drzwi w kamienicy Lene i Michael znieruchomiał, gdy ją zobaczył. Chwilę stała w progu. Na jej włosy padł promień słońca odbity od otwartego okna i zabarwił je na oszałamiający, ognisty kolor. Potem rozejrzała się, wsiadła do swojego samochodu i odjechała w stronę Falconer Allé, gdzie wrzuciła lewy kierunkowskaz. Michael sprawdził na iPadzie lokalizację telefonu Anny Nordstrand. Był tam, gdzie wcześniej.

Ze schowka wyjął długi perforowany tłumik i przykręcił do Glocka. Wsunął pistolet za pasek, wysiadł z samochodu i z bagażnika wyjął rolkę taśmy klejącej i trzy solidne opaski kablowe. Schował wszystko do kieszeni wiatrówki.

\*

Lene skręciła w lewo w Dronning Olgas Vej, biegnącą równolegle do jej własnej ulicy, a potem znów w lewo w Kronprinsesse Sofies Vej. Cudem znalazła wolne miejsce, zasłaniała je ciężarówka firmy przeprowadzkowej. Wysiadła, przeszła sto metrów i ostrożnie wyjrzała zza rogu. W samą porę, żeby zobaczyć kanciastą sylwetkę ubranego na czarno Michaela zmierzającego w stronę jej domu. Zatrzymał się przed drzwiami i Lene wiedziała, że teraz się odwróci, by się rozejrzeć. Z powrotem schowała się za róg i z nerwów przygryzła knykięć.

Czy na pewno była tak przebiegła, jak jej się zdawało? Wiedziała już, że pierwsza część jej planu się powiodła. Michael oczywiście skorzystał z okazji, żeby sprawdzić numer Anny w jej telefonie, kiedy poszła do łazienki. Dla niego to jak odruch bezwarunkowy. Ona tymczasem stała przy umywalce z odkręconą wodą i uważnie studiowała w lustrze swoją zmęczoną twarz.

Kiedy wróciła do baru widziała, że torba leżała inaczej, zresztą atmosfera w lokalu była napięta. Barman pewnie zareagował na wścibstwo Michaela, a ten kazał mu pilnować własnego nosa i zagroził trwałym kalectwem. W groźbach karalnych nie miał sobie równych. Czasem w jego oczach poja-

wiał się też groźny nieobliczalny chłód, który sygnalizował, że sprzeciwiasz mu się na własne ryzyko.

Tylko czy on wiedział, że ona wiedziała, albo... Jezu... oszaleć można od tego.

Potem Lene odbyła dwie szybkie, zdawkowe rozmowy ze swoimi najlepszymi przyjaciółkami, Marianne i Pia, które okrutnie zaniedbywała od śmierci Josefine, ale które nadal stanowiły dwa filary jej życia.

Czy jeszcze ją pamiętały?

Wiadomo.

Ale czy zechcą jej pomóc?

Zechciały. Lene miała łzy w oczach, gdy tylko usłyszała ich głosy.

Kiedy?

Teraz!

Pia musiała powiedzieć w pracy, że nie przyjdzie, bo dostała ataku migreny, a Marianne odwołała fryzjera, a w ogóle to gdzie się kupuje takie rzeczy?

Po swojej ostatniej rozmowie z Bjarnem Lene zrobiła mały research i mogła im podrzucić kilka adresów.

\*

Michael wolno wspinał się po schodach i wmawiał sobie, że czuje zapach perfum Lene. Zatrzymał się na trzecim piętrze i przystawił ucho do drzwi. W środku słychać było cichą muzykę, jakiś bieżący hit, a po kilku sekundach w radiu zaczęły się wiadomości. Dziecięcy głos powiedział coś, czego Michael nie zrozumiał. Zabrzęczały filizanki albo szklanki i odpowiedział głos kobiety.

Oba głosy brzmiały spokojnie i zwyczajnie.

Kiedy znowu zabrzmiała muzyka, zaczął rozpracowywać zamek swoimi wytrychami. W środku dźwięki zaprowadziły go do kuchni. Dziewczynka siedziała przy stole na wysokim krześle przodem do drzwi na korytarz. Patrzyła Michaelowi w twarz znad łyżki mleka z płatkami kukurydzianymi. Przesunęła wzrok na pistolet w jego dłoni i zamarła. Matka wyczuła to i się odwróciła.

Jej dłoń się otworzyła, szklanka z sokiem upadła na podłogę i się roztrząskała.

– Anno, nie ruszaj się – powiedział spokojnie Michael.

Dziewczynka popatrzyła na matkę.

– Tyłem podejść do stołu i trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Bez słowa wykonała polecenie. Przy jednym oku drżał jej mięsień. Michael w kilku długich krokach znalazł się przy dziewczynce i przyłożył jej tłumik do głowy. Anna Nordstrand, widząc to, prawie osunęła się na podłogę, a dziewczynka mocno zacisnęła powieki i zasłoniła uszy rękami.

Matka przystawiła dłonie do ust, łzy zaczęły jej spływać po policzkach. Opływały płatki nosa, docierały do wygiętej linii górnej wargi i z kącików ust kapały wprost na granatową koszulkę.

– Anno, oboje chcemy takiego samego finału tego spotkania – mówił cicho, ale zdecydowanie. – To już niezły punkt wyjścia. Ty i twoja śliczna córka zostaniecie w mieszkaniu tej miłej pani, a ja zaraz stąd zniknę, dobrze?

Pokiwała głową, nie odrywając wzroku od pistoletu przy skroni dziecka.

– To dobrze, Anno. Ogromnie mnie to cieszy. Jest tylko jedna prosta, ale istotna sprawa. Muszę dostać ten dysk, zanim stąd wyjdę, i nie wyjdę, zanim go nie dostanę. Jak dotąd sporo ludzi straciło przez niego życie, a ty i twoja córka nie musicie być następne. Ale *możecie* być następne i ja sam go sobie wezmę.

Anna patrzyła na jego wargi, jakby słyszała, co mówi, lecz nie rozumiała słów.

I wciąż ani drgnęła.

Michael owinął wskazujący palec wokół obłego kształtu spustu. Modlił się, żeby kobieta wykrzesła z siebie odrobinę zdrowego rozsądku. W pi-stolecie nie było amunicji, więc jeśli nie odda mu dysku, nic jej nie będzie mógł zrobić.

Cały czas patrzył jej głęboko w oczy, ale wciąż nic w nich nie widział. Żadnej dojrzewającej decyzji. To niedobrze.

– Nie będę odliczał – w końcu sam się odezwał. – I nie będę ci więcej groził, ale zobaczysz mózg swojej córki na tej ścianie. Tak będzie. Tak będzie, bo wciąż nie rozumiesz. I stanie się to... *teraz*...

– Dość!

Michael zdjął palec ze spustu i patrzył, jak kobieta się rozkleja. Jej twarz wykrzywiła się i nagle zrobiła się brzydka. Ramiona wyciągnęła ku dziecku, jakby czyniła nad nim czary, a mała wciąż siedziała nieruchomo i dociskała dłonie do uszu.

Anna Nordstrand patrzyła na niego błagalnie.

– Przestań... przestań, proszę... zaczekaj...

Odsunął pistolet na centymetr. Lufa zostawiła okrągły ślad na gładkiej skórze dziecka.

– Żadnych wykrętów, żadnych numerów – zastrzegł.

Kobieta grzbietem dłoni wytarła nos.

– Zrobię to.

– Gdzie go masz? – spytał Michael.

– W mojej torbie, w sypialni.

– Przynieść go, a jeśli usłyszysz, jak mówisz do telefonu choć jedno słowo, twoja córka będzie martwa, zanim wrócisz.

Zaszlochała i ukryła twarz w dłoniach, kiedy wybiegła z kuchni. Michael podszedł do zlewu, nalał wody do szklanki i ją wypił. Kiedy odstawił szklankę, kobieta była z powrotem i położyła na podłodze torbę podróżną.

Michael wskazał na nią lufą pistoletu.

– No dalej, kobieto! – warknął zniecierpliwiony.

Zaczęła wyrzucać z torby na podłogę ubrania, bieliznę, paszporty i dokumenty. Dziewczynka otworzyła oczy i przyglądała się ruchom matki. W końcu Anna wyjęła jasną skórzaną kosmetyczkę i ją otworzyła.

Michael celował dokładnie w nią.

Odkręciła dno dezodorantu i na jej dłoń wypadł lśniący karbowany dysk USB.

– Połóż go na stole.

Wiedział, że to jest *ten* dysk. Rozpoznał go z nagrań monitoringu. Jego umęczone ciało zalał ciepły spokój, począwszy od podeszew stóp.

Pozwolił matce i córce przytulić się mocno na pół minuty, zanim poprosił Annę, żeby się odwróciła. Związał jej nadgarstki opaskami kablowymi. Dziewczynkę poprosił, żeby wstała, i zrobił jej to samo. Potem obie zaprowadził do salonu i ostatnią opaską przywiązał je do kaloryfera.

– Wygodnie wam? – spytał.

Skinęły energicznie, unikając jego wzroku.

Oderwał metr taśmy klejącej i owinął nią dolną część twarzy dziecka, zasłaniając jej usta. Upewnił się, że może oddychać, i oderwał następny metr.

– To ty pomogłeś Lene? – zagadnęła Anna.

– Zamknij się. – Michael ciasno docisnął taśmę to jej ust.



Lene widziała, jak wychodził z jej budynku. Patrzył w chodnik i nie wyglądał jak ktoś, kto przed chwilą z zimną krwią zamordował kobietę i jej dziewięcioletnią córkę. Wyglądał po prostu blado i smutno.

Znów się wycofała za róg.

Sądziła, że teraz zawróci i odjedzie z powrotem w kierunku Falkoner Allé, ale zamiast tego jego samochód przejechał kilka metrów od niej. Mignął jej za kierownicą profil jego ciemnej, zaciętej twarzy. Wiedziała, że jej nie widział, mimo to poczuła się absurdalnie rozczarowana.

A gdyby ją zobaczył, to co by zrobił? Uśmiechnął się? Rzucił na nią? Pewnie to drugie.

Pośpiesznie ruszyła w stronę domu, schodami szła po trzy stopnie na raz.

Była aktualnie w doskonałej kondycji i na trzecie piętro weszła bez zadyszki. Przystanęła na chwilę, żeby zebrać się w sobie, i kluczem otworzyła drzwi.

\*

– Anna? Thea?!

Powoli odkleiła im taśmę z twarzy. Ich wargi przywarły do niej jak guma i musiała ciągnąć cierpliwie, aż się oderwały. Natychmiast chciała pomóc Annie wstać, a gdy się okazało, że jest przywiązana, pobiegła do kuchni po nożyczki.

Uwolniła je dwoma szybkimi cięciami i zaprowadziła na kanapę.

– No powiedz coś! – nie wytrzymała.

– On przystawił mojej córce pistolet do głowy – powiedziała Anna. Jej dolna warga drżała. – Zagroził, że ją zastrzeli!

– Tak, ale na pewno nie chciał.

– Powiedział, że zobaczą... że zobaczą jej mózg na ścianie, jeśli nie zrobię, co mi każe! Ale może twoim zdaniem wcale tego nie chciał?! Słyszysz, co mówisz?! Kim wy jesteście, co z was za ludzie? Bo to był twój przyjaciel, prawda? Ten, który ci pomógł?

Płynnym ruchem wstała z kanapy, córka patrzyła na nią przerażona, a Lene cofnęła się o krok. Anna Nordstrand była tak samo wysoka jak ona.

– Powiedz, wiedziałaś o tym? Wiedziałaś, że on tu przyjdzie i będzie nam groził...? Ależ tak! Wiedziałaś! Widzę to po twojej twarzy.

– Nie. Nie, ja... liczyłam się po prostu z taką możliwością. To prawda.

Lene nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo coś roztrzaskało się na jej twarzy. Zachwiała się, pokój skurczył się i nagle rozszerzył.

Dotknęła policzka, a potem popatrzyła na swoją dłoń.

– Co... – wymamrotała.

– Mamo, proszę – odezwała się dziewczynka żałośnie. – Nie możesz bić Lene. Ona pozwoliła nam wejść. Nie możesz!

Anna popatrzyła na córkę martwym wzrokiem. A potem jakby w końcu doszła do siebie.

– Tak, rzeczywiście... Przepraszam.

– Nie ma za co. Rozumiem cię. Naprawdę nic się nie stało.

Lene dziwiła się wręcz, że ten policzek ją zaskoczył.

Anna z kolei skrzyżowała ręce na piersiach. Nadal się w niej gotowało.

– Czyli wiedziałaś.

– Tak, ale nie mogłam cię ostrzec. Zależało mi, żebyście z Theą zachowywały się naturalnie.

– Czyli chciałaś nas śmiertelnie nastraszyć.

– No tak...

– A wiesz, jak coś takiego może wpłynąć na dziewięcioletnie dziecko? I wiedziałaś, że on mógł nas zastrzelić?

Lene zmrugała oczy. Okej, teraz ona się wkurzyła.

– A czy ty pomyślałaś, jakie to miałyby konsekwencje dla całej masy ludzi, gdyby twój obłąkany mąż dokończył swoją krucjatę? Bo nie wierzę, że nie mogłaś go powstrzymać, gdybyś tego chciała. Gdybyś na przykład wzięła do ręki telefon, zadzwoniła do Petera Holma i powiedziała mu, że jego kochanek jest żonatym heteroseksualnym mężczyzną i za chwilę go uśpi, żeby następnie ukraść zawartość jego komputera. I czy wiesz, jak na dziewięcioletnie dziecko może wpłynąć ukrywanie się przed świetnie wyszkolonymi, pozbawionymi skrupułów mordercami?

Jej słowa zawisły w powietrzu. Na bardzo długo.

– Masz rację. – Zrozpaczona Anna popatrzyła na córkę, która z lękiem przysłuchiwała się ich wymianie. – We wszystkim. Powinnam była to zrobić, ale nie miałam pojęcia, że z Holmem skończy się tak, jak się skończyło. Wiem, że to żadne wytłumaczenie. Że nie ma żadnego wytłumaczenia. Wiem o tym.

Usiadła na kanapie, objęła Theę i mocno przytuliła. Potem podniosła wzrok na Lene, wypuściła córkę i zaczęła się kołysać w przód i w tył, z rękami przy twarzy.

– I wszystko na nic. Rasmus, Peter Holm, Alan i Maria. Zginęli na darmo. Ja tego psychicznie nie udźwignę!

Lene złapała ją za nadgarstki.

– Jak to na darmo? Dlaczego? Co się stało?

– Dałam mu ten dysk, Lene! Dałam mu te zasrane analizy!

– Jak to? Miałaś je przy sobie? Przecież to najgłupsze, co...

– Wiem!

Lene westchnęła.

– Chociaż może to i lepiej.

– Co ty mówisz?! Oni wygrali! Nobel Oil. Politycy. To oni wygrali!

– Kompletnie mnie nie obchodzi Grenlandia i wszystkie zasrane koncerny naftowe – wyznała Lene z przekonaniem.

– Jak możesz tak mówić?! Nie wiesz, co wygadujesz.

– Możliwe. Ale to, co się liczy w tej chwili, to umieścić w bezpiecznym miejscu ciebie i Theę. A świat będziemy musiały zbawić innym razem. Albo ktoś inny będzie musiał to zrobić. Idealistów nie brakuje, a ja póki co odpowiadam tylko za was dwie.

Anna wytarła nos w rękaw. Wciągnęła powietrze ustami. W końcu pokiwała głową i na jej twarzy pojawiło się zdecydowanie.

– Masz rację. Znowu. Powiedz, jak się z tym czujesz?

– Z czym?

– Z tym, że zawsze masz rację.

– Jezuu, Anna. Zasadniczo prawie nigdy nie mam racji. Naprawdę. – Wyciągnęła do niej rękę. – Zgoda?

– Zgoda. Oczywiście. Dziękuję.

– Znakomicie. To może zrobię nam kawy? A ty, Thea, napij się kakao?

Nie czekając na odpowiedź, poszła do kuchni i nastawiła wodę. Spojrzała na zegar wiszący nad drzwiami i niecierpliwie patrzyła na czajnik.

Słyszała, jak w salonie coś do siebie mówią. Ciekawe, co teraz robił Michael ze swoimi z trudem pozyskanymi analizami geologicznymi z góry przy wielkiej zatoce Disko?

Znów popatrzyła na zegar. Co im tyle zajmuje?

– No gotuj się, do diabła! – warknęła do czajnika.

\*

Michael po raz drugi w życiu stanął przed białym murem rezydencji przy Richelieus Allé w Hellerupie, gdzie mieszkali najbogatsi ludzie w kraju, i patrzył w obiektywy dwóch kamer monitoringu. Poprzednim razem stał przed bramą kilka numerów dalej na północ. Wtedy, zanim zadzwonił, grzebieniem poprawił sobie budzący zaufanie przedziałek. Teraz kazano mu podejść do tylnego wejścia od strony parku, z którego korzystali domokrażcy, ogrodnicy i żebracy tacy jak on, aby nie naprzykrzać się domownikom swoim widokiem. Dwie sekundy po tym, jak wcisnął dzwonek, obie kamery zatrzymały na nim zimne, czarne soczewki.

Ciężkie metalowe drzwi się otworzyły i Michael wszedł na wyłożoną fliżami ścieżkę, która wijąc się między kwiatowymi rabatami i zacienionymi pergolami, prowadziła do odległego, trzypiętrowego budynku głównego z lśniącym czarnym dachem mansardowym. Zamek kliknął, kiedy drzwi za nim się zamknęły, a Michael uznał, że pewnie ma iść ścieżką, aż nie dostanie dalszych instrukcji. Spory kawałek dalej, na idealnie przystrzyżonym trawniku zobaczył, jak czarny pudel biega za frisbee, i wydało mu się, że dziecięcy głos woła „Zulu”. Albo „Lulu”.

Sto metrów dalej ujrzał dom w całej okazałości, na tle starych drzew o gęstych koronach. Dostrzegł również tych samych dwóch ochroniarzy, którzy go przyjęli w siedzibie firmy, kiedy po raz pierwszy spotkał się z Nobilem. Byli szczupli i ubrani w jednakowe ciemne garnitury. Każdy miał w lewym uchu taką samą białą słuchawkę, której spiralny kabelek znikał pod białym kołnierzykiem koszuli. I tak samo trzymali dłonie z przodu ciała w pozycji, której ochroniarze na całym świecie uczą się pierwszego dnia w akademii ochroniarzy.

Wszyscy trzej spotkali się na okrągłym brukowanym placu z szemrzącą cicho fontanną, która zawstydziałaby Wersal. Starszy z mężczyzn, ten o jasnych włosach, skinął głową w jego kierunku.

– Panie Sander. – Głos miał łagodny jak kierownik sali w restauracji.

Michael się odklonił i rozłożył ręce niczym posąg Chrystusa Zbawiciela z Rio. Drugi ochroniarz zaczął go obchodzić z ręcznym wykrywaczem metalu i ze zręcznością kieszonkowca pozbawił Michaela monet, paska i kluczy. Kiedy sięgnął do prawej kieszeni kurtki, gdzie znajdował się dysk, Mi-

chael złapał go za nadgarstek i odsunął jego rękę. Nie było to łatwe, ochroniarz był młody i w doskonałej formie, ale się udało.

Zerknął na starszego kolegę.

– Panie Sander, czy woli pan samodzielnie wyjąć przedmiot z kieszeni? – spytał tamten.

– Tak, wolę.

Dobył z kieszeni dysk USB i pokazał im go na otwartej dłoni. Starszy ochroniarz się uśmiechnął.

– Garnek złota, panie Sander?

– Mam taką nadzieję.

– Dużo pan trenuje z ciężarami? – spytał ochroniarz zaintrygowany i z dezaprobatą popatrzył na młodszego kolegę, który rozmasowywał nadgarstek.

– Mądrość czyni mądrego silniejszym niżli dziesięciu mocarzy[1] jak mówi Pismo – wyjaśnił Michael.

– Sprawdzę, gdy będę miał okazję.

– Tak zrób.

Drugi dokończył rewizję i wszyscy trzej weszli na taras, okrążyli żywołot i ruszyli w stronę białych szklanych podwójnych drzwi.

– Pan Nobel czeka w oranżerii – poinformował Michaela ten starszy. – Miłego dnia.

– Wzajemnie.

Axel Nobel był w stroju swobodnym, na który składały się lniane spodnie, zielona koszulka polo i ręcznie szyte włoskie mokasyny bez skarpetek. Z Michaelem przywitał się, jakby byli najbliższą rodziną, czyli uśmiechnął się szeroko, mocno uścisnął mu dłoń i przyjacielsko ścisnął jego łokieć.

W końcu oczy dziedzica wielkiej fortuny oderwały się od oczu Michaela i przeniosły na dysk USB, który Michael wciąż trzymał w dłoni.

– Znalazłeś go.

– Znalazłem.

– Trudno było?

– Pytasz, czy musiałem kogoś zabić? Nie, to nie było konieczne. Tak naprawdę od początku nie było.

Prezes wbił ciemne oczy głęboko w oczy Michaela, szukając w jego duszy oznak zdrady. Najwyraźniej nie znalazł w niej niczego złowieszczego, bo postanowił go wprowadzić w głąb sennej przestrzeni wypełnionej kana-

pami obitymi perkalem, obrazami olejnymi, wysokimi wazonami ze świeżymi ciętymi kwiatami i podłożem wyścielonym grubymi, autentycznymi dywanami, które uginały się pod ciężarem kroków, aż Michael miał wrażenie, że stąpa po łanie zboża.

Straat siedział na starodawnym krześle safari. Kanty jego spodni były ostre jak zawsze, koszula śnieżnobiała, a blade, nieruchome oczy przeszywały Michaela, jakby był ze szkła.

Nobel popatrzył to na jednego, to na drugiego.

– Dirka przecież znasz.

– Myślę, że dalsza prezentacja jest zbędna – potwierdził Michael.

– No tak... tak, oczywiście. A to jest Esben. – Wskazał na młodego mężczyznę, który siedział przy angielskim stoliku krzyżaku z otwartym laptopem przed sobą. Wyglądał jak każdy młody pracownik międzynarodowej korporacji, na przykład Nobel Oil. Czujny i czekający na polecenia. Gdyby Nobel kazał mu rozplatać brzuch głodnej ośmiometrowej anakondy, natychmiast pobiegłby do kuchni po nóż i przystąpił do dzieła.

– Esben pracuje u nas w dziale IT – oznajmił Nobel z niemal ojcowską dumą w głosie. – Właśnie obronił doktorat o szyfrach wojskowych w czasach imperium rzymskiego.

Chłopak się splonił.

– Gratuluję.

– Dziękuję.

Przed Esbenem stała filiżanka czarnej kawy.

– Jest kawa? – Michael uśmiechnął się z przekąsem.

– Oczywiście. – Prezes osobiście mu nalał. – Jest USB?

Michael wypił łyk i popatrzył na Nobla znad filiżanki.

– Za chwilę.

Możliwe, że Axel Nobel był najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego Michael w życiu spotkał, a jednak dostrzegł na jego twarzy cień intensywnego zniecierpliwienia.

– Dlaczego?

Michael powoli odstawił filiżankę.

– To kwestia etyki, panie Nobel.

– Etyki.

– Tak. Bez tego gdzie byśmy byli? W średniowieczu. Nie wiedzielibyśmy, gdzie góra, a gdzie dół, gdzie północ, a gdzie południe. Nie sądzisz?

– Chyba tak, ale czy to ważne? Czy musimy akurat teraz trwonić czas na dyskusje o moralności?

– Moim zdaniem musimy.

Dirk Straat wstał i bezgłośnie podszedł do okien wychodzących na ogród. Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

– Jesteś pewien, że Esben powinien uczestniczyć... we wszystkim? – spytał Michael.

– Sądzę, że on wie, kiedy należy milczeć – odparł spokojnie prezes. W jego głosie nie było już śladu ojcowskiej dumy. – A ja wiem, gdzie on mieszka.

Chłopak zbladł.

– Przysięgłeś, że nie zabiłeś Rasmusa Nordstranda. Przysięgłeś na życie swoich dzieci – przypomniał mu Michael z powagą.

Prezes cofnął się o krok.

– Mówisz o Nordstrandzie?

– Tak, chyba o nim zapomniałeś?

– Ale ja go nie zabiłem! Owszem, przesłuchaliśmy go. Bo rzeczywiście złapaliśmy go na tylnym podwórzu kamienicy Petera. Wiem, że z zimną krwią zabił mojego dobrego przyjaciela i zaufanego pracownika. Nie wstydzę się przyznać, że z rozkoszą bym go przypiekał żywym ogniem, oskalpował albo wrzucił do basenu z rekinami, ale nawet włosa z głowy mu nie wyrwałem.

Nobel zawahał się chwilę.

– W porządku, to oczywiście tylko taki zwrot. Kilka włosów tu i ówdzie zostało wyrwanych z głowy Rasmusa Nordstranda, ale nie w sposób zagrażający życiu.

– Oczywiście, że nie.

– Ale to prawda! Wykorzystał chwilę nieuwagi i rzucił się na szklaną ścianę na końcu biura. Przyznam, że zaimponował mi determinacją i odwagą, niemniej to właśnie się stało. Spadł na pomost dziesięć metrów niżej i złamał kark, ale nikt mu w tym nie pomógł.

Michael długo mu się przyglądał. Wszystko mu mówiło, że prezes nie kłamał.

– A potem wywieźliście ciało helikopterem?

– Wydawało się, że to dobry pomysł.

– I wyrzuciliście je wprost na płyciznę?

Nobel zerknął na Straata.

– Tak, to akurat nie był taki dobry pomysł. Przyznaję. Ale przecież nie mogę wszystkiego pilnować osobiście, prawda? Za to płacę ludziom.

Michael uśmiechnął się lekko w stronę Holendra, ale ten w skupieniu studiował coś na suficie. Potem zapalił cygaretkę i zainkasował od prezesa pełne dezaprobaty spojrzenie. Zignorował je i palił dalej.

– Czy teraz możemy przejść do rzeczy, czy chciałbyś omówić jeszcze inne filozoficzne kwestie?

Michael wręczył swojemu klientowi dysk USB.

– W tej chwili nie. Po prostu nie podoba mi się, kiedy ktoś przysięga na życie swoich dzieci, a potem mnie okłamuje.

– Jasne. Esben, gotów?

Chłopak się uśmiechnął i wsunął dysk do swojego zaawansowanego komputera.

\*

W salonie Lene panowało milczenie.

Thea czytała jedną z książek Astrid Lindgren, którą znalazła w pokoju Josefine, *Dzieci z Bullerbyn*, a Lene i Anna starały się unikać swojego wzroku.

– Thea, chcesz jeszcze kakao? – spytała Lene i w tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

Anna znieruchomiała, popatrzyła na Lene z trwogą.

– Spokojnie, to przyjaciele.

Na zewnątrz stały dwie milczące postacie w czarnych burkach. Lene dostrzegła tylko czubek prostego skózanego sandała, jasne oczy i wyskubane brwi.

Jedna z czarnych postaci prychnęła.

– Cześć – powiedziała. – Tak, to my.

Lene objęła Pię i Marianne, które gdzieś tam były, wśród tych zwojów.

– Wyglądacie fenomenalnie – przyznała. – Wchodźcie.

Anna patrzyła na dwie czarne zjawy z wyraźnym lękiem, za to Thea uśmiechnęła się tylko, pomachała im i wróciła do lektury.

– Anno i Theo, to są Pia i Marianne. Wasza droga ucieczki.

– Cześć – powiedziała jedna burka.

– Gdzie macie samochód? – spytała Lene.



– Po drugiej stronie tylnego podwórka. Nie wyobrażasz sobie, jak ciężko się prowadzi w tym odzieniu.

Lene się uśmiechnęła i odwróciła do siedzącej na kanapie dwójki.

– Zbierajcie się. Za chwilę macie odjazd. Thea, chcesz się wysikać przed drogą?

Dziewczynka pokręciła głową, a tymczasem jedna z przyjaciółek Lene zaczęła wyjmować ze swojej torby różne dziwne rzeczy.

W końcu Anna popatrzyła na Lene.

– Mówisz poważnie?

Trzymała w rękach złożoną w kostkę, czarną jak smoła szatę z rękawami. Lene już pomagała Thei przywdziać jej kostium. Dziewczynka pękała ze śmiechu.

– Mamo, to jest namiot z rękawami!

– W sztuce kamuflażu istnieją dwie szkoły. – Lene zniecierpliwiona zaczęła tłumaczyć Annie: – Pierwsza mówi, że trzeba się stać tak przeciętnym i anonimowym jak to możliwe. Czyli beżowe ubranie, brzydkie okulary, tłuste włosy, wiszące cycki, siatki z Lidla i białe skarpetki do plastikowych kłapek. Wolałabyś tak?

Kobieta się zachnęła.

– Nie, dzięki.

– Zatem druga szkoła mówi, że przebranie powinno się rzucać w oczy tak bardzo, że źli ludzie, którzy cię ścigają, nie zwrócą na ciebie uwagi, bo nie wpadną na to, że byłaś na tyle szalona, aby stać się aż tak widoczna. Moje ukochane przyjaciółki wraz ze mną wybrały tę drugą metodę i zapewniam cię, że jest im równie niewygodnie jak tobie.

Anna przełknęła ślinę albo kolejny komentarz i bez protestów pozwoliła Pii – a może to była Marianne? – pomóc sobie przywdziać średniowieczny kostium, w którym w wąskiej szparce widoczne były tylko jej oczy.

– Thea ma niebieskie oczy – zauważyła.

– Już nie – odparła Lene i wsunęła dziewczynce pod chustkę ciemne okulary. Annie wręczyła drugą parę.

Potem odprowadziła ich dziwny orszak do drzwi kuchennych. Raz jeszcze objęła swoje dzielne – i wciąż prychnące – przyjaciółki, otworzyła drzwi na strome schody i puściła je przodem. Za nimi wyszła Thea.

– Skarbie, uważaj, żeby się nie przewrócić! – zawołała za nią Lene.

– Do widzenia, Lene! – odpowiedziała dziewczynka. – Dziękujemy za wszystko.

Anna ruszyła za nią, ale Lene zatrzymała ją w progu.

– Trafiło ci się nadzwyczajne dziecko – wyznała.

– Wiem. Ona mnie zdumiewa tak samo jak wszystkich, możesz mi wierzyć. Nie wiem, po kim taka jest.

– Potrafisz strzelać?

– Oczywiście. Rasmus uwielbiał broń.

Lene wsunęła jej do ręki ukrytej pod suknią swój służbowy pistolet.

– Wiesz, jak to działa?

Pod czarną tkaniną rozległ się trzask. Anna przeładowała.

– Będzie mi potrzebny?

– Nie.

Anna ją objęła.

– Dziękuję, Lene. I przepraszam, że byłam taka okropna. Jaki jest plan?

– Musicie tylko wyjść przez tylne podwórko. Brat Marianne ma gospodarstwo na odludziu w Smalandii. Zostaniecie tam, póki mu nie przekażę, że możecie bezpiecznie wrócić.

– A ty co zamierzasz?

– Za parę tygodni wyjeżdżam do tej pracy w Hadze. Nobel na pewno dostał już swoje analizy od Michaela. Spodziewam się, że sytuacja sama się uspokoi.

A raczej mam taką nadzieję.

– Ale ten kadm wciąż tam jest.

– To prawda, ale nie wiem, co mogę na to poradzić. Spróbuję coś wymyślić, obiecuję ci to. Ale wy dwie musicie zniknąć. Żadnych telefonów ze stacji benzynowej. Żadnych. Wyłączcie telefony i nie włączajcie ich nawet na chwilę. A najlepiej je wyrzućcie. Michael znalazł was w ten sposób i inni też mogą.

– Tak zrobimy – przytaknęła Anna.

Thea zawołała matkę z dołu i chwilę później Lene patrzyła, jak cztery czarne postacie pośpiesznie przemykają przez podwórko. Jedną z nich przydeptała długi strój i się potknęła. A potem zniknęły za bramą.

Napięcie stopniowo z niej schodziło. Lene chwilę kręciła się po pokoju i próbowała pobudzić swoje biedne umęczone zwoje mózgowo do nowych genialnych popisów ekwilibrystycznych.

Na koniec zadzwoniła do biura, żeby powierzyć zaspanemu Bjarnemu ostatnie zadanie.

Czy w ogóle da się to zrobić?

Da się, odparł informatyk, ale rzutem na taśmę. Usuwał właśnie ślady swojej nocnej eskapady, więc zadzwoniła w ostatniej sekundzie. Tak naprawdę pakował właśnie wszystkie komputery w ich małym biurze, żeby je wywieźć na składowisko.

Nie rozumiał jednak dlaczego.

Lene obiecała, że kiedyś udzieli mu wyczerpujących wyjaśnień.

Czekając, aż jej to prześle, wzięła bardzo długi ciepły prysznic, umyła włosy swoim najdroższym szamponem i wtarła odrobinę J'Adore w skórę za uchem i wzdłuż szyi, dla własnej przyjemności.

Założyła świeżą bieliznę i ubranie i w końcu poczuła się trochę mniej spięta. Włożyła do koperty trzy płyty CD i napisała na niej „Michel” oraz jego adres. Zorientowała się, że napisała imię z błędem. Zmieniła kopertę i wyjęła nową, bo wszystko musiało być idealne.

Była tak przejęta, że z trudem trzymała długopis w ręce, dlatego skreśliła tylko parę linijek i tak to zostawiła. On zrozumie. Zresztą, niesamowicie jak niewiele potrzeba słów, żeby wszystko zakończyć.

\*

W oranżerii można by usłyszeć słynną szpilkę spadającą na grube autentyczne dywany. Dirk Straat nadal stał w drzwiach do ogrodu ze swobodnie skrzyżowanymi nogami i eleganckim ruchem podnosił do ust długą czarną cygaretkę. Michael i Nobel w napięciu obserwowali monitor zza wąskich pleców Esbena.

– To algorytm Rijndaela? – spytał Michael.

Prezes pokiwał głową i potarł skórę pod brodą. Był nieogolony, gęsty szary zarost zaszeleścił pod jego dłonią.

– Używamy go od dziesięciu lat i jesteśmy zadowoleni – odparł cicho. – I co, Esben? Dziewiczy czy już rozłożył przed kimś nogi?

– Wydaje się czysty, panie Nobel.

Prezes i Michael kolektywnie odetchnęli z ulgą. Dirk Straat puszczał w sufit idealne kółka z dymu.

Na ekranie przesuwiała się długa lista nazw plików i folderów.

– Ile? – spytał Nobel.

– Czterysta czterdzieści jeden.

– Świetnie. Kiedy?

– Dzień przed powrotem Petera... pana Holma z zatoki Disko. Głównie próbki odwiertów od D dwa tysiące dwanaście do D dwa tysiące czterysta pięćdziesiąt trzy. Do tego sporo folderów z wykresami, statystykami i trochę arkuszy w Excelu.

Nobel wyprostował plecy. Gestem niemal uroczystym położył Michaelowi dłoń na ramieniu. Ścisnął je przyjacielsko i z powrotem schował rękę do kieszeni spodni. Stał się widocznie wyższy, jakby wielki ciężar zniknął z jego barków, co pewnie było bliskie prawdy. Straat wwiercał się w Michaela nieprzeniknionym wzrokiem.

Prezes rozmasował sobie skronie, a potem pozwolił sobie na pełen ulgi uśmiech.

– Cholera, człowieku! – wyparował. – Dobra robota. Naprawdę dobra robota. Mogę cię adoptować?

Michael na chwilę dał się porwać atmosferze, jaka wypełniła piękne wnętrze.

– W takim razie chcę pokój w południowej wieży – odparł. – I dziewiętnastoletnią pokojówkę.

– Załatwione... Masz to jak w banku – mruknął Nobel nieobecnym głosem. – W każdym razie stokrotne dzięki. To było szalenie ważne.

– Rozumiem.

Michael popatrzył na zegarek. Pomyślał o Idzie. Czy psychiatra już u niej był? Przenieśli ją na oddział zamknięty? Gdzie ona teraz jest i jak się czuje?

– Nie chcę być przyziemny – zaczął – ale...

Prezes się zaczerwienił.

– Oczywiście. Twoje honorarium. Bezwzględnie i w pełni zasłużone. Esben?

– Słucham.

– Pan Sander poda ci IBAN i SWIFT swojego konta w... gdzie, Michaelu?

– W Liechtensteinie.

– Doskonały wybór – pochwalił Nobel, jakby Michael wybrał chateau petrus 1990 do dziczyzny. – I przelejesz mu...

– Półtora miliona franków szwajcarskich – dokończył Michael.

Prezes spojrzął na niego. I zaraz krótko skinął głową.

– Półtora, Esbenie.

Michael z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął mały sfatygowany notes, otworzył w miejscu, gdzie gumka oddzielała kartki, i zaczął czytać długi

rząd cyfr, a palce chłopaka płynnie sunęły po klawiaturze.

Straat wypuścił cygaretkę z rąk do wysokiego alabastrowego wazonu z długimi niebieskimi margerytkami, gdzie z sykiem zgasła. Następnie opuścił swój punkt obserwacyjny przy drzwiach, podszedł do młodego programisty i ciężką dłonią zablokował klawiaturę.

Esben podniósł na niego wzrok. A potem przeniósł go na swego pana i władcę.

– Dirk, o co chodzi? – spytał Nobel ze złością.

Holender wbił w Michaela swoje szare szklane oczy. I uśmiechnął się, niemal przepraszająco.

– To pewnie nic takiego, *minheer*, ale półtora miliona franków to mnóstwo pieniędzy, nawet dla kogoś takiego jak pan.

– Mam nadzieję, że nie umknął twej uwadze fakt, że nie mamy zbyt wiele czasu? Czekam na tournée po krajach OPEC, gdzie będę musiał się tłumaczyć z tego wycieku ropy i dać się zmieszać z błotem przez jakąś komisję do spraw środowiska w Brukseli. Potem muszę lecieć do Waszyngtonu z trzykrotnością prędkości światła, żeby uspokoić US Coast Guard oraz amerykańskie i kanadyjskie władze środowiskowe. Potem muszę jeszcze przekroczyć wszystkie strefy czasowe, żeby dotrzeć do Pekinu i tam wykonać Taniec Siedmiu Zastłon przed najwyższym szefem Chińskiego Banku Rozwoju panem Junem Nianzu, najpotężniejszym człowiekiem w Chinach po pierwszym sekretarzu partii.

A niewykluczone, że jest od sekretarza ważniejszy. Więc czego chcesz? Michael wykonał co do joty zadanie, z którym ty już dawno powinienesz być sobie poradzić, i oczywiście zasługuje na wynagrodzenie za swoją pracę.

Straat uniżenie pokiwał głową.

– Absolutnie tego nie kwestionuję, panie Nobel, źle mnie pan zrozumiał. Tu nie chodzi o zawodową zazdrość. To kwestia autentyczności. Niech pan pomyśli o tych danych jak o obrazie, którego zakup pan rozważa. Kosztuje on półtora miliona franków szwajcarskich i został wystawiony przez niezwykle poważany dom aukcyjny albo galerię. Pociągnięcia pędzla wyglądają jak te słynnego mistrza, a dokumenty potwierdzające autentyczność są bez zarzutu.

Ale czy to na pewno prawdziwy obraz?

– Czego ty chcesz? – zdenerwował się Michael. – Tych próbek? Jeśli tak, to może być kłopot, chyba że masz pod ręką wyjątkowo dużą zamrażarkę. Bo one, zdaje się, mają czterdzieści metrów długości, prawda?

Strat pochylał się nad rzutkiem młodym informatykiem, który wyglądał teraz na szczerze zawstydzonego.

– Nie, Michael. To, czego chcę, to aby chłopak otworzył kilka przypadkowych plików i sprawdził, co w nich jest. Czy to tak wiele? Przecież zamiast profili chemicznych to mogą być pornole albo kreskówki.

Michael wzruszył ramionami i popatrzył na Nobla.

– W porządku – przytaknął obojętnym głosem. – Jeśli to uszczęśliwi naszego Tigera Woodsa, to ja nie widzę przeszkód.

Prezes posłał Straatowi spojrzenie zapowiadające poważną rozmowę w cztery oczy.

– Jakież szczególne życzenia? – spytał Esben.

– Nie – prezes odpowiedział, zanim Straat zdążył się odezwać.

Informatyk otworzył jeden z plików i Michael odchylił się do tyłu z przedsmaikiem popiołu i katastrofy w ustach, za to Nobel pochylał się w przód i mamrotał coś do siebie niezrozumiale.

Straat zachował swój normalny, pozbawiony życia wyraz twarzy. Nie było na niej ani śladu triumfu czy schadenfreude. Jego szare oczy były wręcz bardziej matowe niż zwykle.

– Ależ z ciebie sprytny chłopiec, Michaelu – wyszeptał tylko.

Esben popatrzył bezradnie na prezesa i otworzył następny plik... i kolejny.

– Co to jest? – spytał zrozpaczony.

Nobel wyprostował się bardzo wolno, jak ktoś, kto właśnie złożył w ziemi urnę z prochami ukochanej osoby. Jego opanowanie naprawdę było fenomenalne, to mu Michael musiał oddać. Zwłaszcza że jego własny mózg kręcił się jak opętana wirówka. A gdy raptownie się zatrzymała, pod powiekami wyświetlił się jeden, drżący obraz: Lene. Złamał najstarszą i najbardziej fundamentalną zasadę w swojej profesji, aby nigdy nie lekceważyć przeciwnika.

– Z tego, co widzę, są to różne ujęcia czerwonego modelu samolotu na biurku – wyjaśnił bezdźwięcznym głosem Nobel. – Trójpłatowiec Fokker z Jagdgeschwader jeden, należący bez wątplenia do barona Manfreda von Richthofena. Skądinąd świetna robota. – Popatrzył na Michaela. – I nic więcej.

– Lene – powiedział Michael bez zastanowienia.

– Lene Jensen? – zapytali chórem Straat i Nobel.

– Tak... tak, do diabła! Lene, kurwa, Jensen!

– Siadaj – rozkazał Nobel i Michael posłuchał. W tej chwili każdy mógłby mu kazać zrobić cokolwiek. Gdy usiadł na kanapie, zapadł się na pół metra w puchowym siedzisku. Wbił wzrok w swoje puste dłonie. Czuł, jak między palcami przesypuje mu się półtora miliona franków szwajcarskich.

Straat zniknął z jego pola widzenia, a trochę później Michael usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Esben wciąż nieruchomo patrzył w komputer, jakby maszyna nagle ożyła. Z coraz większym zapamiętaniem klikał w kolejne pliki. Pewnie otworzył wszystkie czterysta czterdzieści jeden.

– Wszędzie jest to samo – mruknął. – Na wszystkich... jest ten samolot...

Nobel usiadł na wprost Michaela, oparł stopę na kolanie i chwilę skubał coś przy pięcie buta. W końcu westchnął ciężko, złapał się za swoją opaloną kostkę, jakby miała mu zapewnić jakiś punkt oparcia, i spojrzał na Michaela.

– Albo zasłużyłeś na Oscara za całokształt dokonań aktorskich, albo naprawdę nie wiedziałeś, że... że moje kluczowe dane... zostały zastąpione zdjęciami modelu samolotu. Mimo że ten dysk wyglądał jak ten na nagraniach z kamer Dirka?

– Nie wiedziałem o tym. I tak, to *jest* ten dysk! Dostałem go od Anny Nordstrand. Więc to ona powinna dostać Oscara. Chociaż...

– Chociaż co?

– Ona też nie wiedziała. Nikt nie jest aż tak dobry. Lene musiała... w jakiś sposób... podmienić oryginalne pliki... Musiała się włamać do waszego serwera i wykraść klucz do Rijndaela.

Nobel przeniósł wzrok na Esbena.

– Sprawdź, czy są jakieś ślady niepowołanego dostępu zeszłej nocy. *Pronto.*

Chłopak pokiwał głową, jego dłonie poruszały się z prędkością światła.

– A ty, Michael, nie jesteś aktorem – powiedział prezes zmęczonym głosem. – Z reguły pierwsze słowo padające z ust mężczyzny, którego wyjątkowo mocno kopnięto w jaja, jest najprawdziwszą prawdą. Ty powiedziałeś „Lene”. Bądź tak miły i rozwiń tę myśl.

– Żonę i córkę Nordstranda znalazłem w jej mieszkaniu. Dała im schronienie u siebie we Frederiksbergu.

Prezes zamknął oczy i wszystkimi palcami z całej siły podrapał się po głowie.

– Ale znalazłem je tam tylko dlatego, że ona chciała, bym je tam znalazł  
– ciągnął Michael i znów popatrzył na swoje dłonie. – Nie doceniłem jej.  
To niewybaczalny błąd, niemniej jednak tak właśnie zrobiłem.

– Tak, to niewybaczalne.

– Wiem. Poszedłem do niej dziś rano. Po tym, jak Lene wyszła z mieszkania. Teraz wiem, że obserwowała mnie z ukrycia i pewnie miała ubaw po pachy. – Michael pstryknął palcami. – To przecież dlatego...

– Co?

– Zapytała mnie raz, kompletnie bez kontekstu, czy zdarzało mi się z zimną krwią zabijać kobiety albo dzieci. Chciała się upewnić, że nic im nie zrobię.

– Domyślam się, że się nie zdarzało?

– Jeden raz w Somalii. Ale przez pomyłkę. To była dziewczyna, mogła mieć z piętnaście lat. Próbowwała wezwać kontyngent piratów z Asz-Szabab przez telefon satelitarny i była odwrócona plecami. Wziąłem ją za młodego mężczyznę.

– Takie rzeczy się zdarzają. – Nobel ze zrozumieniem pokiwał głową. – Zwłaszcza w Somalii.

– Wtedy się zdarzyło. W każdym razie wszedłem do mieszkania Lene. Akurat jadły śniadanie. Przystawiłem dziewczynce pistolet do głowy i poprosiłem o dysk USB. Dostałem go, związałem je i wyszedłem.

Nobel położył dłonie na kanapie. Na jego twarzy malował się wyraz bezradności i pogodzenia z losem.

Po czym popatrzył na Esbena, który cały czas zaciekle klikał.

– Nie chcę być niemący, ale mam przed sobą trochę umysłowej harówki, zanim za sześć godzin wylecę. Muszę na przykład wymyślić jakieś zgrabne wytłumaczenie w czterech językach.

Chłopak podniósł palec.

– Esben?

– Panie Nobel, jest słaby ślad. O czwartej dwadzieścia pięć. Bardzo dobry zawodnik.

– Skąd?

– Chwileczkę.

Znów klikanie.

– Mediolan.

– Czyli skądkolwiek.

Esben zwiesił rękę.



– Tak, panie Nobel. Ten ktoś mógł być w Vanløse albo w Reykjavíku.

– Dziękuję, Esben. Zostawmy to. W tej chwili to nieistotne. – Prezes odprowadził Michaela do drzwi. Dał ochroniarzom znać, że wszystko w porządku, a starszemu wsunął coś do ręki, chociaż Michael nie widział co.

Odwrócił się do prezesa i powiedział:

– Przykro mi.

– Mnie również. Mam nadzieję, że zrozumiesz, jeśli zaliczkę w wysokości stu tysięcy franków uznam za stosowną zapłatę za twoje usługi?

– Oczywiście. – Michael wyciągnął do niego rękę, ale prezes jej nie uściśnął. – A gdzie Dirk? – Michael się rozejrzał.

Nobel wzruszył ramionami.

– Freelancerzy! Pewnie jest w drodze do Amsterdamu ku nowej przygodzie – odparł obojętnie. – Żegnaj.

Michael szedł przodem krętą ścieżką, a tuż za nim kroczyli dwaj strażnicy. Nieopodal mały chłopiec zbierał jagody. Czarny pudel przyglądał mu się ze zwieszonym jęzorem. Chłopiec podniósł głowę i popatrzył na Michaela. Wargi miał czarno-czerwone od soku, a jego drobne dłonie były pełne skarbów w postaci lśniących czarnych jagód.

– Jak masz na imię? – spytał.

– Michael.

– Zulu – powiedział chłopiec, wskazując na psa.

Michael pokiwał głową, a pies podał mu łapę, nawet na niego nie patrząc. Wzrok cały czas wbijał w chłopca.

– Fajny. A ty jak masz na imię? – spytał Michael.

– Paul. Mój dziadek też ma na imię Paul.

– Oczywiście.

Starszy ze strażników zakaszłał dyskretnie.

– Do widzenia, Paul – Michael się pożegnał.

Chłopiec wyciągnął rękę i Michael przyjął od niego garść jagód.

– Zajebicie na siebie uważaj, Paul.

Chłopiec zarechotał, pokazując małe czarno-czerwone zęby.

– Powiedziałeś „zajebicie”. Nie wolno tak mówić.

– Nie wolno, ale w najbliższym czasie usłyszysz to nie raz.

– Do widzenia, Michael. – Chłopiec wymówił jego imię „Mik-al”.

– Do widzenia.

Przy tylnym wyjściu przystanął i jeszcze raz się odwrócił.

Młodszy ze strażników wcisnął guzik pilota i drzwi się otworzyły. Starszy z ubolewaniem rozłożył ręce.

– Przykro mi, panie Sander. Naprawdę.

– Dzięki.

– Pan Nobel prosił, żebym to panu przekazał. Powiedział, że to pamiątka.

Strażnik wręczył mu metalicznie szary karbowany dysk USB ze zdjęciami czerwonego samolotu. Co w sumie miało sens. Asystent Lene, Bjarne, podstarzałe cudowne dziecko, lubił kleić modele samolotów. Michaelowi wydawało się nawet, że pamięta biurko zdolnego informatyka. Pamięta w każdym razie, że walało się na nim sporo chrupek serowych.

\*

Lene stała przy skrzynce na listy obok furtki do ogrodu willi. Koperta z płytami znajdowała się w połowie drogi do skrzynki. Wystarczyło rozsunać palec wskazujący i kciuk, odwrócić się i odejść.

Nim to zrobi, popatrzyła jeszcze na duży biały dom, na parterze którego mieszkał Michael z siostrą. Żywopłot należałoby już przyciąć, a trawa w niektórych miejscach sięgała kolan. Chociaż to nie powinno dziwić, Lene nigdy nie podejrzewała Michaela o pasję ogrodniczą.

W końcu cofnęła rękę i popatrzyła na kopertę.

Trzy rodziny. Jedna skrzynka. Co by było, gdyby któryś z pozostałych mieszkańców zabrał kopertę razem z własną korespondencją? Taki głupi przypadek mógłby mieć straszliwe konsekwencje. Lepiej włożyć mu to do drzwi albo wsunąć pod daszek balkonu. Ruszyła wyłożoną flizami ścieżką do krótkich, popękanych betonowych schodów i wbiła wzrok w całkiem zwyczajne drzwi z jasnego dębu.

Sander.

Mosiężna wizytówka z jednym słowem.

Ze środka nie dochodził żaden dźwięk.

Lene wzruszyła ramionami, kucnęła i zaczęła wpychać kopertę z cennymi płytami w szparę między progiem a drzwiami, kiedy te się otworzyły. Wstała i popatrzyła na szparę. Zapukała w futrynę i zaczęła.

Nic.

Powtórzyła rytuał pukania, ale skutek był podobny. Rozejrzała się w poszukiwaniu oznak życia, a gdy żadnych nie znalazła, otworzyła drzwi do końca i weszła do długiego korytarza z wysokim sufitem.

– Halo? Michael?

\*

Wydawało mu się, że słyszy krzątanie personelu w odległych sterylizatorniach, magazynach leków albo kuchniach, ale nikogo nie mógł znaleźć. Jakby brał udział w nocnych podchodach. W dyżurce pielęgniarek nie było żywej duszy. Dzwonił telefon, ktoś musiał wyróżniać się wyjątkową cierpliwością albo desperacją, bo dźwięk trwał w nieskończoność. Jadąc tu, kupił kwiaty. Świeże, soczyste żółte tulipany. Telefon zamilkł, ale po chwili znów się rozdzwonił.

Michael chciał porozmawiać z kimś, kto opiekował się jego siostrą, zanim do niej pójdzie, ale stracił cierpliwość. Ruszył w dół korytarza i zatrzymał się przed drzwiami do jej pokoju. Były uchylone, a w środku słychać było jakieś głosy, ale żaden z nich nie należał do Idy. Zmarszczył brwi i wszedł. Pielęgniarsz i pielęgniarka ścielili łóżko. Jego siostry w pokoju nie było.

Zamilkli, gdy go zobaczyli.

– Gdzie moja siostra?

– Nazwisko? – spytał młody mężczyzna z brodą i sympatyczną twarzą.

Michael zamknął oczy, spróbował pohamować irytację.

– Ida Selinger. Dziś w nocy leżała tutaj. Wczoraj też.

– Zaczęliśmy dwie godziny temu – wyjaśniła dziewczyna i odsunęła z czoła jasny kosmyk.

– I? Nie przekazujecie sobie żadnych informacji? Na przykład o pacjentach, jak się czują, jak się nazywają, kto żyje, a kto umarł?

– Chwileczkę – wtrącił się mężczyzna, pewnie był niedawno na kursie asertywności. Michael uciszył go lodowatym wzrokiem. Dziewczyna wyjęła z kieszeni kartkę. Czytając, poruszała wargami.

– Tea...?

– Ida! Ida Selinger. Niecałe trzydzieści sześć godzin temu próbowała się zabić. Leżała w łóżku, które właśnie ścielicie.

Dziewczyna się zaczerwieniła i pokiwała głową.

– Tak, mam ją tutaj – powiedziała cicho.

– Gdzie ona jest?

– Została wypisana.

– Dokąd? Przeniesiono ją na oddział psychiatryczny?

Pielęgniarka dla pewności spojrzała jeszcze na tylną, pustą stronę kartki.

– Nic o tym nie piszą. Przykro mi.

– Cholera jasna, czy wy tutaj w ogóle cokolwiek wiecie?

Młody mężczyzna otworzył usta, ale znów coś w twarzy Michaela sprawiło, że słowa zamarły mu na języku.

Niesforny kosmyk wrócił na czoło pielęgniarki, a ta odsunęła go dmuchnięciem.

– Mogę zapytać – powiedziała.

Michael rzucił kwiatki na łóżko. Rozsypały się na białej pościeli, część spadła na podłogę.

– Taki przejaw inicjatywy z twojej strony byłby na miarę cudu, ale daruj sobie. Nie chcielibyśmy, żebyś coś sobie nadwyrężyła. Sam się dowiem.

Wzburzony wyszedł z sali.

\*

– Michael? Ida?

Lene po raz trzeci zapukała do drzwi za swoimi plecami, ale wciąż nikt się nie odezwał, dzwonek był zepsuty. Ruszyła w głąb długiego korytarza z pustymi pokojami i sypialniami po obu stronach. Nabrała wątpliwości, czy trafiła pod właściwy adres. Przestronne mieszkanie wyglądało, jakby dopiero czekało, aż ktoś w nim zamieszka. Sufity zdobiły stiuki, ściany obłożono eleganckimi wysokimi panelami, a na podłogach leżał piękny olejowany parkiet. Wszędzie jednak było pusto i cicho. W promieniach słońca tańczyły drobinki kurzu i nie było śladu ludzkich zapachów. Powietrze wypełniał jedynie zapach farby olejnej i świeżo wycyklinowanego parkietu. Okej, ale na drzwiach było przecież napisane „Sander”?

Drzwi do kuchni były otwarte, podobnie jak okno wychodzące na ogród. Tu wyraźnie wyczuła papierosy Michaela, zaś w lodówce znalazła jedzenie. Na okrągłym stole leżał obrus i stał półmisek ze świeżymi owocami. Mleko w lodówce miało datę sprzed dwóch dni. Na oparciu krzesła wisiała czarna marynarka. Lene podniosła ją i powąchała kołnierz. Pachniał Michaeliem. Z jakiegoś powodu uśmiechnęła się.

Dotknęła metalicznego czajnika na kuchennym blacie i przestała się uśmiechać. Był ciepły. Wypuściła z rąk marynarkę i szybko się odwróciła.

– Halo? Jest tu ktoś? To ja, Lene.

Otworzyła drzwi do korytarza.

– Lene Jensen... – dodała dla pewności. Jej głos odbijał się echem w pustych pokojach.

Potem podłoga zawibrowała jej pod stopami i usłyszała buczenie, które dobrze znała, ale którego nie umiała zidentyfikować ani wskazać jego źródła.

Popatrzyła na trzymaną w ręce kopertę i przypomniała sobie, po co tu przyszła.

Myślała, że to będzie taki gest, że wybawi go z opresji. Nie chciała żadnych peanów, wylewnej wdzięczności. Pragnęła jedynie z klasą i w dobrym stylu dać Michaelowi do zrozumienia ponad wszelką wątpliwość, że tym razem to *ona jemu* uratowała tyłek.

I żeby to sobie dobrze zapamiętał. Na zawsze.

Gdzie zatem powinna mu to zostawić, żeby na pewno to znalazł? W miejscu dyskretnym, ale godnym – w końcu chodziło o informacje, od których świat mógł zdrzeć w posadach. Gzysms kominka byłby najlepszy. Tam się zostawia listy pożegnalne, prawda? Albo szokujące testamenty. Nigdzie jednak nie znalazła kominka, więc otworzyła ostatnie dwie pary drzwi.

Pierwsze prowadziły do niemal pustego pokoju z niepościelonym materacem na podłodze, popielniczką pełną petów w pobliżu poduszki, opróżnioną do połowy butelką whisky i szklanką z odrobiną złotego napoju na dnie oraz trzema powieściami Hemingwaya noszącymi ślady intensywnego użytkowania.

W pokoju mieściła się garderoba, a w niej piętrzyły się męskie ubrania. Oparty o szafę stał wytarty skórzany futerał. Domyślała się, że zawierał jakiś zaawansowany model strzelby snajperskiej.

Na parapecie laptop. Pancerny, jak te, których ludzie używają na platformach wiertniczych albo w wojsku. Otworzyła zatrzaski, podniosła klapę i spodziewała się zobaczyć milion wezwań do wprowadzania kodów i haseł, ale zamiast tego zobaczyła swoje zdjęcie: szła leśną ścieżką wzdłuż żywopłotu z młodymi wiosennymi liśćmi. Patrzyła prosto w obiektyw i uśmiechała się niepewnie.

W tle rozpoznała bryłę kościoła w Værløse i przypomniała sobie, że była tam na pogrzebie pewnej młodej kobiety. Michael czekał z aparatem na leśnej drodze nieopodal.

Lene z zaskoczenia niemal upuściła komputer na podłogę, po czym powoli zamknęła klapę.

Wycofała się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Następne prowadziły do nienagannie czystej łazienki wyremontowanej zgodnie z wszystkimi regułami sztuki: ręcznie wykonane kafelki w ciepłych barwach w stylu włoskim, ściana z matowego szkła w lazurowym kolorze przywodząca na myśl Morze Śródziemne, bidet, półka z białymi zwiniętymi ręcznikami, trochę flakoników i słoiczków należących pewnie do siostry i pokrywa wiklinowego kosza na bieliznę. Pokrywa leżała na umywalce i Lene aż zmarszczyła czoło na widok tego zakłócenia.

Ostatnie drzwi prowadziły do ciepłego, przytulnego pokoju, wyraźnie widać tu było kobiecą rękę. Stało w nim białe łóżko, regały z setkami książek, komplet dwóch foteli z jasną tapicerką, świeże kwiaty w wazonie, eleganckie biurko, a nad regałami wisiły dwie lśniące szable.

Lene wróciła na korytarz. To była czyjaś osobista przestrzeń, ona nie miała w niej czego szukać.

Stała chwilę, nadal z tą przekłętą kopertą w dłoni, i spojrzała na zegarek. Cztery odziane w burki uciekinierki pewnie zbliżały się już do celu. Były bezpieczne i nic złego nie mogło ich spotkać.

W telefonie miała pięć esemesów od Charlotte. Każdy bardziej lapidarny i wściekły od poprzedniego. Chciała widzieć Lene w swoim biurze. Natychmiast!

Lepiej mieć to za sobą.

Będzie to prawdopodobnie ostatnia rzecz, jaką zrobi w swoim życiu zawodowym, zanim jej nie zwolnią albo przeniosą do drogówki w Vanløse, posterunku, który Michael obstawiał jako jej stację końcową. Postanowiła, że po prostu zostawi tę kopertę na stole w kuchni, a potem wymaże z pamięci Michaela Sandera i wszystko, co się z nim wiązało.

Oparła kopertę o pieprzniczkę i odwróciła się, żeby wyjść.

– Lene... Lene Jensen. Jaka miła niespodzianka, naprawdę. Tak się cieszę, że cię widzę. Jest jednak coś, co się nazywa sprawiedliwość, prawda? Choć w zasadzie to przeznaczenie.

Słowa dotarły do jej uszu, mózg je przetworzył, ale nie rozpoznał głosu, a jej nie wypełniło radosne wyczekiwanie. Bo męski głos nie należał do Michaela. Poza tym mówił po angielsku z holenderskim akcentem i brzmiał płasko, beznamiętnie. Nigdy wcześniej go nie słyszała. Rozpoznała za to trzask przeładowywanej broni.

Michael wbiegał po trzy stopnie na raz napędzany prawdziwą, rozdzierającą nienawiścią do Lene. To uczucie domagało się fizycznej ekspresji, na przykład pobicia jej tak, żeby przez następne dziesięć lat nie oprzytomniała. Kiedy dotarł na trzecie półpiętro, przystanął, żeby złapać oddech.

Wtedy zauważył dwie rzeczy, które kazały mu wyjąć i odbezpieczyć Glocka: drzwi mieszkania Lene były otwarte, drewniana futryna na wysokości zamka została wyłamana, a z uchylonych drzwi mieszkania obok dochodziło dziwne, żalosne popiskiwanie. W tamtym przedpokoju coś się poruszało, ale uwagę Michaela przykuł srebrny sandał widoczny w drzwiach. Sandał znajdował się na stopie pokrytej niebieskimi wijącymi się żyłami, a kiedy Michael otworzył drzwi do końca, zobaczył, że należała do kobiety o natapirowanych blond włosach, która pod rozwiązanym liliowym szlafrokiem była naga. Leżała na plecach w przedpokoju, ewidentnie martwa z dość oczywistej przyczyny: w lewej białej piersi widniała rana wlotowa z okrągłym czarnym zabrudzeniem. Druga czarna dziura zionęła w czole, nad zaskoczonymi oczami.

I w mieszkaniu był mały pies. Zwierzę popatrzyło na Michaela oczami jak guziki. Potem przechyliło łeb, pomachało ogonem, zaskowyczało żalownie i przeniosło wzrok na martwą właścicielkę. Miał na szyi czarną obrozę z żółtymi kamyczkami. Z rany w piersi kobiety wąską strużką wypływała krew. Pies zlizął ją i znów zaskowyczał.

Dirk Straat tu zajrzał.

Nie był w drodze do Amsterdamu. Wybrał się na łowy. Na rozkaz Nobla albo na własną rękę. To było bez znaczenia. Ten człowiek był bez wątpienia śmiertelnie groźny.

Michael lufą pistoletu otworzył na oścież drzwi mieszkania Lene. Zarykował rzut okiem do przedpokoju i ruszył do środka, z pistoletem na wysokości oczu, jako przedłużenie pola widzenia. W salonie było pusto i cicho, jeśli nie liczyć psa, który popiskując, węszył za cienką ścianą.

– Lene? Lene, do diabła...

Łóżko w sypialni było zasłane, a okno wychodzące na tylne podwórko – otwarte. Kiedy uchylił drzwi, przeciąg wciągnął cienkie białe zasłony do środka pokoju. Następnie sprawdził dawny pokój Josefine, tam też nikogo nie było. Łazienka wyglądała jak każda inna, więc pozostała kuchnia.

Nic. Buczenie lodówki.

Czy Straat zastał ją w domu? Zabrał ze sobą? Ale jeśli tak, to dlaczego po schodach nie biegają policjanci i ratownicy? Bo nie wyobrażał sobie,

aby Lene poddała się bez zacieklej walki, tymczasem w mieszkaniu nie było najmniejszych śladów szamotaniny. A strzelając do tragicznie ciekawskiej sąsiadki, pewnie użył tłumika.

Michael opuścił broń. Przez mózg przelatywały mu straszliwe sceny, aż dostrzegł kartkę, która była zmięta, ale ktoś ją rozprostował i zostawił na kuchennym stole.

Pochylił się. Była to pusta koperta, a na niej pośpiesznie napisane jego imię z błędem oraz adres.

Nagle podniósł głowę i wciągnął powietrze nosem. W kuchni wciąż wisiał ostry zapach tytoniu. Przekłęte greckie cygaretki Straata, cuchnące jak spalona wkładka laktacyjna. Michaela zmroziło, od czubka głowy po palce u stóp. Wiedział dokładnie, co się stało. Straat znalazł kopertę i wyciągnął taki sam wniosek jak on: Lene postanowiła dostarczyć coś do jego domu w Gentoft, a Straat podążył za nią niczym pocisk wykrywający ciepło.

Michael spojrzął na zegarek i opadł ciężko na krzesło przy stole z kopertą w rękach. Nie musiał się śpieszyć. Już było za późno. Ile mu zajęło kupienie kwiatów, opieprzenie pielęgniarzy i dojazd na Frederiksberg? Godzinę? Co najmniej. Przewaga Straata była katastrofalna. Gdyby tylko... gdyby tylko prosto od Nobla przyjechał tutaj, to może zdążyłby przed nim. Być może zastałby jeszcze Lene albo przynajmniej znalazł kopertę i zabrał ją ze sobą. „Gdyby tylko”. Najbardziej bezużyteczne, banalne i przerażające słowa na świecie.

Siedział kilka minut z twarzą w dłoniach. Potem przypomniał sobie o Idzie i zerwał się raptownie.

Co, jeśli prosto ze szpitala pojechała do domu? Straat nie miał z nią żadnych porachunków, ale miał wielki problem z Michael, więc siostra byłaby doskonałym substytutem.

Poza tym Straat nie myślał jak inni. Stanowił ujście dla podstawowych instynktów i impulsów.

Michael w parę sekund pokonał schody i wybiegł na ulicę, rzucił się do swojego samochodu, wiedząc, oczywiście, że bez względu na to, jak szybko będzie biegł i jak szaleńczo poprowadzi swój wóz, to i tak dotrze za późno.

\*



Normalny człowiek spróbowałby najpierw coś powiedzieć, ale nie Lene. Ona odwróciła się i prawą ręką już sięgała do biodra. W połowie ruchu przypomniała sobie, że pożyczyła służbową broń Annie Nordstrand. Nim ta konstatacja zdążyła ją przerazić, coś twardego i ciężkiego uderzyło ją w głowę. Zęby uderzyły o siebie, a nogi się pod nią ugięły.

Z boksu знаła stan bliski utraty świadomości, ale to było gorsze. Usiadła na podłodze, dłonią dotknęła głowy, w ustach miała smak krwi. Musiała się ugryźć w język. Potem zwymiotowała. Pustym wzrokiem patrzyła na kałużę między swoimi rozkraczonymi nogami.

Dobrze ubrany nieznajomy stał dwa metry od niej. W dłoni trzymał pistolet z tłumikiem. Matowoszary kolor metalu powtarzał się na krawacie, skarpetkach, twarzy i w oczach, które pomimo słabego uśmiechu i zmarszczek mimicznych były nieruchome jak namalowane protezy.

Lene znów się zakrztusiła, ale nic już nie miała w żołądku.

Tamten kucnął, żeby jej spojrzeć w oczy. Jego pistolet nie był wycelowany w nią, ale Lene i tak wiedziała, że jest bez szans. Ten człowiek robi dokładnie to, po co tu przyszedł: zakończy to wszystko.

– Młodsza inspektor Lene Jensen – zagaił. Jego angielski był prawie bez akcentu.

– Kim ty jesteś? – spytała i zmrużyła oczy. Białe słońce boleśnie wwierało jej się w mózg. Podpierając się ręką, wstała niepewnie. Mężczyzna też się wyprostował.

– Odwróć się i rozstaw nogi – rozkazał.

Unosił się wokół niego zapach cygaretek, od którego znowu skręciło ją w żołądku. Tamten wolną ręką szybko przesunął po jej lędźwiach i wewnętrznej części nóg i ramion.

Gdy usłyszała, że się cofnął, odwróciła się, nie czekając na pozwolenie.

– Nobel Oil? – spytała.

– Freelance – odparł krótko. – Podobnie zresztą jak Zack i Hector.

– Czyli...?

– Dwaj cenni pracownicy, uśmierceni przez ciebie niedawno podczas wykonywania swojej pracy. Porządni, solidni ludzie. Lubiłem ich.

– Tych rzeźników? Mówiąc szczerze, trudno mi w to uwierzyć – mruknęła Lene. – Myślę, że nawet ich matki za nimi nie przepadały.

Dopóki będzie w stanie do niego mówić – albo z nim – to nie umrze. Przecież nie strzela się do ludzi, którzy chcą ci coś powiedzieć, prawda?

W jego twarzy niczego nie dało się wyczytać, więc Lene spróbowała wyłączyć myślenie.

Popatrzył na zegarek. Nagle dostrzegł kopertę na stole i pomachał jej, żeby się przesunęła do rogu.

Wziął kopertę do ręki i ją obejrzał.

– Lene... czy to jest to, co myślę?

Wyjął jedną z płyt. Dysk zamigotał kolorami tęczy.

– Nie wiem, co myślisz. To sonaty fortepianowe Beethovena. Możesz je sobie wziąć.

– Nie sędzę – skomentował i schował kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Znowu spojrzął na zegarek, a potem popatrzył na nią z żalem, jakby już jej nie było. Lene gorączkowo szukała w głowie szczęśliwych obrazów, w których mogłaby zniknąć. Coś z Josefine. Coś z dwunastoletnią Josefine, tańczącą w szkole baletowej panny Svenningsen.

Udało jej się go przywołać, poczuła wielką wdzięczność.

– Tym razem udało ci się poprawnie napisać imię Michaela – zauważył.

– W twojej kuchni znalazłem pierwszą nieudaną próbę. Na marginesie, miałaś bardzo ciekawską sąsiadkę. Śmiertelnie ciekawską.

Lene poczuła pieczenie pod powiekami. Tak naprawdę na swój sposób lubiła Ritę.

– Miałam?

– Tak.

Podniósł pistolet i Lene popatrzyła w lufę. Spirala gwintowanego tunelu znikła w ciemności.

Wolała jednak zamknąć oczy. Biedna Rita.

– A Michael. Zrobiłeś mu coś, ty chory bydlaku?

– Czyżbym wyczuwał pewną namiętność do tego niebywale zdolnego mężczyzny? To cudownie. Chociaż niestety obawiam się, że w tej chwili nie masz co liczyć na wzajemność, Lene. Michael jest na ciebie bardzo zły.

Otworzyła oczy, żeby na niego spojrzeć, chociaż w nim naprawdę nie dało się niczego zobaczyć. Mimo to nagle pilnie musiała się dowiedzieć, czy Michael jest cały i zdrowy.

– Ty gnoju, możesz chyba odpowiedzieć?

Holender wzruszył ramionami, choć pistolet nawet nie drgnął. Zaraz, może jednak dało się dostrzec w tej harmonijnej bladej i suchej twarzy cień irytacji?

– Niestety, z nim nie miałem jeszcze przyjemności. Ale to kwestia czasu. Z całą pewnością zamierzam się z nim rozprawić. Żałuję również, że nie mam więcej czasu, aby porządnie zająć się tobą. To dla mnie zbyt... sterylne, bezosobowe. Ale muszę zdążyć na samolot, a raczej na człowieka, który musi zdążyć na samolot.

Lene zrozumiała, że więcej słów nie padnie. Zacisnęła powieki i próbowała wrócić do Josefine w tutu, lekkiej jak piórko, z gracją rozkładającej ramiona i ze skupionym uśmiechem na pięknej wąskiej twarzy.

Nie potrafiła jednak zatrzymać tego obrazu. Stale jej umykał i zmieniał się w Michaela albo tego chorego sukinsyna, który stał przed nią... a potem rozmywał się na krawędziach i odfruwiał, jakby go porwał wiatr.

Lene spowiła czarna pustka. Obraz Josefine zniknął w oddali i już miał nie wrócić.

W korytarzu skrzypnęła podłoga. Mężczyzna zakaszłał sucho, ale nie otwierała oczu. Zrobił krok w jej stronę. Poczowała to przez podeszwy butów, ale nadal zaciskała powieki.

– No, dalej! – wyszeptała. – Zrób to...

Wtedy za nią rozległ się huk i się rozpląkała, chociaż nienawidziła się za to.

– Lene... Lene?

Głos kobiety. Drżący, ale tylko odrobinę. Tuż przed nią. To niemożliwe. Całkowicie i bezwzględnie niemożliwe.

W końcu otworzyła oczy. Zobaczyła stojącą w drzwiach kobietę, ale w to nie uwierzyła. Nikt nie ma aż takiego szczęścia. Świat nie jest zdolny do tak wielkich aktów łaski.

Kobieta była od niej niższa o głowę, szczupła i miała ciemną karnację. Jej rozpuszczone kręcone włosy gdzieś błyszcząły siwizną. Na lewym łokciu poniżej rękawa koszulki widać było opatrunek. Na nogach miała białe tenisówki – i swym wyglądem przypominała Michaela. Tak jak on miała ciemnoniebieskie oczy. W tej chwili otwarte szeroko i wwiercające się z wyrazem osłupienia w leżącego na podłodze Straata. Leżał na boku z oczami skierowanymi ku Lene. Wciąż oddychał, ale słabo. Krwawił z nosa i ust. Z jego białej koszuli w miejscu, gdzie kończyły się żebra, sterczała długa stalowa klinga. Reszta zabytkowej szabli wystawała mu z pleców. Rękojeść była pozłacana i kręta, kosz elegancko wygięty, a głowicę wieńczył wyszlifowany niebieski kamień.

– Jestem Ida – przedstawiła się kobieta. – Siostra Michaela. A ty jesteś Lene Jensen z policji.

Wyciągnęła do Lene rękę, a gdy ta ją uścisnęła, kobieta pociągnęła ją na drugą stronę umierającego nieznanego.

Teraz obie mu się przyglądały.

Zamknął oczy. Jego lewa dłoń po omacku przesuwała się w stronę tego dziwnego przedmiotu. Przerazającego, obcego i bolącego przedmiotu w jego piersi.

W końcu dłoń opadła na podłogę. Z obu nozdrzy ciągnęły się strużki krwi. Klatka piersiowa uniosła się tylko raz i więcej się nie poruszyła.

Ida uklękła i sprawdziła mu puls nad kołnierzykiem. Potem wstała i szybkim, precyzyjnym ruchem odgarnęła włosy za uszy.

Wydawała się nadzwyczaj opanowana, co Lene skomentowała.

– Jestem lekarką. Przez osiemnaście lat co roku na dwa miesiące powoływali mnie do izraelskiej armii. Chyba naprawdę widziałam już wszystko.

– Ale co się stało?

– Może chodźmy do mojego pokoju?

Lene schyliła się i wyjęła kopertę z kieszeni nieboszczyka. Była zakrwawiona na krawędziach, ale płyty nie wyglądały na uszkodzone.

Ida popatrzyła na kopertę i nic nie powiedziała.

W korytarzu minęły pusty kosz na pranie, a kiedy Ida zaprosiła Lene do swojego pokoju, ta z wdzięcznością zanurzyła się w jednym z jasnych foteli. Potem zgięła się wół od silnego skurczu żołądka i zaczęła szlochać. Zęby jej stukały, więc je zacisnęła. Wiedziała, że jeśli pozwoli sobie na choć jeden najkrótszy krzyk, to nie będzie umiała przestać.

Po kilku minutach wszystko minęło, po czym wróciło, ale znacznie słabiej. Wreszcie niemal całkowicie się uspokoiła.

Wyprostowała się i popatrzyła na szczupłą postać w fotelu na wprost. Jej dłonie leżały na oparciach, a duże, lekko skośne oczy uważnie jej się przyglądały.

Lene otworzyła usta, żeby przeprosić, ale kobieta ją uprzedziła:

– Michael mówił ci, że lecę się psychiatrycznie?

– Powiedział, że straciłaś syna.

– To on – odparła i wskazała głową.

Z portretu na górnej półce regału uśmiechał się przystojny młody mężczyzna.

– Jozjasz – wyjaśniła Ida.

– Wydaje się pogodny.

– Z reguły taki był, chociaż niełatwo jest młodym ludziom w Izraelu. Wielu z nich emigruje.

– Co się właściwie stało tam, w kuchni? Myślałam, że w domu nikogo nie ma.

– Byłam w Rigshospitalet, bo przedwczoraj w nocy próbowałam się zabić – powiedziała kobieta rzeczowym tonem. – Michael mnie znalazł i zdążyli mnie odratować i postawić na nogi. Dziś rano rozmawiałam z psychiatrą i powiedziałam, że chcę wrócić do domu. Tu jest mi najlepiej. Zwłaszcza kiedy Michael...

– ...jest na miejscu i się tobą opiekuje?

– Tak. Psychiatra był w porządku i zgodził się mnie wypisać pod warunkiem, że spotkam się z nim znowu jutro przed południem. Potem w kuchni wypiliśmy herbatę i zeszłam do piwnicy zrobić pranie. Miałam słuchawki w uszach, a kiedy wróciłam na górę po pościel Michaela, w kuchni zastałam was dwoje.

– Dziękuję. – Lene przypomniała sobie tamten dźwięk i już wiedziała, że to była wirówka. – On rzeczywiście zamierzał mnie zabić, ale ty powinnaś była stąd uciekać. Znaleźć bezpieczne schronienie.

Ida wzruszyła ramionami, jakby przeszywanie na wylot uzbrojonych mężczyzn antycznymi szablami stanowiło minimum gościnności.

– Zorientowałam się, że nie żartuje, i pomyślałam o moich starych szablach. Wiedziałam, że są w dobrym stanie, ostre, mocne i spiczaste.

– Tak – Lene nie mogła się nie zgodzić. – Gdybyś odczekała dwie sekundy, byłoby po mnie.

– Ale dlaczego?

W wysokim pokoju panował szczególny spokój, który stopniowo udzielił się Lene. Część napięcia z niej zeszła. Była bezpieczna przy tej dziwnej kobiecie, która wyglądała jak Michael, tylko w bardziej miękkim, kobiecym wydaniu.

– To nieskończenie długa historia – wyznała po chwili.

– Mam dość czasu, a ten z kuchni nigdzie nie ucieknie.

\*

Kiedy Lene przypadkiem spojrzała na zegarek, okazało się, że spędziła w towarzystwie specyficznej, ale cudownej siostry Michaela aż trzy kwadransy, choć wydawało się, że minęło kilka minut. Ich rozmowę przerywały tylko małe ataki płaczu Lene, które stopniowo stawały się coraz krótsze i znacznie mniej dramatyczne. Chociaż... w sumie mówiła głównie Lene. Ida miała niezrównany dar otwierania ludzi. Zdawała się całkowicie pozbawiona uprzedzeń czy z góry przyjętych poglądów. Poza tym miały za sobą podobne, trudne doświadczenia.

O wielu rzeczach Lene mówiła na głos po raz pierwszy. Nigdy wcześniej nikomu nie przyznała się do rzeczy, które ją samą przerażały i których się wstydziła: do swojego głębokiego przekonania, że przyczyniła się do samobójczej śmierci Josefine, do nadużywania leków, alkoholizmu. Do tego, że generalnie nienawidzi ludzkości.

Ida w pewnym momencie wyszła z pokoju i wróciła z tacą, na której stały dwa kieliszki śliwownicy i dwie filiżanki kawy rozpuszczalnej. Lene wyobraziła sobie, że ta drobna eteryczna kobieta musiała się krzątać w swojej kuchni, wyjmować z szafki filiżanki i napełniać kieliszki jugosłowiańską wypalanką, cały czas pilnując, żeby nie nadepnąć na trupa albo nie poślizgnąć się na jego krwi tętnicznej czy wymiocinach Lene.

– Nie martw się, posprzątam po sobie – zapewniła ją i mocno się zaczerwieniła.

– Zamierzasz zabrać ze sobą zwłoki?

– Nie. Myślałam raczej o moich własnych... o moich...

– Nie przejmuj się tym. Wiesz co? Teraz ja ci się przyznam do czegoś absolutnie odrażającego, nieludzkiego i niewybaczalnego. Na zdrowie.

– Na zdrowie.

Zakaszwały obie, a Lene znów miała łzy w oczach. Tą wódką można by zdejmować emalię.

– Do czego...? – spytała Lene przez zaciśnięte gardło. – Dotąd było to jednoosobowe show.

– Do tego, że po Jozjaszu czułam dokładnie to co ty, z tym że ja nie obwiniałam się o jego śmierć, a naszego losu nie da się porównać z losem twoim i twojej córki. Dlatego w jakiś sposób jest mi wstyd, że tak ciężko to przeżywam.

– Okoliczności nie mają na to wpływu – pocieszała ją Lene. – To wynika ze świadomości, że nagle jest się samej. I że jest się już innym człowiekiem. No dobrze, a to odrażające?

– Cieszę się, że zabiłam tego tam, w kuchni – wyznała zawstydzona.

– Cieszysz się?

– Może nie tak wprost, ale tak, cieszę się, że zareagowałam. Że potrafiłam zareagować.

– Ja też, jeszcze jak – przyznała Lene.

– Cholernie długo byłam niewybaczalnie bierna i bezradna.

Lene otworzyła usta, kiedy z hukiem otwarły się drzwi i już nie pamiętała, co chciała powiedzieć.

W progu stał Michael, spocony, wymięty, z włosami sterczącymi na wszystkie strony i dzikim wzrokiem, którym wwierał się w nią zza pistoletu.

\*

Może to naturalne, że jako pierwsza otrząsnęła się Ida, która była przecież z innego świata.

– Michael... Wszystko w porządku. Michael! Spokojnie. Okej?

Mocno przełknął ślinę, ale pistolet się nie poruszył. Celował w jakiś punkt na twarzy Lene.

– Cześć, Michael – powiedziała Lene cicho i bardzo wyraźnie, żeby nie uruchomić niebezpiecznych impulsów. – To ja. Siedzę tu z twoją siostrą. Rozmawiamy sobie.

Wreszcie się ocknął. Lene widziała to po jego oczach.

– Tak, ale...

Lene uśmiechnęła się do niego, wiedząc, że wygląda to żałośnie.

– Chciałam ci coś zostawić w skrzynce, ale potem się przestraszyłam, że ktoś z pozostałych mieszkańców może to omyłkowo zabrać. Więc pomyślałam, że zostawię to w drzwiach. Wtedy się okazało, że były otwarte... i...

– I jedno doprowadziło do drugiego – zakończyła Ida.

– Właśnie.

– A Straat? Bo chyba zdajecie sobie sprawę, że w kuchni leży trup, co?

– Twoja siostra uratowała mi życie – wyjaśniła szybko Lene. – Przebiła go szablą. On by mnie zabił. Był zimny i obłąkany.

Michael popatrzył na Idę.

– Dobra robota – powiedział tylko.

I naraz znowu ogarnął go gniew, a oczy zmieniły się w czarne szparki, z których rzucał pioruny.

– Gdzie ty byłaś, Ida? Szukałem cię w tym cholernym szpitalu, gdzie nikt nie wie nawet, jak się nazywa!

– Po prostu mnie wypuścili – oznajmiła spokojnie i wstała. Wygładziła koszulkę. – Mam tam wrócić jutro i porozmawiać z psychiatrą. Napoczęliśmy twoją śliwowicę. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Potrzebowałyśmy czegoś na wzmocnienie. Prawda, Lene?

– Zdecydowanie.

Michael przytrzymał się krzesła. Lene nigdy jeszcze nie widziała go aż tak wyprowadzonego z równowagi.

– Co?

– Zrobię nam kawy. Michael, tak naprawdę to miło, że mamy gościa.

– Co...?

Ida uśmiechnęła się zamyślona i wyszła, zostawiając w pokoju ciszę tak gęstą, że dało się ją kroić. Słyszeli, jak się krząta w kuchni.

– To bardzo miła osoba – oznajmiła Lene i napiła się zimnej kawy. – Bardzo wyrozumiała. I kochana.

Michael pokiwał głową i usiadł na krześle. Wsparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. W prawej nadal trzymał pistolet.

– Taaa, to prawda – przytaknął. – Jest naprawdę wspaniała, tylko szkoda, że sama nie umie tego dostrzec ani w to uwierzyć. Co takiego chciałaś mi dać, co było takie ważne? A w ogóle Straat zastrzelił twoją sąsiadkę. Mam nadzieję, że nie byliście sobie zbyt bliskie. Jest jednym z morderców pracujących dla Nobla. Tym najważniejszym.

– Wiem. Straat mi powiedział. I nie, nie trzymałyśmy się szczególnie blisko, ale Rita była w porządku, na swój własny sposób.

Lene odchrząknęła i splotła palce na kolanie.

– Tym, co ci chciałam dostarczyć, są analizy Petera Holma z góry w zatoce Disko. Są twoje, jeśli ich chcesz. Zrobisz z nimi, co uznasz za słuszne. Okej?

Jego twarz stała się czerwona. Lene oczywiście wiedziała, o czym w tej chwili myślał.

– I przepraszam za samolot Bjarnego. Bo wiesz... Przepraszam – wymamrotała i rozłożyła ręce.



– Niech cię szlag, Lene! Naprawdę. Nie zapomnę ci tego. Nigdy, rozumiesz?

W życiu nie czułem się tak, kurwa, upokorzony. Masz pojęcie...

– One obie były u mnie. W moim domu! Zresztą wiesz o tym. Ta niešťczesna kobieta i jej biedne dziecko. Musiałam je stamtąd wydostać! Ukryć je gdzieś, gdzie będą bezpieczne, zanim ty byś je znalazł albo któryś z pozostałych.

Na przykład ten psychol z kuchni. Nie mogłam wiedzieć, po której stanął stronie.

– Dobra, ale dlaczego akurat teraz to robisz? Kiedy Anna i dziecko są bezpieczne za siedmioma górami? Mogłaś skasować te dane i zaszyć się w swoim nowym biurze w Hadze.

Miała ochotę mu przywalić.

– Ja naprawdę wyjeżdżam. I bardzo się z tego cieszę.

– Wszyscy się z tego cieszymy, uwierz mi. Ale jaka jest odpowiedź?

Lene się zastanowiła. Istniała jakaś?

– Czy nie tego chciałeś? – spytała z rezygnacją w głosie. – Czy nie o to ci chodziło od samego początku? Mnie te analizy są całkowicie obojętne. Dostarcz je i zainkasuj swój żółd. Zabierz siostrę za granicę, a pieniądze wydaj na jakiegoś bystrego adwokata, żebyś mógł widywać dzieci. Inaczej będziesz żałować do końca życia. Ale najpierw zadbaj, żeby Ida lepiej się poczuła. Cokolwiek jest na tych płytach, jestem pewna, że prawda o zatoce Disko i tak wyjdzie na jaw.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Możliwe. Ale jeśli wyjdzie, to będziesz sobie mógł o tym poczytać w swoim refugium na Bora-Bora albo gdzie się akurat będziesz znajdował. Razem z dziećmi.

– Ktoś powiedział „Bora-Bora”?

Ida stanęła w drzwiach z tacą i nagle zrobiło się zamieszanie, stukanie filiżankami, pytania, kto chce cukier i mleko. Lene była jej wdzięczna za ten przerywnik.

– To był tylko przykład – wyjaśnił jej cicho Michael.

– Ale ja bym chciała tam polecieć – oznajmiła Ida.

Michael westchnął.

– Kto by nie chciał. Mogę zobaczyć?

Lene wręczyła mu kopertę, a on chwilę obracał w palcach trzy płyty.

– I nie są to zdjęcia z wieczoru kawalerskiego Bjarnego?

- On nie ma żony. Zamiast tego raz w roku lata do Tajlandii.
- Szczęściarz Bjarne.
- Co robimy z panem Straatem? – spytała przytomnie Lene.  
Rodzeństwo popatrzyło po sobie i Michael uniósł brew.
- To znaczy? Przecież to była samoobrona. W jakimś sensie.
- Mam tego świadomość, ale pytanie brzmi, czy chcesz, żeby Axel Nobel dowiedział się o tym, co się stało?
- Racja. – Pokiwał głową. – Powiązania między Straatem a Nobel Oil są z całą pewnością nie do wykrycia. Nikt nie znajdzie żadnego zgrabnie sformułowanego kontraktu na dnie szuflady.
- Słuchajcie, w kieszeni miał to – przypomniała sobie nagle Ida i podniosła z tacy serwetkę.  
Leżał pod nią mały cyfrowy dyktafon i telefon.
- Michael wziął do ręki dyktafon, podkreślił maksymalnie głośność i przewinął do tyłu. Nagrań było niewiele. Odtworzył je kolejno, a wszyscy troje siedzieli, stykając się ramionami, i słuchali.
- Jezu... – Lene na koniec pokręciła głową. – Nobel rozkazuje Straatowi założyć monitoring w mieszkaniu Holma.
- A to drugie? – spytała Ida.
- To przesłuchanie Alana Knutzona.
- Potworne.
- To *jest* potworne – potwierdziła Lene. – Ale może się okazać niewystarczające.
- Dlaczego? – nie rozumiała Ida.
- Michael wstał i schował do kieszeni kopertę z płytami. Potem popatrzył na siostrę.
- Bo to dźwięk. Każdy mógł to zmontować. To nie jest niepodważalny dowód. Zadzwoń do Iversena. Nadal jest winien ojcu przysługę. Dużą przysługę. Pozdrów go ode mnie i przypomnij mu o dziewczynie. Chociaż nie sądzę, żeby zapomniał. Niech tu przyjedzie i zabierze Straata w ciągu czterech godzin. Powiedz mu tak.
- A ty dokąd idziesz? – spytała Lene.
- Pomówić z Noblem.
- Myślisz, że zechce z tobą rozmawiać? – Jego siostra była sceptyczna.
- Wiem, że zechce. Poza tym twój chłopak dzwonił na mój numer czternaście razy i zostawił tyle samo wiadomości.
- Kto? Mój chłopak? Mam jakiegoś?

– Szkutnik, Ido. Wytrwały jest. Uważam, że powinnaś do niego oddzwonić.

– Rozmawiałaś z nim?

Michael nadludzkim wysiłkiem powstrzymał się od wybuchu.

– Nie, Ida, nie rozmawiałem z nim! Co miałbym mu powiedzieć? Zaprosić do nas na scrabble?

– Przepraszam...

Drzwi się za nim zamknęły.

Lene popatrzyła na Idę.

– Gdzie się podział ten dyktafon? I telefon? I kim u licha jest Iversen? A ty masz chłopaka, którego nie znasz? I czy Michael zawsze taki był?

– Iversen to przedsiębiorca pogrzebowy z naszego miasteczka. Kiedyś był przewodniczącym rady parafialnej i kościelnym. Czasem zastępował naszego ojca.

– Pastora?

– Tak. Iversen zawsze z chęcią prowadził zamiast niego grupy przygotowujące się do konfirmacji, kiedy ojciec upił się do nieprzytomności albo zasiedział w łóżku jakiejś kobiety. Dziś uznano by go za seksoholika i wszystkim byłoby go żal.

– Zapewne. Dziś każdy ma jakąś diagnozę. To doskonałe odpuszczenie grzechów po tej stronie dnia sądnego. Pan w niebiosach będzie bezrobotny.

Ida się roześmiała.

– Mówisz jak prawdziwa chrześcijanka. Jesteś nią?

– Jestem chrześcijańską fundamentalistką, niestety.

– Rozumiem. Ja też. No, ale w pewnym momencie okazało się, że Iversen też miał nie po kolei w głowie, jak to się mówi. Co samo w sobie było w porządku. Problem w tym, że pozwalał, aby to się odbijało na nastolatkach, z którymi miał zajęcia. Tamta dziewczyna powiedziała o wszystkim rodzicom. Nie była może dosłownie... opóźniona, ale prawie. Jej ojciec był w miasteczku aptekarzem i wysoko postawionym członkiem Lions Club, a ona zaszła z Iversenem w ciążę. Mógł się z tego zrobić straszliwy skandal. Mówimy o małym miasteczku na Fionii. Ale ojcu udało się wyciszyć sprawę. Porozmawiał z rodzicami dziewczyny i tak dalej. Jak się można domyślić, lepiej od pozostałych rozumiał, że Iversen zbłądził. Dziewczyna przerwała ciążę, została wysłana na Jutlandię do szkoły dla gospodyń domowych, a konfirmacji udzielił jej inny pastor. Natomiast Iversenowi już nie pozwalano pracować z młodzieżą.

– W porządku, ale jak nam może pomóc przedsiębiorca pogrzebowy Iversen?

– Jest współwłaścicielem krematorium.

– Aaa...

– Co do Michaela. Cóż, to mój brat, Lene. I uważam, że jest świetnym, doskonałym bratem. Jedynym, jakiego mam. Ale o tym, jak traktuje kobiety, partnerki, klientów, zwierzęta czy dzieci, szczerze mówiąc, wiem niewiele. Powinnam chyba zastrzec, że w ja ogóle nie rozumiem mężczyzn. Michael i ja przez większość czasu żyliśmy z dala od siebie. Nawet w młodości. On stale grał w piłkę ręczną, a ja czytałam książki, byłam harcerką, chodziłam na basen i pięć albo sześć razy w tygodniu trenowałam szermierkę. Oboje uciekaliśmy z domu, bo żal nam było patrzeć na mamę. Potem on poszedł do wojska, dostał się do szkoły oficerskiej, a ja wyjechałam do Izraela i zaczęłam studia medyczne. I to by było na tyle.

– No tak.

– Jesteś w nim zakochana?

– Co?

– Myślę, że słyszałaś moje pytanie.

Lene sięgnęła po dzbanek z mlekiem, ale rozmyśliła się. Rozparła się w fotelu i popatrzyła na Idę, po czym spuściła wzrok.

Ida patrzyła na nią z tą swoją szczerą, naturalną przenikliwością.

– Nie musisz odpowiadać – powiedziała po chwili. – Wiem, że wasze... relacje są tak skomplikowane, że to pytanie być może kompletnie nie ma sensu...

– Są chaotyczne, to prawda. Od początku tak jest. To beznadziejne, w każdym razie z romantycznego punktu widzenia. Poza tym on był żonaty, więc... Wiesz, że on to robi dla ciebie, prawda?

– Sprzedaje duszę rekinom biznesu?

– Tak.

– Wiem. Ale chyba są inne sposoby?

Telefon Lene zapikał, sygnalizując kolejną wiadomość.

W czerwonym polu Charlotte Falster.

Lene przeczytała esemesa i przygryzła dolną wargę.

– Moja szefowa – wyjaśniła krótko.

– Czego chce?

– Natychmiast się ze mną widzieć.

– A ona nie może ci pomóc?

– Chyba nie ma ochoty. Pewnie chce tylko mieć frajdę z osobistego przekazania mi, że mnie zwalniają albo przenoszą do urzędu celnego w Thorshavn.

– Tak myślisz? Michael trochę mi o niej opowiadał. To Charlotte Falster, prawda?

Naprawdę rozmawiał o niej z siostrą? O Charlotte?

– I co ci o niej mówił?

– Że jej nie doceniasz. Między innymi.

– Między innymi?

– Powiedział, że jej nie doceniasz – powtórzyła z naciskiem. – Może powinnaś z nią pomówić?

Lene machnęła ręką w stronę kuchni.

– A ty?

– Mną się nie przejmuj. Nie mam problemu z nieboszczykami. To dodatkowy plus bycia lekarką, że tak powiem. Poza tym Iversen tu jedzie.

– A co z pozostałymi lokatorami? – spytała Lene i wstała.

– Na drugim piętrze mieszka starsze małżeństwo, ale teraz są w Kalifornii u córki. A rodzina piętro wyżej to zapaleni kibice Tour de France. Co roku podróżują wzdłuż trasy. Wrócą najwcześniej w niedzielę.

Ida odprowadziła ją do drzwi. Wychodząc, Lene zerknęła do kuchni. Po krwi i wymiocinach nie było śladu, a ciało zasłonięto szarym kocem.

Wszystko wyglądało bardzo spokojnie.

Kobiety objęły się w ganku, a przy furtce Lene raz jeszcze się odwróciła. Siostra Michaela uśmiechała się i machała do niej ze schodów.

– Nie zapomnij zadzwonić do chłopaka! – zawołała Lene.

Ida komicznym gestem zasłoniła dłonią usta i energicznie przytaknęła.

– Tak zrobię.

Potem weszła do domu i Lene usłyszała, jak przekręca zamek.

Krematorium? Pomysł padł jako coś prostego i oczywistego. Sama nie wiedziała, które z nich jest większym oryginałem: brat czy siostra.

\*

W samochodzie kilka minut zbierała się na odwagę, żeby zadzwonić do Charlotte. Opuściła okno i przejrzała się w małym lusterku na osłonie przeciwslonecznej. Możliwe, że wokół ust i oczu miała kilka nowych zmarszczek. Z powrotem zamknęła osłonę.

Telefon został odebrany po dwóch dzwonkach.

– Charlotte.

– Lene.

– Gdzie jesteś?

– W Gentofte.

– Co ty tam robisz?

– Nic.

– Lene, dzwoniłam chyba z trzydzieści razy.

– Siedemnaście.

– Aha. Ale wydawało się, jakby to było trzydzieści. Martwiłam się o ciebie.

Taaa, na pewno, pomyślała Lene.

– Niepotrzebnie, naprawdę.

Czuła się, jakby rozmawiała ze swoją matką.

– Wiem, ale i tak się martwiłam. Naprawdę. Myślisz, że mogłabyś zajrzeć do mojego biura, jeśli to dla ciebie nie jest zbyt wielki kłopot? Na przykład w tej chwili?

– Mogłabym.

– Więc przyjedź. Jesteśmy tu wszyscy i nie możemy się ciebie doczekać.

– Jacy wszyscy?

– Masz przy sobie paszport?

– Nie.

– To po drodze wstąp do domu po paszport i spakuj się na weekend. Tylko nie bierz broni ani płynów o pojemności ponad sto mililitrów. Pamiętaj.

Lene mogłaby przysiąc, że w tle słyszała stłumiony śmiech.

– Kim są wszyscy i po co mi paszport?

Ale Charlotte już się rozłączyła.

Ludzie z kadr, oczywiście. Któż inny, pomyślała po chwili.

Zastępca komendant głównej ze złotym zegarkiem na pamiątkę, miękki uścisk dłoni, mdły, przepaszający uśmiech i wypowiedzenie.

Ale dlaczego każą jej przywieźć paszport? Chcą ją przenieść do Hagi ze skutkiem natychmiastowym?

Michael zaczekał, aż długie audi Nobla wyłoniło się z kutej bramy i wjechało w elegancką ulicę zamożnych ludzi, i wcisnął gaz mercedesa. Z wyciem silnika odciągnął mu drogę, zaciągnął ręczny, zgasił silnik i wysiadł z samochodu, wszystko jednym płynnym ruchem.

Z audi natychmiast wyskoczyli dwaj ochroniarze, których poznał już dość dobrze, i schowali się za przednimi drzwiami. Sięgali do naramiennych kabur, kiedy Michael podniósł ręce do góry.

– To ja, kurwa. To tylko ja!

Obaj mieli ciemne okulary i Michael nie umiał z ich twarzy wyczytać, czy go poznali. Po chwili opuściła się boczna szyba i na tylnym siedzeniu dostrzegł fragment twarzy Nobla. Ten powiedział coś do ochroniarzy, którzy ręką dali Michaelowi znak, żeby podszedł bliżej. Zamknęły się skrzydła bramy, czemu towarzyszyło elektryczne bzyczenie, a ochroniarze ustawili się za samochodem.

Michael opuścił ręce i podszedł.

Axel Nobel zamienił swobodny strój na granatowy garnitur z białymi wąskimi prążkami i dobrał do niego przepisowy ciemny krawat. Przelotnie spojrział na Michaela i zaraz zawiesił wzrok za jego plecami, na widoku bez wątpienia znacznie ciekawszym. W półmroku kabiny Michael dostrzegł również młodego informatyka Esbena. Oczywiście z nieodłącznym laptopem na kolanach i wzrokiem również wbitym przed siebie, ostentacyjnie ignorując tego szaleńca, który nie przestawał nagabywać pana Nobla.

– Michael, za to melodramatyczne wejście przyznaję ci dziewięć punktów oraz piętnaście sekund, żeby mnie zainteresować – oznajmił rzeczowo prezes. Popatrzył na swojego porysowanego starego rolexa. – Czas start.

– Wystarczą mi dwie sekundy. – Michael wręczył mu kopertę z płytami.

Nobel wziął ją i obejrzał, ale nie zaglądał do środka.

– Kolejne samoloty?

– Mam nadzieję, że nie.

– Esben?

Prezes przekazał płyty chłopakowi, który zaczął odpalać komputer.

W międzyczasie zamyślony wsparł brodę na knykciu palca wskazującego i przyglądał się Michaelowi, który zapalił papierosa, poluzował krawat i założył ciemne awiatory.

Było ciepło i bezwietrznie. Zza okazałych murów i ogrodzeń unosił się ostry zapach zwiędłej trawy i stęchlizny. Ciemnozielone liście na drzewach

były nieruchome i nawet ptakom nie chciało się ćwierkać. Na jednym z kominów siedziały dwie mewy żółtonogie. Wyglądały jak wycięte z papieru.

– Widziałeś może Dirka? – zagadnął go wszechmocny prezes, potentat naftowy, armator, nadworny łowczy i kawaler orderu Danebrogga.

– I tak, i nie – mruknął Michael i zakasłał krótko, wypuszczając z ust kłąb dymu.

– To tak czy nie?

– Zaczekajmy z tym i dowiedzmy się, co powie nasz Esben. Jeśli dobrze pamiętam, sam powiedziałeś, że Straat wrócił do Amsterdamu do kolejnych zadań. Oby tym razem było to coś prostszego. Bo nie wydaje mi się, aby światowy rynek ropy naftowej i oczekiwana w tym środowisku samokontrola w gabinetach zarządu i eleganckich prywatnych mieszkaniach były jego mocną stroną. Jeśli mam być szczerzy.

– Doszedłem do tego samego wniosku, chociaż to nieładnie mówić źle o zmarłych.

– Tak. O zmarłych tylko dobrze albo wcale – przyznał Michael i nie dał się złapać w pułapkę.

Wygodną kabinę samochodu wypełniało ciche, ale pracowite klikanie. Esben był we własnym świecie, a jego palce poruszały się jak zabiegane pałaki.

– Panie Nobel, wszystko się zgadza, w stu procentach – odezwał się jasnym, chłopięcym głosem. – Są tu wszystkie próbki, czterysta czterdzieści jeden. Każda z osobna podpisana cyfrowo przez Petera Holma. To autentyczne analizy chemiczne i jak mówię, pokwitował je Holm, są w porządku. Zostały ponumerowane, żadnej nie brakuje. Poza tym są zaszyfrowane firmową wersją Rijndaela. Czyste jak łąza. Są...

– Jesteś pewien... tym razem? – Nobel przerwał egzaltowany słowotok Esbena. Twarz zwrócił w stronę swojego pracownika, więc Michael mógł sobie dokładnie obejrzeć jego starannie podgolony kark i śnieżnobiały kołnierzyk. Prezes używał ekskluzywnego angielskiego płynu po goleniu. Michael też lubił ten zapach, chociaż rzadko mógł sobie na niego pozwolić.

– Jestem najzupełniej, stuprocentowo pewien, panie Nobel.

Prezes wysiadł z samochodu, przeciągnął się i poprosił o papierosa.

– Zatrzymaj resztę. – Michael wręczył mu paczkę. – Ognia?

– Poproszę.

Mężczyzna zapalił papierosa i schował zapalniczkę do kieszeni.

– Esben?



– Tak?

– Zamknij okno.

Przyciemniana lustrzana szyba podjechała do góry.

Nobel zwrócił się do ochroniarzy.

– Simon, bądź tak miły i odjedź dwieście metrów. My z Michaeliem przejdziemy się kawałek. Odsuniesz swój wóz?

– Oczywiście.

Michael wycofał samochód i zaparkował przy krawężniku. Obok nich przebiegły dwie młode długonogie blondynki z tutejszej hodowli. Ich kucyki podskakiwały rytmicznie, a mijając ich, posłały Noblowi precyzyjnie wymierzone spojrzenia.

Obejrzał się za nimi z powściągliwym zainteresowaniem.

– Nowa żona? – zaciekał się Michael.

– Sam nie wiem. Mam wrażenie, że są coraz droższe.

– A jakość usług coraz gorsza – domyślił się Michael.

– Masz całkowitą rację. Słyszałem, że poznałeś mojego syna Paula.

– Bardzo miły chłopak – przytaknął Michael.

Szli powoli w stronę audi czekającego kawałek dalej. Starszy z ochroniarzy, który stał obok samochodu, znacząco pokazał na swój zegarek, ale Nobel go zignorował.

– Co za nie chcesz? – spytał i zatrzymał się na środku chodnika.

– Żebyś zostawił w spokoju mnie i moich bliskich. W tym Lene Jensen oraz Annę i Theę Nordstrand.

Prezes zmarszczył brwi i ścisnął palcami duży haczykowaty nos.

– Nikt nie jest tak szalony, żeby atakować duńską policjantkę.

– Mylisz się. Dirk Straat miał na to wielką ochotę. W tej chwili leży na podłodze w mojej kuchni. Zamierzał zlikwidować Lene, kiedy ktoś przebił mu pierś szablą.

Nobel westchnął i spojrział w bezchmurne niebo.

– Michael, nie zrobił tego na mój rozkaz. Ale w sumie cieszę się, że mam go z głowy. I co zamierzasz z nim zrobić?

– Znam człowieka, który ma krematorium.

Mężczyzna uśmiechnął się słabo.

– Można na niego liczyć? I czy to bezpieczne?

– Mogę go poprosić, żeby skremował Straata dwukrotnie, jeśli będziesz od tego spokojniejszy.

– Tak zrób. A potem?

– Musisz przysiąc, że nie będziesz się zbliżał do mnie i mojej rodziny. Ani do Nordstrandów. Mówię poważnie. Jeśli spróbujesz się mścić, wyrównać rachunki, to cię znajdę i ukarzę. W sposób radykalny. Obiecuję ci to.

– Michael, naprawdę jesteś odrobinę melodramatyczny. Co w jakiś sposób do ciebie pasuje. A tak z czystej ciekawości: w jaki sposób byś to zrobił? W sensie, doprowadził mnie do upadku?

Michael wyjął z kieszeni dyktafon Straata. Przewinął do początku i odtworzył rozmowę Nobla z Holendrem o inwigilacji Petera Holma bez jego zgody oraz o tym, że być może Holm zabawiał się z Nordstrandem.

– Jest tego więcej. Dużo więcej. Na przykład długie i dosadne nagranie zabójstwa Alana Knutzona i Marii Kemper. W czasie którego Straat wielokrotnie wymienia twoje imię. I nazywa cię sukinsynem. Przykro mi. Jest też telefon z jego odciskami palców i twoim prywatnym numerem oraz współrzędnymi geograficznymi, które idealnie pokrywają się z miejscem, w którym wyłowiono ciało Nordstranda.

Prezes popatrzył na chodnik. Dwukrotnie stuknął czubkiem wypolerowanego ręcznie szytego buta w przerwę między płytami. A potem spojrzał na Michaela z dziką nienawiścią.

– Przysięgam – wycedził przez zęby.

– Na życie swoich dzieci?

– Tak, kurwa! Coś jeszcze?

Michael pokręcił głową i Nobel uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Żadnych pieniędzy?

– Zatrzymaj je. A ja zachowam te nagrania i telefon.

W bankowym sejfie.

– Wiesz, że możesz w tej chwili zażądać czegokolwiek, prawda? Śmiało, Michael, powiedz, że chcesz kilka milionów, mój dom i noc z moją żoną. Zasłużyłeś sobie. Jedno słowo i każę Esbenowi przesłać pieniądze do Liechtensteinu tu i teraz. Dwie sekundy i staniesz się innym człowiekiem, to ci gwarantuję. Będziesz dostatecznie bogaty. Dostatecznie poważany.

Michael już szedł w stronę swojego samochodu.

– Dwa miliony franków szwajcarskich? Trzy. Wracaj tu i mnie o nie proś! Nie ma człowieka, który odrzuca taką propozycję. A co z twoją nie-normalną siostrą? Ile jeszcze wytrzyma? A twoje dzieci i ich pojebana matka?

Michael się zatrzymał.

Postał dwie sekundy.

I ruszył dalej.

Głos za jego plecami pokrzykiwał dalej.

Obiecywał mu astronomiczne sumy. Nedorzeczne, idiotyczne sumy. A potem zaczął go przeklinać.

Michael dotarł do samochodu, wsiadł i odjechał z tej ociekającej przepychem ulicy z poczuciem, że opuszcza miejsce skażone i skrajnie niezdrowe. W lusterku wstecznym widział wysoką ciemną sylwetkę Nobla, samotną i opuszczoną. Potem prezes odwrócił się na pięcie i poszedł do swoich ochroniarzy, swojego informatyka i swojego drogiego niemieckiego samochodu.

\*

Charlotte wstała, gdy Lene weszła do gabinetu, ale ta z miejsca wbiła wzrok w Bjarnego. Mężczyzna siedział skulony na krześle w rogu. Łypnął na nią i zaraz spuścił głowę zawstydzony. Pocił się obficie, policzki miał czerwone i lśniące.

– Bjarne? Co ty tu robisz?

Lene dopiero teraz popatrzyła na Charlotte.

– Co Bjarne tu robi?

– Współpracuje. Coś, czego naprawdę mogłabyś się w końcu nauczyć. Usiądź. Nikt tutaj nie życzy ci źle. Wprost przeciwnie. Toma już znasz.

Specjalny doradca uśmiechnął się do niej z kanapy, wstał i podał jej rękę. Dziś miał skarpetki pomarańczowe.

Charlotte wykonała zapraszający gest w stronę fotela dla gości, w którym Lene zwykle przybierała pozycję pólężącą. Teraz siedziała wyprostowana, ale nadal patrzyła tylko na Bjarnego. Zdjął okulary, jakby wszystko było prostsze, kiedy świat jest rozmazany, i zaczął je czyścić chusteczką do nosa.

– Kawy? – zaproponowała Charlotte i zaczęła nalewać, nie czekając na odpowiedź.

– Zwalniasz mnie? – spytała Lene.

Na twarzach Charlotte i Toma Anderssona pojawiły się rozczulające uśmiechy.

– Raczej nie, moja droga – odpowiedział.

A potem spojrzał na Charlotte.

– Bo chyba nie, prawda?

Oczy komendant głównej nie były jednak aż tak tkliwe jak oczy specjalnego doradcy.

– Oczywiście, że nie – zapewniła ją, ale zaraz pochyliła się ku niej i rzucała Lene prosto w twarz. – Zaufanie. Mówi ci cokolwiek to słowo?

– Zaufałam jemu – oznajmiła Lene i popatrzyła na Bjarnego, który skulił się jeszcze bardziej.

– I moim zdaniem powinnaś mu ufać nadal – oznajmiła Charlotte. – Bjarne nie zawiódł twojego zaufania, nic z tych rzeczy. Musiałam mu zagrozić, że go przeniosę, aby go przekonać do współpracy.

Lene odwróciła się do swojego asystenta.

– Przepraszam, Bjarne.

– Nie szkodzi – wymamrotał do podłogi.

– I do czego potrzebowaliście jego pomocy?

– Zatoka Disko.

– Góra kłamstw – zawtórował jej Andersson. – Gigantyczna, jak się okazuje.

Lene wyprostowała plecy.

– Czyli już wiecie. O wszystkim?

Przytaknęli.

– Skąd?

– Przez twoją upartą arogancję i ponieważ jak zwykle uważałaś, że wszystko wiesz najlepiej, dowiedzieliśmy się w ostatniej chwili. Pamiętasz chyba Christiana Erichsena z PET?

– Oczywiście. Przejął ode mnie zwłoki w Sydhavnen i oznajmił, że nie muszę się już przejmować tymi zabójstwami. Tak, pamiętam go doskonale.

– Świetnie. Zatem spróbuj sobie wyobrazić jego zdumienie, kiedy na jego domowy numer zadzwonił dyżurny informatyk z informacją, że ktoś z Komendy Głównej w Glostrup, a konkretnie ktoś z biura młodszej inspektor policji Lene Jensen, włamał się na ich serwer i właśnie kopiuje wyjątkowe i kosztowne oprogramowanie szyfrujące o nazwie algorytm Rijndaela.

Lene się odwróciła.

– Bjarne, mówiłeś chyba, że masz tam kolegę?

– Był na urlopie – przyznał Bjarne z miną cierpiętnika. – Nie chciałem cię zawieść, powiedziałaś, że to ważne. Że to sprawa życia i śmierci.

– Bjarne...

Charlotte mówiła dalej:

– Na szczęście Christian zachował się bardzo przytomnie. Zapewnił oficera dyżurującego, że zajmie się sprawą i żeby tamten nie przerywał procesu kopiowania. Uznał chyba, że skoro ty za tym stoisz, to owo rażące naruszenie bezpieczeństwa danych ma pewnie jakiś rozsądny cel. Może więc powinnaś podziękować również Christianowi.

– Przy pierwszej okazji podaruję mu worek kubańskiej arabiki – zapewniła ją Lene. – Jest baristą amatorem.

– Postaraj się o worek Santa Heleny – podsunął jej Andersson. – Napoleon ogromnie ją sobie chwalił na zesłaniu.

– Droga jest?

– Bardzo.

Charlotte zniecierpliwiona stuknęła paznokciami w biurko.

– Możemy kontynuować? Zatem Christian zadzwonił do mnie, a ja pojechałam do Glostrup i porozmawiałam z Bjarnem. Z hakerem Bjarnem.

Lene doskonale umiała to sobie wyobrazić. Biedny, kochany Bjarne. A zaraz potem przypomniała sobie, że kiedy w nocy wymieniali się plikami, słyszała jakieś głosy w tle, ale ostatecznie uznała je za omamy.

– Charlotte była tak miła, że zadzwoniła po mnie, kiedy tam jechała – wyjaśnił Andersson. – To była prawdziwa bomba, kiedy wszystko się wyjaśniło, dzięki... naszemu Bjarnemu. Niesłychanie ekscytujące.

– Widzieliście te analizy? – spytała Lene.

Znów skinęli głowami jak bliźnięta syjamskie.

– Wyświetliłem je jako czysty tekst – wyjaśnił Bjarne.

Lene załamała ręce i wszyscy aż się wzdrygnęli.

– Ale teraz te przekłute analizy wróciły do Nobla! Tyle dobrego, że choć Anna Nordstrand i jej córka są bezpieczne.

– Gdzie? – spytała Charlotte.

– W bezpiecznym miejscu – ucięła ostro Lene.

Komendant posłała Anderssonowi spojrzenie mówiące: „widzisz, z czym się muszę użerać na co dzień”.

– Poza tym tobie zależało tylko na tym, żeby się mnie pozbyć – ciągnęła ze złością Lene. – Nagle zaczęło ci się cholernie spieszyć, żeby przepchnąć moje podanie, które złożyłam nie wiem ile miesięcy temu.

Tu Andersson postanowił interweniować:

– Lene, wybaczone, ale jesteś niesprawiedliwa. *Nam wszystkim* ogromnie zależało, żeby się ciebie pozbyć, o tym mogę cię zapewnić. Chcieliśmy cię wysłać jak najdalej i jak najszybciej.

Charlotte popatrzyła na nią urażona.

– A myślisz, że kto ci przysłał wiadomość o znalezieniu ciała Nordstranda i żebyś pojechała do Zakładu Medycyny Sądowej, zanim tam wezwą Johanna Marka?

Teraz Lene zgłupiała.

– To byłaś ty?

– Oczywiście. I jeśli myślisz, że łatwo było utrzymać cię w grze, kiedy cały czas musiałam wszystkim wmawiać, że jesteś już jedną nogą w Hadze, więc nie będzie już więcej problemów, to pomyśl raz jeszcze. Nie było łatwo. Zresztą z tobą nic nigdy nie jest łatwe.

– Wiem, ale...

– Daj spokój! Przecież cokolwiek powiesz, to nie będzie szczere. Bo ty jesteś i pozostaniesz konfliktowa i honorowa na granicy fanatyzmu. Miarka się przebrała, kiedy w Sydhavnen zaczęłaś hurtowo uśmiercać ludzi. To wtedy usłyszałam, że albo cię przeniosę, albo sama mam sobie poszukać innej pracy.

– Tak naprawdę chodziło o to, żeby zyskać na czasie – powiedział Andersson pojednawczo, bo lada chwila skoczyłyby sobie do gardeł. – Na szczęście przeżyłaś masakrę w Sydhavnen i sprawy potoczyły się na tyle szybko, że ani ministerstwa, ani Nobel Oil nie mógł nadążyć.

Zamyślił się na chwilę.

– Mówisz, że Axel Nobel odzyskał swoje dane?

– Michael Sander został wynajęty przez Nobel Oil do zdobycia analiz Petera Holma. I udało mu się to zrobić. Nie pytaj skąd, po prostu to wiem.

Doradca długo jej się przyglądał i Lene zapłaciłaby każdą cenę, żeby się dowiedzieć, co się działo za jego gładkim czołem. Jedynym sposobem, żeby nie włączyć w to Idy i martwego Holendra, było twardo obstawać przy swoim kłamstwie i liczyć na to, że przedsiębiorca pogrzebowy Iversen spłaci swój dług.

Andersson wzruszył ramionami.

– To i tak nie ma znaczenia.

– Też tak myślę – przytaknęła komendant.

– Cudowne, jacy jesteście zgodni. Może się pobierzecie? A nim to nastąpi, może bylibyście łaskawi mi wyjaśnić, jakim, kurwa, cudem to nie ma znaczenia?

– Wybacz, Lene, ale naprawdę wyrażasz się paskudnie – upomniała ją Charlotte, a Andersson tylko zachichotał.

– Droga Lene, chodzi o to, że to nie odgrywa *znaczącej* roli – wyjaśnił. – Analizy nieszczęsnego Petera Holma wykazały szybko rosnącą zawartość kadmu w oleju łupkowym wydobywanym przez konsorcjum w zatoce Disko. Kadm jest substancją wysoko żrącą i nie istnieje rentowny sposób, aby go oddzielić od oleju. W sumie sprawa jest dość prosta. Z punktu widzenia środowiska wydobywanie będzie możliwe przez góra pięć lat.

– Ale przecież nikt o tym nie wie – zauważyła Lene.

– My wiemy. Dzięki tobie. A Anna Nordstrand to przeczuwała. Podobnie jak jej mąż i niektórzy z Wojowników Posejdona. Ale nie mieli dowodów.

– I co zamierzamy z tym zrobić? – spytała przytomnie Lene.

Charlotte podniosła palec jak wzorowa uczennica, którą pewnie zawsze była.

– To złożona kwestia. Przerwanie wydobywania mocno rozczaruje ogromną rzeszę ludzi.

– Oraz ocali przed śmiertelnymi chorobami sporo ludzi w Grenlandii i Ameryce Północnej – dodała Lene.

Andersson znów się uśmiechnął. Lene pomyślała, że był człowiekiem o wyjątkowo pogodnym usposobieniu.

– Tak naprawdę ciekawi nas to, jak Axel Nobel zareaguje na wieści Holma.

W tym wypadku pójście utartą ścieżką byłoby dla nas nieskończenie trudne. Pomysł zamknięcia projektu nie spodoba się nikomu. Do znudzenia będzie się podważać autentyczność analiz. Powstanie komisja z ekspertów i urzędników, a ci będą sporządzać kolejne raporty. Będą sobie mogli na to pozwolić, zwłaszcza że Wojownicy Posejdona zostali wyeliminowani z gry, więc zasadniczo projekt może się rozwijać już bez przeszkód. Poza tym *to jest* monumentalne przedsięwzięcie.

– Ale niemożliwe – twardo obstawała Charlotte.

Wzrok doradcy z rozmarzonego stał się trzeźwy.

– Tak – przyznał. – To niemożliwe. Amerykanie zmiotliby całą instalację z powierzchni Ziemi, to pewne. Gdyby tylko nabrali podejrzeń, że kadm zagraża ich wodom przybrzeżnym, to w ciągu pięciu minut w Cieśninie Davisa pojawiłby się lotniskowiec i posłał nad zatokę Disko pociski samosterujące.

– Więc co waszym zdaniem zrobi Nobel? – spytała Lene, której mózg powoli odklejał się od czaszki. W uszach dzwoniło jej już nieprzerwanie i wiedziała, że lada chwila zapadnie się w sobie jak szmaciana lalka.

– Pozbędzie się tego projektu – Andersson powiedział to tak, jakby to było oczywiste dla każdego.

– Naturalnie – powiedziała cicho Lene i wzrokiem wzywała na pomoc Charlotte, ale ona też wyglądała na zagubioną.

– Dwie minuty po rozmowie z Peterem Holmem jego młodzi adwokaci przystąpili do natarcia – wyjaśnił doradca. – Nobel zwołał swoich najbardziej drapieżnych liczykrupów z całego świata i następnego dnia w Gibraltarze i na Bermudach założono i zarejestrowano The Gibraltar Shale Oil and Development Company.

– Po co? – nie rozumiała Charlotte.

– Po to, żeby ograniczyć szkody. Zaczął się transfer wartości z konsorcjum na Gibraltar Shale Oil.

– Ale po co? – Lene i Charlotte spytały chórem.

Tom Andersson powoli tracił do nich cierpliwość.

– Oczywiście po to, żeby zacząć negocjacje. Z jednej strony z innymi spółkami naftowymi, aby zachęcić je do przejęcia projektu, z drugiej strony z Chińskim Bankiem Rozwoju. Niewykluczone, że zaproponuje im nawet udziały w Nobel Oil poniżej ceny rynkowej.

– I to się nikomu nie wyda podejrzanym, skoro to taki wspaniały projekt? – zastanawiała się Lene.

Andersson pokiwał głową.

– Owszem, to mogłoby się wydać podejrzanym, gdyby chodziło o firmę zajmującą się wyłącznie ropą i innymi paliwami kopalnymi, ale to stanowi tylko część działalności Nobel Group. Mają poza tym kontenerowce, kopalnie, parki solarne, inwestują w odnawialne źródła energii, technologie cyfrowe, produkty rolnicze, leasingują urządzenia wiertnicze i tak dalej. Przy takiej dywersyfikacji nikogo nie zdziwi, że firma rezygnuje z jakiegoś projektu, gdy na horyzoncie pojawia się coś bardziej opłacalnego. Na przykład nowe złoża u wybrzeży Brazylii. Dla wielu będzie to zrozumiałe. Bilans końcowy rządzi. Każdy to wie.

– A co będzie, kiedy za trzy lata BP albo Exxon odkryją, że kupili od Axela trzynogiego konia? – spytała Charlotte.

– Wielkie koncerny to nie ludzie – oznajmił filozoficznie Andersson. – Nie mają uczuć. To ponadnarodowe organizacje, których jedynym zadaniem jest zarabiać pieniądze, w możliwie najszerszych ramach prawa. Przed siedzibą główną może sobie powiewać duńska flaga, ale zasadniczo miejsce, w którym się znajdują, jest im obojętne. Nobel może zresztą powie-



dzieć, że nie wiedział o problemie kadmu. A w każdym razie może twierdzić, że jego zawartość utrzymywała się poniżej dozwolonego poziomu, bo w istocie tak jest. Peter Holm jest jedyną osobą, która przez swoją chorobliwą dokładność nieświadomie włożyła kij w szprychy. Wwiercił się w tę przeklętą górę głębiej niż ktokolwiek przed nim i był wybitnym naukowcem. Co zakrawa na ironię, bo on naprawdę włożył serce w ten projekt.

– A Chińczycy? – przypomniała mu Lene. – Co zrobią... kiedy się zorientują, że Nobel zrobił ich w konia?

Specjalny doradca uśmiechnął się i popatrzył na nią z uznaniem.

– Tak, Chińczycy, w przeciwieństwie do koncernów, mają uczucia. Mają ich dokładnie tyle samo co inni ludzie, chociaż lepiej je ukrywają. Nie zapomnieli wyzysku, jaki ich spotkał ze strony europejskich imperiów kolonialnych, które przetrzebiły zasoby naturalne ich kraju, a angielskie kanoierki dodatkowo zburzyły pałace cesarzy. Nie zapomnieli również japońskich rzezi w Mandżurii i Szanghaju. Chińczycy zdecydowanie nie lubią, kiedy się ich oszukuje. Nie lubią tracić twarzy. Dlatego oni rzeczywiście będą mogli chcieć coś z Noblem zrobić.

– Znasz tam kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać? – Lene była zdesperowana, aby zakończyć to spotkanie, zanim zemdleje. – No dalej, Tom! Może nie wiesz, ale nie wszyscy śpią po osiem godzin i jedzą trzy posiłki dziennie!

– Myślę, że Tom o tym wie – rzuciła jej ostro Charlotte.

– Wybacz. – Andersson pokiwał głową. – Zwykłymi kanałami dyplomatycznymi i politycznymi zajęłoby to zbyt wiele czasu, a wynik takich rozmów jest trudny do przewidzenia. Ale tak, rzeczywiście znam tam parę osób. Nie obędzie się jednak bez świadka. Mocnego, przekonującego i poważanego. I chyba znalazłem kogoś takiego.

– Zajebicie – mruknęła Lene. – Super. No to mów, Tom, na Boga. Kto to jest?

– Ty, Lene. I nikt więcej – odparła Charlotte łagodnym tonem. – To dlatego prosiliśmy, żebyś zabrała paszport. Polecisz do Chin. Samolot masz za trzy godziny. Tom oczywiście poleci z tobą.

– Zwariowaliście. Nie mogę lecieć do Chin! Nie wiem, czy zdołam się podnieść z tego krzesła, i jestem tak blisko epickiego załamania nerwowego. – Pokazała im dwa milimetry między kciukiem i palcem wskazującym dla zobrazowania, jak niewiele ją od niego dzieli.

– Dolej sobie kawy – podsunęła Charlotte. – Na pewno dasz radę.

Lene miała ochotę krzyczeć.

– Charlotte, nie potrzebuję ani kawy, ani twojej sherry. Ja potrzebuję urlopu.

– A gdyby ktoś, komu w pełni ufasz i kto wie wszystko o sprawie, poleciał z nami, to poczułabyś się pewniej? Chodzi mi o kogoś, kto mógłby cię wesprzeć – dodał Tom.

Lene popatrzyła na Bjarnego.

– Zrobiłbyś to?

– Nie, nie, nie – odparł natychmiast. – Moja mama w piątek kończy siedemdziesiąt lat. Wykluczone.

– Z całym szacunkiem dla Bjarnego, nie jego miałem na myśli – przyznał specjalny doradca ministerialny.

– Nikomu innemu nie ufam. Chociaż tak, jest jedna taka osoba. Ale ona nie może teraz podróżować. Jest chora.

– Jak chora? Jeśli to nic poważnego, to przecież można...

– Chora psychicznie i zagrożona samobójstwem.

Andersson wyglądał, jakby go wciśnięto do kanapy.

– Tak, masz rację, raczej nie o takie wsparcie nam chodzi. Uważam jednak, że powinnaś rozważyć osobę, o której ja pomyślałem. Pozwoliłem sobie do niego zadzwonić przed twoim przybyciem i nakreśliłem mu pokrótce, o co chodzi. Domyśliłem się bowiem, że nie zareagujesz przesadnym entuzjazmem. Za to on się zgodził.

Pomimo nadciągającego ataku Lene poczuła się odrobinę zaintrygowana. Była to jej chroniczna przypadłość i przekleństwo, o czym dobrze wiedziała. Matka zawsze powtarzała, że od dziecka była ciekawska jak kot.

– Kto?

\*

Potrzeba było dziesięciu minut oraz połączonych talentów dyplomatycznych Charlotte i Anderssona, a także nielicznych, lecz świetnie dobranych gróźb, żeby przekonać Lene do odegrania roli, jaką jej wyznaczyli w przedsięwzięciu, które ona sama z miejsca nazwała *Mission Impossible*.

– A potem zostań tam trochę, odpocznij, pozwiedzaj... – dodała Charlotte na koniec, kiedy Lene się poddała.

– Trochę, czyli ile?

- Bo ja wiem... jakieś kilka miesięcy. – Komendant popatrzyła na specjalnego doradcę. – To spory kraj, prawda?
- Ogromny.
- Ale kilka *miesięcy*?! Przecież nie możesz... – Lene prawie krzyczała.
- Tylko do czasu, aż twoja zawodowa reputacja zostanie odbudowana u nas i... I wyżej w hierarchii – nalegała Charlotte.
- Może lepiej rok – stwierdził Andersson.

*Pekin trzy dni później*

Jeszcze pięć minut, a wszystko będzie dopięte i ostatnie dwa dni intensywnych rozmów staną się kolejnym niemiłym wspomnieniem, których w czasie pięćdziesięciosiedmioletniego życia nazbierało mu się sporo. Axel miał wrażenie, że jest ich więcej niż w przypadku większości ludzi.

Zacznie się przyszłość. Przyszłość niezwykle obiecująca. Zważywszy na okoliczności.

Znajdował się w dużym gabinecie na pięćdziesiątym trzecim piętrze wysokiego na trzysta trzydzieści metrów drapacza chmur w pekińskiej dzielnicy biznesowej Guamo, która wkrótce pod każdym względem wyprzedzi Wall Street i londyńską City. Chiński centralny bank rozwoju ICBC zajmował trzydzieści z osiemdziesięciu jeden pięter i pewnie byłby stąd niezły widok, gdyby nie nieprzenikniona warstwa smogu zasłaniająca ulice i niższe budynki jak okiem sięgnąć. Widać było tylko inne drapacze chmur, które wyłaniały się ze smogu jak dziwne wyspy z jasnobłękitnego oceanu. Daleko pod nimi zmieniały się światła sygnalizacji ulicznej, niczym światła odległych okrętów, a przez budynek przechodził lekki dreszcz, kiedy któraś z dużych przeszklonych wind z cichym buczeniem sunęła w górę lub w dół na zamontowanych na zewnątrz budynku szynach. Naturalnie jechał nie raz tymi szklanymi kapsułami i było lepiej niż w wesołym miasteczku. Windy opadały w dół do podziemnego centrum handlowego z taką prędkością, że stopy niemal odrywały się od podłogi i przez chwilę było się w stanie nieważkości.

Doradcy i prawnicy Axela polecieli już do Waszyngtonu. Przy stole pozostali dwaj najważniejsi gracze, Axel i prezes banku Jun Nianzu, jeden do jednego.

Axel wypił wodę i dolał sobie z karafki. Potarł oczy i patrzył przed siebie, czekając, aż Jun skończy popołudniowy trening, który wykonywał codziennie między szesnastą trzydzieści a siedemnastą. W tej chwili pokony-

wał morderczy podjazd na czarnej kolarzówce marki Trek wspartej na trenerze rolkowym i jednocześnie rozmawiał płynnie po francusku przez słuchawki z mikrofonem. Uśmiechnął się do Nobla, który odwzajemnił uśmiech, ale z najwyższym trudem. Ciepła kąpiel, godzinny masaż, lekki posiłek, papieros Michaela Sandera i siedem godzin nieprzerwanego snu było wszystkim, czego w tej chwili potrzebował.

Ach, i kilku podpisów, naturalnie.

Jun Nianzu zakończył rozmowę i popatrzył krytycznie na ekran, który wyświetlał puls, ciśnienie, pobór tlenu, prędkość, kalorie, gradient i tak dalej. Jun jechał wirtualną trasą Alpe d'Huezetape z Lancem Armstrongiem na ogonie i dawał z siebie wszystko, żeby zostawić Amerykanina w tyle. Pot kapał z jego okrągłej, gładkiej twarzy, a skośne czarne oczy były jak szkliste szparki. Rozpiął nakrapianą koszulkę Mercanto Uno, odsłaniając bezwłosą pierś.

Axel wiedział od niego samego, że koszulka należała do Marca Pantaniego i Jun zapłacił za nią majątek.

Prezes banku wreszcie dotarł do mety z okrzykiem zwycięstwa i pedałowal dalej, ale już wolniej, żeby pozbyć się z nóg kwasu mlekowego.

– Wygrałeś? – spytał Axel.

– Pirat zawsze wygrywa. – Jun nawiązał do ksywki Pantaniego.

Nobel popatrzył znacząco na ostatnie dokumenty, które czekały na jego podpis.

Nie potrzebowali tłumacza. Jun Nianzu był produktem nowoczesnych Chin. Dorastał w niezbyt zamożnej dzielnicy Hongkongu, ale skończył zarządzanie i ekonomię w Princeton i London School of Economics oraz posługiwał się nienaganną angielszczyzną.

Wypiął buty z pedałów i wytarł twarz ręcznikiem. Przeszedł przez gabinet nienaturalnie przechylony do tyłu przez klipsy na podszwach i z ręcznikiem przewieszonym przez szyję usiadł za biurkiem.

– Więc tak. Mówisz, że Wojownicy Posejdona to przeszłość?

– Zdecydowanie. Ostatnich właśnie aresztowano w Anglii.

– Moi przełożeni, czyli Partia, z niecierpliwością czekali na tę informację.

– Naturalnie.

Jun pokiwał głową.

– A demonstranci? Greenpeace? Inni fanatycy?

– Przegoniła ich nowa firma ochroniarska. Na równinie nie ma już nikogo. Pompy pracują, a resztki oleju zostały już usunięte z morza.

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując krótkie zęby, i rozparł się w fotelu. Czubkiem ręcznika złapał ostatnią kroplę potu.

– Fantastycznie. Gratuluję.

– Dziękuję.

Prezes banku wykonał pełny obrót na swoim krześle z wysokim oparciem, a gdy ponownie siedział twarzą do Axela, w ręce trzymał butelkę wody, lecz jego uśmiech zniknął. Wypił mały, powściągliwy łyk.

– A ten nowy twór, The Gibraltar Shale Oil and Development Company, co to właściwie jest?

Axel naturalnie spodziewał się tego pytania. Mimo to przeszył go lekki dreszcz, choć wiedział, że właśnie teraz bezwzględnie musi zachować zimną krew.

– Mam wątpliwy zaszczyt być Duńczykiem – odparł gładko i pochylił się do swego rozmówcy. – Zarobienie dolara jest w tym kraju najtrudniejsze na świecie. Nie przesadzam. W przekonaniu duńskiego rządu wszystkie aktywa i pieniądze należą do niego, aby mógł je porozdzielać między głupców i leni. Zatem Gibraltar Shale to nic, Jun. Taki mały wybieg, który ma mi zapewnić minimalny zysk dzięki międzynarodowym korzyściom podatkowym.

Jun znów pokiwał głową.

– Czyli nie przymierzasz się do wycofania Nobel Oil z zatoki Disko?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym to robić? To wspaniały projekt. Moje opus magnum, o ile to nie brzmi zbyt patetycznie.

– Ani trochę. W żadnym razie. Pięknie to ująłeś. Naprawdę pięknie. – Jun zamyślony wypił kolejny łyk. – *Det er et smukt projekt* – powiedział nagle po duńsku i uśmiechnął się na widok zaskoczenia Axela. – *Et smukt projekt, ja. Fra Danmark og Grønland med rødgrød med fløde*[2].

– Jun, nie przestajesz zaskakiwać – powiedział Nobel szczerze wzruszony. – Gdzie u licha się tego nauczyłeś? I może przejdziemy na duński?

Prezes banku podniósł rękę.

– Chyba nie mamy na to czasu. Mój ojciec był szoferem duńskiego konsula w Hongkongu. Nie mówiłem ci? W każdym razie blisko się zaprzyjaźniłem z jego synem. Nazywał się Tom Andersson. Spotkaliśmy się ponownie, kiedy pracował dla indonezyjskiej spółki naftowej i od tamtej pory je-

steśmy w kontakcie. Wiem, że jest was tam, na północy, pięć milionów, ale może akurat go znasz?

– Chodzi ci o Toma Anderssona, specjalnego doradcę ministra sprawiedliwości?

Jun przytaknął zachwycony.

– Pewnie że znam – potwierdził Axel i natychmiast go zmroziło. – Całe lata próbowałem go do nas ściągnąć. Jest dobry. Bardzo dobry.

– Tak. To świetny fachowiec. Przekaż mu pozdrowienia od starego kumpla, jeśli go spotkasz. Myślę jednak, że on może nie być dla ciebie odpowiedni. Jest do bólu szczery.

Czarne oczy po drugiej stronie biurka były bardziej nieprzeniknione niż kiedykolwiek.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Chińczyk rozłożył drobne dłonie.

– Żartuję, do diabła. Pozdrów go po prostu od starego Juna, okej?

– Tak zrobię. Jasne. Jak tylko go spotkam.

Jun Nianzu, niemal nie patrząc na dokumenty, w jednej chwili podpisał je we wszystkich właściwych miejscach, zebrał i wręczył cały plik Axelowi. Potem podniósł butelkę wody.

– Za dalszą owocną współpracę między ICBC a Nobel Group, Axel. Interesy z tobą to przyjemność.

Axel schował papiery do aktówki i starał się ukryć, jak bardzo mu ulżyło. Potem podniósł swoją szklankę.

– Nasze zdrowie.

Prezes banku wstał i na marmurowej podłodze znów rozległo się stukanie klipsów butów rowerowych. Popatrzył na Axela z błyskiem w oczach.

– Kiedy wracasz? Na pewno nie dasz rady spotkać się z...

– Niestety, Jun. Strasznie bym chciał poznać nową panią Nianzu, ale będziemy musieli z tym poczekać do następnego razu.

Jun odprowadził gościa do drzwi.

Budynek zawibrował, kiedy na piętro wjeżdżała jedna z wind. Z zewnątrz dobiegały niskie westchnienia hamulców hydraulicznych.

– Wiesz, co ci powiem? Po czterech małżeństwach stwierdzam, że wszystkie ładne dziewczyny są tak naprawdę identyczne.

– Masz całkowitą rację. Sam doszedłem do tego samego wniosku – przytaknął Axel mechanicznie.

Jun otworzył drzwi na korytarz, opustoszały, ale zalany promieniami zachodzącego słońca. Był to oszałamiająco piękny zachód słońca, chociaż Axel wiedział, że jego kolory to skutek zanieczyszczenia powietrza. Ale mimo wszystko.

– Piękne – przyznał.

– Jak zatoka Disko – zaśmiał się Jun.

– Właśnie.

Ruszyli korytarzem.

Przy otwartych drzwiach windy czekał jeden z ochroniarzy Juna, wyglądający, jakby był zbudowany z opon do land rovera. Ze szklanej kabiny dobiegała piskliwa tradycyjna chińska muzyka, a sama kabina była dziełem sztuki z luster, mosiądzu, hebanu i szkła opalowego.

Axel wszedł do środka i wyciągnął rękę do Juna. Tym razem w jego uścisku było coś dziwnie uroczystego.

– Axel?

– Tak?

Jun kiwał się na klipsach butów.

– Dałem ci szansę – powiedział cicho i bardzo poważnie. – Czekałem i czekałem, ale się nie doczekałem. A przecież mogłeś być po prostu szczerzy. Coś byśmy wymyślili. Na pewno.

Axel uśmiechnął się niepewnie.

– Jun, o czym ty mówisz?

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć o kadmie? Próbowaleś mnie wykiwać na trzy miliardy dolarów. Mnie, moją partię i mój kraj. O tym mówię.

Grube szklane drzwi się zasunęły i strażnik o nieruchomej twarzy pomajstrował coś przy nich na górze. Potem kucnął i zrobił to samo na dole. Axel wcisnął guzik otwierania drzwi. Nic się nie działo. Próbował w nieskończoność, z tym samym efektem. Starał się rozsunąć je rękami, ale ani drgnęły. Potem popatrzył na Juna Nianzu. Prezes banku podniósł dłoń i wskazał za siebie.

Po lewej, w przeszklonym biurze ukazały się trzy osoby, które Axel rozpoznał natychmiast: Tom Andersson, Michael Sander i Lene Jensen. Nieruchome postacie o twarzach pozbawionych wyrazu.

Najbogatszy Duńczyk wypuścił teczkę z ręki i zaczął walić w drzwi płaskimi dłońmi.

– JUN!!!

Ochroniarz wyjął z kieszeni pilot i nad głową Axela zabrzmiał cichy wybuch. Winda zachwiała się, lekko poruszyła... i runęła dwieście pięćdziesiąt metrów w dół.

Pędziła z szaloną prędkością, przecinała ukośne promienie słońca, przecięła smog i gnała ku zakorkowanym estakadom, obwodnicom i całej sygnalizacji świetlnej. Po raz ostatni przed oczami mignął mu Michael Sander, unoszący dłoń w czymś na kształt pozdrowienia. Z głośników dobywały się piekielne wrzaski. Uderzał w przyciski windy, aż knykcie mu krwawiły. Próbował wyrwać panel ze ściany i patrzył bezradnie na swoje połamane paznokcie.

Axel Nobel czytał neonowe reklamy na fasadach drapaczy chmur, zobaczył własną twarz w jednym z luster, a potem zamknął oczy i docisnął dłoń do twarzy. Był prawie nieważki, prawie...

\*

Możliwe, że gdy winda zatrzymała się u stóp szklanej góry, poczuli lekki wstrząs.

Jun Nianzu odwrócił się do Michaela i Lene.

– Mister Sander... Miał pan rację, a ja się myliłem. Sądziłem, że mam do czynienia z oficerem i dżentelmenem. Przykro mi.

– Wydaje mi się, mister Nianzu, że on kiedyś nim był – przytaknął uprzejmie Michael. – Ale teraz był już tylko sukinsynem, więc nie ma powodu do żalu.

– Ma pan rację. Zdecydowanie. Ech, zatoka Disko. A mogło być tak... tak... – uśmiechnął się smutno.

– Jeśli coś jest zbyt dobre, żeby było prawdziwe, to z reguły jest zbyt dobre, aby było prawdziwe. – Lene przypomniała mu znaną prawdę.

– Zgadza się, moja droga. No ale mam przynajmniej nadzieję, że wolno mi będzie dać wyraz wdzięczności naszego banku? Jeśli dobrze zrozumiałem moich oświeconych przywódców, koszty nie grają roli.

Lene się uśmiechnęła.

– Hotelu Raffles Bejing nie przebije nic. Wykluczone. Czuję się jak nowonarodzona, mister Nianzu. Naprawdę. To przeżycie niemal mistyczne, prawda, Michael? Jak ekstaza.

– O tak. Ta łazienka. To znaczy jedna z nich jest większa od mojego mieszkania – przytaknął Michael.



– Jesteście pewni? – spytał z powagą ich gospodarz. – Nie macie ochoty na kilka niezapomnianych dni w cesarskiej stolicy? Mogę wam znaleźć najlepszych przewodników.

– Cesarskiej? – zdziwił się Andersson, który stał nieco z boku.

Jun się uśmiechnął.

– Tak się tylko mówi, Tom. Chociaż tak na poważnie w Chinach wszystko wciąż jest po staremu. Mamy trochę bardziej eleganckie ciuchy, jeździmy ferrari i stawiamy nieco wyższe budynki, ale to wszystko.

– Coś jak Dubaj w Państwie Środka? – dociekał Andersson.

– Albo na odwrót.

Jun ucisnął ręce Lene i Michaela.

– Ukradnę wam Toma na parę godzin – oznajmił. – Mamy parę prawniczych detali do obgadania i powspominamy stare dzieje. Trzymajcie się. I raz jeszcze... dziękuję.

Michael popatrzył na pustą szynę windy.

– A jak się dostaniemy na dół?

Jun przywołał do siebie ochroniarza.

– Hong zna skrót. Nie musicie iść schodami, chociaż to niezły trening.

\*

Centrum handlowe liczyło sześć pięter, a szklaną kopułę dachu wykonano na wzór katedry Świętego Piotra. Wszystkie luksusowe marki na świecie miały tu flagowe sklepy: Armani, Porsche, Mercedes, Lauren, Cartier, Harry Winston, Dior, Chanel, Audemars Piguet i tak dalej, aż do zawrotu głowy.

I wszystkie oblegali chińscy nuworysze.

Kiedy powoli szli przez ogromny plac w stronę jednego z wyjść, Michael zerknął w prawo. W przeszklonych ścianach odbijały się niebieskie światła pojazdów służb ratunkowych, a z oddali słychać było syreny zbliżające się do strefy lądowania windy.

Michael zaklął, kiedy ktoś go trącił.

– A jak w ogóle się spisał Iversen? – spytała Lene, kiedy dotarli do spokojniejszego miejsca, w którym było mniej tłoczno.

\*

– Znakomicie. Prochami Dirka Straata nakarmił swoje róże. Twierdzi, że nie ma nic lepszego. Chodzi o azot czy coś. Ale podkreślił, że tym samym swój dług uważa za spłacony. Mam się nie przyzwyczajać do jego usług.

Lene rozejrzała się z nerwowym uśmiechem.

– Wiadomo. A jak z Idą? Rozmawiałeś z nią?

Pokiwał głową.

– Tak. I sądząc po głosie, jest szczęśliwa. Chyba pogodziła się z faktem, że ma kogoś w rodzaju chłopaka. Grali w szachy, a w tle słyszałem *Brothers in Arms*. Dire Straits puszcza tylko, kiedy jest w dobrym nastroju. Ostatni raz słuchała ich półtora roku temu. Jak nie więcej.

Lene znów się uśmiechnęła, tym razem lekko onieśmielona. Kupiła sobie długą koszulę z grubego jedwabiu w kolorze indygo i po raz pierwszy, odkąd się poznali, miała na nogach obuwie inne niż kalosze albo kozaki. Włoskie sandały na cienkich obcasach były niezwykle eleganckie, a hotelowy fryzjer i spa zrobili cuda z jej skórą i włosami.

Michael miał właśnie mówić dalej o siostrze, kiedy się zorientował, że byli sami.

Odwrócił się i zobaczył, że Lene stała na róży wiatrów, pięknie wkomponowanej w sam środek placu i oświetlonej zachodzącym słońcem wpadającym przez łuki kopuły dokładnie nad jej głową. Stała z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Podszedł do niej.

– Co się dzieje? Źle się czujesz? Może to przez to uliczne żarcie wczoraj? Mówiłem ci, że to był głupi pomysł...

Podniosła dłoń i pociągnęła go za marynarkę. Potem go puściła i spojrzała \$1podłogę.

– Chciałabym, żeby mnie ktoś pocałował – wyznała.

– Naprawdę?

– Tak, poproszę.

Objął ją. Była lekka, ubita i silna. I zaczął ją całować, długo.

Potem na moment się rozdzielili.

– Jeszcze – poprosiła, a Michael posłuchał bez wahania.

Kiedy ruszyli dalej, trzymał ją za rękę.

– Jak było? – spytał.

– Tak, jak powinno.

I naraz się roześmiała.

– Michael, posłuchaj tylko...

Rozejrzał się. Spojrzał na ludzi, którzy się wokół nich kłębili, na witryny sklepowe, wejścia i wyjścia. Ludzie kupowali. Sprzedawali. Używali. Kupowali.

– Co?

– Ich w ogóle nie słycać. Ja ich nie słyszę.

– Masz rację. Nikogo nie słycać.

– Myślisz, że nam się uda?

– Na pewno. W razie czego będziemy improwizować.

# Przypisy

[1] Koh 7, 19 – Biblia Tysiąclecia (przyp. tłum.).

[2] „To piękny projekt. Piękny projekt, tak. Z Danii i Grenlandii z puddingiem z czerwonych owoców”. „Pudding z czerwonych owoców” to znany łamaniec językowy, przyp. tłum.